

ELLEN BYERRUM

Zabójcze cięcie



Świat Książki

Byerrum Ellen

Zabójcze cięcie

Waszyngton - ojczyzna damskiej fryzury à la hełm i męskiej kongresowej „pożyczki”, wylęgarnia modowych faux pas. Najwięcej wie o nich Lacey, autorka gazetowej rubryki "Zbrodnie w modzie". Zawodowo piętnuje odzieżowe wpadki i udziela porad ofiarom coraz to dziwniejszych mód.

Młoda fryzjerka Angie zastynęła jako geniusz nożyczek i mistrzyni zmiany wizerunku. Pewnego dnia znalezioną ją martwą, z obcięzonymi włosami i brzytwą w dłoni. Policja uznała, że dziewczyna popełniła samobójstwo. Jednak Lacey, która dobrze znała fryzjerkę, nie może w to uwierzyć. Podejrzewa najstynniejszą klientkę Angie, pracownicę Kongresu prowadzącą erotyczną stronę internetową...

Fascynujące śledztwo, odrobina pikanterii i romansu, a do tego plotki z życia elit amerykańskiej stolicy i garść modowych wskazówek Lacey, która o ciuchach i fryzurach wie wszystko.

Rozdział 1

Lacey Smithsonian spojrzała na nieszczęsną kobietę w trumnie i pomyślała: *Boże, w życiu nie widziałam gorzej ostrzyżonych włosów. A mówią, że od złego ostrzyżenia się nie umiera.* Kiedy ta myśl przebiegła jej przez głowę, skarciła się natychmiast: *Lacey, ale z ciebie wiedźma.* Jednak nie mogła się powstrzymać. To naprawdę była koszmarna fryzura. Ręczona fryzura należała do Angeli Woods, „Angie” dla przyjaciół ze Stylettos, modnego salonu w Dupont Circle, gdzie pracowała jeszcze kilka dni temu. Teraz Angie była honorowym gościem w wypolerowanej klonowej trumnie, w domu pogrzebowym Evergreens w stolicy Stanów Zjednoczonych.

Angie miała tylko dwadzieścia pięć lat i słodką krągłą buzię, która już nigdy nie miała się zestarzeć. I ta fryzura też już nigdy nie będzie lepsza. Zmarła wyglądała spokojnie, trochę smutno, złożona w wykładanej atlasem skrzyni. Miała na sobie ciemnoróżową zakardową sukienkę z koronkowym kołnierzykiem, szaleńczo kontrastującą z kępkami krótko obciętych włosów, sterczących między plackami całkiem łysej, posiniaczonej skóry głowy.

Co u licha strzeliło jej do głowy?

Chociaż Lacey znała Angie słabo, pamiętała jej uprzejmość i skromność. Zdaniem przyjaciół, Angie święcie wierzyła w zasadę, że każde życie dałoby się poprawić przy pomocy zawodowego

stylisty. A teraz nie będzie już żadnych więcej trwałych, farb czy pasemek w ramach prób Angie uczynienia świata ładniejszym.

Przynajmniej miastu nie trzeba było tego dnia żadnej pomocy. Trwała piękna, kwietniowa środa, odpoczynek od deszczu, który przez dwa ostatnie tygodnie wytrwale dręczył mieszkańców. Drzewa wiśniowe eksplodowały kwiatami, różowa zawieja na tle lazurowego nieba. W takie dni wiosna w stolicy przypomina niczym nieograniczoną zieloną ucztę dla serca. W takie dni mieszkańcy Waszyngtonu zapominają, że wiosna to zazwyczaj paskudny, mokry test na wytrzymałość, począwszy od ciągnących się bez końca chłodnych dni, pełnych mżawek, i przechodzących w lato — z jego dokuczliwą wilgotnością i szalonym upałem — tak gwałtownie, że wszystkich dopadał duchowy kac i ból zatok. Jednak każda wiosna w Dystrykcie Kolumbii oznacza także inwazję przedziwnie ubranych turystów, rodzin spowitych w neonowe barwy, autokarów pełnych dziadków w poliestrze, oraz całych szkolnych klas odzianych w jednakowe niebiesko-pomarańczowe koszulki i czapeczki baseballowe. Wszyscy oni są mili, pełni entuzjazmu i okropnie irytujący. Turyści słyszą bijące serce wiosny. Reagują na rytm niewidzialnych bębnow, nakazujących im gromadzić się wokół okolonego wiśniowym kwieciem lustra wody Tidał Basin niczym w corocznym rytuale, równie przewidywalnym, jak powrót jaskółek do Capistrano.

Przynajmniej hordy turystów, przez które Lacey musiała się przedrzeć w drodze do domu pogrzebowego, z tymi ich plastikowymi aparatami i kamerkami, umiały docenić wiosnę w Waszyngtonie. Setki tysięcy niedowidzących szczurów biurowych nawet jej nie zobaczą, harując w swoich anonimowych beżowo--szarych biurach. A kobieta w trumnie nie ujrzy jej już nigdy.

Lacey zastanawiała się, co właściwie robi w domu pogrzebowym. Ale w piękny wiosenny dzień wolała być gdziekolwiek, byle tylko nie przy swoim biurku w redakcji, gdzie otwierałaby stopy informacji prasowych, poszukując czegoś, czegokolwiek, o czym dałoby się napisać.

— No i co, Lacey, nie mówiłam? Widziałaś kiedyś gorszą robotę brzytwą?

Lacey odwróciła się, by zobaczyć swoją fryzjerkę, Stellę Lake, która stała za nią w niewielkim pomieszczeniu.

Stella była szefową salonu Stylettos. Musiała dbać o wizerunek, więc na tę okazję ubrała się starannie: miała na sobie najlepsze legginsy z czarnej lycry, czerwony skórzany gorset i czarną skórzaną kurtkę lotniczą. Jak na Stellę, był to niezwykle nobliwy strój, do tego ze świeżym manicure — jaskrawoczerwone paznokcie, a na nich maleńkie błyskawice. Skórzana obroża podkreślała asymetryczną, krótką fryzurę — w tym tygodniu o barwie czerwonego wina — sterczącą buntowniczo z idealnie okrągłej głowy Stelli. Jak na trzydziestopięcioletnią, drobną kobietę z zaczynającymi się kurczymi łapkami i nieco przepitym głosem, był to styl dość zaskakujący, ale niewątpliwie przyciągający uwagę. Stella była nieduża, jednak potrafiła wydawać się dużo większa.

Do tego była geniuszem w dziedzinie zastosowania nożyczek — na cudzych głowach. Aczkolwiek Stella uważała samą siebie za najlepsze własne arcydzieło, zmieniające się wraz z fazami księżyca, pływami morskimi albo po prostu w kiepskie dni, które zwyczajnie domagały się czegoś nowego.

— Mówiąc szczerze, Stello, to teraz wygląda jak większość waszych fryzjerek. Nie licząc tych łysych placków. I siniaków.

— Chyba żartujesz! Tego nie robił zawodowiec. A poza tym usiłuję ci powiedzieć, że punkowa domina to nie był jej styl. Angie była bardziej typem Ginewry, rozumiesz?

— Ginewry? — spytała zaskoczona Lacey. Stella była królową fryzjerskich skrótów.

— No wiesz, typ romantyczny. Długie włosy, długie sukienki. Różowe. Angie lubiła różowy.

— Różowy powiadasz? — Lacey miała skomplikowany stosunek do różowego. W zasadzie go lubiła, ale w tym mieście zdawał się nie na miejscu. Waszyngton, D.C. był uosobieniem beżu, nijakości, szaroburości, z dużym udziałem brunatnego i czarnego. Preferencja fryzjerek i innych typów artystycznych skłaniała się ku ubiorom czarno-białym. Różowy był uważany za

zbyt pogodny i uznawały go może tylko co energiczniejsze republikanki. Stella wzruszyła ramionami i uniosła brwi. Obie znowu spojrzały na Angie.

Na stoliku przy trumnie stało portretowe zdjęcie zmarłej. Dziewczyna na zdjęciu miała długie złocistoblond włosy, opadające w łagodnych falach aż do talii. Cudowne włosy, takie, o jakich pisze się poematy, takie, jakie kojarzą się z postacią baśniowej Roszpunkki.

Zaledwie kilka dni przedtem Lacey nerwowo powierzyła własną głowę Stelli, która zrobiła w jej miodowobrazowych włosach oszalamiające blond pasemka. Rzuciła jej wyzwanie. „No co? Zabije cię wypróbowanie czegoś nowego? Lacey, zaufaj mi, będzie dobrze. Poza tym jako dziecko pewnie byłaś blondynką. Mam rację, nie?”.

Angie przepłynęła wtedy przez salon niczym spokojna, długowłosa Madonna w różowym kitlu Stylettos, w morzu na krótko ostrzyżonych punków odzianych w czerń, pomalowanych taką ilością kredki do oczu, że starczyłoby na cały kubeł węgla. Zatrzymała się, by zapewnić Lacey swoim miękkim, południowym akcentem, że pasemka będą piękne.

Angie miała podejście do klientów dużo bardziej kojące niż Stella.

Lacey znowu spojrzała na Stellę.

— Jak myślisz, co jej się stało?

— A na co wygląda?

— W policyjnych papierach wpisali samobójstwo. Ale nie wspominali o tym koszmarze. Rany, Stella, ona wygląda, jakby się oskałpowała w napadzie szaleństwa, po pijaku czy naćpana, a potem oprzytomniała, spojrzała w lustro i zabiła się na miejscu. Czy to możliwe?

— Policja tak myśli. — Stella odciągnęła Lacey od trumny, jakby leżąca w niej kobieta mogła je usłyszeć. Waszyngtońska policja uznała Angelę Woods za samobójczynię i koniec.

Lacey wiedziała, że ilość morderstw w Dystrykcie Kolumbii była astronomiczna, podczas gdy liczba rozwiązanych spraw sięgała połowy krajowej średniej, w kostnicach panował chaos,

a wyniki sekcji były równie zmienne jak pogoda. Wydział morderstw w D.C. był od lat traktowany jako żart, i to wcale nie najśmieszniejszy w mieście.

Gliniarze uznali, że sprawa została zamknięta, powiedziała Stella. Zdaniem detektywów, fryzjerka Angela Woods podcięła sobie nadgarstki w salonie Stylettos w Dupont Circle, używając do tego brzytwy fryzjerskiej marki Colonel Conk, narzędzia często używanego w salonie, a potem własną krwią napisała na lustrze: „Zegnajcie” — co określili jako „list pożegnalny”. Wykrwawiła się na śmierć na własnym fotelu fryzjerskim w ciągu sobotniej nocy.

W niedzielę rano Stella, na gigantycznym kacu, otworzyła salon, odkryła ciało, zwymiotowała całe śniadanie i wezwała policję. Stella była przekonana, że wzywanie policji to kiepski pomysł, ale wtedy żadnego lepszego nie miała. Nie mogła przecież zadzwonić do swojej wróżki (która nawiasem mówiąc, powinna była ją ostrzec) albo do specjalisty od akupunktury.

Ciało zostało zabrane, wysłane do patologa, wydane i w środę wystawione w domu pogrzebowym. Pogrzeb miał się odbyć w czwartek o dziesiątej rano.

W dniu, w którym Stella znalazła ciało, salon Stylettos w ogóle nie został otwarty. Pozostał zamknięty także w poniedziałek, gdy specjalna firma wyspecjalizowana w sprzątaniu miejsc zbrodni usuwała plamy krwi.

Ekipy czyszczące miejsca zbrodni: rozkwitający przemysł w Waszyngtonie — pomyślała Lacey. *To i niszczenie dokumentów.*

— To musiało być okropne, znaleźć ją.

— Miewałam lepsze dni. — Stella przygryzła zdobny w błyskawice paznokieć. — Lacey, tam było tyle krwi. Nie wiedziałam, że tyle w ogóle może być. Gliniarze mówili, że pewnie coś brała. Powiedziałam: „Spójrzcie na jej włosy!”. Ale oni powiedzieli, że Angie musiała lubić samookaleczanie. Dupki.

— Narkotyki? Zamówili badania toksykologiczne?

— Kto ich tam wie! Wysłali ją do kostnicy w D.C! Cud, że w ogóle tu dowieźli właściwe ciało.

— Czyli nie wiesz. A co z sekcją?

Stella pokręciła głową. Według mediów, kostnica była czarną dziurą, której nie należało życzyć najgorszemu wrogowi. Dystrykt starał się doprowadzić ją do porządku i poprawić wizerunek biura, ale zmagał się tu z latami korupcji i dezorganizacji, złego wizerunku w mediach, braku pieniędzy, ciał zwalonych na kupę po kątach i błędnie zidentyfikowanych ofiar.

— Nie mogę sobie wyobrazić, żeby sama to zrobiła. Nie w jej stylu, a poza tym, szczerze mówiąc, spaprana robota — orzekła Stella.

— Mówisz o fryzurze czy o samobójstwie?

— O jednym i drugim.

— Właściwie to dlaczego chciałaś, żebyśmy dzisiaj tu przyszła? — Przez telefon Stella była dość zdenerwowana i upierała się, że Lacey absolutnie musi spotkać się z nią w domu pogrzebowym. Powstrzymała się co prawda przed grożeniem zemstą na włosach Lacey, ale między wierszami dawało się wyczytać, że świeżo rozjaśnionym lokom może grozić niebezpieczeństwo. — To naprawdę okropne, Stel, ale co ja tu mogę zrobić?

— Myślałam, że może byłabyś, no wiesz, zainteresowana. Lacey i Stella opadły na rozkładane krzesła i zapatrzyły się na kwiaty. Spojrzenie Lacey spoczęło na małym koszyku fiołków, słodkim i smętnym, przesłanym przez salon, i na pretensjonalnym bukiecie białych róż, irysów i mieczyków, podpisanych *Na zawsze, Boyd*. To musiał być Boyd Radford, właściciel Stylettos, osławiony szef Stelli. Bukiety różowych goździków były od rodziny Woodsów. W przytłumionym świetle trumna skupiała całą uwagę. Ciemna boazeria i bordowy dywan w niewielkim pomieszczeniu robiły przytłaczające wrażenie, mimo kolorowych kwiatów. Tu i ówdzie widać było pudełka chusteczek, rozstawione dyskretnie na potrzeby żałobników.

— Zainteresowana? — Lacey czekała na ciąg dalszy. Stella westchnęła głośno.

— No, skoro jesteś specjalistką, myślałam, że może, kto wie...

— Specjalistką! — *O czym ona mówi?* Lacey całkiem zatkało. — Stello, ja prowadzę rubrykę na temat mody.

— No właśnie.

— To od czego jestem specjalistką?

— Od stylu. Od niuansów. Jak napisałaś w zeszłym tygodniu: „Niuanse stylu to klucze do osobowości”.

— No, tak... Zaraz. Nie mów, że naprawdę czytasz moją rubrykę.

— *Zbrodnie w modzie*? Żartujesz? To jest jak Biblia. Tylko śmieszniejsze. I te *Kawałki o modzie*. Uwielbiamy je. Codziennie powinnaś je dawać.

— Codziennie! Ledwo się wyrabiam z jedną „Zbrodnią” w tygodniu. A *Kawałki o modzie* są tylko wtedy, kiedy mam wenę twórczą albo szef zawraca głowę.

Lacey nie mogła uwierzyć, by ktokolwiek rzeczywiście czytał jej rubrykę, albo nawet sam „Eye Street Observer”, nowy dziennik, w którym się ukazywała. Uważała gazetę za odważny eksperyment i święcie wierzyła, że ta przeklęta rubryka ją wykończy. Jeżeli nie dosłownie, to w przenośni — wykończy jej marzenia o byciu dobrą dziennikarką, prawdziwą reporterką. Nie dziennikarką od mody, czy nawet od antymody, za którą w końcu postanowiła się uważać. Zakładała, że jej cotygodniowe diatryby o ciuchach były przelewane do komputera, a stamtąd szły w kosmos. Ale żeby ludzie je rzeczywiście czytali, myśleli o nich i cytowali je? Dobry Boże!

— I uznałaś, że wystarczy mi spojrzeć na zwłoki, żeby dojść, co się stało? Tylko w Dystrykcie Kolumbii ludzie byli w stanie naprawdę wierzyć, że przypadkowy kretyn z ulicy, czy nawet dziennikarka od mody, są w stanie rozwiązać morderstwo, zanim to zrobi policja.

— Stello, ja nie jestem detektywem. — Lacey usiłowała gorączkowo znaleźć sposób, jak uciec przed szalonymi pomysłami fryzjerki. — Dlaczego nie wynajmiesz prawdziwego?

— Z miliona powodów. Po pierwsze, kosztują. Po drugie, na niczym się nie znają. A po trzecie, mam ciebie.

— Stello — jęknęła Lacey. — Nie wiem, co powiedzieć.

— Po czwarte, niuanse. Lacey, popatrz na nią. To są olbrzymie niuanse. Jak neony. A ty masz nosa do niuansów. — Stella

zaczęła obgryzać kolejny paznokieć. Cała ta sprawa rujnowała jej manicure, a wezwanie policji niczego nie rozwiązywało. — No, tak sobie pomyślałam. Możesz mnie podać do sądu.

— To bardzo miłe, ale... Właściwie, co sobie pomyślałaś, Stello? — *Lacey, wyjdź stąd zaraz. Nie chcesz wiedzieć.*

— No wiesz, zawsze piszesz, że po tym, jak ludzie się ubierają, widać, jacy są naprawdę, że to klucz do ich osobowości czy coś takiego. Ich włosy. Wygląd. Ubranie. To jak język, nie, albo kod? I że dobrze jest wyrażać siebie, jeżeli człowiek wie, co mówi. Jak ty masz te swoje ciuchy rodem z lat czterdziestych. To coś mówi, wiesz, skrzyżowanie słodkiej Rosalind Russell i Rózi Nitownicy z czasów drugiej wojny. Mądra, ładna i do rzeczy. Coś takiego. Mam rację?

Lacey nie mogła się ze Stellą kłócić, ale i tak ją zatkało, kiedy usłyszała własną filozofię mody wydestylowaną w dosadny slang Stelli. *Jestem aż tak przezroczyista?*

Stella z dumą wskazała na własny skórzany strój, pełen zamków błyskawicznych.

— Popatrz na mnie. Co ja tu mówię? No, spróbuj. To łatwe. „Punkowa bogini ze złotym sercem”. Tak?

Na prochach, dodała w myślach Lacey.

— U mnie to działa, bo wiem, co robię. Ja wiem, co mówię swoimi ciuchami. Ubieram się tak, jak myślę. I myślę, jak się ubieram.

— Ja tak napisałam?

— Nie w aż tylu słowach, ale wiem, o co ci chodziło, nie?

— Stella, zmiłuj się, moja rubryka to kawał. W ogóle nie powinnam jej pisać. To był przypadek. Ciągle usiłuję się z tego wykręcić.

— Mowy nie ma. Lacey, powinnaś być z niej dumna. W salonie czytamy „Zbrodnie w modzie” na głos, co piątek przy kawie. Myślałam po prostu, że mogłabyś spojrzeć na Angie i może coś ci wpadnie do głowy.

— Stello, ja nie jestem jasnowidzem.

— Lacey, ona się nie zabiła! Popatrz na nią. Jej twarz mówi: „Nie dałabym się zaskoczyć śmierci w takim stanie”. Może

mogłabyś po prostu powiedzieć to ludziom. W swojej rubryce, gdzie to przeczytają jej znajomi. Coś by to dla nich znaczyło. Dla niej. Lacey rozbłysło w głowie, że Stella jest jedyną fryzjerką w Waszyngtonie, która znalazła sposób przycięcia jej jasnobrązowych włosów tak, by zawsze bez wysiłku układały się jak trzeba i nawet miały coś z wczesnej Lauren Bacall u boku Humphreya Bogarta. Musiała przyznać, że nowe pasemka były przepiękne. Rozjaśnione fale muskały jej ramiona, okalały twarz i sprawiały, że niebieskozielone oczy wydawały się ogromne. No, i lubiła Stellę, która zawsze ją rozśmieszała. *Wpadłaś, Lacey. Złapała cię na odrosty.*

— Miała plany na życie. — Stella sięgnęła do trumny i delikatnie pogładziła palcami krótkie kępek włosów Angie. Klasnęła językiem. — Jeżeli to było samobójstwo, to ktoś jej pomógł. Wiesz, o co mi chodzi? Lacey westchnęła głęboko i przyjrzała się Angie. Kobiecie na zdjęciu. Ciału w trumnie. Stella miała rację. Nie pasowały do siebie.

— Niuanse.

Stella pokiwała głową.

— Ogromne niuanse.

Ale jeżeli Angie się nie zabiła sama... to kto to zrobił? Czy możliwe, żeby jakiś degenerat złośliwie obciął jej włosy? A potem co? Zabił ją? Albo odwrotnie? Kto z nas nie życzył raz czy dwa śmierci swojemu fryzjerowi? Czy to aż taka przesada? Myśl Lacey podążyła ku co większym fryzjerskim katastrofom sprzed Stelli. Trwała, która upodobniła ją do szczotki do butelek. „Podcięcie”, które upodobniło ją do Joanny d'Arc. Pasemka, które zmieniły kolor na zielony. *No, może tragedia, ale na pewno nie...*

— Morderstwo, Stello?

Jeżeli prawdopodobieństwo znalezienia sprawcy morderstwa w D.C. było tylko minimalne, to prawdopodobieństwo, że piękne, akuratne samobójstwo zostanie przekwalifikowane na morderstwo, a potem rozwiązane, było zerowe. Stella wzruszyła ramionami.

— Ale kto mógłby chcieć ją zabić? Klient? — spytała Lacey.

— Nie, wszyscy kochali Angie. To się rzadko zdarza, wiem.

— A chłopak?

— O żadnym nie wiem. Powiedziałyby mi. Wiesz, jak tu ciężko znaleźć porządnego faceta. A poza tym Angie była wymagająca i bardzo skupiona na karierze.

Lacey zamknęła oczy i usiłowała sobie przypomnieć wszystko, co wiedziała o zmarłej.

Angela Woods właśnie zaczęła osiągać zawodowe sukcesy. Zyskała chwilę sławy, gdy w magiczny sposób przekształciła upadłą kobietę z ostatniego skandalu na Kapitolu z jałówki w lisicę — przynajmniej według waszyngtońskich standardów. Angie należała do nielicznych, którzy zyskali cokolwiek na tej paskudnej politycznej aferze.

Polityka w Waszyngtonie jest jak mdła muzyczka w windach. Obecna wszędzie, dla większości miejscowych zmienia się w końcu w rodzaj wszechobecnego szumu w tle. Ale nawet miłośnicy polityki, waszyngtońskie wampiry, które jedzą, oddychają i żyją każdym kongresowym nożem wbitym w czyjeś plecy i czytają protokoły z głosowań z takim zapałem, z jakim wróżki czytają fusy herbaciane, potrzebują fryzjerów. I tak doszło do spotkania Angie Woods z polityką. Marcia Robinson, pracownica Kongresu, potrzebowała zmiany wyglądu — i cudu. Bohaterka najnowszego skandalu w mieście była znakomitym celem dla medialnych armat: młoda, naiwna i daleka od niewinności. Marcia trochę za mocno uwierzyła w zagwarantowane Pierwszą Poprawką do Konstytucji prawo do umieszczenia wszystkiego w sieci — i do rekrutacji stażystów z Kapitolu o ekshibicjonistycznych skłonnościach.

Kiedy Marcia, kandydatka na seksbombę, wyposażona w szopę włosów i uśmiech odsłaniający wszystkie zęby, otrzymała osobiste zaproszenie na pogawędkę ze stałym prokuratorem specjalnym, okazało się, że na gwałt potrzebuje nowego wizerunku. Kiedy kobieta musi stawić czoło kamerom telewizyjnym w otoczce waszyngtońskiego skandalu, zła fryzura to złe wieści.

— To, co zrobiła z tą babką, Marcją Robinson, to było dzieło sztuki.

— Raczej przysługa społeczeństwu. — Lacey opisała zmianę wizerunku w swojej rubryce *Zbrodnie iv modzie*, cytując Marcję: „Moje życie legło w gruzach, ale nigdy nie wyglądałam lepiej!”.

Ostatnim więc osiągnięciem Angeli Woods na tym świecie była przemiana pozbawionej gustu, potarganej, cybernetycznej puszczałskiej w nieco smutniejsze, ale mądrzejsze naiwne dziewczę o jedwabistych, ułożonych włosach i spojrzeniu łani, zawstydzone medialnym cyrkiem, acz znoszące go dzielnie. I Angela skorzystała na swojej krótkiej sławie. Jej osiągnięcie zostało opisane w działach *Style życia* rozmaitych lokalnych gazet, razem z kilkoma pozytywnymi i negatywnymi przykładami, jak najlepiej wypaść w oczach mediów. We własnej rubryce Lacey podsumowała to następująco: „Włosy powinny być pod kontrolą, oczy podkreślone, a usta lśniące i zamknięte”. To zawsze dobra rada w Dystrykcie Kolumbii.

Lista klientek Angie wypełniła się nagle, a chętne czekały tygodniami. Stylettos zachowało wszystkie wycinki, które Stella przyczepiła na frontowych drzwiach salonu. Jednak tego rodzaju popularność miała też swoje gorsze strony. Wśród żywej dotąd ekipy Stylettos wywołała falę zazdrości. A teraz nagle Angie nie żyje.

Stella przerwała tok myśli Lacey.

— No to jak?

— Nie mogę napisać w artykule, że ktoś ją zamordował. Nie, jeśli nie mam faktów. *Chyba że nie czyta tego nikt oprócz Stelli.*

— To zrób śledztwo! Jesteś dziennikarką. W telewizji dziennikarze ciągle to robią.

— Ale nie ci od mody.

— No to będziesz pierwsza.

— Jasne, a dlaczego nie może być śledczej fryzjerki?

— Żartujesz? W tym stroju? A poza tym mnie czeka robota. — Stella wyciągnęła z torby lakier do włosów, grzebień i blond perukę. — To z myślą o mamie Angie, rozumiesz? Przylatuje dzisiaj wieczorem.

— To ładnie z twojej strony, Stel. — Lacey zaczęły napływać łzy do oczu. Sięgnęła po chusteczkę do jednego z pudełek.

— Z matkami dogaduję się znakomicie, z wyjątkiem własnej. — Stella zabrała się do zmiany wyglądu ciała przed ostatnim publicznym wystawieniem. — I Lacey, posłuchaj, ten twój ostatni artykuł, *Nigdy nie ubieraj się na różowo do sądu* był super. Do zobaczenia na pogrzebie.

— Hej, ja się jeszcze nie zgodziłam! Pogrzeby są dołujące, a ja ją ledwo znałam. Stella, słuchasz mnie?

— Będiesz mogła tam zacząć. To twoje śledztwo. Mordercy zawsze przychodzą na pogrzeb, nie?

— Nie, Stella. Powiedziałam nie. A poza tym, nie mam w co się ubrać.

Rozdział 2

Istnieje stare dziennikarskie powiedzenie: Jeżeli jesteś ślepy, zrobią z ciebie krytyka sztuki. Jeżeli głuchy — zrobią krytyka muzycznego. A jeżeli jesteś i ślepy, i głuchy — będziesz krytykiem teatralnym.

Zgodnie z tą logiką, krytyk mody powinien być ślepy, głuchy i ubrany w worek po kartoflach. Lacey nie wiedziała, co takiego zrobiła, by zasłużyć sobie na pracę dziennikarki do spraw mody, czy też antymody. Nie ubierała się źle. Odróżniała klin od fałdy i falbankę od plisy. Umiała poprawnie użyć w zdaniu słowa „szczypanka”. Szczerze mówiąc, kochała dobre ciuchy. Ale nie chciała o nich pisać. Rosalind Russell w *Dziewczynie Piętaszku* nie usiłowała podążać za modą, chociaż była ubrana wystrzałowo. Rosalind Russell śmiało maszerowała w swoim najlepszym kostiumie i znajdowała mordercę. *O kurczę, zły przykład*. Lacey nigdy nie prosiła, żeby jej przydzielili rubrykę mody. Ale nic jej się nigdy gładko nie układało. Widziała, jak jej przyjaciele wspinają się po drabinie sukcesu, lądują na wysokich stanowiskach z prestiżem i pieniędzmi. A tymczasem jej własna tak zwana droga kariery pełna była dziur i objazdów.

W końcu wróciła z powrotem do D.C. po latach pracy w jednej z najgorszych małych gazet w Kolorado. Wakacje w czasie studiów spędzała w D.C. ze swoją ulubioną ciotką, już nieżyjącą — cioteczną babcią Mimi. Tamte lata dały jej po raz pierwszy

zakosztować prawdziwego poczucia wolności. Wylądowała w kilku małych miasteczkach Zachodu, ale serce na zawsze pozostawiła na Wschodzie.

Teraz miała trzydzieści trzy lata i nadal usiłowała dostać porządną pracę w porządnej gazecie. Zamiast tego produkowała się w „Eye Street Observer” jak kelnerka w przydrożnym motelu. Spędziła tu już trzy lata. „Eye”, jak ją nazywali pracownicy i inni ludzie mediów, była zadziorną i ambitną nową gazetą w stolicy państwa. Jej siedziba mieściła się na Eye Street między ulicą Szesnąstą a Siedemnastą, w budynku z granitu i szkła wychodzącym na Farragut Square, pod czujnym spojrzeniem wykutego w brązie admirała Davida (z jego słynnym zawołaniem „Do diabła z torpedami, cała naprzód!”) Farraguta. „Observer”, jak nazywali go wszyscy pozostali, był wielkoformatowym dziennikiem z sercem tabloidu, mutantem spłodzonym przez alternatywny tygodnik i miejscowego dotkomowego milionera z obsesją na punkcie *Obywatela Kane'a*, który już się zresztą wycofał z interesu.

Nigdy nie znajdzie się na szczycie. Waszyngtończycy z uporem trzymali się znanej sobie gazety „Washington Post”, dochowując jej żalösnej wierności. „Washington Times” trzymał się z prawej, wydając nieograniczone pieniądze Kościoła Zjednoczenia, jakby to był papier drukarski. „Eye”, nie mający linii politycznej, nie licząc „wyrzucić drani”, trwał dzięki zwykłej bezczelności.

Najpopularniejszą częścią gazety był *Korek codzienny*, sarkastyczna i brutalnie trafna prognoza ruchu samochodowego w Dystrykcie, drukowana na pierwszej stronie u dołu. Nowy wydawca był przekonany, że najważniejszą sprawą każdego dnia w Waszyngtonie jest konkretna dziura w jezdni, parada, objazd albo demonstracja, która zamieni ranny i wieczorny dojazd w piekło na ziemi. Takie rubryki, jak *Korek codzienny* i *Zbrodnie w modzie* pozwalały „Eye” zdobyć na trudnym rynku prasowym segment dziwaków, ku wielkiemu żalowi Lacey.

Ale w mieście pełnym dziennikarzy bijących się o pracę Lacey przynajmniej miała etat w prawdziwej gazecie, zamiast siedzieć

w jednej z niezliczonych organizacji branżowych, produkując wewnętrzne pisemko o przemyśle gumowym albo o przepisach dotyczących spinaczy do papieru.

Z drugiej strony, musiała pisać o modzie czy też o tym, co za nią uchodziło w Dystrykcie Kolumbii. Jedynym plusem było to, że innym wydawało się to bardzo ekscytujące. *Stella myśli, że jestem Sherlockiem Holmesem stylu. Philipem Marlowe'em mody. W najmniej modnym mieście Ameryki: Mieście zapomnianym przez modę.*

■ ■ ■

Po powrocie do ciasnej kabinki, którą nazywała swoim gabinetem, Lacey nie mogła pozbyć się z głowy obrazów z kostnicy. Angie na zdjęciu, z blond lokami godnymi królowej Ginewry. Angie niemal łysa w wypolerowanej trumnie. Stella i jej szalony pomysł. W myślach bębnił jej złowieszczy refren: *Piku miku, fiku miku, i martwa dziewczyna w koszyku.* Lacey była rada, że złowrogiej redaktorki działu o jedzeniu, Felicity Pickles, nie było nigdzie w pobliżu. Zamiast tego na jej biurku — w najbliższym sąsiedztwie Lacey — leżała niebezpieczna kupka ciastek z czekoladą. Redaktorka od jedzenia była wiecznie na diecie i codziennie przynosiła do biura coś tuczącego. Dzisiaj polane czekoladą bomby tłuszczowe przyozdobione były ręcznie napisaną kartką, zapraszającą każdego wokół: „Zjedz mnie”.

Ona chyba ma gdzieś w lesie chatkę z piernika. Ale nie może mnie zmusić do zjedzenia tego.

Lacey potarła skronie i otworzyła oczy, by ujrzeć zbliżającego się Tony'ego Trujillo. Wziął z biurka Felicity parę ciasteczek.

— Uważaj, to trucizna — ostrzegła Lacey.

— Wiem. — Spokojnie jedno zjadł.

W tej chwili nie miała nastroju na Tony'ego, reportera z kroniki policyjnej. Gęste czarne włosy, gładka oliwkowa skóra, deklarowane przez niego samego znakomite pióro oraz pozycja dziennikarza od policji, pozwalająca mu maltretować język na nowatorskie i barwne sposoby — wszystko to przyciągało kobiety stadami.

Pochodził z Santa Fe w Nowym Meksyku i westernowa nonszalancja sympatycznie odróżniała go od sztywnych chłopaków ze Wschodniego Wybrzeża. Wydawało się także, że lubi kobiety, podczas gdy większość facetów z D.C. zdawała się na to zbyt zajęta albo zbyt przerażona. Nosił niebieskie dżinsy i obcisłe koszulki tak dobrze dobrane, że — Lacey musiała to przyznać — od przodu i od tyłu był uczta dla oka.

Pracujące w gazecie kobiety, które go nie znały, mówiły na niego Super Tony. Chociaż z niektórymi z nich się umawiał i te mówiły o nim potem Koszmarny Tony, trudno było go nie lubić. On i Lacey zaczęli pracę w gazecie w tym samym tygodniu. Żółć ją zalewała na myśl, że on robił karierę, a ona wylądowała w *Stylach życia*.

— Hej, Smithsonian. Podobno niebieski to nowy czarny. A może też to nowy biały, zielony nowy niebieski, a fioletowy nowy brąz? — Odsunął jakieś papiery i przysiadł na brzegu jej biurka, oblizując z palców czekoladowe okruszki. Na moment podniosła wzrok.

— O co ci chodzi, Tony? Znowu nowe buty?

Tony uśmiechnął się, marszcząc kąciki kakaowobrazowych oczu. Oparł jeden wysoki but o jej biurko, żeby go lepiej widziała. Z racji kolekcjonowania obuwia, był niemal Imeldą Marcos wśród reporterów policyjnych.

— Niezłe, co, Lacey? Pancerniki od Tony'ego Lamy. Jak myślisz?

— Pewnie uważasz, że jestem zazdrosna, bo masz więcej ciuchów niż ja.

— Przesunęła wzrokiem w górę jego nogi.

— Tylko dotknij tej skóry. Gładka, co? O ostatnich butach, które kupiłem, mówiłaś, że wyglądają jak coś rozjechanego na drodze.

— Aha. Czyli te umarły śmiercią naturalną?

Tony wyszczerzył zęby. Coś w nim było. Coś oprócz umięśnionego brzucha. I butów z pancernika. Czas *zmienić temat, Lacey*.

Jedynym tematem, jaki przychodził jej do głowy, była dziewczyna w trumnie. Lacey uznała, że zadanie reporterowi policyjnemu kilku hipotetycznych pytań na pewno nie może zaszkodzić. Nie musiała przecież wspominać konkretnie o Angie.

— Słuchaj, Tony, jeżeli ktoś popełni w Dystrykcie samobójstwo, kto o tym orzeka?

Zdjął but z jej tekstu.

— Lekarz sądowy. A co? Miałaś zły tydzień?

— Lepszy niż te twoje pancerniki. Czyli jeżeli w jakiejś sprawie orzekną samobójstwo, jak długo policja prowadzi śledztwo?

— Niedługo. Samobójstwo znaczy, że sprawa jest zamknięta, zabieramy się do czegoś innego. A zawsze jest coś innego.

— Nawet jeżeli przyjaciele i rodzina przysięgają, że to było zabójstwo?

— Policja nie może podważyć decyzji lekarza sądowego.

— A jeśli ktoś znajdzie nowe dowody?

— To musiałyby być bardzo mocne dowody, inaczej się nimi nie przejmą. O jakie dowody ci chodzi? Pracujesz nad czymś, o czym powinienem wiedzieć?

— Wyłącz radar, kowboju. Tylko pytam.

— Ciekawe pytania, Smithsonian. — Tony mrugnął i pomaszerował w swoich pancernikach w stronę automatu z kawą.

Patrząc za nim, Lacey zastanawiała się przez chwilę, czy właściwy mężczyzna zmaterializuje się kiedykolwiek, czy też zostawiła swoją ostatnią szansę w zabitym dechami miasteczku Sagebrush, stan Kolorado. Był tam kiedyś mężczyzna, który w dżinsach i wysokich butach wyglądał jeszcze lepiej... Ale nie miała czasu o nim rozmyślać.

Lacey żywiła nadzieję, że z dala od Stelli będzie w stanie myśleć logicznie o śmierci Angie Woods. Ale woskowa twarz młodej kobiety i chłodna cisza domu pogrzebowego były jedynymi obrazami, na których mogła się skupić.

Niestety, *Zbrodnie w modzie* nie mogły czekać. Chodził jej po głowie nie do końca skryształizowany pomysł napisania o tym, jak radny D.C.

wprowadził nowe przepisy przeciw prostytutce, które pozwalałyby policji aresztować kobiety za sam prowokacyjny wygląd, w oparciu o teorię, że „jeżeli wygląda jak prostytutka i mówi jak prostytutka, to jest prostytutką”. Miała kilka możliwych tytułów: *Ten strój jest tak seksowny, że mnie*

zamknęli albo *Do więzienia za push-up*. Ale na tym pomysły się kończyły.

Lacey nie była w nastroju do siedzenia i patrzenia w okno, aż artykuł napisze się sam. Złapała torebkę, żeby szybko dać nogę. Na szczęście sprawy mody i proces wyszukiwania tematów dla jej szefa Maca stanowiły kompletną tajemnicę. Było mu wszystko jedno, o ile tylko tekst magicznie pojawiał się w wyznaczonym miejscu i czasie. Kącikiem oka zobaczyła, że zbliża się do jej biurka. Wyglądał jak chmura gradowa. Od ich pierwszego spotkania Douglas Mac Arthur „Mac” Jones uważał, że jej nazwisko jest komiczne.

„Smithsonian? To nie nazwisko. To muzeum”.

Lacey popełniła kiedyś błąd i opowiedziała Macowi rodzinną legendę o tym, jak jej prapradziadek, emigrant z Anglii, zobaczył w jakimś piśmie artykuł o waszyngtońskim kompleksie muzealnym Smithsonian Institution i uznał, że skoro jest to dość dobre dla stolicy państwa, to dla niego też. „Smithsonian” będzie brzmiało dużo szlachetniej niż rodowe „Smith,” które londyńskiemu sklepikarzowi wydawało się zbyt pospolite. Jego irlandzka, katolicka żona, Maura Kathleen O'Brian Smithsonian, śmiała się z tego aż do śmierci.

„Masz szczęście, że się nie nazywasz Lacey

Muzeumlotnic-twaiprzestrzenikosmicznej”, oznajmił wtedy Mac.

Teraz zbliżał się do jej biurka. Czekwała na tradycyjną wymianę uprzejmości.

— Miło, że nas zaszczyliłaś swoją obecnością, Smithsonian. Lacey

postanowiła nie mówić mu, że poszła oglądać zmarłą

dziewczynę. Uznałby tylko, że to ma coś wspólnego z modą. I

powiedziałby, jak mawiał zazwyczaj, kiedy proponowała coś nowego:

„No, wszystkich innych już obraziłaś, więc czemu nie?”. Mac pomachał plikiem listów.

— Sześć za, osiem przeciw, i mieliśmy telefon od rzecznika byłej

pierwszej damy. Chce wiedzieć, co masz za problem. Założę się, że nawet jeszcze nie sprawdziłaś maili.

— Nawe nie zerknęłam. Chodzi o ten tekst *Nigdy nie ubieraj się na*

różowo do sądu? — spytała. Próbowała przypomnieć sobie, co napisała...

...W razie oskarżenia o poważne przestępstwa, *Zbrodnie w modzie* sugerują dobór garderoby w stylu poważnym. Na przesłuchaniu dobrze jest wyglądać jak kobieta zamożna, a nie uciekinierka z bajeczek dla dzieci. Na szermierkę słowną z prokuratorem nadzwyczajnym sugerujemy wybór stroju z pełną determinacją.

A jednak była Pierwsza Dama postanowiła pojawić się przed wielką ławą przysięgłych w słodkim różowutkim kostiumiku wykończonym błękitem. Wyglądała jak sierotka Marysia, która zgubiła nie tylko gąski, ale i rozum. Podobno kapelusik-budkę i lizaka w ostatniej chwili zostawiła w swojej limuzynie.

Wbrew powszechnemu przekonaniu, słodziutkie pastele nie sygnalizują kobiecej niewinności — tylko niezręczne i aż nazbyt widoczne próby symulowania naiwności. Krzyczą „manipulacja”, nie „wyrafinowanie”. Prosimy znaleźć nowego doradcę. Zastanowić się. I przyznać się do popełnienia zbrodni w modzie.

Jako że do zeznawania w aktualnym waszyngtońskim skandalu tygodnia wezwano tyle znacznych osobistości, tekst taki, jak *Nigdy nie ubieraj się na różowo*, znalazł poczytność powyżej średniej.

— Mam problem z tym, że była pierwsza dama ubiera się w pastele zawsze, kiedy wpada w kłopoty — oznajmiła Lacey.

Mac zrobił redaktorską, pełną niezrozumienia minę.

— Usiłuję wszystkich rozbroić — wyjaśniła — dodam, że w sposób oczywisty, przebierając się za dzidzie. Sam to zatwierdzałeś, Mac. Nie pamiętasz?

— Jasne, ale tak dokładnie nie czytałem. Dla mnie to chińsz-czyzna.

— Jak sport? — spytała. Popatrzył na nią bez zrozumienia. — Powiedz jej rzecznikowi, że skoro była pierwsza musi się inspirować bajeczkami dla dzieci, powinna się ubrać jak zła królowa z *Królowny Śnieżki*. Krwista czerwień, mocny fiolet, zieleń trującego jabłka. Tamta dama dopiero miała styl.

Mac jęknął. Miał słabość do byłej pierwszej, zwanej Smoczycą, ale Lacey to nie obchodziło. Lewica, prawica czy środek, jej rubryka opisywała zbrodnie przeciw zdrowemu rozsądkowi. Podczas gdy Mac gadał dalej, Lacey sprzątnęła biurko, wyłączyła lampkę i komputer, po czym spakowała torebkę ze lśniącej skóry. Poprawiła szminkę i zmieniła buty na wygodne, ale wciąż atrakcyjne pantofle na niskich obcasach. Tyle kobiet trzymało się jeszcze desperacko starego stereotypu kostiumów i wielkich sportowych butów, chociaż były przecież inne możliwości. *Typowo waszyngtoński styl*, pomyślała Lacey. *Może artykuł w przyszłym tygodniu.*

— Hej, dokąd się wybierasz?

— Mac, potrzebuję inspiracji. Moda to zabójczy temat.

■ ■ ■

— Morderstwo? Zaraz. Twoja fryzjerka chce, żebyś się zajmowała morderstwem? Myślałam, że chce ci zrobić pasemka.

Brooke Barton, szczupła jasnowłosa prawniczka ze słabością do spiskowych teorii, siedziała na balkonie Lacey, trzymając szklanek ginu z tonikiem, jednego z ulubionych źródeł inspiracji gospodyni.

— Zabójcze pasemka już mam. Teraz chodzi o morderstwo. — Lacey popijała własnego drinka i wreszcie czuła, jak stres dnia znika. Kiedy uciekła z biura, przebiła się przez tłumy turystów oszalałych na punkcie kwitnących wiśni i wróciła do mieszkania akurat na czas, żeby otworzyć drzwi najlepszej przyjaciółce.

— W porządku. — Brooke przyjrzała się Lacey. — Wyglądają bardzo ładnie. Znaczą pasemka. Mam coś z soczewkami. A może to od ginu.

— Chce, żebym się pobawiła w detektywa. Styl wskaże mordercę. — Lacey westchnęła i zapatrzyła się na widok z balkonu. W powietrzu figlował leciutki wietrzyk. Było ustalone raz na zawsze, że w piękne wiosenne wieczory Brooke ma do niej stałe zaproszenie. Lacey zapewniała gin i balkon na siódmym piętrze z widokiem na rzekę Potomac i Stare Miasto, Alexandrię, stan Wirginia. Brooke przynosiła tonik i limonki. Na balkonie było

miło, chociaż Lacey nie posadziła jeszcze swoich petunii, jedynych kwiatów, które jej nie więdły. Ona i Brooke niejeden raz siedziały tu z drinkami i leczyły złamane serca.

— No więc kto nie żyje? — Brookes wzięła garść popcornu z mikrofalówki.

Kuchnia Lacey była zawsze dobrze zaopatrzona w płyny i popcorn. Stara lodówka skrywała dwie butelki szampana, parę jajek, muffinki, wybór kosztownych serów, egzotyczne oliwki i otwarte pudełka krakersów. Nieszczególnie zrównoważona dieta, ale za to ile przyjemności.

— Nazywała się Angela Woods. Jedna z fryzjerek w Stylettos. Była słodka. Blondynka. Widywałam ją w salonie.

— Pewnie o jedno beznadziejne ostrzyżenie za dużo.

— Może. Kto wie.

— Nawet się dziwię, że to się nie zdarza częściej. — Brooke urwała, z ręką z popcornem w połowie drogi do ust. — Zaraz, zaraz. Boże, to chyba nie ta fryzjerka, o której pisałaś, ta od Marcii Robinson? — Nowa myśl najwyraźniej ją zelektryzowała. — Rany, ta durna Robinson naprawdę ma pecha, nie?

— Powoli, Brooke, wiem, co myślisz, ale to nie ma powiązania. — Z wyglądu Brooke przypominała ideał konserwatyzmu i nic w jej stroju nie ujawniało zamiłowania do przedziwnych politycznych intryg, przekonania, że za każdym rogiem czai się ktoś złowrogi, ani jej czystego zachwyty nad dramatyzmem tego wszystkiego. Brooke uwielbiała teorie spiskowe tak samo, jak niektóre kobiety uwielbiają swoje buty od Jimmy'ego Choo.

— Jak na razie sześciu pracowników Kongresu wyleciało z pracy. I będzie więcej. Pornograficzne strony internetowe. A teraz to. Przypadek? Ha. I ty będziesz to badać? Super.

— Nie, zaczekaj. Nie będę. Tylko ci o tym mówię.

— Świetnie. No więc, czego dowiedziała się fryzjerka i kiedy?

— Chciałabyś to wiedzieć, zanim wszystko rozgryziesz?

— Pewnie, że tak. Fryzjerka najwyraźniej wiedziała za dużo. A teraz nie żyje. Nie ma związku? Akurat. W tym mieście wszystko jest powiązane.

— Gliny mówią, że to samobójstwo. Stella twierdzi, że nie ma mowy. — Lacey streściła teorię, że najwyraźniej ktoś inny musiał obciąć włosy Angie, podciąć jej nadgarstki i upozorować samobójstwo, zgodnie z niepodważalną logiką Stelli, że fryzjerka nawet po śmierci nie pokazałaby się z taką fryzurą. — Oczywiście, nie mogę jej w tym podtrzymywać. Nie znam się na morderstwach.

— Nie, ale znasz się na zabójczym stylu. Włoski na karku Lacey stanęły dęba.

— Rany, ty też.

— To przez twoją rubrykę. Cała ta gadanina o subtelnościach mody i zabójczych stylach, i że jesteś tym, co nosisz. Łapię logikę Stelli.

— Czyli to вина mojej rubryki, że nagle jestem detektywem? — Lacey była oburzona.

— Jest zabawna — przyznała Brooke. — I mówi prawdę. W dzisiejszym dziennikarstwie to rzadkość.

— Rany, Brooke, nie bądź taka miła.

— Nigdy nie jestem miła. Twoja rubryka to wielka, karygodna przyjemność — każdy czyta, nikt się nie przyznaje. Stąd jej popularność.

— Nie mogę uwierzyć, że naprawdę to czytasz.

— Piszesz dla prawdziwych kobiet. Ja jestem prawdziwą kobietą.

— Tak, ale ty nie potrzebujesz mojej pomocy.

Brooke miała szyk, który Lacey podziwiała. Panna Barton wcale nie przypominała stereotypowej, przysadzistej prawniczki z D.C. — wiedziała, jak nosić kostium, a mimo to wyglądać kobieco, dodając takie drobiazgi, jak stare koronkowe chusteczki czy koronkowe bluzki, które na innej kobiecie wyglądałyby głupio. Dzisiaj miała na sobie wiśniowy sweter, dzinsy i perły. Wszystkie blondynki myślą, że do twarzy im w czerwieni, ale Brooke naprawdę było. Jej oczy wydawały się wtedy bardziej niebieskie. Bardziej niewinne. *Pozory mylą.*

Lacey, przeciwnie, w niczym nie przypominała niewiniątka. Delikatnie wygięte brwi nadawały jej spojrzeniu porozumiewawczy wyraz, choćby nic takiego nie miała na myśli. Dzisiaj wieczor-

rem włożyła wygodne stare dzinsy, którym brakowało tylko dwóch czy trzech prań do rozpadu na strzępy, i czarny sweter z dekoltem w szpic. Według Lacey, nigdy nie można mieć zbyt wielu czarnych swetrów. Była to jedna z jej życiowych zasad, razem z: „Nikommu nie pozwalaj fotografować się nago”, „Nigdy nie pisz pamiętnika, którego nie dałoby się opublikować w rodzinnej gazecie” i „Nigdy potajemnie nie nagrywaj swoich rozmów, nawet w stanie Wirginia, gdzie jest to legalne”.

— Jedno ci powiem. — Brooke przerwała strumień jej myśli. — Pewnie i lepiej, że się w to nie będziesz mieszać. Nie chcesz skończyć w kostnicy, nie?

— Nikt powiązany z Marcją Robinson nie skończył.

— Do teraz.

— Ale to nie musi mieć nic wspólnego z Marcją.

— O ile wiemy.

— Musisz pamiętać, że mogą też być zazdrośni fryzjerzy, niezadowoleni klienci, pokręceni narzeczeni. Albo może to było jednak samobójstwo.

— Racja. Oczywiście, jeżeli w tym pogrzebiesz...

— Jeżeli?

— Byłoby ciekawe sprawdzić, czy Marcja miała jakieś poważniejsze problemy z włosami — zasugerowała Brooke. — Ciekawe, co opowiadała swojej fryzjerce. Wiesz, „tylko jej fryzjerka zna prawdę”.

— Kto wie? Bardzo łatwo coś wypaplać, kiedy ktoś ci robi masaż głowy

— orzekła Lacey. — Przypomnij mi, żeby przed następnym strzyżeniem założyła sobie knebel. Chyba nie myślisz, że to naprawdę niebezpieczne, nie?

— Naprawdę nie. Ale lubię tak myśleć.

— No, to mi powiedz, Brooke, o tym całym bałaganie z Marcją Robinson. Powiedz mi, dlaczego mężczyźni są gotowi godzinami oglądać strony, gdzie wirtualne kobiety robią striptiz, zamiast spróbować porozmawiać z prawdziwą?

— Zagłuszacze feromonów. — Była to aktualnie ulubiona teoria Brooke na wytłumaczenie faktu, że mężczyźni i kobiety w Waszyngtonie, D.C. nie mogą się porozumieć. Najwyraźniej

Pentagon zainstalował zagłuszacze feromonów na swoim dachu, wysyłając śmiertcionośne dla romansów promienie na wszystkich mężczyzn w szerokim zasięgu. — Robią coś z ich testosteronem. Coś dziwnego. Zamienia się w bezkofeinowy.

— Jak dla mnie, to wszystko brzmi rozsądnie — zgodziła się Lacey. — Moje sygnały są zagłuszane od lat.

— Promienie śmiertcionośne dla romansów. Jesteśmy napromieniowane. Musisz przyznać, że sprzedawanie nieprzyzwoitych fotek pracowników Komisji do spraw drobnej przedsiębiorczości w internecie to czyste szaleństwo. Rany boskie! To bardziej horror niż erotyka. Nawet w tej stolicy, pełnej mięczaków, palantów i dziwadeł.

— Nikt przecież nie uwierzył, że to naprawdę prokurator generalny uprawiał nago zapasy z aligatorem na stronie Marcii — powiedziała Lacey. — Prawda?

— Żeby lepiej widzieć, trzeba było kupić film. To była tylko zajawka. Ja kibicowałam aligatorowi.

— Waszyngton D.C., jedyne miejsce na świecie, gdzie Henry Kissinger może uchodzić za symbol seksu.

— U mnie w biurze jedna się podkochuje w komentatorze Jamesie Carville'u — oznajmiła Brooke, podając jej popcorn.

— Rany, w Człowieku z Głową Węża? Odechciało mi się jeść. — Lacey przełknęła ostatnią garść i wytarła ręce.

— Wszyscy myślą, że w D.C. jest pełno erotycznych skandali. A prawdziwy skandal polega na tym, że poza nimi seksu w ogóle nie ma — orzekła Brooke. — Od dwóch miesięcy nie byłam na randce. A jak tam u tego milutkiego reportera kryminalnego od ciebie?

— U Trujilla? Depcze damskie serca w swoich nowych butach z pancernika.

— Szkoda. — Brooke spotkała Trujilla tylko raz, ale najwyraźniej zapadł jej w pamięć. — A co u ciebie, Lace? Jakież perspektywy?

— Niestety. Posucha. Żadnego deszczu na horyzoncie.

— A ten, z którym ci nie wyszło?

— Po prostu nie wyszło.

— Nie znoszę takich rzeczy. Tak czy inaczej, Lacey, myślę, że czas poszukać nowego fryzjera. Szalone fryzjerki. Szaleni mordercy z obsesją na punkcie włosów. Po co ci to. A Stella jest trochę dziwna.

— To prawda, ale nie jest łatwo pozbyć się fryzjerki. Zwłaszcza kiedy wie, gdzie cię znaleźć.

Brooke przesunęła palcami po własnych blond lokach. Lubiła swoje włosy, które spletała w długi francuski warkocz, kiedy szła do sądu.

— Wiesz co, jeżeli tam grasuje szalony morderca, który obcina włosy, to nie tylko byłabyś martwa, ale do tego jeszcze łysa!

■ ■ ■

Po wyjściu Brooke Lacey posiedziała jeszcze na balkonie, podziwiając widok. Kiedy patrzyła na południe, w stronę Potoma-cu, łatwo było zapomnieć o mieście i hałasie. Wiosna stopniowo zagarniała krajobraz, tworząc pasma zieleni wzdłuż brzegów rzeki. Za tydzień czy dwa korony drzew wypełnią się listowiem, ale kochała takie ciepłe dni, kiedy pierwsze sygnały zieleni przynosiły wiadomość, że długa, nudna zima została w końcu pokonana.

Ach, wiosna w Waszyngtonie — i do tego zagłuszacze feromonów. Tak, to bardzo dobre wytłumaczenie, to powinna być prawda. Lacey zastanawiała się, czy w ogóle jest jeszcze w stanie przyciągnąć mężczyznę. *Może gdybym mieszkała gdzie indziej.*

Lacey miała twarz, która — jak powiedział jej kiedyś pewien mężczyzna — mogłaby się znaleźć na okładce taniego kryminału. Ładna, ale trochę zbyt wyrazista, przerysowana. Bywali jednak mężczyźni, którzy mówili, że jest piękna.

Nie oszukiwała się co do swojego wyglądu. Wiedziała, że jest atrakcyjna, ale nigdy nie będzie najpiękniejsza, najszczuplejsza ani najbardziej popularna. Miała metr sześćdziesiąt i zaokrągloną figurę, którą z wysiłkiem utrzymywała w stanie względnej szczupłości. Na włosy nie mogła narzekać: gęste, łatwe do ułożenia i lekko faliste. Sięgały kilka centymetrów poniżej ramion — dość, by w złe dni związać je we francuski kok. Jej zdaniem, cały pakiet nie był najgorszy. Ale wciąż pozostawał samotnie na półce.

Jej myśli zatrzymały się na pewnym mężczyźnie z przeszłości, ale kazała sobie zapomnieć o nim. W końcu był tylko przypisem w całej jej romansowej historii, przypisem, którego wyjaśnienie nawet Brooke mogłoby zająć całe tomy. Kiedy słyszała o nim ostatni raz, opuścił Sagebrush w stanie Kolorado, ale tu ślad się urywał. Kolejny liść niesiony wiatrem. Jak ona.

Zanim Lacey przeniosła się do Waszyngtonu, była przyzwyczajona do tego, że czuje się obco, jak ktoś z zewnątrz, obserwator. Będąc małą dziewczynką, zawsze uważała się za łabędzia, podczas gdy jej kaczka rodzina nie bardzo wiedziała, co o niej myśleć. Mama często mawiała, że nie ma pojęcia, skąd się Lacey wzięła, chociaż w żadnym razie nie próbowała dawać do zrozumienia, że listonosz mógł mieć z tym coś wspólnego. Rose Smithsonian sugerowała, że najprawdopodobniej pewnej nocy zatrzymał się niedaleko tabor cygański, ukradł prawdziwe dziecko Smithsonianów, a dla kawału zostawił Lacey. Prawdziwe dziecko Smithsonianów byłoby pewne siebie, miało czirliderskie geny i ubierałoby się tak, jak mama chciała.

Prawdziwe dziecko Smithsonianów już by do teraz dorosło i znalazło sobie mężczyznę. Czyli — byłaby uwiązana do domu, dzieci i mielonych raz w tygodniu.

Lacey powiodła wzrokiem wzdłuż zieleniącego się Potomacu. *Może i zagłuszają mi feromony, pomyślała — ale przynajmniej jestem łabędziem na własnej rzece.*

Rozdział 3

To pewnie jakaś skaza charakteru, że w tej chwili bardziej przejmuję się tym, co założyć na pogrzeb, niż tym, czy było to samobójstwo czy morderstwo, pomyślała Lacey. Uznała, że da sobie trochę czasu, by wyłoniły się jakieś szlachetniejsze cechy charakteru. To ta piekielna praca zamieniała ją w powierzchowną karykaturę. Powiedziała sobie, że musi mieć jakieś wartości. Gdzieś na pewno.

Teraz, kiedy pisała *Zbrodnie w modzie*, wszyscy spodziewali się, że wciąż będzie wyglądać elegancko. Tylko Lacey wiedziała, jak daleko jej do tego ideału. To jak z nabożeństwem żałobnym: ludzie zawsze myślą, że wiedzą, jak się ubrać na pogrzeb, ale tak naprawdę nie mają pojęcia. I Lacey też nie miała. Na przykład mała czarna ma niby nadawać się do wszystkiego. Ale przyjście na pogrzeb w małej czarnej sukience koktajlowej naprawdę nie jest wyrazem właściwego szacunku. Chyba że ceremonia odbywa się w barze.

Czarne ubranie wydaje się odpowiednie, ale może też być oznaką zarozumiałości, jeżeli człowiek nie należy do najbliższej rodziny, a już zwłaszcza, jeżeli oni nie są ubrani na czarno. Wtedy swoim strojem człowiek podaje w wątpliwość żałobę rodziny — co jest oznaką złych manier.

Z drugiej strony, fryzjerki ze *Stylettos* niemal zawsze chodziły na czarno i nie miały wielu ubrań choćby z daleka przypominających kolorowe. Lacey zakładała, że wszędzie by wyglądały na

prawdziwych żałobników, nawet na pikniku. Nie znaczy to, że dałyby się nawet wołami zawlec na piknik.

Kwietniowa pogoda przyniosła ochłodzenie. Lacey wybrała princeskę z wełnianej krepy w kolorze morskiego błękitu z czarnymi, szerokimi mankietami, do której założyła ciemne rajstopy i czarne pantofle na obcasach. Wzięła swój ulubiony czarny, wiązany żakiet, autentyk z lat czterdziestych. Uwielbiała ciuchy z tamtej epoki. Zawsze miała wrażenie, że w zachowanych starych strojach pozostało coś z pierwotnej właścicielki. W tych ubraniach była brawura, zuchwałość, jednocześnie kobieca i funkcjonalna. Były klasyczne. Nieważne, jak się starała, nie mogła wzbudzić w sobie takich samych uczuć w mini z lycry i topie bez ramiączek.

Zawsze wybierała stroje z lat czterdziestych, kiedy potrzebowała wzmocnić siły ducha. Gabardynowy żakiet miał pięknie wszyte ramiona i ozdobne ścięgi. Leżał cudownie. Lacey uważała go za dzieło sztuki, a metka potwierdzała, że stworzyła go członkini historycznego już International Ladies Garment Workers Union, który potem przekształcił się w UNITE, Union of Needletrades, Industrial and Textile Employees. Lacey zastanawiała się, ile kobiecie płacili w 1945 roku za wykonanie takiego arcydziełka. Ile by to nie było, na pewno nie dość. Ostatnim elementem była stara złota szpilka z perłą w klapie. Do kieszeni wsunęła koronkową chusteczkę, na wypadek, gdyby zachciało jej się płakać. W najmniej odpowiednich chwilach ogarniały ją silne emocje — na przykład kiedy czytała żalosne historyjki we własnej gazecie, albo oglądała w telewizji sentymentalne reklamy, zwłaszcza w czasie świąt. Zalenie się łzami na pogrzebie kogoś niemal obcego wcale nie było niemożliwe.

Oczywiście, pójdzie na pogrzeb tylko podsyci detektywistyczne złudzenia Stelli. Ale ona już poinformowała Lacey, że przyjedzie po nią o wpół do dziesiątej i nie było sposobu na eleganckie wycofanie się z sytuacji. Lacey zostawiła w pracy wiadomość, że przyjdzie po obiedzie. Czekala przed swoim budynkiem. Pączki na dereniach były niemal gotowe rozwinąć się, wzdłuż ceglanych chodników kwitły szkarłatne tulipany.

Samochód Lacey był w warsztacie. Znowu. Piękny, srebrzysto-bordowy nissan 280ZX rozpadał się na jej oczach, zadając ból i zawodząc zaufanie po tym, jak wepchnęła w niewdzięczny kawał stali tysiące dolarów. I do tego zaczynał ujawniać ślady rdzy wokół drzwi i kół, kiepski znak w tym wilgotnym bagnie. Ale uwielbiała nim jeździć. Trzymał się drogi jak marzenie. Nie był to samochód do pogardzenia, chociaż więcej czasu spędzał w warsztacie niż w domu.

Paul, jej mechanik, zawarł z nim intymną znajomość, kładł już swoje cudotwórcze dłonie na każdej ruchomej części. Jeszcze nie poznała mężczyzny, który rozumiałby ją tak dobrze, jak Paul rozumiał jej wóz. Na podjazd przed budynkiem zajechał samochód przypominający szaloną nakręcaną zabawkę, prowadzony przez nieugiętą Stellę. Lacey modliła się, żeby nie musiała pomagać pchać nowej dumy fryzjerki, maleńkiego, czerwono-białego bmw mini coopera z gigantyczną amerykańską flagą na dachu. Stella miała na sobie czarną skórzaną kurtkę i czarny beret ze szpilką w kształcie złamanego serca. W sportowych okularach słonecznych i długim, czerwonym jedwabnym szalu wyglądała niczym pilot bombowca na misji miłosierdzia. Jakby należała do jakiegoś dziwnego kobiecego wojska, które ubierało się stylowo i łamało męskie serca. Dajmy na to francuskiego wojska — Francuski Legion Mody.

Może ja też powinnam się zaciągnąć.

— Wskakuj, Lacey! — Ruszyły pełnym pędem. — Najlepsze w tym samochodzie jest to, że gliniarze nie wierzą, jaki może być szybki. Nie pokazuje im się na radarze. — Stella wcisnęła gaz do dechy i dotarła do salonu pogrzebowego w dwadzieścia pięć minut. — A nie mówiłam? Jesteśmy niewidzialne!

— W czerwono-białym mini z flagą na dachu? Chyba nie bardzo.

■ ■ ■

Obrzęd ku pamięci Angeli Woods miał być główną atrakcją o dziesiątej w Evergreens, nazwanym tak na cześć imponujących drzew otaczających budynek umiejscowiony w północno-zachod-

nim Waszyngtonie. Trumnę przeniesiono i teraz stała w głównej kaplicy, otoczona pastelowymi kompozycjami kwiatowymi.

Angie po interwencji Stelli wyglądała łagodnie i delikatnie. Blond peruka przypominała jej własne włosy, chociaż znacznie krótsze. Mama Angie i jej dwie młodsze siostry siedziały w pierwszym rzędzie, ocierając zaczerwienione oczy i pociągając nosami. To była kobieca rodzina.

Nieobecny ojciec rezydował w rodzinnym grobowcu na cmentarzu w Atlancie, gdzie Angie miała do niego wkrótce dołączyć.

Zdruzgotana rodzina Woodsów pochodziła z południowych stanów i najwyraźniej nie uważała czerni za niezbędny element swojej słonecznej garderoby. Wszystkie trzy miały na sobie odcienie niebieskiego, najbardziej zgaszonego koloru, jaki znalazły wśród swoich optymistycznych strojów. Żadna z sióstr nie była tak ładna, jak Angie, ale cudowne włosy były najwyraźniej rodzinną cechą, choć znowu nie dorównywały Angie. Siostry nosiły długie kucyki spływające na plecy, związane na karkach niebieskimi aksamitnymi wstążkami. Mama Angie włożyła granatowy kostium z perłami i granatowy kapelusz z szerokim rondem, ocieniający jasnoblonde fale. Kostium był letni, a kapelusz zimowy, ale nikomu to nie przeszkadzało.

Stylistki z salonu w Dupont Circle były wyszorowane do czysta — gest szacunku dla rodziny Angie. *Jak uroczu. Odpuścili sobie swój zwykły styl iv typie „sabat czarownic”*. Lacey zauważyła obecność kilku czarnych sukienek koktajlowych, wyglądających zbyt świątecznie na taką okazję i trochę za skąpych na taką pogodę.

Lacey i Stella siedziały w trzecim rzędzie niemal pełnej kaplicy, w której mieściło się koło dwustu osób. Wydawało się, że obecne jest całe imperium Stylettos, wszystkie dwadzieścia pięć salonów. Lacey rozpoznała kilku innych klientów salonu w Dupont Circle, na pewno regularnie chodzących do Angie. Rozglądała się po sali za słynną Marcją Robinson, ale kongresowa skandalistka nie przyszła zaprezentować swojej nowej, lśniącej kasztanowej fryzury. Lacey zrozumiała, że szanse były niewielkie. Marcja nie mogła się opędzić od prasy, która na pewno nie da jej spokoju aż

do chwili złożenia zeznań przed prokuratorem specjalnym, prawdopodobnie w stroju innym niż różowy. Adwokat trzymał ją w zamknięciu. A poza tym prasa jak dotąd nie dostrzegła powiązania między martwą fryzjerką i panią Robinson. Albo jeżeli dostrzegła, najwyraźniej uznała je za mało interesujące. Lacey pochyliła się do Stelli i spytała:

— Kiedy Marcia Robinson ostatni raz była u Angie?

— Parę tygodni temu. Marcia chciała, żeby ułożyć jej włosy przed pójściem do sądu. Potem miała u niej być w zeszłym tygodniu, ale odwołała.

— W jaki dzień to było?

— Chyba w sobotę.

— W dzień, kiedy Angie umarła?

— Tak, chyba tak.

— Dlaczego odwołała?

— Nie wiem. To nie ja odebrałam. Coś ważnego? — Stella zrozumiałwszy, że niewykluczone, natychmiast cała się roztrzęsła.

Obok przeszła wyraźnie zdenerwowana kobieta. Stella skrzywiła się.

— To Sherri Gold — szepnęła. — Była ostatnią klientką Angie, w sobotę wieczorem. Jest walnięta.

— To znaczy zaraz przed...?

— Kompletna wariatka. Chcesz ją poznać? — Przywołała Sherri gestem.

— Sherri, chciałam ci przedstawić Lacey Smithsonian z «Observera».

— „Eye Street Observer”? Nigdy tego nie czytam — skłamała pani Gold. Jej wargi wykrzywiły się pogardliwie. — Czytuję „Posta”.

— Ładny strój.

— Designerski.

Mieszkanka dziewiętnastowiecznego więzienia dla kobiet miałaby bardziej atrakcyjny strój. Oczywiście Lacey nie była właściwie pewna, jak wyglądał dziewiętnastowieczny strój więzienny, ale brudnoszare ubranie tej kobiety mogło służyć jako kara sama w sobie. Długa, pognieciona spódnica była marszczona w talii i nie wyglądałaby korzystnie na nikim. Do tego miała wielką,

bezkształtną szarą górę, która pewnie kosztowała setki dolarów. Lacey nie cierpiała szarego. Osobista antypatia.

Sherri Gold była kanciasta i muskularna w tak nadmiernie wysportowany sposób, że wyglądało to na obsesję. Miała średniej długości brązowe włosy i kościstą twarz, którą niektórzy mogliby nazwać uderzającą, niemal godną modelki na pokazie, ale zdaniem Lacey rozdęte nozdrza i za duże usta przypominały gargul-ca. Sherri otworzyła te usta i jęknęła: — I co ja zrobię? Nikt nie umie obciąć mi włosów tak, jak Angie. — Obiema rękami odgarnęła włosy z twarzy. — Tak się kręca. To Angie nauczyła mnie, jak je prostować przy suszeniu.

Żebyś ty też mogła mieć na głowie waszyngtoński hełm. Lacey wzdrygnęła się i spojrzała w stronę trumny.

— Śmierć Angie to tragedia, prawda?

— Boże, tak! Teraz będę musiała specjalnie jechać do Nowego Jorku, tylko do fryzjera. A w Nowym Jorku to kosztuje fortunę. Nie macie pojęcia.

— Tak, najpierw trzeba kupić bilet na Metroliner — potwierdziła Stella.

— Czy Angie wyglądała na przygnębioną, kiedy ją pani ostatni raz widziała? — Lacey zwróciła się do Sherri. — Wyglądała, jakby miała samobójcze zamiary?

Sherri wyglądała na zaskoczoną. Myślenie o kimś innym najwyraźniej nie przychodziło jej łatwo.

— Nie wiem. Rozmawiałyśmy o odżywkach.

— Wydawała się nieszczęśliwa, albo czymś zdenerwowana?

— Tak. Uważała, że moje końcówki są za suche. Ale nie miała tego, czego mi było trzeba. Dlaczego?

— Bo tej nocy umarła — wyjaśniła Lacey.

— Wiem. Okropne, nie? I co ja zrobię? — wyjęczała Sherri i odmaszerowała, zostawiając wściekłą Stellę.

— Mogą ją sobie w Nowym Jorku zatrzymać.

— W pełni się z tobą zgadzam, Stel — wtrąciła Michelle Wilson, zastępczyni Stelli, siadając z jej drugiej strony. Michelle była ładną ciemnoskórą kobietą z cerą o barwie ciepłego miodu i niezwykłymi bursztynowymi oczami. Ciemne loki wiły się

w skomplikowany sposób na jej głowie. — Takie klientki, jak Sherri po prostu chcą mieć sławnego fryzjera. Przeszła do Angie, gdy tylko nowa fryzura Marcii pojawiła się w gazetach. Przy odrobinie szczęścia teraz mamy ją z głowy.

— Co ona robi? — spytała Lacey.

— Nie wiem. Ma coś wspólnego z Kongresem.

— Jak Marcia?

— Chyba tak.

— Znały się?

— Nie wiem. Ale może tak, bo Sherri wcisnęła się na miejsce po Marcii, kiedy tamta odwołała wizytę. Może Marcia powiedziała jej, że Angie będzie miała wolne. — Michelle wzięła program i zaczęła go studiować.

— Jest Szczurek. — Stella szturchnęła Lacey i wskazała na mężczyznę w wieku koło pięćdziesięciu lat, siedzącego dwa rzędy za nimi po prawej. Podchwycił spojrzenie Lacey i mrugnął do niej. Odwróciła się z powrotem do Stelli.

— Szczurek? Twój szef?

— Boyd Radford. We własnej osobie.

Lacey znowu odwróciła się i popatrzyła na niego. Pod niektórymi kątami rzeczywiście przypominał wypasionego, zadowolonego gryzonia.

Radford musiał być za młodu przystojniejszy, pomyślała, ale czas wydobywał z jego DNA szczurze geny. Od przodu był niemal przystojny, jak szkolny sportowiec, który się zapuścił. Ale z profilu miał wydłużony ryjek, słabo zarysowany podbródek, złośliwe małe oczka i lekko sterczące zęby. W ciemnych, zaczesanych do tyłu włosach widać było łysinę. Stella doniosła, że kuracja najwyraźniej nie zadziałała — rozważał implanty. Prawdopodobnie każdy z zatrudnianych przez niego fryzjerów za plecami nazywał go „Szczurkiem”. Mimo to, jak wszystkie bogate, obleśne typy, i wbrew widocznym warunkom fizycznym, uważał się za posiadacza nieodpartego, magnetycznego wdzięku.

Boyd Radford był właścicielem Stylettos, rozrastającej się sieci salonów fryzjerskich w Waszyngtonie, Marylandzie i Wirginii. Był wredny i brutalny, ale wbrew samemu sobie udało mu się

odnieść sukces. Boyd odziedziczył salony po swoim wuju Maximilianie, a geniusz byłej żony Boyda, Josephine Radford, sprawił, że z sieci tanich zakładów zamieniły się w całkiem szanowane salony, zatrudniające nawet paru wybitnych stylistów.

To Josephine zmieniła ich nazwę z Chez Max na Stylettos, zaprojektowała firmowe uniformy, pozbyła się kiepskich fryzjerów i stworzyła programy szkoleniowe. Radford podniósł ceny, tym samym dodając zakładom klasy.

Podobnie jak jego wujek Max, Radford sam zaczynał jako fryzjer. I chociaż zatrudniał do tej pracy wielu gejów, sam należał do mężczyzn jak najbardziej hetero, którzy wybierają zawód fryzjera, żeby mieć kontakt z kobietami. Lubił, kiedy były zdane na jego łaskę i niełaskę, z całkiem mokrymi włosami.

Hobby Szczurka stanowiło sypianie ze wszystkimi fryzjerkami, a czasami także z klientkami — przynajmniej według Stelli, której głównym hobby było plotkowanie. Koncepcja molestowania seksualnego nie była w Stylettos powszechnie znana, a fryzjerki nieszczególnie uświadomione politycznie. Niektóre może i wiedziały, że mogą mu narobić w sądzie kosztownych kłopotów, ale bezrobotnych fryzjerek nie stać na prawników. Wiele też odkryło, że przespanie się ze Szczurkiem całkiem dobrze wpływało na ich kariery, chociaż niekoniecznie na poczucie własnej wartości. Większość jego podrywek w końcu go znienawidziła, ale Boyd, o dziwo, był sentymentalny. Lubił trzymać je w pobliżu. W ten właśnie sposób sama Stella została szefową salonu w Dupont Circle.

— Nie mogę uwierzyć, że z nim spałaś — szepnęła Lacey. Z sesji w salonie wiedziała o Stelli o wiele za dużo i podejrzewała, że Stella o niej też. Na swoją obronę miała to, że nawiązała się między nimi przyjaźń.

— To było pięć lat temu — odszepnęła Stella.

— Jest odrażający.

— Zamknęłam oczy.

— Od samego patrzenia mam gęsią skórkę.

— Ty! Ja złapałam wysypkę.

— Stella, proszę!

— Nic poważnego. Byłam młodsza. Wiesz, ostatnio przystawiał się do Angie, świntuch jeden.

— Ale on był dla niej o wiele za stary.

— Jemu to powiedz. Podobało mu się, że piszą o niej w gazetach. Ale ona nie chciała z nim tego robić. Powiedziała, że robi jej się niedobrze na sam jego widok.

Stella obejrzała się na Szczurka i rzuciła mu wrogie spojrzenie. Odwrócił wzrok.

Dobrze zachowana kobieta z prawej strony Szczurka trzepnęła go w ramię, a potem rzuciła groźne spojrzenia najpierw Boydowi, a potem Lacey i Stelli, która w odpowiedzi uśmiechnęła się i pomachała.

— Ta wiedźma to jego była, Josephine — szepnęła Stella. — Prawdziwa żmija i dużo bardziej jadowita. Robi mu z życia piekło. Lepszego sobie nie mogła wybrać.

— Wydawało mi się, że są rozwiedzeni — zauważyła Lacey.

— Od paru lat. Dostała połowę firmy, ale ciągle się nie rozliczyli. Lubi mieć na niego oko. Partnerzy — póki śmierć ich nie rozłączy.

Lacey wyjęła z torebki puderniczkę, otworzyła i nastawiła lusterko tak, żeby móc się przyjrzeć.

Josephine Radford była Francuzką i uosabiała wszelkie związane z tym stereotypy. Szczupła, stylowa i z temperamentem o sile wyrzutni rakiet, według Stelli. Miała świetnie opanowaną niezobowiązującą konwersację i w ogóle wydawała się zabawna, o ile człowiek nie podchodził za blisko.

Josephine nie była konwencjonalnie ładna, ale ciemna i egzotyczna.

Ubrana w zabójczy, designerski kostium — ciemnofioletowy, wykończony czarną matową wstążką. Jej lśniące czarne włosy były zebrane w szykowny kok z czarną kokardką na karku. *Zdecydowanie zbyt wyrafinowana na Stylettos, pomyślała Lacey. I jakim cudem skończyła z tym bydlakiem Boy dem?*

— Jak się dogadywały z Angie? — spytała szeptem Lacey.

— Właściwie to parę tygodni temu się pokłóciły.

— O co?

— Nie jestem pewna, ale Angie płakała, coś tam padło o Marcii Robinson, albo może o Szczurku. Próbowałam się nie mieszać. Było publiczną tajemnicą, powiedziała Stella, że Josephine nienawidzi wszystkich kobiet, z którymi spał Boyd. Chociaż od lat nie żyli razem, żadne nie mogło sobie odpuścić. W jakiś dziwny sposób wciąż są ze sobą mocno związani. Boyd lubił drażnić Josephine swoimi innymi kobietami, żeby mogła być na bieżąco. Tak jak on z jej podbojami. Jako że byli rozwiedzeni i kulturalni, uważali to za dobrą zabawę. Opowiadali ludziom, że utrzymują „przyjazny” związek dla dobra firmy i rodziny, składającej się poza nimi z Beauregarda Radforda, inaczej „Beau”, wiecznego studenta. Wiązały ich nierozzerwalnie wzajemne oskarżenia i chęć odwetu. I Stylettos.

Beau, następca tronu, także był obecny, siedział obok matki. Fryzjerki nazywały go „Szamponik”, w związku z podrzędnymi pracami, jakie wykonywał w różnych salonach w latach szkolnych. Wydawał się lekko znudzony i trochę mniej bydlakowaty niż tata. Nie był ani tak odrażający jak ojciec, ani tak egzotyczny jak matka. Jakby rodzinne geny straciły moc, zanim pojawił się na świecie. Jego rzadkie czarne włosy sięgały ramion w luźnej fryzurze a la księżę. Miał trochę piegów, nos Radfordów i najwyraźniej nie był w stanie zapuścić brody. Beau skończył dwadzieścia cztery lata i właśnie został wyrzucony z kolejnego z długiej serii uniwersytetów w związku ze swoim upodobaniem do rekreacyjnych narkotyków i głupich żartów. Beau chciał pracować w rodzinnej firmie jako fryzjer, tak samo jak tata, ale Szczurek upierał się, że najpierw musi zrobić dyplom. Syn chciał iść w ślady ojca także w dziedzinie uwodzenia. Stella przekazała to wszystko z satysfakcją.

— A co to za głupie żarty?

— Nie mam pojęcia, Boyd nie chwali się przestępstwami Beau.

— Ty byś to zrobiła.

— Lacey, czego nie wiesz, to cię nie zabije.

Piętnaście po dziesiątej niski, pulchny pastor odchrząknął i wszyscy przenieśli uwagę na niego. Było sporo pociągania

nosami i łez w oczach. Śpiewaczka zaśpiewała odpowiednio uroczystą pieśń, nie do końca radząc sobie z wysokimi tonami.

Po długim oczekiwaniu sam obrzęd wydawał się krótki. Pastor, niezwiązany z żadnym konkretnym kościołem, niepewny w kwestii kazania nad trumną samobójczyni, a do tego obcej, wygłosił ogólną mowę pasującą do każdego kandydata, którego trzeba było tak czy inaczej wyekspediować na tamten świat. Większość żałobników najwyraźniej nie miała nic przeciwko zdawkowym słowom pociechy. Co innego Stella.

— To nie wystarczy — burknęła do Lacey, która popatrzyła na nią z przerażeniem. — To ma być pożegnanie?

Stella wstała i zdecydowanym krokiem ruszyła w stronę podium, potrząsając beretem. Ludzie oglądali się za nią. Stella nie była przewidziana do przemawiania, ale chwyciła ją wena i teraz nic by jej nie powstrzymało. Odchrząknęła i dmuchnęła w mikrofon. Pisnął.

— To jest włączone? — głos Stelli huknął z głośników. Aby się upewnić, że nikt nie śpi, przejechała po mikrofonie długimi paznokciami, produkując dźwięk, który otworzył każde oko na sali. Oczywiście z wyjątkiem Angie.

— Przepraszam, ale mam coś do powiedzenia o całej tej żalosznej aferze.

— Stella wzięła głęboki oddech, poprawiła czarny szkocki beret na czerwonych włosach i przerzuciła koniec szalika przez prawe ramię. — Byłam szefową Angie w Stylettos w Dupont Circle. Wiem, że wszystkim jest nam smutno, bo cóż, Angie już z nami nie ma. I nikt się nie czuje gorzej niż ja. Była super-dzieciakiem i miała przed sobą świetną przyszłość jako stylistka. Wszyscy czytaliśmy o niej w gazetach. Mogłaby mieć stałą pracę, doprowadzając do porządku żaloszne mordy tych wszystkich obleśnych polityków i kretynów prosto z uniwerka, jakich wielu mamy w mieście.

Rozległo się kilka chichotów, a Stella ciągnęła dalej:

— Ale tak czy inaczej, to, co się stało Angie, nie powinno było się stać. Jasne, gliny z D.C. mówią, że to samobójstwo, i patolog potwierdza, że to samobójstwo, i gazety trąbią, że to samobójstwo.

Co oni wiedzą? Nic! — Mikrofon znowu wydał zgrzyt. Żałobnicy, którzy przysypiali podczas kojącej mowy pastora, teraz byli całkiem obudzeni. Stella złapała mikrofon i pomaszerowała wzdłuż sali jak telewizyjny kaznodzieja.

— Samobójstwo, akurat! Angie Woods się nie zabiła i każdy, kto ją znał, wie, że nie mogła tego zrobić. Ja sama na wielu rzeczach się nie znam, ale znam się na włosach. Angie miała jedne z najpiękniejszych włosów, jakie w życiu widziałam. Jak u anioła. I była z nich bardzo dumna. Pieściła się z nimi, używała najlepszych odżywek, nigdy nie stosowała żadnych ostrych chemikaliów. Dbała o swoje włosy. Wiecie, co chcę powiedzieć? — Sto pięćdziesiąt fryzjerek pokiwało na zgodę głowami i usiłowało powstrzymać łzy.

— No więc policja twierdzi, że w ostatnią sobotę Angie ciachnęła sobie pół metra boskich włosów, miejscami ogoliła głowę brzytwą, a potem się zabiła. Cholera, nie! To ja ją znalazłam w salonie. Ja, Stella Lake. To nie był ładny widok. Był paskudny, w życiu nie widziałam nic okropniejszego. Słowo honoru, to wyglądało, jakby Angie przed śmiercią niemal oskalpował jakiś szalony fryzjer! Mówię wam, jeżeli wiem chociaż jedną rzecz na świecie, to wiem jedno: to nie była robota zawodowego stylisty.

Rozległy się pełne zaskoczenia okrzyki ze strony siedzącej w pierwszym rzędzie rodziny, ale publiczność Stelli wsłuchiwała się uważnie.

— No, szczegóły sobie odpuszczę, bo siedzi tu jej mama i siostry, i to wszystko jest już dla nich wystarczająco okropne. Wy wszyscy wiecie, o czym mówię. Ale obiecuję wam, że ktoś, zawodowiec, którego znam, dotrze do prawdy. I jest teraz tutaj z nami.

Stella urwała i spojrzała znacząco na Lacey, która zamarła niczym jelonek Bambi w promieniach lasera. *Me mogła chyba powiedzieć tego, co mi się zdaje, że powiedziała.* Stella wskazała w jej stronę zdobnym w błyskawice paznokciem. Lacey przygarbiła się na swoim krześle.

— Specjalistka — podkreśliła Stella. — Ktoś, kto zna się na zbrodniach, na stylu i na modzie. Ktoś, komu zależy.

Wiesz, Lacey, zakonnice nie potrzebują fryzjerów, powiedziała sobie. W stanie Nowy Jork mają kilka pięknych klasztorów.

— Ktoś naprawdę mądry, kto świetnie umie analizować, dowie się, co się naprawdę stało Angeli Woods, żeby mogła odpoczywać w pokoju, a my spać spokojnie. Dotrze do prawdy. Znajdzie mordercę. Obiecuję wam to. Okej, to wszystko, co mam do powiedzenia. Żegnaj, Angie, skarbie. Stella otarła łzę z policzka jednym palcem z nadgryzionym paznokciem i upuściła mikrofon z ogłuszającym hukiem. Lacey zauważyła, że Szczurek otarł czoło i poruszył się niespokojnie. Josephine powiodła po tłumie wrogim spojrzeniem. Syn Beau obudził się z drzemki. Jego zaskoczony wzrok przesunął się za Stellą, gdy szła z powrotem w stronę swojego krzesła. Sherri Gold wkręcała palce we włosy z dość nieprzytomnym spojrzeniem. *Na pewno w myślach już siedzi w pociągu na Manhattan. Zaraz do niej dołączę.*

Po deklaracji Stelli wybuchł spontaniczny aplauz. Siostry Angeli były zachwycone i uściśniły się, a szlochająca matka z wdzięcznością rzuciła się Stelli na szyję.

— Stello, kochana, odpowiedziałaś na nasze modlitwy. Ja po prostu wiem, że mój aniołek nie mógłby się zabić. I te jej włosy. Te włosy były jej skarbem. Ja ... — Walcząc ze łzami, złapała oddech. — Wierzyła, że życie jest święte. Dziękuję, że powiedziałaś to tym wszystkim ludziom. Że powiedziałaś światu.

Co za para: pulchna matrona z Południa Stanów i ostrzyżona na jeża buntowniczką. A teraz w najlepszej przyjaźni. Pani Woods ścisnęła Stellę, jakby znalazła Świętego Graala. Zamknięta w kleszczowym uścisku Stella gorączkowo dawała Lacey sygnały domagające się pomocy, ale ta uśmiechnęła się tylko i pomachała jej, w myślach już pędząc przez Midtown Tunnel.

Rozdział 4

Po pogrzebie Radfordowie urządzili małe przyjęcie, z caterin-giem, w głównej siedzibie Stylettos. Było to po drugiej tronie Potomacu, w Darlington w stanie Wirginia, w pozbawionym cech szczególnych budynku przy Wilson Boulevard. Przyjęcie urządzono w centrum szkolenia fryzjerów, dużej sali wyposażonej w lustra na całą ścianę i niszę na umywalki.

Sanktuarium Stylettos funkcjonowało także jako sala bankietowa na firmowe imprezy, ale gościom mogło się to wydawać dziwne. Na półce pod tylną ścianą stało ponad trzydzieści pozbawionych tułowi stojaków na peruki, a na nich jasnowłose, ciemnowłose i rude czupryny o różnych gatunkach włosów, od prostych do mocno skręconych. W tych okolicznościach, uznała Lacey, głowy stanowiły nieco makabryczny akcent i lepiej byłoby je schować. Niczym niemi świadkowie niewypowiedzianych zbrodni, wszystkie miały koszmarnie fryzury. Ale dla fryzjerów były jak niewidzialne.

To była Mekka firmy, gdzie fryzjerzy i fryzjerki uczyli się wszystkiego o nowych produktach, które mieli wciskać klientom, i o najnowszych stylach. To znaczy najnowszych jak na Waszyngton, D.C., czego nie należy mylić z najnowszymi wszędzie indziej, a zwłaszcza w Nowym Jorku, gdzie strzyżenie u najlepszego fryzjera, nie licząc kosztów biletu kolejowego, może kosztować kilkaset dolarów.

Na czas przyjęcia rozstawiono w sali małe kawiarniane stoliki z krzesłami. Stoły przykryto czarnymi obrusami i ozdobiono kompozycjami z białych kwiatów i świec. Lustra obwieszono, co było gestem szczerym, ale dość nie na miejscu, wstęgami z czarnej krepiny, przez co całość wyglądała odpowiednio bardziej na Halloween niż na waszyngtońską wiosnę.

Na platformie pośrodku, przed ogromnymi, czarno-białymi plakatami demonstrującymi najnowsze fryzury i trendy, ustawiono bufet i bar. Przy drzwiach umieszczono duże zdjęcie Angie obok eleganckiego wieńca. Obok stały dwie pulchne fryzjerki, których obowiązkiem było pilnowanie, żeby wszyscy podpisali się w księdze gości. Stella i Lacey siedziały przy jednym ze stolików z talerzami przystawek. Lacey przyglądała się swoim bez apetytu.

— Stella, czy ktoś ci już mówił, że mogłabyś być odrobinę bardziej subtelna? Tak dla odmiany?

— Jasne, mnóstwo razy, ale u mnie to nie działa. Lacey, nie wściekaj się, ten przygłupi pastor tak mówił, jakby ona umarła ze starości. Musiałam coś powiedzieć.

— Dzięki twoim wygłupom wszyscy teraz myślą, że jestem jakimś detektywem ze świata mody. A ja nie jestem. Jestem tylko dziennikarką. Słyszysz mnie?

Stella oprowadzała Lacey niczym celebrytkę, dumnie przedstawiając ją każdemu w zasięgu wzroku. Fryzjerzy wydawali się zachwyceni jej widokiem. Wszyscy chcieli, żeby ich wymienić w *Zbrodniach w modzie*. Oczywiście, nie w charakterze zbrodniarzy.

Okej, może przynajmniej mogłabym poświęcić jeden artykuł Angie. Ale to koniec, nic więcej. Jeżeli ze śmiercią Angie wiąże się jakaś tajemnica, Lacey nie miała najmniejszej nadziei na jej rozwikłanie. Ale uznała, że tak czy inaczej zadanie paru pytań nie może zaszkodzić.

Trudno jednak było wyrobić sobie zdanie o zmarłej. Po śmierci Angie nabrała cech niemal świętej. Może potem, kiedy jej śmierć będzie już trochę bardziej odległa, pojawi się wyraźniejszy obraz. Lacey uznała, że teraz usunie się jak najszybciej i najbardziej elegancko, a pytaniami zajmie się później.

Podeszła Josephine Radford.

— Stello, to był bardzo ciekawy numer. Bez ciebie umarlibyśmy z nudów.

— Pewnie tak — odparowała Stella. Josephine jednym spojrzeniem otaksowała Lacey.

— Pani Smithsonian, autorka *Zbrodni w modzie*, oczywiście. Musi pani być bardzo zajęta. Tyle zbrodni, tak mało czasu. — Jej spojrzenie przesunęło się krytycznie po stroju Lacey. Jednak najwyraźniej była usatysfakcjonowana. — Bardzo miło panią poznać, mimo tak smutnych okoliczności. Proszę nie pozwolić, żeby fantazja Stelli sprowadziła panią na manowce.

— To tylko jej fantazja? — spytała Lacey.

— Ależ oczywiście. Może mogłybyśmy się kiedyś spotkać na lunchu, Lacey. — Wymawiała to z francuskim akcentem na ostatniej sylabie. — Mam dla pani mnóstwo pomysłów. — Zanim Lacey zdążyła odpowiedzieć, coś przyciągnęło uwagę Josephine. — O, jest Boyd, głupek jeden. Lepiej zobaczę, czego teraz chce. Pewnie poznać panią. On jest niebezpieczny. Proszę nie dać mu się oczarować.

To jest zupełnie niemożliwe, pomyślała Lacey. Josephine zniknęła w obłoku Chanel nr 5.

— Stella, słuchaj, talerz kanapek, szklanka ponczu i znikam — zapowiedziała Lacey.

Ale Stella nie zwracała na nią uwagi. Następca tronu Stylettos, Beau Radford, krążył po sali. Pochyliła się w stronę Lacey.

— Ostrzegałam cię przed Beau?

— Co znowu?

— To taki kandydat na Szczurka — wyjaśniła Stella.

— To znaczy?

— Jak się będzie przystawiał, daj w mordę. Ja ci pomogę.

— Ale to tylko dzieciak. — Lacey spojrzała na niego. Miał na sobie obcisłą sportową kurtkę, naciągniętą na chudych ramionach — najwyraźniej pozostałość ze szkoły, workowate spodnie khaki, niebieską roboczą koszulę i krawat przyozdobiony wizerunkiem królika Bugsa. Z tyłu głowy sterczał mu kosmyk, najwyraźniej niemożliwy do opanowania.

— Nie ma żadnych posad na przynętę. Ale jest wytrwały. Trzepnij go, to sobie pójdzie — mówiła Stella.

— Jaki ojciec, taki syn?

— Mały szczurek wdał się w dużego.

— Stella, czy Boyd obiecywał Angeli posadę kierowniczkę? Stella zniżyła głos.

— Tego nie wiem. Ale otwiera kolejne Stylettos w Virginia Beach.

Słyszałam, że jest sporo zainteresowanych. — Stella zamilkła i zaczęła chrupać kawałki marchewki, gdy zbliżył się Beau.

Młody Radford przedstawił się i przytrzymał dłoń Lacey odrobinę za długo. Kiedy się uśmiechał, nie wyglądał tak źle, uznała Lacey. Dobry ortodonta sprawił, że uśmiechający się Beau przypominał chochlikowatego, niesforenego chłopca, a nie szczura.

— Smithsonian to pani prawdziwe nazwisko? — spytał.

— Tak. Żadnego pokrewieństwa z muzeum. — Lacey zauważyła, że Stella zabrała swój talerz i ruszyła z powrotem w stronę bufetu, zostawiając ją samą z kandydatem na Casanovę. *Stella, zapłacisz mi za to.*

— Czytam pani rubrykę — zamruczał Beau.

— Na pewno? — *Łże jak z nut.*

— Teraz już będę, obiecuję.

— I dobrze. Będzie test.

— A swoją drogą, ma pani piękne włosy, Lacey. Jak prosto z sypialni. Takie wzburzone i w ogóle.

— Może powinnam się uczesać. — Lacey zauważyła, że ludzie w branży fryzjerskiej nie mają najmniejszych oporów przed komentowaniem ciemnych odrostów, rozdwojonych końcówek, złych długości, kiepskiej trwałości oraz, najwyraźniej, włosów jak z sypialni. Odwracając rozmowę od siebie samej, Lacey spytała o Angie.

— Wiem, że pracowała ze Stellą. Akurat przyjechałem na przerwę semestralną. — Beau wyjaśnił, że na uniwersytet nie wraca, jako że między nim a akademią ekonomiczną w stanie Iowa wystąpiły różnice nie do pokonania.

— Co pan zrobił?

— To i tamto. Trochę trawy. Jest pani zainteresowana? Wiem, gdzie można dostać.

— Nie, dziękuję, naprawdę. Usiłuję rzucić. — *To był dowcip, ty mały szczurku.*

Przysunął sobie krzesło obok Lacey.

— Ludzie jeszcze nie wiedzą — wyznał. — Ale pogadajmy o tym, co powiedziała Stella. Naprawdę będzie pani badać śmierć Angie?

Myślałem, że policja uznała to za samobójstwo.

Lacey wzruszyła ramionami i lekko pokręciła głową.

— Stella — westchnęła, sugerując przez to, że, oczywiście, Stella jest kompletnie pomyłona.

— Stella — zgodził się. — Może moglibyśmy pogadać kiedyś o Stelli przy kolacji. — Był natarczywy, musiała to przyznać. Ale ona miała w pogotowiu swoją automatyczną wymówkę.

— Przepraszam, ale z kimś już jestem. — *W marzeniach.* Beau przeprosił i oddalił się w poszukiwaniu kobiety, która gotowa byłaby zostać jego panią Robinson.

Lacey wzięła swój nietknięty talerz i miała ruszyć na poszukiwanie kosza na śmieci, ale jak na sygnał pojawił się Boyd Radford, żeby prawić jej komplementy i próbować zyskać parę centymetrów kwadratowych gazetowego tekstu na pochwałę swoich salonów. Poinformował ją także, że powinna przedstawić sylwetkę — kogóż by innego? — Boyda Radforda.

— Mamy do opowiedzenia wspaniałą historię, Lacey. Zastanawiała się, o czym mianowicie. *Może „Bogaty szczur zajmie się twoimi włosami — i nie tylko!”*

— Proszę do mnie zadzwonić. Zaproszę panią na lunch — oznajmił Boyd. — Porozmawiamy o artykule na mój temat.

Ale ze mnie królowa balu. Wszyscy chcą mnie zapraszać na lunche i kolacje. Boyd spędził za dużo czasu na wciskaniu jej w rękę wizytówki i próbie wpatrywania się w jej oczy, stosując cały ten wyimaginowany wdzięk. Ludzie, którzy upierali się, że byliby znakomitym tematem prasowym, doprowadzali Lacey do białej gorączki.

— A nawiasem mówiąc, chyba nie przejmuje się pani tym, co Stella wygaduje o Angeli Woods?

— Stella to moja fryzjerka. Dzielimy najróżniejsze tajemnice — uśmiechnęła się Lacey.

— Nie wiedziałem, że Stella ma jakieś tajemnice — zawahał się Boyd.

— Jak dobrze znał pan Angie?

— Tak samo, jak każdą fryzjerkę, która dla mnie pracuje.

— Uważa pan, że miała ostatnio objawy depresji?

— A skąd mam wiedzieć? Z tą dziewczyną to tragedia, ale nic więcej.

Tylko okropna osobista tragedia. Proszę o tym pamiętać — rzekł z naciskiem Radford, odwracając się od niej. Najwyraźniej wyczerpał już cały wdzięk. I cierpliwość Lacey.

Energicznie pomaszerowała w stronę drzwi. Niestety, Polly Parsons, koordynatorka promocji w Stylettos, blokowała jej drogę. Polly co najmniej raz w tygodniu dzwoniła do Lacey w związku z jakąś promocją i zawsze terkotała tak, że nie mogła złapać tchu. Na przykład: „Słyszałaś? Teraz jest moda na krótkiego pazia ze srebrnymi pasemkami! Super, prawda?”. Dzisiaj paplała o jakimś pokazie mody.

— Lacey, słyszałaś? Stylettos robi fryzury na pokaz mody Rozpalmy Miasto! Super, prawda?

Stella doniosła, że Polly aktualnie sypia ze Szczurkiem. Rozpowszechniała także plotkę, iż Polly należy do członków-założycieli klubu Kondom Miesiąca. „Co miesiąc przysyłają pudełko gumek w różnych rozmiarach, kształtach i kolorach. Słowo!”

Lacey precyzyjnie się obok górującej nad nią przeszkody: metr osiemdziesiąt pięć i trzydzieści jeden lat agresywnie egocentrycznej kobiety. Polly miała świetną figurę, ale dziwnie androginiczną twarz. Ubierała się w krótkie spódniczki, żeby zwrócić uwagę na swoje nogi. Była znakomicie wymalowana, wyperfumowana i spryskana lakierem do włosów. Jednak mimo wszystkich swoich wysiłków w celu osiągnięcia skondensowanej kobiecości, Polly zawsze jakoś udawało się wyglądać niczym przebrany facet.

— Polly, prześlij mi pakiet prasowy. Muszę lecieć.

— To szczytny cel, Lacey. Zyski idą na... no, na coś tam z dziećmi, ale to fantastyczne i jak najbardziej poprawne politycznie, więc nie musisz się o nic martwić. Znaczy, w pokazie nie ma żadnych futer, ani pracy dziecięcej czy niewolniczej, nic

w tym rodzaju. Nic dołującego. W każdym razie nie wydaje mi się. Jestem całkiem pewna.

— Bardzo ciekawe, Polly. — Lacey poszukiwała sposobu ucieczki. Wielgachna specjalistka od promocji przycisnęła ją do ściany.

— Lacey, chciałabym, żebyś naprawdę pomyślała o moich włosach. Powinnam je obciąć?

Mogłoby wydawać się dziwne, że Polly na stypie nawet nie wspomniała o zmarłej, ale ona zawsze umiała skierować rozmowę na swój ulubiony temat: samą siebie. Z zapałem poprawiała i podrzucała swoje loki. Były ścięte na dłuższego pazia, odmianę „waszyngtońskiego rozjaśnionego helmu”, brązowe ze srebrzystymi pasemkami. Lacey uznała, że to całkowicie waszyngtoński standard, chociaż wyglądały na gęste i zdrowe.

— Myślisz, że powinnam zmienić fryzurę? Bo ja naprawdę nie wiem. A ty jesteś taką specjalistką! Sama nigdy nie mogę się na nic zdecydować.

— Za każdym razem, gdy widziała Lacey, zadawała jej to samo pytanie. Na szczęście pojawiła się Stella z ponownie wypełnionym talerzem.

— Skoro masz z nimi tyle problemów, Polly, to moim zdaniem powinnaś po prostu ogolić głowę — oznajmiła Stella. Polly otworzyła szeroko oczy. — Tak, na kulę bilardową. Z najwyższą przyjemnością wezmę brzytwę. Za friko.

— No cóż, Stello, zapewne jesteś specjalistką od łysych głów, nie? — Patrzyły na siebie złowrogo, z Polly wznoszącą się jak wieża nad drobną, ale wojowniczą Stellą. Lacey im przerwała.

— Polly, znałaś Angie Woods? Jak myślisz, co się stało tamtej nocy?

— Stało? Angie? — Polly wydawała się zaskoczona. — Kiedy?

— Tej nocy, kiedy umarła.

— Umarła? O rany, lepiej pogadam z Boydem.

Polly obiecała przesłać Lacey informacje o pokazie mody i odmaszerowała w swoich ogromnych szpilkach z lakierowanej skóry. Stella poprowadziła Lacey z powrotem do stołu.

— Wiedźma. Daję słowo, że kiedyś jej przywalę.

— Tylko nie zapomnij swojej procy, Dawidzie. Możemy już iść? — spytała Lacey.

Ale dołączyła do nich Jamie Towers, pracująca ze Stellą w salonie w Dupont Circle. Jamie miała sprężyste loczki i pełną życia osobowość, której nie była w stanie zamaskować nadmiarem czarnej kredki do oczu i fioletowymi paznokciami. Wbrew własnej woli tryskała entuzjazmem i wyglądała na mniej niż swoje dwadzieścia cztery lata. Może dzięki wielobarwnym włosom — jasnobrazo-wym, z paskami jaskrawego pomarańcza i czerwieni jak u klauna.

— Stella, byłaś niesamowita! Tak jakbyś myślała, że ktoś zabił Angie i że ona nie zrobiła tego sobie sama, ale gliny są za głupie, żeby to zauważyć, tak? Łaa! — Kontemplowała tę koncepcję, chrupiąc marchewkę. — To bardzo odważne. — Jamie wpatrzyła się w Lacey. — A ty, tak jakby, coś z tym zrobisz, tak? Superancko!

Lacey rzuciła Stelli ponure spojrzenie.

— Ja wcale nie...

Wysoki, smukły mężczyzna rzucił się na krzesło obok Stelli.

— Długo jeszcze ten dramat potrwa, jak myślicie?

Na orlim nosie miał okulary w drucianych oprawkach. Poprawił je środkowym palcem i rozejrzał się wokół. Ciemnokasz-tanowy kosmyk włosów opadał mu prowokacyjnie na czoło. Czarne spodnie i biała lniana romantyczna koszula dopełniały wizerunku targanego emocjami artysty. Nie należał, uznała Lacey, do heteroseksualnych fryzjerów.

— Troszeczkę przegiełaś, co, Stella? — powiedział. — Naprawdę uważasz, że małństwo za bardzo kochało swoje włosy, żeby umrzeć?

— A ty jak myślisz? — spytała Stella.

— Ja myślę, że salon był zamknięty przez dwa dni tylko po to, żeby dało się posprzątać ten krwawy bałagan, który zostawiła. Po prostu zrujnowała mi kalendarz.

— Nie bądź sukinsynem. Ona się nie zabiła, Leo.

— Oczywiście, że się zabiła. Angela Woods nie była na tyle ważna, żeby ją ktoś mordował.

Oczy Stelli ciskały sztylety, a jej krwiste paznokcie nabrały groźnego wyglądu, gdy je rozpostarła na stole.

— Może ona nie, Leo, ale ty jesteś. — Odpowiedział tylko prychnięciem.

— Leo, to jest Lacey Smithsonian. Wiesz, ta Lacey

Smithsonian od *Zbrodni w modzie*. Lacey, to jest Leonardo, *ten* Leonardo. Pracował obok Angie. Czasami zachowuje się prawie jak człowiek.

— Kochana, słodka Angie. *C'est la vie*. Była taka młoda i naiwna.

Podzieliłem się z nią tym, co mogłem. Moimi zdolnościami, moim doświadczeniem, moim *je ne sais quoi*. Moja wizytówka.

Lacey przyjęła podaną wizytówkę.

— Dlaczego Angie miałyby się *zabić*, skoro była wschodzącą gwiazdą? Nie na to tak ciężko pracowała?

— Bo nie umiała sobie poradzić z byciem w centrum uwagi. A poza tym Marcia Robinson powinna była być moja.

Lacey dużo słyszała o wybuchowym Leonardzie. Żadnego nazwiska, tylko Leonardo. Był największą gwiazdą w Stylettos i chodzącym koszmarem według Stelli. Często w wyniku jego tyrad inne stylistki wybuchały płaczem. Odmawiał przyjmowania swoich klientek, jeżeli były „niewierne”. Umawiał za dużo klientek na dzień i kazał im czekać godzinami, albo znikał na całe dni i zmuszał innych, żeby go zastępowali. Leonardo wyprostował się i skupił całą uwagę na Lacey.

— A więc to pani jest tą bojowniczką mody z „Eye”. Nie mogę uwierzyć, że nie spotkaliśmy się wcześniej. Ale, oczywiście, Stella wszystko mi o pani opowiedziała. Uwielbiamy pani rubrykę. I ma pani wspaniałe włosy. Szkoda ich dla Stelli.

Leo chwycił garść włosów Lacey i przeczesał je palcami, ciągnąc delikatnie, po czym pozwolił im opaść na miejsce.

— Dobra tekstura, waga w porządku. Niech się pani zapisze do mnie, skarbie, kiedy Stella gdzieś wyjedzie. Tylko lepiej jej nie mówić. — Mrugnął do Stelli i uściśnął dłoń Lacey.

— Nie podobałaby ci się, Leo — warknęła Stella. — To jedna z „tych”.

— Znaczą z tych, co upierają się, żeby wszystko było tak, jak chcą? Nieładnie, nieładnie. Lacey, musi pani pamiętać, kto jest specem.

Tak. Ja. To moje włosy. Ja jestem specem.

— Pan wybaczy, Leonardo — powiedziała Lacey. — Moją fryzjerką jest Stella. Boję się ją rzucić.

Westchnął.

— Proszę przyjść tak czy inaczej, pogadamy o *Zbrodniach*... Wie pani, że to, co kobiety w tym mieście robią ze swoimi włosami, to czysta zbrodnia. Czy można uwierzyć, że ciągle się domagają białych pasemek? Boże. A jest przecież tyle nowych możliwości. To nonsens. Niedobrze się robi, nie? Bierzesz kobietę lat dwadzieścia pięć, robisz jej na głowie hełm z białymi pasemkami, i co wychodzi? Kobieta, która wygląda na lat czterdzieści pięć. Oczywiście, D.C. jest pełen przedwczesnych matron i przedwczesnych przyków. Zapomnij o spandeksie i kup sobie spodnie od dresu.

Prywatną misją życiową Leo było rozprawienie się z monopolem włosów wyglądających jak hełm z pasemkami, tak popularnych w Waszyngtonie.

— Leo, proszę mi powiedzieć, dobrze pan znał Angie?

— Będzie mnie pani cytować? — Leonardo zastanowił się przez chwilę, ważąc każde słowo, obliczając jego efekt. — Byliśmy blisko, bardzo blisko. Trudno o tym mówić. — Urwał i wcale nie wydawał się zawstydzony swoimi wcześniejszymi uwagami.

Pojawiła się Josephine i położyła dłoń na ramieniu Leonarda.

— Chodź, *cheri*. Jesteś mi potrzebny. — Leonardo oderwał się od stołu, rzucając przez ramię: — To wielka tragedia.

Lacey patrzyła, jak Josephine czepia się go i dokądś prowadzi.

— Tych dwoje zawsze trzyma się razem — poinformowała Stella.

— O co mu chodziło, kiedy powiedział, że Marcia powinna była być jego? — spytała Lacey.

— Marcia była właściwie zapisana do Leonarda, kiedy przyszła po raz pierwszy — wyjaśniła Jamie. — Ale on dostał „wirusa z Virginia Beach”.

— Jamie uniosła oczy do nieba. — Sam zadzwonił, że jest chory, ale do Angie przestał się odzywać, kiedy zrobiła Marcii świetną nową fryzurę i dostała się do wszystkich gazet. Całkiem niefajnie.

— Nieważne — wtrąciła Stella. — Prawnik Marcii i jej matka, która jest bliską przyjaciółką pani Josephine Radford, powiedzieli pannie Robinson, żeby nie dała się sfotografować, dopóki nie

zrobi czegoś z tymi kudłami i nie straci paru kilo. Josephine chciała, żeby zajęła się nią jej gwiazda, Leo. W formie specjalnej przysługi. Nikt nie uważał, by chodziło o coś szczególnego, więc Leo zrobił sobie wagary. A skoro go nie było, dałam Marcie Angie. Reszta jest w gazetach. Leonardo nigdy jej nie wybaczył, że dostała szansę.

Jamie twierdząco pokiwała głową.

— Albo tego, że miała większy talent niż on. Dla mnie to było totalnie super, że Angie dostała pochwały za to, co zrobiła, bo wszyscy znani fryzjerzy to faceci. — Skrzywiła się. — Zauważyłyście to? To jest takie... no wiecie? — Młodsza fryzjerka pochyliła się naprzód. — No to, Lacey, napiszesz coś o pogrzebie?

— Oczywiście, że coś napisze — zapewniła Stella. — Tylko musi to najpierw przemyśleć. — Stella zastukała wymanikiuro-wanymi paznokciami w stół. — No więc, co myślisz, Lacey?

— Myślę, że czas na mnie. — Lacey wzięła torebkę i wstała. Jamie złapała bułkę i poszarpała na drobne kawałki.

— Wiesz co, to trochę zabawne, ale śmierć Angie była jak ta gra, co w nią gramy, nie, Stella? Wiesz, która — szepnęła Jamie. — Salon śmierci. Stella westchnęła.

— Wcale nie.

— Słucham? — Lacey nastawiła uszy. — Salon śmierci?

— A właśnie, że tak, tak jakby. Oczywiście, nie gramy w Salon samobójstwa. Tylko morderstwa. — Lacey przysiadła na skraju stołu i wzięła miniptysia z talerza Stelli.

— Jamie, powiedz mi coś o tej grze.

— To nie ma z niczym nic wspólnego — wtrąciła się Stella.

— Ale chciałabym to usłyszeć, zwłaszcza jeżeli nie ma z niczym nic wspólnego — nalegała Lacey.

Stella wzruszyła ramionami.

— Jeżeli myślisz, że te stojaki na peruki są trochę upiorne, to będziesz zachwycona.

Jamie zebrała wszystkie kawałki bułki i zgmiotła je w rękę, po czym ugniatała powstałą kulę palcami.

— No bo czasami robi się naprawdę nudno, nie? No więc pewnego dnia zaczęliśmy tak sobie rozmawiać i w ogóle, jak łatwo byłoby zabić kogoś w salonie. Jest masa sposobów. Głównie to mówiłyśmy, jak... no, właściwie to zabijamy Szczurka. Czasami Josephine, albo wyjątkowo wkurzającą klientkę, jak Sherri Gold. Ale właściwie Salon śmierci to jest taka nasza wymyślona gra, jak Cluedo. W Cluedo masz te takie miłutkie plastikowe narzędzia zbrodni? W Salonie śmierci mamy takie miłutkie plastikowe nożyczki i suszarki, i miski na szampon, i w ogóle. — Jamie przerwała, żeby złapać dech i napiła się łyk coli. — W Cluedo zgadujesz, kto to zrobił, jak, no wiesz, zabił Pułkownik Musztarda w Kuchni Świecznikiem? W Salonie śmierci zgadujemy, jak by zabić Szczurka? Na przykład, Leo przy umywalce otruł go rozpuszczalnikiem.

— A jak by się to dało zrobić? — spytała Lacey.

— Trzeba by go przytrzymać i wlać mu do gardła — odpowiedziała Stella. — To by rozwiązało sprawę.

Jamie bawiła się zabłąkanym lokiem, owijając go wokół palca wskazującego, na którym paznokieć był obgryziony do skóry.

— Jest dużo różnych takich chemicznych środków, wiesz, do prostowania, farby, utleniacze. Wszystko totalnie toksyczne. I dużo łatwopalnych. A do porażania prądem jest taka naprawdę stara maszyna do trwałej w magazynie. Nawijali włosy na takie porąbane pręty, podłączone do drutów na tej maszynie, i włączali prąd. To było jakoś strasznie dawno, lata dwudzieste, pięćdziesiąte czy coś. Jest niesamowita. Mówimy na nią Meduza. Mają taką samą w Muzeum Smithsonian, rany, nazywa się całkiem jak ty! Kurczę, nigdy o tym nie pomyślałam!

— To bardziej oryginalne niż wrzucenie suszarki do wody — stwierdziła Stella. — W Salonie śmierci dostaje się punkty za oryginalność.

— A lakier do włosów i zapalki? — spytała Lacey. — Jak miotacz ognia?

— Właśnie — przyznała Jamie. Najwyraźniej mogłaby zrobić niezłą karierę jako projektantka gier. *Albo masowa morderczyni*. — Każdy ma swoją ulubioną metodę.

— Naprawdę? Stella, jaka jest twoja? — Lacey podciągnęła frytkę z talerza Stelli, ale zignorowała minihotdoga. *Rany, kto tu załatwiał catering?*

Stella przewróciła oczami i rozgryzła marchewkę.

— Aha, połamałabyś mu kości? Pasuje do ciebie — pochwaliła Lacey.

— Stella ma tego dosyć. Teraz jeśli o tym rozmawiamy, każe nam składać wszystkie ręczniki.

— To tylko zabawa, Lacey — powiedziała Stella. — Ale po Angie...

— A co o tej zabawie myślała Angie? Miała ulubioną metodę? Może brzytwę? — pytała Lacey.

— Nie przepadała za tym. Była tak jakby przeciw przemocy — odparła Jamie. Zniżyła głos. — Leo mówił, że poderznąłby Szczurkowi gardło brzytwą. To oczywiście raczej oczywiste. Ale kiedy pomyślę o Angie... Nagle Jamie zabrakło pary. Oczy jej zaszły łzami i zaczęła szlochać. Stella podała jej świeżą czarną serwetkę z logiem Stylettos do otarcia oczu. Popatrzyła na Lacey i podała jej drugą.

■ ■ ■

Nastąpił jeszcze jeden łzawy moment za sprawą matki Angie. Mimo zaczerwienionych oczu, Adrienne Woods w wieku lat pięćdziesięciu wciąż była ładną kobietą, w południowym stylu, który wymagał zarówno dobrych manier, jak i starannego wyglądu. Rodzina trzymała się razem, jakby obawiając się kolejnego brutalnego rozdzielenia. W ramach demonstracji wsparcia za Adrienne chodziły krok w krok jej dwie niemal dorosłe córki, obie brązowookie blondynki: siedemnastoletnia Abigail, środkowe dziecko, i Allison, najmłodsza, piętnastoletnia. Każde wspomnienie Angeli Woods przynosiło świeże łzy.

— Jedyne, czego zawsze chciała, to sprawiać, żeby ludzie byli szczęśliwi. Nie zasłużyła na to — szlochała Adrienne.

Lacey chciała wiedzieć, czy Angie nie miała ostatnio objawów depresji. Adrienne odpowiedziała, że każdy bywa od czasu do czasu smutny, ale Angie była cała szczęśliwa, odkąd dostała

pracę w salonie w Dupont Circle, a uznanie, jakie ją spotkało po transformacji Marcii Robinson, sprawiło, że tryskała radością. Po pogrzebie i stypie Lacey czuła się wykończona. Bliskie kontakty z tyloma obcymi sprawiały, że czuła się nieswojo, a od Salonu śmierci dostała gęsiej skórki. Chciała wysuszyć całą wilgoć łez, które popłynęły na nią w czasie tych wszystkich uścisków. Nagle wydało się, że otwiera się przed nią ścieżka. Stella będzie musiała złapać ją potem. Lacey wyobraziła sobie, że jest niewidzialna, i popędziła do drzwi.

Rozdział 5

Ciekawe, że na pogrzebie go nie widziałam. Miał ponad metr osiemdziesiąt, szerokie ramiona i wąskie biodra, oraz parę muskularnych rąk. Do tego kręcone ciemnobrązowe włosy i, jak sądziła, prawdopodobnie brązowe oczy. Gdyby tylko mogła zobaczyć jego twarz. Lacey była już niemal za drzwiami, blisko wolności, kiedy machając Stelli, zerknęła kątem oka do lustra i dostrzegła w przelocie tego obcego mężczyznę. Odwróciła się na pięcie. Widok atrakcyjnego egzemplarza rodzaju męskiego był ostatnio coraz większą rzadkością.

Z miejsca, gdzie stała, widok był fascynujący. Przez chwilę podziwiała jego budowę, uświadamiając sobie nagle, że inne kobiety wokół niego zaczynają nadawać niewidzialne sygnały powitania. W powietrzu powiało testosteronem. Czują, jak jej własna krew zaczyna krążyć szybciej. *Skąd on się wziął?*

Polly stała niedaleko, prężąc się i czekając, aż zauważy całe jej metr osiemdziesiąt z kawałkiem. Podrzuciła włosy. Polly zarzucała włosami iście fachowo i próbowała uwodzicielsko podnieść wzrok, ale przy jej wzroście było to niełatwe. Mężczyzna jednak wydawał się całkowicie zajęty bufetem. Na pewno był przyzwyczajony do ciągnących ku niemu kobiet. Dzięki temu Lacey zyskała kilka dodatkowych chwil na przyglądanie się.

Usiłując zyskać lepszy kąt widzenia, zdołała się zbliżyć w celu wzięcia kieliszka wina. Odwrócił się i wpadł na nią. Oczy miał w kolorze trawy w lecie, a także długie rzęsy pod gęstymi, łukowato wygiętymi brwiami. Nie brązowe. Od razu uświadomiła sobie, że go zna.

O Boże. To nie może być Victor Donovan, niespokojny duch. Zakręciło jej się w głowie i omal nie rozlała wina.

Donovan był szefem policji w miasteczku Sagebrush w stanie Kolorado, sześć lat temu, kiedy ona uciekła ze swojej posady reporterki w tamtejszej lokalnej gazecie. Powinien mieć teraz trzydzieści osiem lat. *A niech to, nadal jest przystojny. Drań jeden.* Donovan spędził dwa lata na bezlitosnym flirtowaniu z Lacey, która robiła kronikę policyjną dla „Sagebrush Daily Press”. Nie miała wątpliwości, że przynajmniej częściowo robił to, by odwrócić jej uwagę i uniemożliwić zdobycie informacji. Vic nie dawał jej spokoju, aż całe miasteczko zaczęło robić sobie z tego żarty. Lacey nienawidziła bycia obiektem żartów.

Miasteczko było niewielkie, z małym posterunkiem policji. Trudno było nie wpadać na siebie fizycznie, co im się okazjonalnie zdarzało. Iskry były widoczne gołym okiem. Odmawiała mu z wielu powodów. Przede wszystkim konflikt interesów. Po drugie, był żonaty, chociaż w separacji — zarówno prawnej, jak i kilkuset kilometrów. Vic twierdził, że to go nie obchodzi. Ale ją obchodziło. Bardzo proste. Była katoliczką.

Wszystko to rozgrywało się na oczach gliniarzy, świadków, którzy rzucali przebiegłe spojrzenia i mrugali. Lacey zastanawiała się, czy robili zakłady, kiedy w końcu powie Vicowi „tak”. Pewnie mieli loterię, kiedy zaciągnie ją do łóżka. Chciałaby móc cofnąć czas i okazać w tej całej sytuacji więcej rozumu, więcej ciętego języka, nie być taka boleśnie zielona. Wzięła głęboki oddech. *Uspokój się, Lacey. To było wieki temu. Nawet cię nie pamięta, a co dopiero mówić o rozpoznaniu.*

Przyglądał jej się. Jego brwi uniosły się w górę, wargi ułożyły w uśmiech. *Czy on musi mieć tak pięknie zarysowaną szczękę? Sprawił, że bez żadnego wyraźnego powodu przemknęły przez jej myśli: wiosna, drinki na balkonie, nowe buty Tony'ego.*

Zerknęła w dół. Donovan miał na nogach znoszone kowbojskie buty. Zapomniała, jak niezręczne się przy nim zawsze czuła.

— Lacey, Lacey Smithsonian? Rany. To naprawdę ty. Co ty tu robisz?

Rozejrzała się, żeby sprawdzić, czy ktoś na nich patrzy. Tylko zaskoczona Stella i parę innych fryzjerek, wszystkie na baczność.

Zrozumiała, z tym nagłym powiewem hormonów w powietrzu. Poziom estrogenu wzrastał. Stella pokiwała głową z wyraźną aprobatą. Jamie pokazała jej uniesiony kciuk. Leonardo wyglądał na zaskoczonego, a Polly na obrażoną. Nienawidziła, kiedy drobna kobieta łapała dostępnego wysokiego faceta.

— Proszę, proszę. Victor Donovan. Miło cię widzieć. — Lacey chciała tylko znaleźć się jak najdalej od niego. Jeżeli o nią chodziło, Polly mogła go sobie wziąć. Lacey określiła się na pięcie, ale nie dość szybko.

— Nie tak prędko. — Chwycił ją za ramię i określił z powrotem. — Nie widziałem cię od ilu lat... pięciu? Sześciu? — Szybko zerknął na jej lewą rękę. — Mamy trochę do nadrobienia.

— Wcale nie. — Strząsnęła jego dłoń z ramienia.

— Co znowu?

— Nic. Muszę iść.

— Chyba nie jesteś na mnie ciągle wściekła? — Wydawał się zaskoczony. — Cholera, tego nigdy nie mogłem zrozumieć.

— Ja też nie. Pewnie jakaś toksyczna reakcja. Vic parsknął śmiechem, pokazując białe zęby.

— Zmieniłem się, Lacey. Jestem starszy i mądrzejszy.

— Stary mądry wilk?

— Wilk! Szczeniak jestem, Smithsonian. — Lacey spojrzała na jego lewą rękę. Była wciąż naga, ale to nic nie znaczyło. — I już nie jestem żonaty, Lacey. — Zirykowało ją, że zauważył to spojrzenie. — Nie martw się. Tym razem powinniśmy po prostu być przyjaciółmi.

— Co to ma znaczyć, tym razem? Co ma znaczyć „przyjaciółmi”?

Vic nie używał perfum, ale od czegoś kręciło jej się w głowie. Sięgnęła po kanapkę, żeby dodać sobie siły.

— Ma znaczyć przyjaciółmi. Czysto platonicznie. Co ty na to?

— A ja na to, co ty tu u diabła robisz? Dlaczego nie jesteś w Kolorado? — Niepotrzebna jej była „przyjaźń” z Vikiem Donovanem. *Dlaczego nie siedzisz w jakimś gnieździe grzechotników, gdzie twoje miejsce?*

— A ty dlaczego nie? — Poprowadził ją w stronę pustego stołu za stojakami na peruki. Każde damskie spojrzenie — i kilka innych — ich śledziło.

— Ja tu mieszkam. A ty jakie masz usprawiedliwienie?

— Ja też tu mieszkam. W pewnym sensie. Nie wiedziałem, że muszę cię prosić o pozwolenie, Smithsonian. Jest jakiś formularz do wypełnienia?

— Mieszkasz tu? Od kiedy?

Vic wyjaśnił, że wracał na Wschodnie Wybrzeże etapami, najpierw z Sagebrush do Steamboat Springs w Kolorado, jako szef policji przez trzy lata, a w końcu z powrotem do Wirginii. Teraz pomagał tacie w prowadzeniu agencji bezpieczeństwa, która ostatnio miała za dużo zleceń, a Boyd Radford był nowym klientem, mającym poważny problem z kradzieżami dokonywanymi przez pracowników. Tata Vica nie miał już tyle pary i chciał, żeby syn przejął firmę, ale Vic nie mógł się zdecydować. Ciągle miał dom w Steamboat Springs. Lacey pamiętała niejasno, że Vic był synem wojskowego i dorastał w różnych miejscach w całym kraju: do podstawówki chodził w Colorado Springs, kiedy ojciec był w NORAD, do liceum w Alexandrii w stanie Wirginia, kiedy tata był w Pentagonie. Teraz mieszkał w McLean, niedaleko domu rodziców, usiłując podjąć decyzję, czy kupić tam coś własnego. Był tu od dwóch miesięcy.

— I jakoś nie miałeś czasu zadzwonić — prychnęła Lacey. Natychmiast tego pożałowała.

— Nawet nie wiedziałem, że tu jesteś! Myślałem, że ciągle siedzisz gdzieś w Denver, z rodzicami. A poza tym, dlaczego miałbym do ciebie dzwonić? Nawet mnie nie lubisz.

Lacey spędziła barwne dwa lata na opisywaniu z bliskiej odległości Vica i jego gliniarzy w Sagebrush. Jeździła za nim do morderstw, samobójstw, niezliczonych bójek w barach

i samochodów rozbitych po pijanemu, nawet do skrzyni kradzionego dynamitu, która przyciągnęła tłum nieznośnych agentów federalnych. Vic zabierał ją na łowy, mimo protestów aroganckich palantów z Biura do spraw alkoholu, tytoniu i broni palnej. Bycie szefem policjantów przychodziło mu w sposób naturalny, dobrze sobie radził z dowodzeniem ludźmi, kontaktami z prasą, z ranczerami w radzie miejskiej, którzy nie mogli zrozumieć, dlaczego uważa, że potrzebuje wozów patrolowych nowszych niż odziedziczone po jaskiniowcach. Lacey wyrobiła sobie umiejętności reporterskie jako formę samoobrony. Nauczyła się, jak skłonić Vica i jego gliniarzy, żeby podsuwali jej informacje o brudach w biurze szeryfa hrabstwa, a szeryfa i jego ludzi wykorzystywała, by zdobyć wewnętrzne informacje o Vicu i jego chłopakach. Samego zaś Vica zgarnęłaby w mgnieniu oka, rzucając kronikę policyjną, gdyby naprawdę był do wzięcia. Gdyby nie był takim podrywaczem. I gdyby całe miasteczko nie przyglądało im się z zapałem, jakby byli bohaterami jakiegoś idiotycznego serialu.

— Całkiem cię lubię, draniu jeden. No więc, dlaczego wykopali cię ze Steamboat?

Vic prychnął z irytacją.

— Steamboat nic do mnie nie ma, dziękuję. Ale prawdziwe pieniądze są w ochronie dla firm, a żeby robić dalej karierę w policji, musiałbym zaryzykować większe miasto z większymi problemami. Albo stawać do wyborów na szeryfa. W Kolorado wciąż są wybieralni, wiesz. A sama pamiętasz, jak kocham politykę.

— Zaraz, niech ja to sobie wyjaśnię. Przeprowadzasz się do Waszyngtonu, D.C., żeby uciec od polityki i zamieniasz bycie szefem policji na liczenie butelek szamponu w zaszczurzonym magazynie? Rany, ale kariera.

— No, twoja też najwyraźniej kwitnie, Smithsonian. W Dystrykcie pewnie mieszkasz z tą swoją szurniętą ciotką, jak jej tam? Minnie? Mammie? I widzę, że dałaś sobie spokój z gazetami. Mogłem przewidzieć, że dziewczyna z taką klasą skończy jako fryzjerka. Na pewno robisz świetną trwałą.

Lacey poczuła, jak gorąca krew napływa do jej policzków.

— Nie jestem fryzjerką! — oznajmiła o wiele za głośno. Spojrzenia, które odpłynęły, z powrotem skupiły się na ich stole. — Więc twoim zdaniem, wyglądam jak fryzjerka? Jestem dziennikarką! Mam własną rubrykę! W dużym waszyngtońskim dzienniku!

Stella pojawiła się nad ramieniem Lacey — święte oburzenie przyciągało ją niczym magnes.

— Właśnie. Lacey jest superdziennikarką. W „Eye Street Observer” nie mają nikogo lepszego.

— Ach, „Eye Street Observer” — powiedział z namaszczeniem Vie. — To co innego. Jak rozumiem, dla „Washington Post” byłaś za dobra. — Lacey buzowała w milczeniu. — Czy „Observer” to nie coś w rodzaju szmatławca dla ubogich?

Lacey otworzyła usta, ale usłyszała głos Stelli.

— O, nie! „Eye” to totalnie prawdziwa gazeta. A Lacey jest najlepszą dziennikarką od mody w Waszyngtonie, ze wszystkich.

— Stella, proszę... — zaczęła.

— Prowadzisz rubrykę o modzie? — zdziwił się Vie. — Na pogrzebach? To chyba trochę upiorne, Lacey, wykorzystywać jakąś biedną dziewczynę, która się zabiła w paskudny sposób?

— Ja ją zaprosiłam — huknęła Stella Vicowi prosto w twarz. — A przyszła, żeby zbadać morderstwo, a nie samobójstwo! To było morderstwo, do ciężkiej cholery, i Lacey znajdzie tego, co to zrobił.

— Stella? — Lacey nie wiedziała, które z nich wkurza ją bardziej. Stella mrugnęła do niej w tej samej chwili, gdy Boyd Radford chwycił ją za ramię i odciągnął.

— Jasne. — Teraz Vie się roześmiał. — Specjalistka od mody znajdzie mordercę. Nie zapomnij włożyć do pościgu szpilek.

Lacey obdarzyła go stalowym spojrzeniem.

— Jestem dobrą dziennikarką, Vie. Wiesz o tym. Stella może mieć w tym rację. A dziennikarze cały czas badają zbrodnie, nie pamiętasz? Nigdy nie słyszałeś o dziennikarstwie śledczym?

— Tak, wiem, jakie śledztwa robią dziennikarze śledczy. Ktoś inny odwała brudną robotę. Wy dodajecie kilka cytatów, trochę redakcji i gotowe! Pulitzer w rękę.

— Hej, robiłam kronikę policyjną. Wiem, jak zdobywać własne...

— Jasne. Teraz jesteś reporterką od mody w wielkim mieście. Czyli tych morderców poznajesz... właściwie jak? Mają zabójczy styl?

— Vicu Donovane, kogo ty usiłujesz oszukać? Wiem o tobie wszystko. Byłeś szefem gliniarzy w miasteczku, gdzie niemal sam musiałeś sobie kupować amunicję. Fala zbrodni to była kradzież nart albo dzieciaki ganiające krowy w kradzionym traktorze. Skandal seksualny był, kiedy otwarto salon masażu, a pastor go zamknął. Przez cały czas, kiedy tam byłam, miałeś dokładnie jedno morderstwo. I rozwiązałeś je chociaż, wielki detektywie? Więc mi nie mów, jak się prowadzi śledztwa!

Lacey wstała. Żałowała, że dopiła swoje wino, bo z radością by je na niego wylała. To byłaby idealna chwila. Akurat wtedy dobiegł ich dźwięk tacy przystawek spadającej na ziemię. Jamie i Michelle zbierały resztki. Lacey powiodła wzrokiem za spojrzeniem Vica i zobaczyła, jak Radford ciągnie Stellę za parawan zakrywający umywalki. Boyd najwyraźniej uważał, że parawan jest dźwiękoszczelny, albo że Vic i Lacey dostarczają wszystkim dość zajęcia.

— Stella, co ty do cholery wyprawiasz? Nie możesz mi tego robić!

— Mówię twojemu nowemu specowi od ochrony prawdę. To nie było samobójstwo.

— Nie bądź kretynką.

— Nie jestem żadną kretynką, palancie.

— Według policji zabiła się sama.

— Na litość boską, Boyd, wierzysz na słowo policjantom z D.C.? Co oni mogą wiedzieć? Co ich obchodzi jakaś głupia fryzjerka? Wiesz, co mi powiedzieli, kiedy mówiłam: „Spójrzcie na te włosy”? Powiedzieli: „Wy wszystkie macie upiorne fryzury”. Rany boskie!

— Wbij to sobie do głowy przez te sterczące kudły. Angela się zabiła. I wystarczy. Stylettos nie potrzebuje więcej złego pijaru — oznajmił Boyd.
— Ja też nie.

— No, może ty masz coś do ukrycia. Ja nie mam. — Zza parawanu rozległ się odgłos mocnego policzka. Lacey odskoczyła prosto na stopę Vica.

— Przepraszam — szepnęła. Pomógł jej odzyskać równowagę, a potem puścił.

Zza parawanu wypadła rudowłosa kula ognia, a chwilę potem wyłonił się Boyd, pocierając policzek. Unikając wzroku Lacey, ruszył w stronę baru. Lacey pociągnęła Stellę do siebie.

— Stella? Nic ci nie jest?

— Mnie nie, ale ten skurczybyk będzie miał powód do zmartwień, kiedy zaczniesz zadawać pytania. — Cała ta scena najwyraźniej dodała Stelli energii. — Lacey dowie się wszystkiego o śmierci Angie. W całym tym obrzydliwym mieście nie ma lepszej dziennikarki od mody.

— Na pewno — zgodził się skwapliwie Vic.

— Jeszcze jedna rzecz o Lacey, ona naprawdę zna się na niuansach — dodała Stella.

— O tak, zawsze się znała — przyznał Vic.

Lacey miała więcej niż dość. Jedną ręką chwyciła ramię Stelli, a drugą swoją torebkę.

Boyd Radford patrzył ze złością, jak maszerują do wyjścia. Rzucił Stelli wrogie spojrzenie, wciąż masując szczękę.

— A teraz pewnie wszystkie nasze brudy pojawią się w tej taniej szmacie — warknął. — I to twoja przyjaciółka, Stello. Możesz mieć przyjaciółkę albo pracę. Jak wolisz.

Lacey odwróciła się w drzwiach akurat na czas, żeby zobaczyć Josephine podchodzącą do Boyda ze złośliwym uśmiechem na ustach i pełnym kieliszkiem wina w dłoni. Popatrzyła mu w oczy i chlusnęła mu wszystko w twarz.

— Jeśli nie zrobisz sceny, to przyjęcie się nie liczy, co, Boyd? *Cholera, ja to chciałam zrobić*, pomyślała Lacey. *Dlaczego mój kieliszek jest zawsze pusty?*

Lacey Smithsonian

KAWAŁKI O MODZIE

Okaż trochę szacunku: to pogrzeb, a nie przyjęcie koktajlowe

Nie wiesz, co założyć na pogrzeb? Nie jesteś sama. Większość z nas sięgnęłaby po prostu po coś czarnego. Dla wielu kobiet oznacza to nieśmiertelną małą czarną, tę samą, która przydała się na wczorajszym przyjęciu koktajlowym, na ostatnim weekendzie spędzonym w klubach, na balu dobroczynnym w zeszłym miesiącu i na przyjęciu bożonarodzeniowym w zeszłym roku. Ale strój wieczorowy nie jest odpowiedni na pogrzeby. Chyba że umarła zta czarownica i zaproszono cię na paradę.

Zostaw małą czarną w spokoju. Pamiętasz ten czarny, granatowy czy w każdym razie stonowany kostium, który musiałaś kupić, bo czekała cię rozmowa o pracę, ale którego nigdy nie nosisz, bo jest zbyt dotujący? Ten kostium nadaje się w sam raz na pogrzeb. Są jednak ludzie, którzy boją się wtedy ubierać na czarno. Prawdopodobnie dlatego, że ubierają się tak na śluby, do teatru i na kawę w Starbucksie. Ale cokolwiek w końcu wybierzesz, nie powinno to być za obcisłe, za krótkie, zbyt wycięte ani zbyt ozdobne. Może nie jesteś pewna własnych uczuć co do zmarłego. Nie okazuj tego. Oto kilka dobrych rad:

- Woalka zakrywająca twarz sugeruje nieutulony żal, więc należy się tylko najbliższym członkom rodziny, u których jest to uzasadnione.
- Nie wypada kochance pokazywać się na pogrzebie we wdowim stroju. To jest przywilej wdowy, a jeżeli wdowa ma rozum, zabroni wpuszczania nieodpowiednich żałobników.
- Jeżeli już musisz założyć tę matą czarną, upewnij się przynajmniej, że nie odstania za wiele, i pomyśl o przykryciu jej jedwabistym rozpinanym swetrem albo dobrze skrojonym żakietem, żeby wyglądać trochę poważniej.

- Stroje tenisowe i inne sportowe nie są zalecane, tak samo jak pastelowe czy jaskrawe kolory, hawajskie koszule, bluzki na ramiączkach i sukienki bez nich.

Oczywiście rady te nie dotyczą okazjonalnych zwariowanych pożegnań, kiedy nieodżałowany zmarły pozostawił instrukcje, by wszyscy bawili się do świtu i wypili za niego czy za nią toast (albo i dziesięć). W takim przypadku baw się dobrze w swojej malej czarnej.

Rozdział 6

Niektórzy ludzie mają swoje drobne rytuały, pomagające im odprężyć się po ciężkim tygodniu. Drink. Gorąca kąpiel. Dobra książka. Nieznajomy w przypadkowym barze.

W piątek wieczorem Lacey poszła prosto do starego kufra ciotecznej babci Mimi.

Rano dowlokła się do biura, dokończyła swój *Kawałek o modzie* na temat strojów stosownych na pogrzeby, który naszkicowała po stypie, przeczytała tekst do swojej rubryki zatytułowany *Tego chyba nie założysz?* w porannym wydaniu, pomyślała o artykule na przyszły tydzień, wyrzuciła stos informacji prasowych, powiedziała Stelli, że pracuje nad swoją strategią — po czym zrozumiała, że temat oświecania kobiet w kwestii eleganckiego ubierania się oraz walki z chciwymi projektantami i wielkim biznesem będzie musiał poczekać. Musiała się stąd wyrwać.

W domu przebrała się w wygodniejszy strój — dzinsy i stary szmaragdowozielony sweter. Sprzątnęła stosik pism z pokrywy kufra, który służył jej także jako stolik do kawy. W środku znajdowały się wykroje babci Mimi z późnych lat trzydziestych i czterdziestych minionego wieku.

Był to kufer pełen marzeń. Kiedy przekładała ilustrowane koperty, mogła dostrzec cuda wyobraźni, które widziała Mimi. W kufrze było wszystko, od spodni i kostiumów po suknie wieczorowe. Mimi zachowała każdy wykroj, jaki w życiu

kupiła, starannie dopasowując wycięte zdjęcia gwiazd filmowych ubranych w coś podobnego do tego, co zamierzała odtworzyć. Katharine Hepburn ubrana na spacer w plenerze, w spodnie i bluzkę, a la *Żebro Adama*, 1949. Barbara Stanwyck jako największa kusicielka we wspaniałej sukni od Edith Head w *Podwójnym ubezpieczeniu*, 1944.1 Joan Crawford, uosobienie kobiety interesu, w praktycznym kostiumie z *Mildred Pierce*, 1945. Mimi uwielbiała nutkę dramatyzmu.

Mimi Smith cieszyła się wśród krewnych nie najlepszą sławą pokreconej staruszki, mającej zwyczaj zaczynania projektów, których nigdy nie kończyła. Jej kufer pełen był wykrojów, które kupiła, ale których nigdy nie otworzyła, albo zostawiła wykonane do połowy czy ledwo zaczęte. Niektóre wykroje były wciąż przypięte do częściowo skrojonego materiału. Mimi była kapryśną krawcową — dowody tego leżały w kufrze. Kawałki niektórych strojów były tylko sfastrygowane. Inne zostały odrzucone na bok tak szybko, jakby między jednym ścięciem a drugim nastąpił wybuch Wezuwiusza — rękaw dokończony, dziurki obrębione, ale dół nie podłożony i guziki nie przyszyte. Na pięć rzeczy, jakie zaczęła, może jedna została skończona. Ale wyrzucić ich nie mogła. Po prostu chowała je, zawijała w bibułkę materiały, których zamierzała użyć, krepę, wełnę, bawełnę. Najwyraźniej miała zamiar wrócić do pracy i kiedyś dokończyć odłożone ubrania. Lacey często się zastanawiała, dlaczego aż tyle pozostało niedokończonych — może Mimi zabrakło nici, a kiedy poszła je kupić, zakochała się w innej sukni? Pozostawały niby zamrożone wspomnienie czasów, w których kobiety zachęcano do szycia. Mimi miała dobre pomysły i świetne wyczucie stylu, ale mało wytrwałości. Pod koniec lat czterdziestych kolekcja z nieznanym powodów przestała się powiększać. Żadnych więcej wykrojów, projektów, zdjęć gwiazd filmowych. Zamknęła kufer i zostawiła Lacey przypadkowy wehikuł czasu. Zawsze skutecznie przenosił ją do bardziej eleganckiej epoki.

Wiele rzeczy różni obie płcie, ale żadna tak bardzo, jak prosta wyprawa na ubraniowe zakupy. Mężczyźni na widok ubrań myślą o rozmiarze. Koszule, spodnie, marynarki, buty — jeśli

tylko pasują, kupują je. Idą do domu i oglądają mecz. *Blabla, ubrania dobre! Teraz Tarzan nie być goły. Tarzan chce Jane na golasa.*

Kobiety widzą suknię i wyobrażają sobie nastrój, moment, scenariusz. *Ta sukienka byłaby idealna na plażę o zachodzie słońca, bosy spacer wzdłuż wody, z falami liżącymi mi stopy. W ręku trzymam na później sandałki z rzemyków. Do tego szeroki słomkowy kapelusz z jasnoniebieską wstążką wokół główki, spiętą starą kameą. Znakomite na kolację przy świecach na tarasie eleganckiej restauracji z widokiem na Morze Śródziemne. A potem może taniec przy świetle księżycy...*

Fakt, że scenariusz ten jest zdecydowanie nieprawdopodobny — że nie ma w planach wakacji na plaży i żadne romantyczne spacery nad wodą o zmierzchu nie rysują się na horyzoncie — nie powstrzyma kobiety usidłonej przez idealną sukienkę. Zazwyczaj weźmie się w garść i westchnie. Nie kupi jej, bo w końcu jest niepraktyczna, ale poczuje się lepiej, bo przez jeden moment była na tej plaży i czuła morski wietrzyk. Ktoś czekał na nią w tamtej restauracji, a ona wyglądała idealnie.

Wykroje babci Mimi sprawiały, że Lacey czuła się tak właśnie.

„Moja ciotka była stukniętą staruszką”, zawsze mawiał jej ojciec. Ale Lacey nigdy tak o Mimi nie myślała. Przechowywała jej oficjalny portret w wieku lat dwudziestu pięciu, zrobiony w 1945 roku, pod koniec wojny. Wpływy Hollywood były widoczne w jej zmysłowym spojrzeniu i kusząco wzburzonej fryzurze. Ręcznie kolorowany portret pokazywał piękność o wysokich kościach policzkowych, zielonych oczach i ciemnokasztanowych włosach. Mimi patrzyła na świat z wyrazem radosnego oczekiwania i odrobiną swojej legendarnej „dziwności”. Lacey zawsze czuła się bliższa Mimi niż komukolwiek ze swojej rodziny.

Pod wpływem filmu z roku 1939 z Jimmym Stewartem, *Pan Smith jedzie do Waszyngtonu*, Mimi zmieniła nazwisko z powrotem na Smith. Rodzina była oburzona. „Nikt nie zmienia nazwiska na Smith! Tylko przestępca chciałby się nazywać Smith”. Ale Mimi była nieugięta. Chciała się nazywać Smith i tak pozostało.

Na początku wojny opuściła rodzinny dom i pojechała do Waszyngtonu, zamierzając zostać łowczynią przygód, a nie szczęśliwą kurą domową. Była czarną owcą rodziny Smithsonianów.

„Kompletnie walnięta”, twierdził ojciec Lacey. Steven Smithsonian rzadko się odzywał, a jeśli już, to w celu wypowiedzenia tego, co oczywiste, lub powtórzenia cudzej opinii. Zazwyczaj się mylił. „Mimi Smith w życiu niczego nie doprowadziła do końca” było jego ulubionym powiedzonkiem.

Tak naprawdę, to raz na jakiś czas Mimi udawało się coś dokończyć. Był taki moment w czasie drugiej wojny światowej, kiedy w patriotycznym zapale przerabiania starych ubrań — do czego zachęcał rząd, by oszczędzać materiały dla wojska — Mimi podjęła wyzwanie. Podczas gdy jej brat, dziadek Lacey, był w amerykańskim wojsku i na którymś froncie został uznany za zaginionego w akcji, Mimi wyjęła z szafy jego najlepszy garnitur z niebieskiej serży i przerobiła go na kostium dla siebie. Wykroj, wzięty z popularnej broszurki *Oszczędzaj dla zwycięstwa*, był nadal w kufrze, razem ze starą książeczką. Kiedy jej brat pojawił się jednak żywy, marząc o chwili, gdy będzie mógł się przebrać z munduru w swój elegancki garnitur, wściekł się, odkrywszy, że nosi go Mimi. Przez dziesięciolecia jej tego nie darował, nieważne, ile razy Mimi próbowała mu wyjaśnić, że wszyscy byli przekonani o jego śmierci i że chciała w ten sposób uczcić jego pamięć.

Lacey czuła się swobodnie ze starszą panią wśród jej ciemnych mebli i nasyconych barw. Studenckie wakacje spędzane w domu Mimi Smith w Georgetown były kojące po zalewie pomarańcza, cytrynowej zieleni i tanich sosnowych mebli, którymi dręczyła rodzinę jej matka. A do tego Mimi miała własną bibliotekę.

Lacey odkryła kufer, kiedy miała piętnaście lat i sama przyjechała w odwiedziny do Mimi. Był wielki i czarny, z grubymi skórzanymi paskami, ekscytujący jak skrzynia z pirackimi skarbami. I stał na strychu, który Lacey także uwielbiała. Jednopiętrowy dom jej rodziców w Denver, w stylu ranczerskim, nie miał żadnych tajnych zakamarków do penetrowania. Żadnych piwnic, żadnych strychów, żadnych skarbów. — To go otwórz, Lacey, jak jesteś ciekawa.

Lacey niemal się bała rozczarowania. Zapięcie było sztywne, a pokrywa skrzypiała, gdy ją unosiła. Ale nie była rozczarowana kufrem Mimi pełnym wykrojów, materiałów i marzeń. To była

skrzynia cudów. Pełna starego lnu, welen, aksamitów i tego nowego, fascynującego materiału lat trzydziestych, sztucznego jedwabiu. Tkaniny, trzymane przez lata na suchym, dobrze uszczelnionym strychu, były nadal w dobrym stanie, tylko z leciutkim zapachem staroci. Jakimś cudem wszystkie wykroje miały rozmiar Lacey. „Nie mogłam się z nimi rozstać — wyznała Mimi. — Nie wiem dlaczego. Może trzymałam je dla ciebie”. Było to więcej, niż Lacey mogła sobie kiedykolwiek wymarzyć. Przy każdych odwiedzinach u Mimi pytała, czy może obejrzyć kufer. Mimi, stara piratka, była jej przewodnikiem. Nigdy nie dotarły do samego dna. Grzebały w nim razem, a Mimi opowiadała Lacey historie o randkach i potańcówkach, o muzyce i gwiazdach filmowych, o których przypominały jej stroje. A co jeszcze cudowniejsze, Lacey widziała, że te ubrania były zaprojektowane dla prawdziwych kobiet, z kobiecymi figurami. Z kobiecymi kształtami. Kobiet, które były zarazem mocne i kobiece. Kobiet z silną wolą. Kobiet, które miały piersi i biodra, i talię, której nie bały się pokazać. Dla kobiet takich jak ona. „Na tę twoją patykowatą siostrę by nie pasowały, prawda?” — skomentowała Mimi. Kiedy cioteczna babcia Mimi umarła, zapisała kufer Lacey, razem ze swoimi książkami, miękką aksamitną kanapą i wiśniowym kompletem do jadalni. Jej rodziców bardzo rozbawiła myśl, że Lacey najwyraźniej uważa te rzeczy za warte więcej niż stara porcelana i naczynia kuchenne, zostawione przez Mimi jej młodszej, wyższej i chudszej siostrze Cherise — która natychmiast sprzedała swój spadek na garażowej wyprzedaży. — Co u licha zamierzasz zrobić z tymi smętnymi starymi gratami? — dopytywała się jej mama. — Zamierzam je odnowić, kochać i cenić. — Może jakiś jasnożółty odcień czy pomarańczowe grochy by to ożywiły. — Taka była propozycja dla kanapy ze strony jej mamy, która uwielbiała wystrój w stylu fast-foodów. Była wstrząśnięta, kiedy Lacey wybrała nasycony, szafirowoniebieski aksamit na kanapę i adamaszek w ciemnoróżowe i granatowe pasy dla krzeseł do jadalni. — No, skoro mieszkasz w Waszyngtonie, przynajmniej nie będę musiała na to patrzeć — orzekła.

Jednak umiejętności krawieckie Mimi nie przeszły na nią razem z kufrem. Na szczęście Lacey znalazła krawcową w Darlington, która dokończyła i przerobiła dla niej kilka rzeczy. Alma Lopez umiała subtelnie modyfikować niektóre z bardziej staroświeckich cech z epoki, jak na przykład gigantyczne ramiona, nadając im wygląd bardziej naturalny, sprawiając, że stroje stawały się jednocześnie charakterystyczne i nowoczesne. Lacey zaczęła od dopasowanej czarnej sukienki i szmaragdowozielonego bolerka z czarnymi lamówkami z końca lat trzydziestych. Do tego była długa, zielono-czarna jedwabna szarfa do owijania w pasie. Był to klasyczny strój, z ironią ukrytą w szczegółach. Fakt, że przerabianie strojów Mimi przerażało jej mamę, która wolała dresowe komplety w neonowych odcieniach, był dodatkową zaletą. — Lacey, co ludzie pomyślą, jak cię zobaczą w tych śmiesznych starych ciuchach?

— Mamo, pomyślą, że jestem kimś wyjątkowym. (*A może, że jestem kompletnie rąbnięta, mam to gdzieś*).

Choćby nie wiem jak chciała, Lacey nie mogła sobie pozwolić na wykończenie więcej niż kilku strojów Mimi na rok. Ale zawsze, kiedy pragnęła poprawić sobie nastrój, grzebała w wykrojach i wybierała coś obiecującego. Stopniowo udawało jej się zmniejszać zawartość kufra i tworzyć unikalną, nietypową kolekcję garderoby.

Po tygodniu pełnym dezorientujących wydarzeń Lacey przyłapała się na tym, że poważnie myśli o sukni wieczorowej z dopasowaną talią, dekoltem w szpic i szerokimi rękawami. Mimi przyczepiła zdjęcie Rity Hayworth, wykonane w pełnym świetle reflektorów, około roku 1939. Było niezwykle efektowne i Lacey wyobrażała sobie obiecujący scenariusz.

Przytulny mały klub, trochę na uboczu. Orkiestra zaczyna grać starą piosenkę, trochę bluesową, kiedy nagle przystojny drań...

Pukanie do drzwi mieszkania przerwało jej zamyślenie. Pewnie sąsiad z pocztą. Rzadko się zdarzało, by listonosz powrzucał wszystko do właściwych skrzynek. *Za często się zmieniają mieszkańcy, czy może ma dysleksję*, zastanawiała się Lacey. Wyjrzała

przez maleńkiego judasza na gościa stojącego na korytarzu. Aż ją zatkało.
No nie, nie wierzę. Za kogo on się uważa ?

Lacey otworzyła drzwi, ale przytrzymała je uchylone. Wyglądał dobrze, za dobrze, miał na sobie dżinsy wytarte wszędzie tam, gdzie trzeba, wygodnie przechodzone buty, czarny golf i czarną skórzaną kurtkę przerzuconą nonszalancko przez ramię. Mężczyźni w czarnych swetrach, a zwłaszcza golfach, byli jej słabością. Uważała, że niemal każdy, który jeszcze oddycha, wygląda w nich dobrze. A Vic Donovan nie był byle jakim mężczyzną. Rękawy miał niedbale podciągnięte na przedramionach, widoczne były kręcone włosy nad nadgarstkami, co tylko przypomniało jej, że chciałyby wiedzieć, jakie są na jego torsie pod swetrem. Obstawiała również ciemne, kręcone. Jednak fakt, że Donovan stanął w jej drzwiach, był sam w sobie niepokojący.

— O do licha — powiedziała.

— Mogłabyś przestać robić miny i wpuścić mnie? — wyszczerzył zęby Vic. Podał jej sześciopak piwa.

— Jak się przedostałeś przez nasz znakomity system bezpieczeństwa? Budynek z czasów drugiej wojny światowej posiadał domofon przy drzwiach wejściowych. Jednak przyjaźnie nastawieni mieszkańcy, wchodząc albo wychodząc, śmiało wpuszczali całkowicie obcych ludzi. Oczywiście, działo się to w Old Town, gdzie przestępczość była niska.

— Wszedłem za dostawcą pizzy. Miałem nadzieję, że idzie do ciebie. Nie zadała sobie trudu, by zapytać, jak się dowiedział, gdzie mieszka. Biorąc pod uwagę jego zawód, byłaby to obraza. W dawnych czasach spokojnie umiałby wyrecytować Lacey szczegółową listę miejsc, gdzie widziano ją i jej samochód w dowolnym czasie, w dzień i w nocy.

— Niestety, to nie te drzwi. Możesz za nim wyjść.

— Lacey, wpuść mnie. — Ani drgnęła. — Słuchaj, naprawdę mi przykro, jeżeli cię wczoraj obraziłem. Nie chciałem. Byłem tylko zaskoczony.

— Też nie lubię niespodzianek.

— No to wpuścisz mnie?

— A jeżeli jestem zajęta?

— W takim razie poczekam, aż przyjdzie facet, z którym masz randkę. Będziemy mieli do pogadania.

Randkę? W takim razie możesz tu siedzieć do Bożego Narodzenia.

— OStylettos?

— Nie licząc innych tematów.

Zwyciężyła ciekawość. Zawsze w końcu zwyciężała, i dlatego wiecznie wysłuchiwała dziwacznych historyjek stukniętych ludzi. Lacey uważała, że jeżeli ma choć jedną reporterską cechę, to jest nią gorąca chęć usłyszenia, jak się kończy każda historia. Przeklęła samą siebie.

— No dobrze.

— Wiesz co, ty to umiesz faceta zniechęcić. — Wszedł do kuchni, otworzył piwo i zaoferował jej jedno. Resztę wstawił do lodówki i zatrzymał się na chwilę, by przyjrzeć się jej skromnej zawartości. — Powinienem był obrabować tego dostawcę. Chyba miał pepperoni.

— Umieję gotować. Tylko mi się nie chce. Chcesz trochę popcornu do tego piwa?

— Popcorn to żadna przystawka.

Wyjął piwo z jej dłoni i wstawił z powrotem do lodówki.

— Mam lepszy pomysł. Postawię ci kolację. Jest chłodno. Na twoim miejscu wziąłbym kurtkę.

Bez ruchu patrzyła na niego.

— Tak? Nie? To może w przyszłą środę? — spytał. Vic krążył po pokoju. Podejrzewała, że poszukuje śladów męskiej obecności. Rozgościł się na ciemnoniebieskiej, aksamitnej kanapie ciotki Mimi. — Całkiem miła.

— Nie rozsiadaj się za bardzo.

— Hej, co jest w tym kufrze?

— Puszka Pandory. — Szybko pozbierała wykroje, wsunęła je do środka i zamknęła kufer. Zapięła pasek na pokrywie, nałożyła buty i owinęła się swoim czarnym żakietem niczym zbroją. Zawahała się. — Czego ty właściwie chcesz, Vic?

Wstał.

- Kolacji. I zawieszenia broni.
- Właściwie to jestem trochę głodna.
- Widziałem twoją lodówkę, więc ci wierzę.
- Mówiłeś coś o byciu przyjaciółmi...
- To dla ciebie nowa koncepcja?

Lacey wypchnęła go przez drzwi na korytarz i zamknęła za sobą drzwi na klucz.

— Jeżeli chodzi o ciebie, tak. Może byś się ruszył? Padam z głodu. Oczywiście, że miał jeepa zaparkowanego za budynkiem, ciągle na tablicach z Kolorado. Jakoś wiedziała, że to typ faceta z jeepem wranglerem. I wiedziała, że mechanika będzie w idealnym stanie, ale samochód nie za czysty. „Brudny jeep to szczęśliwy jeep”, pamiętała jego słowa. Było w nim akurat w sam raz bałaganu: kilka map, butelka wody. Z tyłu zamknięta metalowa skrzynka z narzędziami, z niewielką torbą spakowaną na wypadek czegoś nagłego. Vic był uosobieniem skauta. Jeep był także wyposażony w dobry system dźwiękowy, więc słuchali w milczeniu starej płyty Toma Waitsa, bluesa w tonacji kryminalnej. Nie musieli cały czas gadać.

Ostatni raz widziała Vica Donovana w Sylwestra, w knajpie Złoty Pantofelek w Sagebrush w Kolorado, sześć lat temu. Był to największy bar w miasteczku, z parkietem do tańca. Jej ówczesny chłopak był obrażony, bo wyjeżdżała, odrzuciwszy jego oświadczenia. Zaskoczył ją pierścieniem z brylantem, żeby przekonać do pozostania, ale nie podziałało — tylko ją wystraszyło. Odwołała sylwestrowe plany i poszła z trójką innych singli z „Daily Press” na imprezę do Złotego Pantofelka. Niewiele pamiętała z tamtego wieczoru — oprócz jednej niezapomnianej chwili. W jakiś niepojęty sposób, kiedy wybiła północ, naczelnik Donovan ni stąd ni zowąd stał przed nią. Obejmował ją ramieniem, z dłonią na talii. Przyciągnął ją do siebie i wolną ręką przechylił jej twarz do góry. Pochylił się i pocałował ją. Nie dał jej czasu na zastanawianie się. Ten manewr kompletnie ją zaskoczył,

ale pocałunek oddała. Nie ma co zaprzeczać elektryczności, która przez nią przebiegła. W końcu ją puścił.

— Nie mogłem pozwolić, żebyś wyjechała bez pożegnania. Żegnaj, Lacey. Powodzenia. — I zniknął w kłębiącej się masie kowbojów, rozbawionych dziewczyn i górników.

Na pewno o tym nie pamięta. Pewnie był pijany. Co prawda, nie przypominała sobie, by kiedykolwiek widziała go pijanego. Zawsze ją denerwowało, że pamięta pocałunek Donovana, ale ledwo pamięta tego drugiego mężczyznę, tego, za którego mogła wyjść za mąż, którego pocałunki nie pozostawiły żadnego trwałego wrażenia.

Donovan zabrał ją do baru grillowego nad rzeką, na południe od Alexandrii, ze ścianami z sękatą sosny, ozdobionymi głowami jeleni i łośi. Gdy tylko weszli i powitał ich aromat grillowanego mięsa, napłynęła jej ślinka do ust. Vica powitała brunetka o kręconych włosach, w frędzlastej mini i kowbojskich butach, oraz ze spojrzeniem, które wyraźnie mówiło: „Witaj, kowboju”. Skierowała ich do przegródki w części dla niepalących, pod ogromną głową bizona. Zamówili piwo i steki, średnio wysmażone i ze wszystkimi dodatkami.

Lacey rzuciła się na swój, rozkoszując się każdym kęsem. Rzadko jadła większe posiłki, ale ponieważ pochodziła z Kolorado, od urodzenia kochała porządne steki. Przymknęła oczy z rozkoszy, a kiedy je otworzyła, odkryła, że ją obserwuje. W jego oczach pojawiły się znajome iskierki.

— Wydawałaś takie ciche pomruki. — Uniósł szklanekę, gestem wskazując kelnerce, że chcą dwie kolejne.

— Wcale nie.

— Wcale tak. Takie cichutkie mruzcando. Czyli pewnie nie jadłaś porządnie przez ostatni tydzień czy dwa. Zgadza się?

— Bydlak z ciebie, Vic, wiesz?

— Widzę, że dieta popcornowa nie poprawia dziewczynom nastroju.

— Mam świetny nastrój.

— „Powiedziała ze złością”. — Pojawiły się dwa kolejne piwa.

— Lubisz mnie wkurzać, co?

— Zawsze lubiłem. Ładnie się złościysz. — Wyszczерzył się i łyknął zimnego piwa. — To nic złego lubić jedzenie. Mężczyźni lubią kobiety ze zdrowym apetytem. Twój wygląda całkiem zdrowo.

Nie wiedziała, co odpowiedzieć. Czy to była aluzja do jej wagi? Zignorowała go i zajęła się kęskami pozostałymi na talerzu. Ale próbowała maksymalnie ograniczyć efekty dźwiękowe.

Vic skończył swój stek i był w rozmownym nastroju. Ich awantura na pogrzebie była zakazanym tematem. Spróbowali kilku niezobowiązujących. Kolorado. Wirginia. Lacey wyznała nawet, że uwielbia kwitnące wiśnie w Dystrykcie i chciałaby kiedyś pojechać nad Tidal Basin i zobaczyć je wcześniej rano, zanim nadciągną tłumy. Chciała zobaczyć wschód słońca i wypić kawę na schodach pomnika Jeffersona, ale chciała mieć to wszystko dla siebie. Vic pokiwał głową. Sam ich nie widział od liceum.

W końcu dotarli do starych czasów.

— No! więc, co się stało z tym twoim chłopakiem?

— Ożenił się z kimś innym. — Urwała. — A co się stało z twoją żoną?

— Wyszła za kogoś innego. Po rozwodzie. Za kogoś, kto zostanie grzecznie pod pantoflem.

— Mądra kobieta. Jakies dziewczyny?

— Nic trwałego. A u ciebie?

— Stella ci nie powiedziała? Roześmiał się.

— Mówi, że jesteś całkiem wybredna.

Nasyciwszy Lacey wołowiną i piwem, Vic uznał, że czas wypowiedzieć zakazane słowo: „Stylettos”.

— A nawiązując do twojego śledztwa. Powiedz mi coś więcej o swojej teorii. Co planujesz?

— Jasne. Zaczynasz od kolacji i komplementów, a chodzi ci tylko o informację.

— Przecież mówiłem, że o to mi chodzi.

Lacey wściekała się w milczeniu. *Nawet jeżeli ja cię nie chcę, mógłbyś mieć dość uprzejmości, żeby chcieć mnie.*

— Właściwie to mówiłeś o kolacji i zawieszeniu broni. Informacja jest dwukierunkowa.

— Kierunki zmienimy potem, Lacey. — Zamówił kawę. — Stella wydaje mi się dość narwana, łagodnie mówiąc. Nie myślisz, że przegina z tą swoją teorią o morderstwie?

— Zawsze przegina, ale nie jest tak, że jej nie wierzę.

— Radforda naprawdę wkurzyła.

— Nie chciałeś powiedzieć „naprawdę uderzyła”? Szczurek boi się po prostu, że klientki uciekną, jeżeli usłyszą, że w salonie kogoś zamordowano. Samobójstwo to wystarczający problem — powiedziała Lacey.

— Szczurek?

— Tak fryzjerki nazywają ukochanego szefa. — Lacey zdała sobie sprawę z tego, że broni Stelli przed Vikiem. Stella zmieniła się ze sterczącowłosej harpii, która doprowadzała Lacey do szału, w szlachetny i jedyny głos sprawiedliwego. To nie aż takie wariactwo, mówiła Lacey Vicowi. — Ta śmierć wygląda podejrzanie. W życiu Angie nie było żadnej depresji ani samookaleczeń.

— Według Stelli?

— Tak. Wiem, że ona dużo gada, ale moim zdaniem nie kłamie.

Widywałeś samobójców, Vic. Dlaczego Angela Woods miałyby to sobie zrobić?

— Tego nie widziałem.

— No dobra, kolego — oznajmiła Lacey. — Twoja kolej. Vic wyznał, że miał pewne wątpliwości w kwestii pracy dla Radforda, który już kilka razy zmieniał firmy ochroniarskie, stawiając idiotyczne wymagania co do czasu pracy i personelu. Ale pieniądze były za dobre, żeby z nich rezygnować. I to było zlecenie jego taty. Morderstwo, o ile to było morderstwo, skomplikowałoby wszystko jeszcze bardziej.

— Jak myślisz, kto kradnie szampon?

— Dopiero zacząłem. A kogo ty podejrzewasz, Lacey?

— To nie mój problem, Vic. — *Będę musiała zapytać Stellę.*

— Radford twierdzi, że do nas należy ograniczyć znikanie zapasów i nie potykać się o żadne trupy. Mnie to odpowiada. Ale

ciągle przed czymś ostrzegał. Może za bardzo zaprzecza. Powiedział, że mam nie słuchać „tej wariatki Stelli” — ani ciebie. Ty jesteś tylko „walniętą dziennikarką”. To, oczywiście, już wiedziałem.

— Istny czaruś z tego Szczurka.

— Powiedz swojej przyjaciółce, żeby uważała.

— Stelli?

— Tylko marzy, żeby ją pod jakimś pretekstem wyrzucić. Właściwie to robił się siny, kiedy tylko usłyszał jej imię.

— Wygląda mi to na nadciśnienie, ale wyrzucić jej nie może. Wie, gdzie pochowali wszystkie trupy.

— Znaczy?

— Raz się z nim przespalała i wie, które jeszcze się ugięły przed obietnicą kierowniczego stanowiska. Jeżeli spróbuje czegokolwiek, narobi potwornego wrzasku i wytoczy mu proces o molestowanie.

Vic słyszał od Radforda, że rozgłos towarzyszący magicznej odmianie Marcii Robinson przez Angie znakomicie poprawił obroty Stylettos. Ale bogowie kaprysów publiczności, którzy uśmiechnęli się do Stylettos, mogli odwrócić się równie szybko. Im mniej ludzi słyszało o śmierci Angie Woods, tym lepiej, powiedział Vicowi Radford.

— Jest przerażony, co możesz napisać w tej swojej, cytuję „brukowej szmacie”. — Vic uniósł szklanke w jej stronę. — Nie miałem pojęcia, że masz takie wpływy, Lacey.

— Jestem królową mody, Vic. — Uniosła wzrok do nieba. —

Najpotężniejsi drżą przed moimi słowami.

— Tak jest, proszę pani. Ale jeżeli znajdziesz cokolwiek, o czym powinienem wiedzieć, masz mi powiedzieć. Jasne?

— Nie wracasz aby do Steamboat?

— Jeszcze się nie zdecydowałem.

— Już nie jesteś szefem glin. Westchnął.

— To zlecenie dla taty wiele znaczy. Musi pilnować swojej reputacji. Byłbym wdzięczny za każdą informację, którą mogłabyś przekazać. Proszę.

„Proszę" nie było słowem, które w jakikolwiek sposób kojarzyło jej się z Vikiem, ale nie okazała zaskoczenia.

— Jasne, kowboju, ale pamiętaj, że to działa w obie strony.

Lacey zamówiła bardzo drogi deser, bardzo czekoladowy i bardzo niezdrowy. Wiedziała, że potem za niego zapłaci dodatkowymi ćwiczeniami. Na razie zapłacić mógł Vic. On sam deseru nie zamówił, ale wziął widelec i zjadł trochę z jej porcji.

Z powrotem jechali w milczeniu, słuchając jakiegoś słodkiego country swingu. Vic odprowadził ją do drzwi domu i upewnił się, że bezpiecznie weszła do środka. Przyszło jej do głowy, że mógłby ją pocałować na dobranoc. Ale, oczywiście, nie pocałował. Odczuła jednocześnie ulgę, zdziwienie i irytację.

Przepadło, była tego pewna. Jeśli miała cokolwiek, co przyciągało do niej mężczyzn, to coś zniknęło. Zabrał to Waszyngton — i czas.

Rozdział 7

Kłócenie się z fryzjerką było tylko odrobinę mniej bezsensowne niż walenie głową w ścianę, uznała Lacey.

— Posłuchaj mnie, Stello, nie znoś, jak ktoś mi mówi, co mam robić. Jasne? Nie rozumiesz?

Stella pozostała niewzruszona.

— Tak? Powiedziałam ci, żebyś sobie dała zrobić pasemka, i dałaś.

— Pasemka! Czy naprawdę muszę ci mówić, że pasemka i śledztwo w sprawie morderstwa to dwie różne rzeczy?

— Pasemka wyglądają świetnie, a teraz prowadzisz śledztwo.

— Jeżeli spróbuję przyjrzeć się śmierci Angie, zrobię to po swojemu.

Jako dziennikarka, a nie detektyw. Cokolwiek zrobię, musi to pomóc w napisaniu tekstu, który mogę wcisnąć mojemu naczelnemu. Zgoda?

— Totalna.

Lacey zgodziła się wypić ze Stellą kawę w sobotę rano. Jak zwykle była to kwestia życia i śmierci. Dlatego uparła się na Lepiankę, podupadłą, ale uroczą kawiarenkę niedaleko King Street w Old Town, pełną pisarzy stukających w laptopy. Miała zwyczaj wpadania tam w sobotnie poranki, więc pomachała paru osobom, które rozpoznała.

Lekkie zaniedbanie Lepianki było miłą odmianą. Old Town Alexandria, po drugiej stronie Potomacu, utrzymane jest general-

nie w agresywnym stylu kolonialnym, z licznymi odniesieniami do Ojców Założycieli Wirginii i wszystkiego, co się wiąże z George'em Washingtonem. Wiele starych domów w Old Town ma zawsze rozsunięte zasłony, żeby przechodnie mogli nabożnie spoglądać na autentyczne meble z epoki i oświetlone portrety czcigodnych kolonialnych przodków. Stella mogłaby co prawda kręcić nosem na taką snobistyczną dzielnicę, ale tutaj nikt nie mrugnąłby okiem na widok jej sterczących krótkich włosów, kilkunastu kolczyków i całej tej skóry. Dzisiaj miała na sobie sukienkę z amerykańskim dekoltem z fioletowej skóry, sznurowaną na biuście z nader dramatycznym efektem, w rodzaju wagnerowskiej Walkirii w staniku push-up. Stella połączyła ją z krótką czarną skórzaną kurtką ze złotymi błyskawicami wyhaftowanymi na plecach i rękawach. Lacey miała na sobie luźne spodnie khaki i jasnoniebieską dopasowaną bluzkę. Jej strój był wygodny i atrakcyjny, ale nie robiła takiego wrażenia, jakiego Stella była mistrzynią.

— Gdzie ty kupujesz te ciuchy? — spytała Lacey.

Stella uśmiechnęła się z zadowoleniem nad fioletowym zasznurowanym biustem.

— Świetna kiecka, nie? Dostałam ją w jednym sklepie ze skórą w Georgetown. Jestem stałą klientką, więc do mnie dzwonią, jak mają coś ekstra w moim rozmiarze. Powinnaś się kiedyś ze mną wybrać.

Dzielna, szlachetna Stella z ostatniej dyskusji z Vikiem znowu była osobistym problemem Lacey. Opisanie śmierci Angie w *Zbrodniach w modzie* było wedle planów Stelli tylko początkiem. Ale nie spodziewała się dodatkowej pomocy, która pojawiła się w postaci Brooke Barton. Jasnowłosa intruzka, wyglądająca bardzo świeżo w szortach do joggingu i granatowej bluzie z kapturem, chociaż już po biegu, wmaszerowała do kawiarni i zauważyła Lacey.

— Aha! Wiedziałam, że cię tu znajdę — rzekła ucieszona. Lacey nie rozumiała.

— Brooke, byłyśmy umówione?

— Nie, ale masz swoje przyzwyczajenia, a skoro jest dziesiąta rano w sobotę, pijesz mocha latte w Lepiance. Więc mów, co nowego. — Złapała krzesło i usiadła.

Stella i Brooke spojrzały na siebie z niepewną miną. Lacey przedstawiła je.

— Aa, słynna Stella od pasemek. Miło cię poznać.

— Mnie też. — Stella nie wyglądała na zadowoloną, ale Brooke ją zignorowała. Przeszła prosto do rzeczy czyli spisku, jak zwykle.

— Marcia Robinson pokazała się na pogrzebie? — Lacey pokręciła głową. — Szkoda. Może to nieprawda, że mordercy przychodzą na pogrzeby ofiar.

Stella była przerażona.

— Myślisz, że Marcia zabiła Angie?

— Moja główna podejrzana.

— Pudło. Dlaczego miałyby zabijać Angie? Przecież to dzięki niej wyglądała tak super.

— Kto wie, jakie straszne tajemnice Komisji do spraw drobnej przedsiębiorczości Marcia mogła wypaplać? I komu?

— Brooke ma rację — wtrąciła Lacey, gdy biust Stelli nadał się niepokojąco. — Marcia objęta jest kongresowym śledztwem.

— Zgadzasz się z nią? Myślisz, że Marcia załatwiła Angie?

— Tego nie powiedziałam. Ale uważam, że jest coś w tym, co mówi.

— I Marcia miała filmy porno z najdziwniejszymi ludźmi — dodała Brooke. — Nikt nawet nie wie, z jakimi i z iloma. Może ta twoja Angela Woods była między nimi.

Stellę wreszcie замуrowało. Ale miała nerwy ze stali. Jej geniusz polegał na tym, że potrafiła przetrzymać każdego, jak kot, czekała więc tylko, aż Brooke wyjdzie. Przy stole zapanowała cisza, którą w końcu złamała Brooke. Zerknęła na zegarek i powiedziała do Lacey:

— Słuchaj, wieczorem mam zeznania, więc czas na mnie. Zadzwoń później. Bądź ostrożna. Tu się kręci masa prawdziwych świrów. —

Spojrzała na Stellę. — Stello, ja bym słuchała, co mówi Lacey. To może być niebezpieczne. — Żartowała, ale Stelli nie

wydało się to śmieszne. Brooke wyszła z kawiarni i z podskakującym blond warkoczem ruszyła biegiem ulicą.

— Przydałoby jej się strzyżenie — powiedziała Stella.

— A co, składasz ofertę?

— Nie, przekazałabym ją w ręce Lea. — Stella uśmiechnęła się diabelsko. — No dobra, teraz kiedy ta mądrała już sobie poszła, możemy pogadać o twoim śledztwie. I Angie nie była żadną lalą z pornosów. Słowo. Była czysta, w dobrym słowa znaczeniu.

Lacey postanowiła napisać coś o młodej fryzjerce i jej tragicznej śmierci. Bardziej niepokojące było naleganie Stelli, że ma się również bawić w detektywa. Brzmiało to co prawda fascynująco i mogłoby przynieść ciekawe wyzwania w kwestii ubioru, ale sam pomysł był absurdalny. Była dziennikarką. Tak czy inaczej, znaczyłoby to bieganie po nieuchronnie ciemnych uliczkach i narażanie się na drwiny Vica. *Znowu Vic*. Jej myśli wciąż do niego wracały. *Nie mam pojęcia, co czuję w kwestii Vica*, uświadomiła sobie. Ludzie nie znikali z życia Lacey po to, żeby się znowu pojawić. Kiedy ktoś zniknął, to na dobre.

— Stello, napiszę artykuł, ale co mam do powiedzenia? Że ciało miało fatalną fryzurę? Że fatalna fryzura oznacza morderstwo?

Lacey wzięła z torebki dwie tabletki środka przeciwbólowego, żeby uciszyć pulsujący ból głowy. To nie było fair. Wczoraj wypijała tylko kilka piw. Nie spała dobrze. Była na zmianę wściekła na Vica za takie zachowanie — pokazanie się w jej drzwiach i założenie po prostu, że w piątkowy wieczór będzie sama w domu — i zdezorientowana na samo wspomnienie tego dawnego pocałunku w Sylwestra.

— Okej, Stella, załóżmy, że będę się bawić w detektywa. Chcę wiedzieć tylko jedno. Co się stało z jej włosami?

— Włosami? Jakimi włosami?

— Angie. Co się stało z włosami?

— Mowa o włosach? — przewal im ochryply południowy głos z charakterystycznym rytmem. — Włosów nie ma. Już długo. Bo były długie, prawda?

Imponujące fioletowe szpony położyły przed Lacey wściekle różową ulotkę. Dostrzegła słowo JASNOWIDZ wydrukowane na dużym oku Horusa. Najwyraźniej było to logo.

— Witam. Nie chciałam przerywać, ale czytam z kart, dłoni, twarzy, co tam macie. Jestem Marie Largesse. Właśnie otworzyłam tu za rogiem punkt. Sklepik Horusa. Sprzedajemy kryształy, olejki, książki o medytacji. Tarota.

— Niezła nazwa — pochwaliła Lacey. — A co miało znaczyć to o włosach?

— Włosach? A, tak mi się jakoś powiedziało. Nie wiem. Już mi uciekło. Może chodziło o jej włosy — powiedziała, uśmiechając się do Stelli. — Nie ma ich, prawda?

Potężna kobieta wpłynęła do kawiarni niczym transatlantyk, tworząc za sobą widoczne fale. Czarna letnia sukienka, mocno wycięta z tyłu, odsłaniała jej ramiona, białe i okrągłe jak brzozowe polana. Odsłaniała także mnóstwo tatuaży, wśród nich dwoje wielkich oczu, po jednym na każdej łopacie: Oczy Horusa, wszystkowidzące, oczy umysłu z mitologii egipskiej. Przez jedno ramię miała przerzucony czarny szal z wyhaftowanymi różowymi i szkarłatnymi różami. Wyglądała jak pulchna cygańska matrona. Bujna, nie gruba.

Stella chciała wiedzieć więcej — jej własna wróżka ostatnio nie spełniała oczekiwań. Lacey była uprzejma. Wzięła od Marie wizytówkę i dała jej własną.

— A więc to ty. Oczywiście, *Zbrodnie w modzie*. Zawsze to czytam. Myślę o tym tekście i niuansach. Moim zdaniem, było w tym coś jasnowidzącego.

— Sama jej to powtarzam — wtrąciła Stella. — Niuanse.

— Możliwe. Odbieram tu dużo wibracji — oznajmiła Marie. — Też je czujecie?

Lacey spojrzała na Stellę, sześćdziesiąt kilogramów dygoczących wibracji.

— O, tak, czuję — powiedziała.

— Powinnyście się skupić na swojej płaszczyźnie duchowej — oznajmiła Marie. Stella uniosła brwi i pokiwała głową.

— Interesują mnie oczy Horusa — odezwała się Lacey.

Marie rozpromieniła się.

— Już myślałam, że nie zapytacie.

— Nie chcesz dać się zająć od tyłu? — domyśliła się Stella.

— Otóż to, skarbie. Niektórzy jasnowidze odbierają impresje w piersi, albo w brzuchu, albo w głowie, przez trzecie oko. U mnie to zawsze ramiona. Nie pytajcie dlaczego. Po prostu wibracje trafiają mnie w łopatki, najpierw w prawą, potem w lewą. Jakby ktoś mnie klepał w ramię, żeby przyciągnąć moją uwagę. Oczy Horusa zawsze wypatrują nadchodzących impulsów.

Marie podeszła do lady i zamówiła dużą latte i lepkie czekoladowe ciasto. Zaszła całkiem daleko na drodze do tego, by stać się ilustrowanym albumem *Historia za każdym obrazkiem*.

— Może nadałaby się do rubryki — zastanawiała się Lacey.

— Już masz o czym pisać — przypomniała Stella, wprawiając kawę w swoim kubku w wir. — Ta kawa smakuje trochę jak spalona guma.

— Nie smakuje ci?

— Zazwyczaj piję colę. Wiesz, „koka z dymkiem”. — Tak fryzjerki nazywały przerwę, chociaż zdaniem Lacey brzmiało to ponuro i nielegalnie.

— I tak próbujesz rzucić — powiedziała Lacey. — Słuchaj, jeśli chodzi o Angie, to nawet nie wiem, gdzie zacząć. Stella, słuchasz mnie?

Stella przyglądała się facetowi, który właśnie wszedł. Był dokładnie w jej typie: długie jasne loki, pięciodniowy zarost, motocyklowa kurtka i hełm, koło trzydziestki, raczej szczupły. Piękny Amor, który zszedł na złą drogę. Miał leniwy uśmiech, który skierował, pomijając Lacey, prosto na Stellę, a ona odpowiedziała znaczącym mrugnięciem.

— Coś wymyślisz, Lacey. Jesteś w zasadzie dobrym, przyzwoitym człowiekiem — powiedziała Stella. — Wbrew samej sobie.

Lacey trąciła stół i rozlała kawę na marmurowy blat.

— Wcale nie. Wolę mieć święty spokój.

— Przecież tak nie myślisz. — Stella wstała. — Chcesz dolew-kę? — Odpowiedziała na bezgłośny zew godowy blondyna przy ladzie. — Założę się, że ma fajny motor.

— Interesują cię tylko jego tłoki.

— Przejrzałaś mnie na wylot, Lacey. Byłabyś świetnym detektywem.

Kilka minut później Stella wróciła z bajglami i kawą. Oznajmiła, że ona i niejaki Bobby Saratoga, posiadacz motocykla, spotkają się na drugi dzień, żeby obejrzyć koncert muzyki bluegrass w Glen Echo Park. Lacey zatkąło. *Niech szlag trafi zagłuszenie feromonów w Pentagonie*, pomyślała.

— Jak ty to robisz? Rany! — Lacey dostrzegała, że Stella, mimo bycia punkową boginią, miała jakiś wdzięk chochlika, nawet z włosami na jeża. A jej kolekcja skórzanych gorsetów przyciągała mężczyzn niczym magnes.

— Żaden problem, Lacey. Zostawiam sygnały włączone. Nie wyłączam wszystkiego jak ty. Musisz się tylko obudzić. A poza tym, jak często widzisz takich facetów w Circle?

Duża i nader widoczna populacja gejów w Dupont Circle sprawiała, że nie było to najlepsze miejsce dla kobiety na poszukiwanie wolnego mężczyzny. Nawet Stella mogła doświadczyć niedoboru mężczyzn w Waszyngtonie. Ale Stella brała sprawy w swoje ręce. Albo w dekolt. Teraz wsypała do kawy trzy torebki cukru, spróbowała i dosypała jeszcze dwie.

— No więc, skoro już mówimy o facetach, powiedz mi, czy zamierzasz się przespać z tamtym? A może już się to stało?

— Z jakim tamtym? O kim ty mówisz? — głos Lacey poszedł w górę i kilku pisarzy odwróciło się, żeby na nią spojrzeć.

— Nie udawaj, że nie wiesz, o kim mówię. O tym z pogrzebu, z rzesami i niezłym tyłkiem.

— Mowy nie ma. Doprowadzamy się do szału. A poza tym ledwo go znam.

— On mówił co innego. Słyszałam, że między wami jest jakaś historia. — Stella postukała paznokciami w blat.

— Stella, nie bądź głupia.

— Czyli zamierzasz się z nim przespać.

— No i widać, że nic nie wiesz. Co o mnie mówił?

— Tylko że jesteście starymi przyjaciółmi.

— Nie wierz w nic, co mówi. Drań. — Tabletki jeszcze nie podziałały. Opuściła bolącą głowę na stół. Marie zatrzymała się w drodze do drzwi i poklepała Lacey w ramię. Niepewnie podniosła głowę.

— Przyjdź do mnie do Sklepiku Horusa. Dam wam obu specjalną zniżkę na początek. I Lacey, coś o tym ciemnowłosym mężczyźnie. Naprawdę go pociągasz.

Lacey znowu rozlała kawę.

— O jakim mężczyźnie? — *Rany boskie, czy mam tego Vica wypisanego na czole?*

— Z zielonymi oczyma. — Marie mrugnęła i w drodze do wyjścia dalej rozdawała wizytówki klientom kawiarni.

Stella siedziała zadowolona, jak kot, który zjadł kanarka razem z klatką.

— Czyli naprawdę się z nim prześpisz! Super!

— Stella, zamknij się.

W zmrużonych oczach Stelli pojawił się znajomy błysk.

— Wiesz co, Lacey. Przecież zależy ci na tych twoich włosach. Jak myślisz, gdzie byś znalazła drugą fryzjerkę, która umie je zmusić, żeby robiły dokładnie to, co chcesz?

— Stella, szantaż na mnie nie działa.

— Szantaż z włosami działa zawsze. — Stella pomachała Lacey przed nosem kluczem z breloczkiem. — I do tego wiem, gdzie możesz zacząć w sprawie Angie. W jej mieszkaniu. Powiedziałam jej mamie, że tam pójde.

— Do jej mieszkania? — Lacey zmiękła. — Nie masz siły sama, co?

— To naprawdę ciężkie. I takie raczej przerażające, wiesz. Skoro nie żyje i w ogóle. — W oczach Stelli nagle zaśniły łzy.

Proszę, tylko nie to. Jeżeli zaczniesz płakać, to ja też.

— W porządku. Nie musisz iść sama. — Lacey chwyciła klucze Angie.

— Prowadź, kobieto w skórce.

Rozdział 8

Adrienne Woods nie była w stanie pójść do mieszkania swojej zmarłej córki i grzebać w jej rzeczach. Poprosiła Stellę o zabranie kilku osobistych drobiazgów i oddanie reszty na cele charytatywne. Wręczyła jej skromną listę przedmiotów do przyniesienia: trochę biżuterii, listy, zdjęcia, pluszowego misia, ozdobny dzbanuszek do herbaty, kilka innych drobiazgów. I, oczywiście, była to dla Lacey kolejna szansa na znalezienie ważnej wskazówki dotyczącej stylu i zakończenie sprawy, ot tak, przynajmniej według wszytkowiedzącej fryzjerki.

— Kolejna przejażdżka w wózku Barbie? — spytała Lacey, przyglądając się małemu czerwonemu autku Stelli.

— Wszyscy wiedza, że Barbie jeździ w różowej korwecie. Też bym chciała. I ty. Przynajmniej ja mam kółka. I to ładniutkie. — Tutaj Stella miała rację.

W nowym autku Stelli Lacey zapięła się starannie i zaczęła się modlić. Perspektywa kolejnej jazdy z prędkością światła w mini cooperze sprawiła, że zatęskniła za swoim 280ZX. Miał być gotowy w poniedziałek, za jedyne trzysta dolarów. Coś tam z wtryskiem paliwa. Po kilku chwilach ciszy — której chyba wołałaby nie przerywać — Lacey spytała:

— Stella, posłuchaj, nadal chcę wiedzieć jedno. Co się stało z włosami? Musiało być dobre pół metra gęstych jasnych włosów.

Gdzie się podziały? — To pytanie nie dawało jej spokoju. — Poleciały na ziemię? Ktoś je zmiotł do śmieci? Pod fotelem leżałby wielki stos. Chyba że były odcięte jako warkocz albo kucyk i zachowane. Mogły być gdzieś w szufladzie?

— Nie wiem. Kiedy ostatni raz widziałam ją żywą, miała francuski warkocz z wplecioną niebieską wstążką. — Stella gwałtownie wyprzedziła białą hondę, która bezczelnie przed nią zwolniła.

— Przecież ty znalazłaś ciało. Nie pamiętasz?

— Boże, Lacey, ja nie chcę tego pamiętać. Znaczący, pamiętam tylko czerwień. Tylko że to nie był czerwony. To był ten okropny kolor zaschniętej krwi: ciemny, obrzydliwy brąz. — Wzięła głęboki oddech i patrzyła prosto przed siebie. — Okej. Myślę. Włosy. Widzę tylko jej głowę, jak spod kosiarki. Włosów nie widzę. Myślisz, że to ważne? — Mini zahamował gwałtownie za wielkim, szarym mercedesem. Lacey zamknęła oczy i wbiła stopy w podłogę w charakterze dodatkowych mocy hamulcowych.

— Musi być. Jeżeli nie ścięła ich sama, zrobił to ktoś inny. No więc co z nimi zrobił? Zabrał ze sobą? Czy jak?

— Lacey, staram się. Widzę, co miała na sobie. Firmowy kitel. Ten różowy. Nikt nie lubił tych różowych, oprócz Angie. Zakrwawiona brzytwa na blacie, lustro, krew. Włosów nie widzę.

— Ktoś to musi wiedzieć. I gdzie jest ta brzytwa?

— Chyba ją gliny zabrały. Teraz jej tam nie ma.

Ktoś musiał zabrać włosy. Jeżeli włosy naprawdę zniknęły, to musi być morderstwo. Czy to jakiś zboczeniec? Albo może ktoś chciał, żeby wyglądało na robotę zboczeńca?

— Masz nazwę i telefon firmy, która sprzątała miejsce zbrodni?

— Miejsce zbrodni? Jasne. Znajdę ci go — powiedziała Stella. — Tak, miejsce zbrodni. Cholera, prawda, miejsce zbrodni!

— Chcę tylko zapytać, czy widzieli te włosy. Mogli je sprzątnąć. To by było wytłumaczenie. To wszystko.

W samochodzie zapanowała cisza, każda z kobiet zatona w własnych myślach. W końcu Stella się odezwała.

— Wiesz, co jest okropne? Wybieranie ciuchów dla kogoś, kto nie żyje. Właśnie. Musiałam pojechać do jej mieszkania przed

pogrzebem, bo nikt inny nie mógł. Jej mama prosiła, żebym się tym zajęła, a ja się zgodziłam, pojęcia nie mam dlaczego. To wielka odpowiedzialność. No bo to koniec, na zawsze. Jej ostatni strój. Myślałam, że to powinny być ładne ciuchy, bo Angie lubiła ładne rzeczy, i takie raczej wygodne, nie za obcisłe, ale wyjątkowe, wiesz?

— Po śmierci moda już cię nie obchodzi. Chyba że jesteś starożytną Egipcjanką.

— Postanowiłam, że kiedy umrę, będę miała specjalny strój.

— Proszę cię, Stella. Nie mam siły na ciuchowy testament akurat teraz.

— Skóra, Lacey. Pamiętaj tylko: skóra jest na zawsze. Nikomu innemu nie ufam, nie zapomnij.

— Nie umrzesz.

— Boję się, Lacey.

— Mowy nie ma, żebyś umarła i zostawiła mnie z tym całym bałaganem.

— Chcę tylko wiedzieć, że się rozumiemy. Skóra. Może czerwona, albo czarna. Nie. Czerwona jest weselsza. I gorset. Ponadczasowy styl. Jak myślisz?

— Myślę, że jesteś strasznie dumna z tego ciała.

— To świątynia.

Mini z piskiem hamulców zatrzymał się przed małym apartamentowcem z czerwonej cegły w Del Ray, dawniej biednej dzielnicy Alexandrii, której prestiż i ceny szybko jednak rosły. Kiedy Lacey wysiadła z samochodziku, poinformowała Stellę, że następnym razem poprowadzi sama.

— Ha! Myślisz, że tego całego ZX-a jeszcze kiedyś zobaczysz? Moim zdaniem, ten krwiopijca mechanik sprzedaje ci po kawałkach nowy.

— Nazywa się Paul. Jest bardzo miły.

— Jesteś po imieniu ze swoim mechanikiem. Co ci to mówi? — Stella zamknęła wajchę na kierownicy mini. — Nigdy nie dostaniesz tego samochodu z powrotem. Spójrz prawdzie w oczy. Paul pewnie kazał go odciągnąć do hospicjum. Może mógłby być dawcą organów. Żeby inne ZX-y mogły przeżyć.

— Bardzo śmieszne, Stel.

— Gazeta musi ci płacić dosyć. Dlaczego po prostu nie kupisz sobie nowego? Na ten dostałam super upust. Chociaż flaga kosztowała ekstra.

— Słuchaj, większość ludzi traktuje samochody jak maszyny. Jak lodówki albo tostery. Włączasz do kontaktu, robi tosta. Pewnego dnia się budzisz, nie robi tosta, wyłączasz go z kontaktu i kupujesz nowy toster. Mój ZX to nie toster, Stello. Ma styl. Ma osobowość. Nikt nie rozumie mojego samochodu. A poza tym prawie nic nie kosztuje.

Stella wyglądała na zdegustowaną.

— Aha! Jasne, że kosztuje, o ile ten twój mechanik nie pracuje za darmo. Mój samochód ma mnóstwo osobowości i do tego jest z niego świetny toster. Swoją powinnaś zabrać gdzieś, gdzie go humanitarnie uspią. Naucz się żegnać.

Lacey nic to nie obchodziło. Chciała swojego ZX-a z powrotem. Mieszkanko Angie było na trzecim piętrze. Stella otworzyła drzwi i włączyła światło. Maleńki przedpokój wyglądał przyjaźnie. Promienie popołudniowego słońca wpadały przez wielkie okno i oświetlały unoszące się w powietrzu kłęбки kurzu. Angie pomalowała ściany na łagodny róż, z białym wykończeniem.

— Mówiłam ci, że lubiła różowy.

Za różowym przedpokojem znajdowała się katastrofa. Małą kuchenkę pokrywały skorupy. W głównym pokoju, dużym i kwadratowym, łóżko było rozbabrane, regały na książki poprzewracane. W garderobie ubrania zostały zerwane z wieszaków i porzucane wszędzie. Telewizor przewrócono do góry nogami, obok leżał odtwarzacz wideo. Całą podłogę pokrywały rzeczy Angie. Lacey jęknęła. Stelli na chwilę zabrakło słów.

— Boże, Lacey. Ja tego nie zrobiłam, przysięgam.

Stella wybierała dla Angie strój do trumny we wtorek. To pierwszy i jedyny raz, kiedy była w jej mieszkaniu, jedyny, kiedy w ogóle odwiedziła tę czystą dzielnicę o niewielkich blokach mieszkaniowych i schludnie pomalowanych domkach z gankami.

— Zamknęłam drzwi i wszystko było na miejscu. Wierzysz mi?

Stella pamiętała, że ubrania Angie były ułożone w szafie według pór roku i koloru, co na niej wywarło spore wrażenie — zawsze chciała być taka zorganizowana.

— Może pomyliłyśmy mieszkania.

— Stella, przecież klucz pasował. Po tym się poznaje, że to właściwe mieszkanie — przypomniała jej Lacey. — Musimy zadzwonić na policję.

— Na policję? Znowu? Odbiło ci?

— Stella? — Lacey nigdy nie widywała Stelli tak bliskiej płaczu. Na pogrzebie znakomicie nad sobą panowała. *Mniej więcej.*

— Nie radzę sobie najlepiej z glinami. Znaczący mam już dosyć tej całej policji. Działają mi na nerwy. Nie radzę sobie najlepiej... Łzy wypłynęły poza granicę tuszu do rzęs. Lacey była tak zdumiona, że objęła Stellę ramieniem. Stella łkała. Podała jej chusteczkę. Nie mogła znieść widoku twardej, drobnej punkowy, która rozpada się na kawałki.

— Może mogłybyśmy zadzwonić do jej rodziny, żeby ktoś przyszedł i zdecydował, co robić. W końcu nie umiemy nawet poznać, czego brakuje.

Stella otarła łzy.

Lacey pożyczyła od niej komórkę i zadzwoniła do pani Woods, która obiecała przysłać starszą córkę. Stella zamknęła mieszkanie, usiadła z Lacey na schodach przed nim i czekała. Udało jej się pozbierać, zanim Lacey też się rozplakała. Pół godziny później siedemnastoletnia Abigail Woods zajęła wynajętym samochodem.

Tym razem Lacey otworzyła drzwi. Abigail spojrzała tylko na chaos w środku i wybuchnęła płaczem. Stella zrobiła bis. Dla Lacey było tu za wiele intensywnych emocji i kończyły jej się chusteczki.

— W porządku, moje panie, dzwonię na policję. Ale wszystko będzie dobrze. Obiecuję.

Młody policjant z posterunku w Alexandrii, z piaskowymi włosami i jasnymi oczyma, zlitował się nad Abigail.

— Panie oficerze, to mieszkanie mojej siostry. — Abigaile starała się być dzielna, ale głos jej drżał. Lacey i Stellą policjant

wydawał się mniej oczarowany, chociaż widok zasznurowanego w skórze biustu Stelli zdecydowanie mu się podobał. Jednak przyjął do wiadomości zapewnienia Abigail, że obie są na miejscu na życzenie rodziny.

Policjant Mark Lincoln sumiennie przeprowadził wizję lokalną i starał się dowiedzieć od kobiet, co, jeżeli cokolwiek, zostało zabrane. Jedyne, co Stella mogła zrobić, to prześledzić swoją listę i sprawdzić, czy wszystkie przedmioty z niej są na miejscu. Chociaż biżuteria była rozsypana na podłodze obok zniszczonej skrzynki, Abigail znalazła wszystkie błyskotki z listy swojej matki: perłowy naszyjnik, złoty łańcuszek z serduszkami, pierścionek z opalem i kilka par kolczyków. Lacey wydawało się, że to drobiazgi wprawdzie proste, ale prawdziwe, żadne śmieci, zdecydowanie godne kradzieży. Miś leżał opuszczony na podłodze, dzbanek do herbaty był rozbity. Połamana kasetka wideo: *Legalna blondynka*. Nie brakowało niczego z listy Adrienne.

Lacey, wciąż nękana przez pytanie „gdzie są włosy?”, rozglądała się za śladami świadczącymi, że strzyżenie Angie mogło się odbyć w mieszkaniu, zanim wróciła do salonu. Ale nigdzie nie było długich loków, ani krótkich kawałków świeżo obciętych włosów, chociaż w łazience jakby czegoś brakowało.

Czy ktoś z włosami do pasa nie potrzebowałby grzebienia albo szczotki? Wszystkie suszarki, grzebienie, szczotki i narzędzia do podkręcania, które Lacey przez lata kupowała, leżały na niedużym cmentarzyku na tego rodzaju rzeczy w szafie przy drzwiach jej łazienki.

— Stella, czy czegoś tu nie brakuje? Grzebieni, szczotek? Rzeczy do pielęgnacji włosów?

— Boże, nawet mi to nie przyszło do głowy. Lacey, masz rację. — Stella z aprobatą pokiwała głową. — Niuanse. Wskazówki. Widzisz, jesteś w tym niezła.

Oficer Lincoln popatrzył na łazienkę. Wyglądał na zdezorientowanego.

— Słucham? Gdyby panie mogły być trochę bardziej konkretne...

— Chodzi o to, czego tu nie widać — powiedziała Lacey. Łagodna Abigail wyjaśniła swoim miodowym głosem.

— Moja siostra Angela miała taką korkową tablicę udekorowaną wszystkimi jej małymi skarbami. To nie było nic szczególnego, rzeczy, które coś dla niej znaczyły: ozdobne wstążki, malutkie błyszczące spinki, opaski z paciorkami i grzebienie. Wszystko, czego używała do włosów. Miała takie piękne włosy, panie oficerze. — Tablica wisiała teraz pusta, ukośnie, trzymając się na jednym gwoździu, bo drugi wydarto ze ściany. — I mały koszyczek pełen takich ślicznych szpilek do włosów, było ich chyba kilkanaście. Do upinania włosów. — Koszyka ani jego zawartości nie było. — Zawsze wyglądały bardzo elegancko. — Abigail westchnęła i oparła się o ścianę.

— Angie była fryzjerką, jak ja — wtrąciła się Stella. — Fryzjerzy mają mnóstwo takich rzeczy. Cały czas dostajemy darmowe próbki: szczotki, gumki, cokolwiek. I mamy zniżki na suszarki, nożyczki i tak dalej.

Jak na kogoś, kto nie ufał policji, Stella śpiewa jak przysłowiowy kanarek, pomyślała Lacey. Oficer Lincoln podniósł wzrok znad notatnika, żeby ukradkiem zerknąć na jej dekolt.

Abigail rozglądała się po łazience.

— Nic nie zostało. — Nie umiała znaleźć wyjaśnienia. Lacey zatrzymała swoje myśli dla siebie. Bez wątpienia Angie została zamordowana i ten zboczeniec zabrał nie tylko jej brakujące włosy, ale także wszystkie ozdoby, których do nich używała. *Ale musiało mu jeszcze chodzić o coś innego, pomyślała. O coś raczej cenniego.*

Stella wyglądała na zagubioną.

— Widzi pan, pracowałyśmy z Angie razem — ciągnęła. — Jestem kierowniczką salonu Stylettos w Dupont Circle i to ja znalazłam ciało. Ale tu nie widzę żadnych fryzjerskich narzędzi. Proszę — jedna suszarka, jedna lokówka. Ale nie ma szczotek ani grzebieni. Rany, kto by się włamywał, żeby ukraść grzebień?

— Zaraz, zaraz, chwila moment. Czy możemy wrócić do „znalazłam ciało”? — Oficer Lincoln znowu zaczynał wyglądać podejrzliwie. Dotąd był przekonany, że lokatorka mieszkania jest

na urlopie czy coś, a rodzina i przyjaciółki po prostu się nim opiekują. Abigail znowu załapała się łzami, a oficer Lincoln zaczął rozważać wezwanie posiłków.

— O rany, pan nie wiedział. Angie... — Stelli też zebrało się na płacz i nie wiedziała, co powiedzieć. Lacey wyjaśniła policjantowi, że Angela Woods zakończyła życie w zeszłym tygodniu w salonie fryzjerskim, Stella znalazła ciało, a policja D.C. orzekła, że było to samobójstwo popełnione na miejscu w salonie.

— A teraz proszę spojrzeć, ktoś zdemolował jej mieszkanie — dodała Stella.

Oficer Lincoln wziął głęboki oddech i spojrzał na Abigail. Patrzyła na niego z całkowitym zaufaniem w lśniących od łez oczach.

— Bardzo mi przykro, proszę pani. Czasami włamywacze czytają nekrologi i włamują się w czasie pogrzebu — powiedział w charakterze wyjaśnienia.

— Ale telewizor i wideo tu są — wtrąciła Lacey.

— Biorę to pod uwagę, proszę pani.

Wolała, żeby tak do niej nie mówił. Oficer Lincoln pracowicie zapisał, że lista brakujących rzeczy zawiera „szpilki do włosów”. Wartość niewielka. Nie były to rzeczy, których detektywi poszukiwaliby po lombardach. Policjant poinformował kobiety, że sąsiedzi zostaną przepytani, ale jako że jest w zasadzie niemożliwe określenie nawet przybliżonego czasu włamania z dokładnością większą niż trzy dni, nie wyglądało to dobrze. Zwrócił się do Abigail.

— Wiem, że to dla pani trudne, ale muszę spytać: czy pani siostra miała coś wspólnego z narkotykami? Czy ktoś mógł szukać jej zapasów? — Dziewczyna poczuła się tak wstrząśnięta, że nie była w stanie wykrztusić słowa, ale nie powstrzymało to Stelli.

— Nawet nie piła alkoholu. To był ostatni człowiek, który by próbował prochów! — Stella sprawiała wrażenie, że mogłaby być w tym temacie ekspertem.

Oficer Lincoln odłożył długopis. Podzielił się także wiadomością, że drzwi nie wyglądały na otwarte siłą, więc ktokolwiek to zrobił, musiał mieć klucz, albo ktoś inny zostawił je otwarte.

— Proszę dokładnie zamknąć drzwi, wychodząc — dodał.

— Przedtem też zamknęłam! — zaprotestowała Stella. Lacey powstrzymała ją przed ręcznym wyjaśnieniem tego faktu policjantowi.

— W porządku, Stella. Nikt ci niczego nie zarzuca.

Nikt się już nie odezwał. Słuchały, jak jego kroki oddalają się korytarzem i przez drzwi wyjściowe. Otworzyły się drzwiczki samochodu, zawarczał silnik, usłyszały, jak odjeżdża. Po minucie pojawił się gospodarz z pytaniem, czego chciała policja. Był to młody mężczyzna, z piwnym brzuchem przykrytym rozciągniętym podkoszulkiem.

Angie wynajmowała mieszkanie z umeblowaniem, co znaczyło, że znajdowało się tu jedno podwójne łóżko, sosnowa komódka, komplet tanich regałów na książki oraz niewielki stół kuchenny z dwoma krzesłami. Dodała kilka obrazków i niedrogi czerwony orientalny dywan na podrapanym drewnianym parkiecie.

Właściciel uznał, że może zgłosić połamane meble do ubezpieczyciela.

Nie okazał żadnych uczuć, ale poinformował Abigail, że czynsz jest zapłacony jeszcze za kilka tygodni, więc nie musi się spieszyć. Beknął, podrapał się po brzuchu i przejechał rękami po włosach, rozglądając się.

— Pamiętajcie, żeby zamknąć drzwi, wychodząc. Lepiej uważać, no nie? Stella patrzyła ponuro za jego oddalającą się sylwetką.

Rodzina Woods wracała na drugi dzień do Atlanty, więc dodatkowe parę tygodni niewiele dawało. Abigail pozbierała osobiste drobiazgi. Lacey i Stella poskładały ubrania, by je przekazać schronisku dla maltretowanych kobiet. Podzieliły wszystko na trzy kupki, „tak”, „nie” i „może,” a Abigail miała podjąć ostateczną decyzję. Było to strasznie dołujące.

Dobrze, że nie jestem detektywem, pomyślała Lacey. Niszczyłabym w tej chwili dowody. Ale jeżeli prawdziwe dowody zniknęły, to kto wie, co właściwie tu robię?

Stella zamówiła pizzę na podtrzymanie sił. Opróżniły lodówkę z niskokalorycznych napojów, a resztę zawartości wyrzuciły.

Zwinęły orientalny dywan. Abigail uparła się, że Stella musi go zabrać — wypełnił cały tył jej czerwonego mini. Z końcem dnia wszystkie trzy były spocone i brudne. Przeniosły torby do samochodów i do śmieci, a potem Abigail uściskała je obie na pożegnanie. Stella odwiozła Lacey do domu. Tym razem była wdzięczna za przejażdżkę w mini.

— Dzięki, Lacey — powiedziała Stella. Na jej twarzy wciąż było widać ślady rozmazanego tuszu i łez. Makijaż, tak starannie nałożony rano, przegrał bitwę. Lacey zakładała, że wygląda podobnie.

— Nie miałam nic lepszego do roboty. — Lacey pomyślała o kilkunastu rzeczach, które mogła zrobić. Sobota do niczego.

— Ja też nie — odparła Stella.

— Ktokolwiek wlaźł do tego mieszkania, bardzo czegoś chciał. Czegoś więcej niż wstążki i szczotki do włosów, i ślicznych długich włosów. — Irracjonalnie pomyślała o Sherri Gold. Ale uznała, że tamta była po prostu niemą. Nie było powodu skazywać ją za morderstwo, chociaż mogła być ostatnią osobą, która widziała Angie przy życiu.

— No więc czego? Niby że prochów? Według ciebie, jakiś popieprzony ćpun musiał myśleć, że coś miała? Musiałby być naprawdę stuknięty.

— Kto kradnie w Stylettos?

— A kto nie? Myślisz, że tu jest jakieś powiązanie?

— Niczego nie myślę. Myśli mi latają jak naspidowany królik.

— Rany, Lacey, nie wiem. Każdy kiedyś zwinął szampon czy dwa. Oczywiście, kierownicy niczego nie kradną. Już. Jeżeli w ogóle kiedyś kradli. A poza tym jedyny, o którym wiem, że miał kłopoty z powodu kradzieży, no wiesz, w dużych ilościach, to Leo, i to nawet nie było w Stylettos.

— A co ukradł? I gdzie? Skąd to wiesz?

— Nie wiem. Kiedyś trochę wypiliśmy, nawet nie trochę. Miał ze dwadzieścia lat, dziecinada. Teraz ma co najmniej trzydziestkę. Złapali go za jakieś włamanie. Powiedział, że dostał zawieszenie i poszedł do szkoły fryzjerskiej.

— Może zostawił to sobie jako chałturę.

— Coś ty. Leo nie musi kraść szamponu. Jest gwiazdą. Powinnaś zobaczyć jego auto. Ma żółtą corvette.

— Musi dostawać naprawdę fantastyczne napiwki. Stella, ty jesteś kierowniczką, a jeździsz mini? On jeździ wymarzonym samochodem Barbie.

Stella popatrzyła na Lacey i cudem nie zawadziła o krawężnik.

— A niech to. Nigdy tak o tym nie myślałam.

Kiedy Lacey dotarła do domu, było chłodno i wilgotno. Nawet nie sprawdziła, czy ma wiadomości na sekretarce. Jeszcze jedna rzecz, a nie wytrzyma. Rozebrała się, rzucając ubrania na podłogę.

Zastanawiała się, kto by grzebał w jej rzeczach, gdyby coś się stało. Czy jej skarby wylądowałyby w śmieciach równie łatwo, jak Angie? Nikt by nie wiedział, jak cenne są wykroje cioci Mimi, albo ile nocy leżała zwinięta w kłębek na jej kanapie z ręcznej roboty narzutą.

Czy jej mama i siostra wcisnęłyby jej śliczne rzeczy do szmacianej torby i oddały organizacjom charytatywnym? Czy nieświadomie wyrzuciła jakiś skarb Angie, nawet tak prosty, jak koszula nocna?

Otworzyła szufladę i przesunęła palcami po swoich koszulach nocnych i bieliźnie. W szufladach komody tworzyły śliczne jeziorka jedwabistych barw, nie mówiąc już o cudach, jakie czyniły dla jej pewności siebie. Nikt by nie wiedział, ile dla niej znaczyły.

Lacey nie była typem piżamowym. Kiedy skończyła dziesięć lat, upierała się, by spać w koszulach, jak ciocia Mimi. Mama uważała, że w koszulach nocnych, nawet flanelowych, jest coś nieprzyzwoitego, zwłaszcza gdy chodzi o małe dziewczynki. Kiedy po raz pierwszy odwiedziła Mimi sama, w wieku lat piętnastu, Lacey odkryła, że koszule nocne i bielizna występują także w wersjach jedwabnych i atlasowych.

Teraz nałożyła swoją ulubioną czarną koszulkę.

W końcu poczuła się na tyle silna, żeby sprawdzić wiadomości: nic.

Zeznania Brooke musiały się przeciągnąć. Wizytówka Vica leżała niedaleko telefonu. Nie dał jej domowego numeru. Lacey rozważała, czy poinformować go o włamaniu. Może mogłaby to

sprzedać w zamian za wewnętrzne informacje, o ile jakieś miał. Podniosła słuchawkę i wybrała numer.

— Donovan, to Lacey Smithsonian. — *Tak oficjalnie? Ile dziewcząt o imieniu Lacey może znać?* — Ktoś się włamał do mieszkania Angie Woods i wszystko rozwalił. Nie wygląda na to, żeby zniknęło cokolwiek wartościowego. Jedynie jakieś dziwne osobiste drobiazgi. Dzwonię tylko, żeby ci powiedzieć. I dzięki za kolację. A co u ciebie? Zadzwoń do mnie. Na razie.

Znowu sprawdziła drzwi i upewniła się czy są zamknięte na klucz, pociągnęła też za łańcuch. Wybiła dopiero dziesiąta, w sobotę wieczorem, a ona była gotowa do łóżka. *To żalosne, pomyślała. Pewnie gdzieś poszedł z tą kelnerką, podczas gdy ja żyję jak zakonnica... Ale przynajmniej mam jedwabną koszulę nocną.*

Rozdział 9

Dzwonek telefonu obudził ją o wpół do szóstej. Zrzuciła go ze stolika nocnego i chwilę potrwało, zanim znowu znalazła i odebrała. Nie zamierzała zapalać światła. Ziewnęła w słuchawkę.

- Obudziłem cię? — Głos był męski, nawet zaspana poznała, że go rozbawiła.

- Owszem! Kto mówi?

- Vic. *Kto? A, tak.*

- Jest wpół do szóstej rano! - Powlokła się do okna ze słuchawką w rękę i wyjrzała przez żaluzje. - Jest ciągle ciemno.

- Nieraz w Sagebrush widziałem, jak o tej porze skradasz się do domu. - Lacey padła z powrotem na łóżko. Jęknęła do słuchawki. - Nigdzie się nie skradałam. Szłam spokojnie. Czego chcesz?

- Zostawiłaś mi wiadomość. Chyba powinniśmy pogadać. O tych dziwnych osobistych drobiazгах, które ktoś ukradł. To cytat, nawiasem mówiąc.

- O tej porze? Odbiło ci?

- O co chodzi, Lacey? - Jego głos był głęboki i żartobliwy. - Nie jesteś sama?

- Vic, odkładam słuchawkę.

- Będę u ciebie za dwadzieścia minut. Ubierz się.

- Nie rozkazuj mi... - Usłyszała dźwięk odkładanej słuchawki.

Była zdeterminowana, żeby nie zastał jej w koszuli nocnej i ogólnie w proszku, chociaż może i wyglądała pociągająco. Wciągnęła czarne spodnie i czarny sweter z golfem, buty i skarpetki. Ledwo starczyło czasu na umycie twarzy i narzucenie odrobiny makijażu. *Świetnie, że umiem robić cuda z tuszem do rzęs.* Jeszcze troszeczkę podkładu, róż, odrobina cienia i kredka do oczu. Telefon Vica dodał jej nadzwyczajnej energii. Telefon znowu zadzwonił. Odebrała.

— Co znowu?

— Jestem na dole. Wpuść mnie.

— Co, spec od bezpieczeństwa nie umie się włamać?

— O tej porze nie dostarczają pizzy. Wpuść mnie. Proszę, Lacey.

Lacey wcisnęła przycisk otwierający drzwi, tylko po to, żeby mogła w niego czymś rzucić, kiedy dotrze do jej mieszkania. Miała dwie minuty na przeciągnięcie grzebieniem po przerażająco zdziczałych włosach i upięcie ich w pośpieszny francuski kok. Akurat wpięła ostatnią spinę, kiedy rozległo się pukanie do drzwi.

Wzięła głęboki oddech i przybrała spokojny wyraz twarzy, po czym otworzyła drzwi. Zmierzył ją wzrokiem. Ona zauważyła, że powinien się ogolić.

— Rany. Już ubrana. A ja myślałem, że jesteś z tych, co się szykują godzinami.

— Jestem gotowa cię zastrzelić.

— Za komplement? Twarda z ciebie kobieta, Smithsonian.

— Pojęcia nie masz.

— Ale będziesz musiała zrobić coś z tą brwią. Jak tylko na mnie spojrzysz, leci do góry. — Wydała gardłowy pomruk. — Warczysz bardzo seksownie. No, weź kurtkę.

— Przestań mi rozkazywać. — Facet był niemożliwy.

— Lacey, proszę, idź i weź kurtkę. Chcę ci coś pokazać. Proszę.

Poinformowała go, że w niedzielne poranki ma zwyczaj pospać dłużej i że lepiej, by była to kwestia życia i śmierci. Wysłuchał uprzejmie.

— Chciałaś porozmawiać o Angie?

Wzięła niewielką torebkę i swój czarny płaszcz. Pasował do jej humoru i stroju.

— Dokąd mnie zabierasz?

Przytrzymał przed nią otwarte drzwi, po czym ruszył korytarzem, gdy zamykała.

— Jedziemy pod pomnik Jeffersona. Myślałem, że chciałaś zobaczyć wiśnie o wschodzie słońca, zgadza się?

Popatrzyła na niego, usiłując zapanować nad brwią.

— Teoretycznie, owszem.

— Spodoba ci się. Uwierz mi.

Lacey nie powiedziała ani słowa, dopóki nie dotarli do jeepa. Wsiadła. Vic skręcił w South Washington Street i ruszył aleją w górę. Zamknęła oczy i otworzyła je dopiero, kiedy skręcił na parking, zatrzymał się, wysiadł i zastukał w okno z jej strony. *Dlaczego jest mu tak do twarzy z tym lekkim zarostem*, zastanawiała się. Poczekał, aż wysiądzie. Miał w ręku papierową torebkę. Zaproponował jej kawę i cytrynowo-makowego muffina wielkości mniejszego talerza od frisbee.

— Śniadanie, Smithsonian.

Uśmiechnęła się wbrew woli. Gorąca kawa smakowała znakomicie w chłodnym porannym powietrzu. Popijała ją, kiedy ruszyli ku frontowej części pomnika, z widokiem na taflę Tidal Basin. Wyszczrzył zęby jak mały chłopiec wręczający księżniczce żabę.

— Powiedz, Vic, czy przerośnięci skauci nigdy nie śpią?

— To osobiste pytanie, Lacey.

— Zwykła ciekawość.

— Byłem na obserwacji.

— Coś ciekawego?

— Nie, a nawet gdyby, nie mógłbym ci powiedzieć.

— Dzięki za zaufanie.

— Nie bierz tego osobiście - powiedział. — A skoro już i tak nie spałem...

— To pomyślałeś o mnie. Rany, dzięki.

Poranne promienie odbiły się od wody, gdy tylko wstało słońce. Nie było ani śladu buntowniczych bobrów, które atakowały historyczną dumę Waszyngtonu, obgryzając bezcenne wiśnie

i kilkanaście z nich niszcząc, ku rozgoryczeniu służb parkowych, które wprowadziły całodobową straż przeciw wodnym gryzoniom. Jednak kwitnące wiśnie wyglądały niczym z obrazka i — jak na znak — pojawili się fotografowie w swoim dorocznym poszukiwaniu idealnych kwiatów zdobiących idealne tło. Jedyna chwila w roku.

— No więc kto odkrył włamanie do mieszkania zmarłej?

— Stella i ja.

— Masz dryg do wpadania w takie sprawy, Lacey. — Klócili się kilka chwil o to, czy to prawda. Zakończyli jednak patem. On chciał wiedzieć coś więcej o „osobistych drobiazgach”, o których wspomniała Lacey. Powiedziała mu, że zniknęły tylko wstążki i ozdoby do włosów, szczotki i grzebienie.

— Coś cennego? — spytał.

— Nie wydaje się. Ktokolwiek to był, zostawił telewizor i wideo.

— Czyli włamywacz zabiera tylko osobiste rzeczy, które dotyczyły jej ciała. Albo włosów.

— Kiedy tak mówisz, brzmi to jeszcze bardziej obrzydliwie.

— Jeżeli ci to coś pomoże, dla mnie to też jest obrzydliwe. Usiedli na zimnych, cementowych schodach za pomnikiem

Thomasa Jeffersona, obserwując miasto, złociste w promieniach świtu.

Lacey opowiedziała swoją historię raz, potem na naleganie Vica drugi, ale poddała się, kiedy zaczął zadawać te same pytania po raz trzeci. Był to policyjny sposób, który jej samej zdarzało się stosować, ale nie znosiła, kiedy dotyczyło to jej.

— Przestań, Vic. Ja tego mieszkania nie okradłam. Nie zasłużyłam na przesłuchanie.

— Wybacz. Przyzwyczajenie. — Omówili możliwość, że było to zwykłe włamanie, niezwiązane ze śmiercią Angie. Przyznali także, iż nie da się wykluczyć, że jej śmierć była samobójstwem, chociaż prawdopodobieństwo zmalało.

— Ale sądzisz, że istnieje tu powiązanie? — spytał Vic. — Może to niezależna kradzież, ktoś, kto czyta nekrologi.

— Tak powiedział ten gliniarz. Ale dlaczego nie zabrali telewizora? Myślałam, że złodzieje biorą przede wszystkim taki sprzęt.

— A gdyby to nie był przypadek?

— W takim razie ktoś obciął jej włosy, zabił ją i zabrał jej osobiste ozdoby do włosów — podsumowała Lacey. — I włosy też zabrał.

— Trofeum? Albo może zabrała je ekipa sprzątająca. A napaść seksualna?

— Nie sądzę. Była ubrana. A poza tym gdyby ktoś ją zgwałcił, nie uznaliby tego za samobójstwo, nie?

Skończył swojego muffina.

— Słyszałem różne rzeczy o sposobach działania policji w D.C. Zdarzają im się samobójstwa z dwiema kulkami w tyle głowy. A ciała zaginionej stażystki w Rock Creek Park nie mogli znaleźć, dopóki lisy nie wyrzuciły jej kości ze swojej nory. — Prychnął. — Zrobili sekcję, czy tylko badanie?

— Nie wiem. Trumna była otwarta.

— Czyli sekcji pewnie nie było. Przyczyna śmierci musiała być raczej widoczna. Moim zdaniem, patolog mógł wyciągnąć pochojne wnioski na temat okoliczności. Kobiety mordowane są przeważnie przez mężczyzn. A jeżeli morderca ma czas i spokój, są spore szanse, że odbył się także gwałt albo innego rodzaju seksualna napaść.

— Czyli jeśli nie ma gwałtu, samobójstwo pasuje?

— Właśnie. A skoro pasuje, po co grzebać dalej? — Vic westchnął. — Według niektórych gliniarzy, jeżeli w ciele nie ma kuli, to nie jest ich problem. A ciała z kulami mają pod dostatkiem.

— Twoja kolej. Podziel się ze mną informacjami — zażądała Lacey. — Musiałeś coś słyszeć jako nowy cerber Stylettos.

— Kazali mi się do tego nie mieszać, pamiętasz? To ty przypadkiem weszłaś na miejsce zbrodni.

Drań, pomyślała Lacey.

— Zapomniałam. A jak szamponowy patrol?

— Cudowny jak cholera. Ale jest z tego kasa. — Odebrał jej twarde spojrzenie. — Okej, powiem ci, co myślę. Jeżeli Angie Woods ktoś zamordował, twoje szanse na znalezienie mordercy można potłuc o wiesz co.

— Przynajmniej jesteś konsekwentny, szefie. Pierwsze, co mi powiedziałeś w Sagebrush, to było, że jeżeli mordercy nie złapie się w ciągu pierwszych czterdziestu ośmiu godzin, szanse spadają niemal do zera.

— Coś w tym rodzaju. A kiedy raz orzekną samobójstwo, nie masz nawet miejsca zbrodni ani śledztwa. W tym przypadku wygląda na to, że jest najpierw kiepska robota ze strony policji, potem żadna robota ze strony policji, a potem ekipa sprzątająca. Straszny bałagan. Wszelkie dowody pewnie dawno zniknęły. Nie ma śladów na miejscu zbrodni, nie ma listy podejrzanych, przesłuchań, sprawdzania alibi, pytania sąsiadów, badań krwi, badań DNA, odcisków palców. Nie ma siły, żeby się to wszystko dało zrobić teraz. A jeżeli śmierć jest powiązana z włamaniem, to sama pomogłaś posprzątać drugie miejsce zbrodni.

— A co innego mogłam zrobić? — Czują się okropnie.

— Nic. Nie przejmuj się tym. I tak tam dużo pewnie nie było. Musiałabyś się zabrać do tego, czego gliniarze najbardziej nie znoszą, i czego wolą nie dotykać, bo jest zazwyczaj najtrudniejsze i najmniej produktywne: motyw. A co, jak nie ma żadnego motywu czy żadnego sensownego powodu, na przykład jakiś narkoman zboczeniec z ulicy po prostu lubił ładne włosy?

— Ty naprawdę wiesz, jak mnie pocieszyć, co?

— Lacey, to masa wrednej roboty. Czasami policjanci dostają obsesji na punkcie jakiejś sprawy i nie mogą o niej latami zapomnieć. Z tobą tak będzie?

— Od czego powinnam zacząć? Vic westchnął znowu.

— Od podstawowych informacji o ofierze. Co robiła ostatniego dnia? Kogo znała? Miała wrogów? Czy jest powiązanie z salonem?

— Nie wiem. Wydaje mi się, że w Stylettos ktoś kradnie. No więc, czy Angie, fryzjerka w Stylettos, wiedziała za dużo o złodzieju?

— Lacey, to dość naciągane.

— To po co do mnie dzwoniłaś? Powiedz mi coś o złodzieju. Co macie?

Teraz on popatrzył na nią twardo.

— No, Vic. Przecież ci nie zepsuję śledztwa w sprawie ukradzionych szamponów.

— Nie mam dużo. Naprawdę. Ten złodziej to nie amator, ale też żadna z niej królowa zbrodni. Prędzej czy później będzie musiała popełnić błąd.

— Ona? Uważasz, że to kobieta?

— Może on. Ale dziewięćdziesiąt procent pracowników to kobiety.

— Nawet w magazynie? Bo tam tkwi podobno ten problem. — Vic popijał tylko kawę. — No więc jeszcze jej nie złapałeś, a problem jest większy niż magazyn. Coś więcej niż szampon? Kradnie gotówkę z salonów? Defraudacja? Szantaż? Narkotyki?

Roześmiał się.

— Tylko tak dalej z tymi teoriami, Lacey. Może się czegoś nauczę. Ale w tej chwili nie mam nic więcej. Kiedy zamontuję wszystkie kamery, to będzie bułka z masłem.

Lacey wstała i przeciągnęła się. Pozbierała swoje śmieci i wyrzuciła do kosza. Miała dość śmierci i jej ponurych następstw. Poszła popatrzeć na piękne kwiaty. Vic dogonił ją i szli w milczeniu. Podziała kofeina i Lacey poczuła się przedziwnie ożywiona jak na tę niehumaną porę.

Pokryte rosą płatki rozsiewały w powietrzu delikatną woń, a promienie słońca pieściły jej twarz. Obok przebiegło, tupiąc, kilku porannych joggerów ze słuchawkami na uszach i okularami słonecznymi na nosach, zatopionych we własnym świecie.

Vic i Lacey spacerowali wokół lśniącej tafli Tidal Basin, celebując coś, co niewielu mieszkańcom Waszyngtonu udaje się osiągnąć podczas krótkiego, oszałamiającego wiosennego romansu z matką naturą. Nawet się nie kłócili. Lacey zaczęła się czuć trochę winna za swoją irytację po porannym telefonie.

— Tu jest naprawdę bardzo ładnie i jestem ci wdzięczna, Vic.

— Zawsze do usług, Lacey.

— Jednak powinieneś wiedzieć, że naprawdę nie znoszę niespodzianek.

— To *teraz* tak mówisz.

Była w rozterce. Z jednej strony, obudzenie jej bladym świtem wyglądało na uroczy gest, nawet romantyczny. Z drugiej, chciał od niej tylko informacji, które ułatwiały jego własną pracę.

Kiedy obeszli wkoło Tidal Basin, Vie oznajmił, że czuje się padnięty, i pojechali do domu. Wysadził ją przed budynkiem, nie wyłączając nawet silnika. Odwróciła się przy drzwiach i zerknęła za siebie. Nie mając innych możliwości, postanowiła stawić czoło oczywistej prawdzie. Może jednak było im pisane zostać przyjaciółmi i niczym więcej. I może tak będzie w porządku.

Resztę dnia wypełniły jej drobne sprawy, pranie i zakupy. Potem spróbowała się zdrzemnąć, ale zaczął dzwonić telefon. Wiedziała, że to Brooke, ale i tak odebrała.

— Hej, zapomniałaś o mnie?

— Cześć, Brooke.

— Jak ci się udało pozbyć Stelli Zapłonowej?

— Pojawił się mały problem... - Lacey streściła Brooke poprzedni dzień.

— Rany. Wiem, mówiłam, że powinnaś rzucić na to okiem, ale to brzmi dość przerażająco.

— Niczego nie znalazłyśmy.

— Jasne. Dowody znikają w tym mieście jak rosa o poranku. Lądują w niszczarkach, spalone albo zakopane w bardzo, bardzo głębokiej dziurze. - Urwała. — Chyba że chcesz ubić jakiś grubszy interes.

— To cyniczne. Jakież propozycje?

— Tylko jedna. Wycofaj się, zanim zrobi się niebezpiecznie. Lacey, przykro mi to mówić. Ale byłabyś bezpieczniejsza, gdybyś pracowała dla „Washington Post”. To, że jesteś w „Eye”, które osobiście uważam za jedyne źródło prawdy w mieście pełnym medialnej lipy, tych ludzi nie powstrzyma.

— Kim są „ci ludzie”, o których zawsze mówisz?

— Jest ich mnóstwo, cały legion.

— Myślisz, że to jakaś konspiracja, czy co? — Lacey zamknęła oczy i słuchała. Przypisanie tych głupich małych przestępstw

wielkiej waszyngtońskiej konspiracji nadawało im szaloną kosmiczną rangę, która jej się podobała. Brooke paplała dalej.

— Poczekaj, gdyby tylko udało nam się dojść, co to za spisek — rządowy, korporacyjny, lewicowy, prawicowy czy międzynarodowych terrorystów — może byśmy wiedziały, czy dużo ci grozi. Oczywiście jest w to zaplątana Marcia Robinson, co w zasadzie gwarantuje udział rządu, chyba że to mafia miała coś wspólnego z tą pornograficzną stroną...

— No dobrze, Brooke, muszę iść.

— Lepiej uważaj. Zawsze ktoś może pomajstrować przy twoim samochodzie.

— Gdyby próbowali, pewnie by coś niechcący naprawili. A poza tym nadal jestem na piechotę.

Lacey w końcu odłożyła słuchawkę i pojechała metrem do Darlington, na ostatnią przystankę u Almy. Krawcowa szykowała dla niej kostium z lekkiej wełnianej krepki według wykroju Mimi z „Vogue” rok 1942. Żakiet o barwie czerwonego wina miał mieć granatowe aksamitne wykończenie przy klapach i kieszeniach, oczywiście obowiązkowych. Było niemal za późno, by go założyć, ale na pewno zdarzy się jeszcze kilka chłodnych dni, zanim lato zaatakuje miasto.

Lacey patrzyła w wysokim lustrze na Almę Lopez, siedzącą na podłodze z ustami pełnymi szpilek. Zaznaczała obrąbek spódniczki.

— Odwróć się. Stań prosto. Gotowe — oznajmiła.

Lacey zawsze się bała, że najlepsza krawcowa w Arlington połknie przy mówieniu szpilkę i będzie to jej wina. Jednak jakoś nigdy do tego nie doszło.

Mocne ramiona i wcięta talia żakietu oraz długa, lekko poszerzana spódnica, informowały, że kostium ten oznacza biznes, ale jego właścicielka jest stuprocentową kobietą. *Gdyby miała prowadzić jakieś śledztwa, to jest na pewno dobry wizerunek. Twarda, ale uwodzicielska. Dama-detektyw. Tak, dokładnie.* Zapisła w myślach, żeby znaleźć namiary na ekipę sprząającą miejsce zbrodni. Wydawała się to jedyna możliwość wyjaśnienia tej beznadziejnej sprawy.

- Jak myślisz, Almo? Alma wzruszyła ramionami.
- Według „Vogue”, kostiumy są niemodne. Nie?
- To jest Waszyngton. Kostiumy zawsze będą modne.
- „Vogue” mówi, że teraz jest moda na sweterki bliźniaki.
- Ale myślisz, że jest ładny? — nalegała Lacey.
- O, si. Bardzo ładny, ale w tym roku ładne są niemodne. Brzydki to nowy ładny. Tak pisali w „Vogue”.

Rozdział 10

Poniedziałek. Czekala na nią syzyfowa praca w postaci *Zbrodni w modzie*. Ostateczny termin, żeby artykuł mógł się pojawić w piątkowym dziale *Style życia*, upływał w środę po południu. Lacey musiała także pisać artykuły o trendach, okazjonalnie krótkie porady, jak się ubrać, które nazywała *Kawałkami o modzie*, informacje o najnowszych kapryśkach stylu oraz prezentować sylwetki miejscowych osobistości związanych z modą. Teraz doszła jeszcze śmierć Angie. *Od czego powinnam zacząć? Vic mówi, że to i tak niemożliwe.*

Zgodnie ze swoją obietnicą, Polly Parsons przesłała jej pakiet informacji o roli Stylettos w przygotowywanym pokazie mody Rozpalmy Miasto. Lacey rzuciła go na bok i próbowała zrobić to samo z Angie Woods, ale jej coraz silniejsze przeświadczenie, że Angie zamordowano, wciąż zderzało się z racjonalną myślą, że niewiele może w tej sprawie zrobić. *Napiszę po prostu artykuł i zostawię decyzję czytelnikom.*

W zwykły dzień, jeżeli była w stanie w ogóle przekazać przez swoją rubrykę jakąś wiadomość, brzmiałaby ona, że kobiety zasługują na to, by wyglądać atrakcyjnie, mimo wszystkich sił działających przeciwko nim: oszalałych fryzjerów, zwariowanych projektantów, obojętnych centrów handlowych i najniższego wspólnego mianownika Ameryki, gotowych ubrań. Kobiety nie

muszą chodzić w workach tylko dlatego, że nie są bogate. Muszą tylko uwierzyć, że zasługują na coś lepszego.

Niestety, podtekst autentycznego waszyngtońskiego stylu, niemal obowiązującego dla warstwy znajdującej się zaraz pod politycznymi i kulturalnymi przywódcami, brzmiał „wyglądać poważnie”. Wybranie twarzowego koloru lub kroju oznaczało, że kobieta jest frywolna i powinna się wstydzić własnej płytkości.

Właśnie dlatego w Waszyngtonie popularniejsze od szkieł kontaktowych są grube okulary. Utrzymanie fryzury ze studiów podyplomowych przez dziesiątki lat było nie tylko jak najbardziej do przyjęcia, ale wręcz godne pochwały. Dlatego tyle kobiet zakładało bezkształtne żakiety z przydługimi rękawami, oksfordzkie koszule maskujące wszelkie wdzięki i przyciężkie czarne pantofle na płaskim obcasie. Dlatego nadmierne piętnaście kilo świadczyło, że jest się kimś zbyt ważnym i zajęтым, by ćwiczyć (no, chyba że się jest prezydentem) i że wykonuje się niezmiernie ważną pracę, chociaż w istocie jest się tylko maleńkim kółeczkiem w zapomnianej maszynie.

Lacey starała się pisać swoje *Zbrodnie w modzie* dla zwykłej kobiety, która zasługiwała na coś lepszego niż przedwcześnie poważny wygląd. Ale pisała także dla snobów i ludzi, którzy lubili tani dowcip. Jednak w tym tygodniu rubryka będzie dla Angie. Było to ryzykowne, bo humor nie pasował do tematu, a Mac domagał się humoru. Lacey planowała zaskoczenie go w ostatniej chwili w środę, żeby nie miał innego wyjścia, niż tylko wydrukować tekst, jaki był.

Zbrodnie w modzie bardzo jej ciążyły, zwłaszcza w takie wiosenne dni, kiedy wszyscy inni w „Eye” przeżywali z entuzjazmem skandal Marcii Robinson. Nie tylko Brooke Barton kochała plotki. Przygody pracowników Kongresu i stażystów z Białego Domu w krainie cybernetycznej pornografii cieszyły całą redakcję. Plotki, pseudofakty i obleśne dowcipy krążyły między biurkami jak tornado, a Lacey była zazdrosna. Każda nowa wiadomość na ten temat witana była wybuchami rozbawienia i drwiny. Ale ona tkwiła w modzie. Musiał być jakiś sposób, żeby te dwie rzeczy

połączyć. W końcu Marcia Robinson, sprawczyni skandalu, była przepustką Angie do fryzjerskiej sławy. Lacey już opisała cudowną przemianę Marcii. *Jak mogłabym znaleźć nowe podejście?*

Po kilkumiesięcznej grze w berka z prokuratorem specjalnym Marcia miała w końcu we wtorek zeznawać w sądzie federalnym. Ale Lacey chciała wiedzieć, dlaczego odwołała swoją wizytę w dniu śmierci Angie i kiedy ostatni raz rozmawiały. Może to by dokądś doprowadziło. Lacey sięgnęła po słuchawkę i odkryła, że Marcia nie odbiera telefonu, a jej adwokat też przestał odbierać swój. Był naprawdę tylko jeden sposób, żeby do niej dotrzeć. Lacey musiałaby dołączyć do tłumu twardych reporterów, dziennikarzy telewizyjnych i innych przedstawicieli mediów, krążących niczym stado sępów przed budynkiem sądu federalnego. „Plaża imienia Marcii”, tak to nazywali.

Plusem czekania na Marcie była możliwość skoczenia na wystawę francuskich impresjonistów w Narodowej Galerii Sztuki — *owszem, to część Muzeum Smithsona* — po drugiej stronie ulicy. Lacey bardzo chciała zobaczyć obrazy Moneta i Renoira. Jedynym problemem pozostawało, jak sprzedać tę historię Macowi. Zerknęła na jego przeszklony gabinet. Wyglądał na niezadowolonego, ale Mac zawsze tak wyglądał. Wymyśliła pretekst i podeszła do jego biurka. Zakładała, że w zasadzie będzie mu wszystko jedno. Nie rozumiał nic z tego, co pisała. Rozumiał długość tekstu i nakład, a Lacey dobrze działała na jedno i drugie.

Powiedziała mu, że wygląd Marcii to dobry temat na artykuł. Spojrzał na nią spod dwóch gaśienic, które nazywał brwiami. Lacey zawsze powstrzymywała się przed zasugerowaniem mu, żeby je przyciął, ponieważ — pominąwszy wszystko — bardzo rzucały się w oczy. Były równie gęste jak jego wąsy.

— Już to brałaś na warsztat, to o modzie, no, tę zmianę.

— Zmianę wizerunku, owszem. Ale teraz mam nowy punkt widzenia, Mac. — Gdyby pokiwał głową, byłby to dobry znak. Zmiana wizerunku Marcii okazała się całkiem niezłym tematem, a skandal był wciąż gorący. Mac żył skandalami. No i artykuł Lacey poświęcony byłej Pierwszej Damie wkurzył wszystkich.

— Co masz na myśli?

— No, mogłabym to napisać tak jak tekst o sporcie, jakbym była sędzią w łyżwiarstwie figurowym, na przykład. — Lacey nie miała pojęcia, co się tam ocenia, ale uznała, że to brzmi dobrze. W końcu mężczyźni lubią sporty. *Sport jest dobry. Moda jak sport? Moda dobra.* — Wiesz, z nagłówkiem coś jak „Robinson oczarowała sędziów: wynik 8.2 punktów za styl w sędzie federalnym”. — Mac pokiwał głową. *Powiedz „tak” i pozwól mi iść.* — Widzisz, jeżeli przyjedzie limuzyną, a nie taksówką, dostaje dodatkowe punkty. I jeżeli wysiadzie z tej limuzyny z wdziękiem i bez zadzierania spódnicy. Dodatkowe punkty. I kara, jeżeli nie utrzymała diety. Strata punktów. Makijaż, fryzura, ubranie, za wszystko są punkty. Jeżeli uśmiechnie się do prasy, dwa punkty. Jeżeli pomacha, jeszcze lepiej. Jeżeli się skrzywi, odliczamy. — Brwi Maca wykonały szybki taniec. Był zainteresowany. *Kurczę pieczone. Nie przesadzaj z entuzjazmem.*

— Będziemy potrzebowali zdjęcia. Może całą serię, każde na jedną szpalte na górze strony. Górna połowa, pierwsza strona niedzielnej części *Stylów życia*.

— Ale Mac, zaczekaj, to tylko artykuł. — *Ja chcę wyłącznie spytać o Angie, a nie pisać poemat epiczny.* — Nie planowałam...

— Jakoś to złożysz do kupy. Zawsze ci się udaje. Świetny pomysł. Mamy załatwione niedzielne wydanie. — Obdarzył ją radosnym uśmiechem. — Weź Hansena do zdjęć. To facet od sportu. Załapie, o co chodzi. Przynajmniej będzie miała szansę na rozmowę z Marcją. *Ale cholera jasna! Wielka rozkładówka na niedzielę? Co ja narobiłam? A ciągle jeszcze muszę napisać piątkowy kawałek o Angie.*

— Aha, i nie nastąp na odcisk Johnsonowi. — Peter Johnson był jednym z dziennikarzy politycznych. Marcia Robinson to był jego temat. Na pewno by mu się nie podobało, że jakaś głupia reporterka ze *Stylów życia* płacze mu się pod nogami. Lacey uważała nadętego, sztywniackiego Johnsona za idiotę.

— Peter Johnson, król Kapitolu, nawet nie wie, że istnieję. Mogłabym mu narzygać na buty i nie wiedziałby, że to ja. — Mac wzruszył ramionami. Została odprawiona.

— Zajmij się po prostu swoją robotą, Lacey. I zdjęciami. Potrzebujemy zdjęć super.

Lacey Smithsonian nigdy nie chciała wylądować w lifestyle'owym getcie gazety. Była całkiem zadowolona, pisząc wiadomości miejskie jako L.B. Smithsonian, kiedy Mariah „Parias” Morgan, świętej pamięci redaktorka działu mody w „Observerze”, padła trupem na serce w redakcji. Mariah po prostu zgasła przy klawiaturze, tworząc tekst o waszyngtońskich „twórcach stylu”. *Zanudziła samą siebie na śmierć*, uważała Lacey. Mariah, zmarła w wieku pięćdziesięciu ośmiu lat, leżała na swoim biurku, a jej nieodłączny czarny beret zjechał ze srebrzystego pazia. Jeżeli chodziło o własny wygląd, Mariah nie była oryginalna. Włosy gładkie, z przedziałkiem z boku, sięgające linii szczęki — ulubiona fryzura wszystkich dziennikarek telewizyjnych wszędzie. Kolejna wersja waszyngtońskiego hełmu.

Ale Mariah była jednak dzielna. Dokończyła ostatnie zdanie, napisała „Koniec” — takie jej dziwne upodobanie — zanim wszystko się rozwiało w nicość. Chociaż minęło dobrych kilka godzin, zanim ktokolwiek zauważył, że nie ucina sobie po prostu drzemki. Pojawiło się już stężenie pośmiertne i trzeba było wywieźć ją na krzesło na kółkach, przykrytą prześcieradłem. W „Eye” uznano to za odejście z klasą.

Macowi trzeba było przyznać, że okazał prawdziwie ludzkie uczucia, kiedy wywożono ciało z kąta sali redakcyjnej. „Cholera ciężka, Mariah, musimy wydać dodatek o modzie!”. Mariah bezczelnie nie odpowiedziała.

Byli w „Eye” redaktorzy i dziennikarze, redaktorzy specjaliści i redaktorzy działów, ale Mac rządził w redakcji niepodzielnie, łącznie z pogardzaną sekcją *Stylów życia* — gdzie teraz trzeba było zappełnić lukę. Tylko że Mariah była jedyną królową w małym królestwie mody, nie zostawiła żadnej następczyni na swoje miejsce. Umysł Maca przeszedł w stan alarmowy. Do żył trafiła dawka adrenaliny. Rozglądał się groźnie po sali, unosząc krzaczaste brwi nad złocistobrązowymi oczyma. Istna łapanka. Na nieszczęście Lacey okazała się pierwszą osobą na linii wzroku Maca. I, niestety, podziałało pierwsze wrażenie. Nie

zobaczył ciężko pracującą reporterki od ważnych wiadomości, kobiety pozyskującej istotne źródła, dochodzącej do prawdy i broniącej sprawiedliwości. Mac zobaczył jedyną dziennikarkę w „Eye”, która ubierała się dobrze, umiała dopasować do siebie dwa kolory, nie wywołując u przechodniów zawrotów głowy. Tę ze śmiesznym nazwiskiem.

— Smithsonian!

Od pierwszego dnia jej pracy Mac wyczuwał w Lacey Smithsonian coś w rodzaju pokrewnej duszy. Nie miał najmniejszych problemów z wrzeszczeniem na nią albo obdarzaniem niejasnymi pochwałami, w rodzaju „Hej, to nawet nie jest takie straszne”.

— Lacey Smithsonian. — Zawsze się uśmiechał, wypowiadając jej nazwisko. — Chodź tutaj. — Nie podobał jej się ton, z jakim to mówił. Popatrzyła na niego — krępego tyrana ze spiczastą głową i wąsami. Mac nie był potworem, ale uroczym krasnoludkiem też nie.

Jakaś intuicja kazała Lacey spojrzeć na puste biurko, które przedtem należało do Mariah. Me *odważyłby się*. Poruszała się powoli, przesywając go groźnym spojrzeniem, usiłując przesyłać fale umysłowe. Me. Me. *Nie*. Mac odwzajemniał się spojrzeniem nie mniej groźnym. Jak dwaj słowni rewolwerowcy, stojący twarzą w twarz w samo południe nad ciałem padłego na placu boju towarzysza.

Mac podkreślił, że niespodziewanie zwolniło się miejsce. Byłby to awans, skłamał. Byłoby to tylko tymczasowe, skłamał.

— Kilka tygodni. To chyba nie jest trudne? Tylko dopóki nie znajdę kogoś nowego.

— Nie! To ślepa uliczka. Śmiertelny cios dla kariery. I podkreślam, że śmiertelny. Mac, to zabiło Mariah.

Lacey wiedziała, że to nigdy nie będzie tymczasowe. Tego rodzaju działki nigdy nie bywały. Czy zajmowanie się nocną zmianą policyjną było kiedykolwiek tymczasowe? Albo pisanie nekrologów?

— Lacey Smithsonian, rubryka mody — zachichotał. — Pasuje. — Mac przyglądał jej się. Wyglądała, jakby wyszła z jakiegoś filmu z Carym Grantem. Wydawała się idealna do tej roboty,

przynajmniej dla niego. Większość dziennikarzy w „Eye” wyglądała, jakby pozyskiwała ubrania na wyprzedających z kongresowych szaf.

— L.B., Mac, nie Lacey.

— Już nie. — Znowu pojawił się redaktorski szyderczy uśmiezek. — Masz do pisania rubrykę mody. Dla kobiet. A poza tym, umiesz robić coś takiego, wiesz, że rzeczy do siebie pasują. No wiesz, mówię o twoich ciuchach. Jesteś właściwie specjalistką.

— Mac, to, że nie mieszam kratek z paskami, jeszcze nie znaczy, że mam kwalifikacje, by pisać o modzie. Nawet nie wiem, od czego zacząć.

— Kwalifikacje? Na litość boską, to tylko ciuchy! Doktoratu do tego nie trzeba.

— Ale nikt tego nie czyta! Najlepiej dla gazety będzie, jeśli ją po prostu skasujesz, Mac. Pochowaj tę rubrykę razem z Mariah.

Nikt jeszcze nie mówił Macowi, jak ma poprawić „Eye Street Observer” bez surowej kary.

— Łamiesz mi serce. „Lacey Smithsonian, specjalistka od stylu. Modne pióro” — zaśmiał się. Ona nie.

Wiedziała, że nie powinna, ale nie umiała się powstrzymać. Wzywał ją ulubiony temat.

— Posłuchaj, Mac, moda jest ulotna. Styl jest wieczny, ale rubryka Mariah nie dotyczy stylu — oznajmiła. — Moda jest komercyjna. Jest tandetna i kiczowata, obliczona na sprzedawanie śmieci, a nie na to, żeby dobrze wyglądała na kobietach. Nie ma nic wspólnego ze stylem. To styl się liczy, Mac. Dzisiejsza moda to projektanci, którym woda sodowa uderzyła do głowy i którzy nienawidzą kobiet. Projektują ubrania dla tranwestytów, małych chłopców i zmutowanych kosmitów. Nic nie wiedzą o prawdziwych kobietach, które mają biust, biodra i talię! Projektują dla modelek, które wyglądają jak zaszuszone szkielety, mumie prawdziwych kobiet. Projektanci malują je jak Marsjanki, lakierują im włosy w jakieś niemożliwe rzeźby i twierdzą, że to moda. Nie mogę pisać o tych bzdurach.

Mac rozparł się wygodniej w fotelu. Wszyscy zaczęli się gapić.

Reporterzy opuścili swoje teksty w pół zdania.

— Nie wiem, Smithsonian. Jak dla mnie, jesteś bardzo zainteresowana sprawą. — Znak ostrzegawczy świecił jak neon, ale nie zauważyła go. — Projektanci mężczyźni tworzą takie głupoty, jak przezroczyste bluzki i halki zamiast sukienek. Nie dają kobietom kieszeni — dlaczego nie? Mężczyźni mają kieszenie. Spójrz na swoją marynarkę. — Lacey złapała ją z fotela. — Masz kieszenie na zewnątrz, kieszenie w środku. Nie musisz taszczyć ze sobą torebki. A kobiety? — Rzuciła mu marynarkę z powrotem. — Czy prawdziwe kobiety nie zasługują na kieszenie? Oni twierdzą, że to by psuło linię. Co by nawet było w porządku, gdyby ta linia była chociaż dobra. Dla kobiet nie ma żadnego szacunku, żadnych względów i żadnych kieszeni! Ja domagam się kieszeni!

Lacey złapała oddech.

— A buty? Nawet nie pytaj. Większość prawdziwych strojów dla kobiet jest niewygodna, nieatrakcyjna i przeraźliwie droga. Powinniśmy pisać o stylu, Mac. Spójrz prawdzie w oczy: moda jest idiotyczna. Jest przestarzała.

— Akurat — warknął Mac. — Wiadomości o modzie są niezbędne. Jak chcesz, możesz je nazywać stylem. Użyjemy tego w reklamach w centrach handlowych. I słuchałaś sama siebie? Właśnie napisałaś swój pierwszy artykuł w tej rubryce! Czterdzieści centymetrów proszę.

— Ludzie w Waszyngtonie nie poznaliby się na stylu, nawet gdyby ich ugryzł w tyłek.

Mac wrócił do swojej gazety i wziął na pół zjedzonego pączka, który leżał zawinięty w papierowy ręcznik na szczycie góry informacji prasowych i dzienników ustaw.

— Dołóż im, Lacey. Nie żałuj obcasa. To twoja działka. Wgryź się w nią. Pisz dla tych swoich prawdziwych kobiet.

Jakby tego jeszcze było mało, Mac kazał jej się przenieść do starego biurka Mariah. *Biurko po zmarłej kobiecie*. Wciąż tu straszyły osobiste rzeczy Mariah i dodatkowo było znane jako „strefa trzeciego wieku”, ze względu na jej czytelniczki. Lacey przeciągnęła własne krzesło do zakazanej strefy.

— Nawet nie próbuj sadzać mnie na krześle śmierci, Mac. Nawet nie jest ergonomiczne.

Moda w Waszyngtonie? Królestwo bezguścia! — taki był nagłówek pierwszego artykułu w rubryce Lacey. Przejechała się po wszystkich — projektantach, przemyśle oraz niemodnych mieszkankach Dystryktu i okolic, ze wszystkich sfer społeczeństwa.

Kiedy pisała tekst, tęskniła za czasami, kiedy dziennikarze mieli maszyny do pisania. Przynajmniej mogli się wyżyć, wałąc w klawisze w rytm wścieklej melodii serc. Lacey myślała, że zdoła sabotować swoje zadanie, szybko doprowadzić do zlikwidowania rubryki i wrócić do wiadomości miejskich. Myliła się. Nie przewidziała kupki listów do redakcji w pierwszym tygodniu, popierających ją w pełni, ani kilkunastu innych odsądających ją od czci i wiary. Mariah nigdy nie dostawała listów. Nigdy. I tak oto los Lacey został przypieczętowany.

Im bardziej próbowała być agresywna, tym bardziej podobało się to czytelnikom. Czepiała się znanych waszyngtońskich postaci, świętych i niekoniecznie świętych krów i byków. „Szary to kolor, to ubraniowa depresja”. „Szukaj porządnych marek, ale nie noś metki na wierzchu”. „Możesz się ubierać, jak chcesz, ale to nie znaczy, że nie będą się z Ciebie śmiać”.

Zbrodnie w modzie narodziły się i nie chciały umrzeć.

W sumie rubryka o modzie wcale nie była najgorsza dla Lacey Smithsonian, ale ona w życiu by się do tego nie przyznała. Wkrótce jej rubryka stała się nieodłączną częścią gazety. Lacey wyżywała się na waszyngtońskim braku stylu i broniła zwykłej kobiety, której nie było stać na markowe stroje, ani nawet na ich kopie. Czytelnicy kochali ją i nienawidzili. Okazała się szczególnie ostrym cierniem w boku byłej Pierwszej Damy. „Eye Street Observer” miał to gdzieś, dopóki była reakcja.

A teraz usiłowała dojść prawdy o zabójczej fryzurze pośrodku medialnej awantury.

Rozdział 11

Lacey zatrzymała się w Stylettos w porze obiadowej, by wziąć namiary na firmę sprzątającą i powiedzieć Stelli, że Angela Woods będzie tematem *Zbrodni w modzie* w tym tygodniu. Lacey ułożyła już sobie w głowie większość tekstu. Angela Woods nie zniknie z pamięci wszystkich bez co najmniej jeszcze kilku poświęconych jej centymetrów tekstu. Ale właściwie to wciąż nie powiedziała Macowi o Angeli, martwej fryzjerce, i zdołała dołożyć sobie roboty z niedzielnym artykułem o Marcii.

Krwiopijcy. Ile by się naczelnym nie dawalo, zawsze chcą więcej.

Stylettos było oddalone od redakcji o jakieś dziesięć przecznic — krótka jazda taksówką albo miły spacer. Postanowiła się przejść. Jednak niemal wbiło ją w ziemię, kiedy dotarła na miejsce. Znajome wnętrze w kolorze lila zostało świeżo przemalowane

i było teraz kremowe z czarnym wykończeniem. Poprzestawiano stanowiska i wszystko znalazło się w innym miejscu. Ściany zdobiły nowe czarno-białe plakaty, a recepcję od reszty salonu odgradzała ścianka z luksferów.

Stella właśnie przyjmowała pieniądze od klientki — strzyżenie, mycie i odżywka. Pomachała Lacey. Kiedy skończyła, poprowadziła ją do małego pokoiku na tyłach. Było tam cieplej niż w salonie — w suszarce wirowały ręczniki. Butelki szamponów i chemikaliów stały na półkach wzdłuż tylnej ściany. Stella wzięła

sobie colę i usiadła przy małym plastikowym stoliku. Sięgnęła pod kitel i podrapała się energicznie. Westchnęła.

— Coś nie tak? — spytała Lacey. — Ciągłe się drapiesz po brzuchu.

— A, nie. Tylko dałam sobie przekłuć pępek. Jest super, ale swędzi.

Chcesz zobaczyć?

— Nie! — Za późno, kitel podjechał do góry i Stella z dumą zademonstrowała nowe złote kółko umocowane nad pępkiem. Nawet za błyszczącą ozdobę pociągnęła, na wypadek, gdyby Lacey jej nie zauważyła. — Dzięki za podzielenie się ze mną mocno osobistymi nowościami, których wcale nie musiałam znać.

Stella wyszczerzyła zęby.

— Bobby jest zachwycony.

Lacey przypomniała sobie scenę w Lepiance: Stella pozeraczka mężczyzn i jej młodociany chuligan.

— Bobby? A tak, zdegenerowany amerek na motocyklu?

— Ten z kręconymi włosami. Wiesz, że są naturalne? I to prawdziwy blondyn. — Mrugnęła. — Zresztą sam mnie namówił. I tak o czymś takim myślałam. Byłam ostatnia z całego salonu. Zgadnij, gdzie według Bobby'ego powinnam mieć następny kolczyk? — Stella uniosła obie brwi.

— Stella, starczy osobistych informacji na jeden dzień. Przestali, albo wychodzę.

— Świętoszka.

— Trudno. Pozwij mnie do sądu. Taka jestem.

— Tak, Vic też tak powiedział.

Ach tak? Czują falę gorąca rozlewającą się po twarzy.

— Już nie żyje. Rozgniotę na miazgę to jego wielkie... ego. — Czując gwałtowną potrzebę zmiany tematu, spytała: — A co się tutaj stało? Nowe kolory? — Pod normalnymi chemicznymi woniami salonu czuć jeszcze było zapach świeżej farby.

— Zmiana wizerunku salonu. Wygląda nieźle, nie? Lila był już zdecydowanie passe — wyjaśniła Stella.

— Ale gdzie jest stanowisko Angie? Nie widzę go.

— Usunięte. — Stella odsunęła popielniczkę, walcząc z pokusą papierosa.

— Dokąd? Chciałam je zobaczyć. Stella popatrzyła na nią jak na kretynkę.

— No, nikt by go przecież nie używał. Rany. Nie możesz tego oczekiwać od ludzi. Nie po tym, jak Angie tam umarła, Lacey. Na litość boską! Lacey zapomniała, jak przesądna jest Stella. W końcu sama pracowała przy biurku, przy którym ktoś umarł. *Dziennikarze. Jesteśmy tylko stadem hien bez serca*, uznała. *Oczywiście z krzesła nie mogłabym korzystać*. Krzesło śmierci przyjechało z powrotem do sali redakcyjnej, kiedy tylko ciało byłej redaktorki do spraw mody przełożono na wózek. Puste, ale wciąż na wodzie, jak statek-widmo bez załogi.

— Wszyscy dostawali gęziej skórki — ciągnęła Stella. — Nawet po tym, jak je całe wyszorowali. Złe wibracje i tak dalej. Tak czy inaczej, Szczurek kazał je zabrać, razem z jej fotelem. To już jest w modułach — stojak, lada i lustro, wszystko razem. A potem postanowił przemaalować. Wiesz, żeby wygonić złe duchy. Załatwił to nawet po godzinach. Musiało go nieźle kosztować.

— Pozbył się całego miejsca zbrodni? Jednym manewrem? Bardzo skutecznie, powiedziałabym. Bardzo podejrzanie.

— Miejsca zbrodni? Boże, jeżeli tak to ująć... Chyba Szczurek zabrał je do magazynu. Znaczący, przyjechało dwóch facetów z magazynu i zabrało je.

Lacey liczyła, że je obejrzy. Myślała, że atmosfera pomogłaby jej zacząć artykuł, chociaż teraz wydawało się to kiczowate. Była rozczarowana i zdezorientowana nagłymi zmianami w Stylettos. Zakładała, że Stella pozwoli jej wrócić po zamknięciu, żeby mogła się przyjrzeć miejscu, gdzie Angie spędziła ostatnie chwile. W jakiś sposób, w jakimś alternatywnym wszechświecie, dorwałaby gdzieś kanister luminolu z dodatkiem substancji utleniającej, żeby wywołać plamy krwi i dojść, co się tamtej nocy wydarzyło. Plamy. Rozbryzgi. Krwawe ślady stóp. *Jak w telewizji*. Może mogłaby przeszukać szuflady w poszukiwaniu wskazówek i przypadkiem natrafić na włosy. *Tak, akurat*. Pomysł był szalony, a zresztą los już tę drogę uniemożliwił. Teraz miała pokrzyżowane

szyki. Zastanawiała się, jak mogłaby się dostać do magazynu. Po ciemku, z luminolem i aparatem. Żaden plan się nie pojawił.

— Powiedz mi, Stella, jak to się stało, że Angie była tu wieczorem sama? Czy nie mówiłaś, że codziennie lokal powinno zamykać dwoje fryzjerów? — Po zbyt wielu napadach na samotne fryzjerki zamykające zakłady w opuszczonych centrach handlowych wydane zostały ogólnofirmowe procedury bezpieczeństwa. Należał do nich zakaz samotnej pracy dla fryzjerów.

— Tak, wiesz, Lacey. Różne rzeczy się zdarzają. — Stella odwróciła wzrok.

— Nie miałaś tam sama być tamtego wieczora, co?

Stella wyciągnęła z suszarki kłęb ręczników i zaczęła pośpiesznie je składać.

— Dogadałam się z Michelle, że to weźmie za mnie. Miała zamknąć razem z Angie. Ale mama jej zachorowała i musiała wcześniej wyjść. Angie powiedziała, żeby się nie przejmowała. Ruch był mały. Cholera, Lacey. Miałam randkę, z Michelle ciągle się zamieniałyśmy. Ale to pewnie wszystko moja wina. — Głos jej się załamał i odwróciła się.

— Nie, Stel, to nie była twoja wina — powiedziała Lacey. Nie było sensu mówić nic więcej.

— Zamykać mają dwie osoby. Jeżeli stanie się coś nagłego, załatwiasz zastępstwo, albo zamykasz wcześniej i obrywasz na drugi dzień. Ale tak czy inaczej, nikt nie zostaje sam.

— Wszyscy w salonie myślą, że Angie ktoś zabił, tak? Może oprócz Leonarda. — Stella wrzuciła do pralki nowy stos ręczników i zerknęła przez drzwi do salonu. Zniżyła głos. — Nikt naprawdę nie wierzy w samobójstwo, oprócz Szczurka. A kto właściwie wie, co sobie o czymkolwiek myśli Leo?

Stella wzięła ze śmieci na stole paczkę papierosów.

— Myślałam, że chcesz rzucić.

— Tak, przynajmniej przy świadkach. — Rzuciła paczkę z powrotem na stół. — Tak czy inaczej, po pogrzebie Szczurek miał specjalne zebranie salonu. Ostrzegał nas, że mamy o tym nie mówić, bo możemy wylecieć. Nie chce wystraszyć klientów. Straciliśmy już parę klientek, które chciały iść tylko do Angie,

i Leo chyba nie jest dla nich dość sławny. W końcu to nie Leo strzygł Marcie.

— A ty jak myślisz?

— Myślę, że wszystkim zaczyna odbijać, ze mną włącznie. — Dopięła swoją cokolę jednym haustem.

Lacey zamknęła oczy na moment i przeciągnęła się. Wyrzała przez drzwi składziku. Po drugiej stronie salonu jej wzrok przyciągnęła ręka poruszająca się w szybkim rytmie.

— Co u licha Leonardo robi z tą kobietą? — spytała. Kobieta wyglądała na przerażoną, podczas gdy Leonardo tworzył z jej włosów surrealistyczne gniazdo szczurów.

Wymachiwał obiema rękami niczym dyrygent szalonej symfonii.

Zamiast pałeczki trzymał w jednej ręce grzebień, a w drugiej brzytwę, którą ciął w różnych kierunkach z wielkim zapalem, odcinając kosmyki włosów, jakby szatkował kapustę. Na jego czole pojawiły się drobne kropelki potu.

Ofiara Leonarda miała zwykłe brązowe włosy, proste jak druty, średniej długości, coś między waszyngtońskim paziem a hełmem. Leo najwyraźniej miał inną wizję jej wyglądu.

— Wygląda, jakby dzikie zwierzęta obgryzły jej końce włosów — orzekła Lacey.

— Leo jest w kiepskim humorze — wyjaśniła Stella. — A poza tym, odrośnie. To nasze tajne motto w Stylettos. I nie cytuj mnie.

— Z góry nie tak dużo — pisnęła obronnie kobieta. Jej dłonie z francuskim manikiurem zatrzepotały bezradnie.

— Proszę się nie wygłupiać — odparł Leonardo. — Teraz będą miały trochę stylu!

— Ja chciałam tylko trochę podciąć — jęknęła.

Kobieta była jedną ze stałych klientek Leonarda, która zrobiła ten błąd, że poszła do innego salonu na tej samej ulicy na ostatnie farbowanie i strzyżenie, bo kapryśny maestro w Stylettos nie miał dla niej czasu.

— Według Lea, zasługuje na tortury — powiedziała Stella. Nawet po tym koszmarze kobieta pewnie wróci. W końcu było to dzieło wielkiego Leonarda.

— Ale to wygląda okropnie — zaprotestowała Lacey.

— Chcesz mu to powiedzieć?

— Stella, spójrz na niego. Jest dość przerażający z tą brzytwą. — Pomyślała, że ostatnia fryzura Angie nieco przypominała ten styl „obgryzionej przez łasice”, który Leonardo stosował na kobiecie. Jego dłoń raz za razem cięła powietrze. Jeżeli Leonardo był w stanie zrobić coś takiego ze zwykłymi włosami, to czego mógłby dokonać z pięćdziesięcioma centymetrami blond fal? Zaczęła, i zaraz przestała tworzyć w myślach obraz Leonarda z Angelą. Mogła to sobie wyobrazić o wiele za dobrze.

Z teatralnym gestem odłożył brzytwę i trysnął sobie na obie dłonie piankę. W ramach ostatecznej obelgi ułożył jej włosy tak, by ścięte brzytwą kosmyki stały na baczność. Nerwowo spojrzała w lustro i wybuchnęła płaczem. Wszyscy ucichli, wyłączyli suszarki, klientki i fryzjerki zapatrzyły się na scenę.

— Stella, ten facet nigdy się nawet nie zbliżył do moich włosów.

— Chyba nie myślisz, że Leo mógłby... — Stella zdołała zrobić minę jednocześnie wstrząśniętą i oburzoną.

— Naprawdę był tamtego dnia w Virginia Beach?

— Tak uważa Jamie. Zadzwoił, że jest chory, przysięgał, że to grypa. Była naprawdę piękna sobota. A on lubi plażę. Twierdzi, że chciałby tam mieszkać.

— Chcę, żebyś coś zapamiętała dokładnie tak, jak powiem — oznajmiła Lacey. — Jestem tylko dziennikarką, nie detektywem. Zadam kilka pytań o Angie. Napiszę tekst. Ale samo zadawanie pytań może odkryć sprawy, o których wolałabyś, żeby ludzie nie wiedzieli. Na przykład, dlaczego Angie była tu sama w wieczór, kiedy miałyście być obie.

— Tego chyba nie napiszesz, co? Znaczący, *ktoś* mógłby mieć duże kłopoty.

— O tym właśnie mówię, Stello.

— Ale wierzysz, że ktoś ją zamordował, prawda? Lacey wzięła głęboki oddech.

— Tak, wierzę, że ktoś zamordował Angelę Woods. Ale to nie znaczy, że jestem w stanie znaleźć mordercę. Jeśli jednak napiszę ten artykuł, może wzbudzić zainteresowanie i policja będzie zmuszona wznowić śledztwo.

— Lacey wzięła torebkę i wstała. —

Będę musiała porozmawiać z różnymi ludźmi, jak na przykład z ostatnią klientką Angie, i będę musiała wiedzieć, gdzie Leonardo naprawdę był tamtego wieczora. Może nawet będę musiała spojrzeć na stanowisko Angie w magazynie.

— Ale całą krew już zmyli.

— Potrzebny mi namiar na firmę sprzątającą.

Stella pochyliła się nad pralką i przyjrzała korkowej tablicy pokrytej starymi wiadomościami i przypadkowymi papierkami. Znalazła wizytówkę.

— Proszę, nie zamierzam znowu z tego korzystać. Jeżeli będę musiała jeszcze kiedykolwiek widzieć zwłoki, to oby były moje.

Lacey spojrzała na wizytówkę: Ani Śladu — Sprzątanie miejsc przestępstwa.

— Kto odpowiada za magazyn?

— Przygłupi kuzyn Szczurka, dziesiąta woda po kisielu. Ale wiesz kto teraz odpowiada za ochronę? Twój przyjaciel Vic. Mógłby cię wpuścić. *Vic. Tego się obawiałam.*

W drodze do domu Lacey odebrała wóz, przetrzebując swoje konto bankowe. Paul zapewnił ją, że samochód ma przed sobą jeszcze długie kilometry, zanim bogowie wysypisk zażądadają go z powrotem. Był to najpiękniejszy moment całego dnia.

Lacey Smithsonian

KAWAŁKI O MODZIE

Złe zdjęcia żyją wiecznie — czyli pulchne nagie zdjęcia na stronie 3!

Jeżeli dobre zdjęcie warte jest tysiąca słów, to jedna kiepska fotografia może spowodować osobistą katastrofę. Jeżeli dasz się przyłapać na jakiejś godnej zainteresowania mediów działalności, energiczni wężyciele znajdą niebawem twoje najgorsze zdjęcie z prawa jazdy. A szacowne gazety i czasopisma będą je bez końca przedrukowywać. Zaczнешь żałować, że w ogóle żyjesz. Nazywamy to dziennikarstwem śledczym.

Złe zdjęcia żyją wiecznie. Nawet jeżeli zrobisz sobie operację plastyczną i poprawisz nos, media i tak użyją starych fotografii. W obronie własnej, jak dobry skaut, który jest zawsze przygotowany, należy:

- Mieć gotowe własne, korzystne zdjęcie, żeby adwokat albo rzecznik prasowy mógł je od razu rozdáwać, co może opóźnić polowanie na najbardziej koszmarną podobiznę. Leniwi redaktorzy drukują, co mają. Pilnuj, żeby to byto dobre.
- Pamiętaj, że gazety naprawdę lubią kompromitujące zdjęcia, więc zdecydowanie zalecam trzymanie się zasady: brak aktu to najlepszy akt. Upewnij się, że żadne nie kryją się w zakamarkach Internetu.
- Nigdy, podkreślam, nigdy, nie pozwalaj fotografowi robić sobie zdjęcia z poziomu poniżej własnych oczu. Pożalujesz. Jeżeli klęczy, przymierzając się do zdjęcia pięknie podkreślającego obwisłe policzki i podbródek, szybko kopnij go, gdzie trzeba swoimi eleganckimi granatowymi pantofelkami. Bądź uprzejma, gdy będzie się wit na ziemi. Powiedz: „Tak mi przykro! To ja?”. Potem odejdz energicznym krokiem i nie oglądaj się za siebie. (PS Nie pozwól, by to spotkanie zostało uwiecznione na filmie).

Nie zapominaj, że przewidująca ofiara skandalu zawsze ma parę dobrych okularów słonecznych i jedwabny szal na podorędziu, kiedy fotografowie są blisko. Okulary ukryją worki pod oczami, a szalik zakamufluje podwójny podbródek, zrodzony z szukania pociechy w smakołykach. Będziesz wyglądać tajemniczo. Mogłoby być gorzej.

Zapomnij o tym, że we własnym domu możesz się odprężyć. Słyszałaś kiedyś o teleobiektywach? Czyli żadnych dresów i rozciągniętych koszulek z uniwersytetu, kiedy się ukrywasz. Tabloidy doniosą, że się zaniedbujesz. Albo że jesteś w ciąży. Wybieraj zamiast tego dobrze leżące topy i czarne spodnie i zaciągaj starannie zasłony. A wreszcie, dużo szczęścia. Będzie ci potrzebne.

Rozdział 12

Na medialne oczekiwanie we wtorek Lacey założyła czarną sukienkę cioci Mimi z 1939 roku z dobrze dobranym szmaragdowo-czarnym bolerkiem. Cień Rity Hayworth. Kobiecej i silnej, odpowiadającej Lacey idealnie. Poza tym nikt w całej brygadzie prasowej Waszyngtonu nie miał nic, nawet odrobinę, podobnego.

Scena przed budynkiem Sądu Stanów Zjednoczonych E. Barretta Prettymana graniczyła z farsą. Były tam ekipy telewizyjne robiące reportaże o Marcii Robinson i ekipy robiące reportaże o ekipach robiących reportaże o Marcii Robinson. Wszystkie możliwe miejsca parkingowe w Alei Konstytucji blokowały wozy satelitarne z każdej znanej sieci, łącznie z Fox, CNN, BBC i niemiecką telewizją.

Ponad dwustu reporterów, fotografów i techników było rozstawionych niczym oddziały okupacyjne przy wszystkich trzech publicznych wejściach do budynków i na parkingu. *Dobrze, że akurat nie dzieje się nic naprawdę ważnego*, pomyślała Lacey. Dziennikarze z ważnych sieci mieli porozstawiane małe namiociki, chroniące ich przed niemiłą pogodą. Wielu z nich zajmowało się tą historią od miesięcy. Zrozumiała, że to nieprawda, jakoby ludzie z telewizji i radia nie czytali. Nuda zmusiła ich wszystkich do czytania gazet.

Fotografowie, czy to telewizyjni operatorzy, czy też gazetowi, stosowali własny kodeks ubioru: dżinsy, buty sportowe, t-shirty

albo koszulki polo oraz wiatrówki. Reporterzy prasowi byli wymięci, ale wszyscy mieli marynarki, bo to był strój obowiązujący w galerii prasowej Kongresu. Jedną młodą kobietą musiała być dziennikarką telewizyjną, jedną z wszechobecnych blondynek o końskiej twarzy, które w Waszyngtonie uchodzą za atrakcyjne. Na głowie miała obowiązkowy waszyngtoński hełm, a na sobie niezniszczalny kostium z poliestrowej krepki w odcieniu lila, popularny wśród wszechobecnych blondynek. Młoda Azjatka nosiła odrobinę dłuższy hełm i ten sam kostium, tylko czerwony. Trzecią stację reprezentowała atrakcyjna czarnoskóra reporterka z kolejnym waszyngtońskim hełmem na głowie i w podobnym kostiumie o barwie niezapominajek. Schowała się z powrotem do namiotu. Lacey zaobserwowała, że upudrowane i kolorystycznie skoordynowane telewizyjne reporterki nie czekają w upale jak stado śliniących się psów. Od tego miały sługusów.

Trwała cisza przed burzą. Kamery były wycelowane, aby uchwycić tę szczególną chwilę — może dwadzieścia sekund — kiedy Marcia pojawi się, wysiadzie z samochodu, tanecznym krokiem wejdzie po schodach i zniknie w budynku. Reszta dnia, chociaż był piękny, zostanie spędzona w odrętwiającym zawieszeniu.

Lacey usłyszała reportera radiowego nadającego wiadomości z wyprzedzeniem przez telefon.

— Wszyscy się spodziewają, że Marcia Robinson nie będzie rozmawiała z prasą w pierwszym dniu składania zeznań przed prokuratorem specjalnym. — Usłyszała, że urwał na chwilę, po czym warknął w słuchawkę: — Nie, kurna, nie mam nic więcej do powiedzenia. Tu nie ma z kim gadać. Może da się wyciągnąć coś z agencji. Mam coś zmyślić od ręki? Mogę.

Obwieszony nikonami Todd Hansen, fotograf „Eye”, towarzyszył Lacey. Był to blondyn, który znakomicie pasowałby do drewnianej chaty na ustroniu w Maine, ale gdzieś po drodze skręcił nie tam, gdzie trzeba, i wylądował w Dystrykcie Kolumbii. Był bezpośredni i bardzo wysoki — jego wzrost w połączeniu z teleobiektywem wyposażonym w autofocus zapewniał zazwyczaj znakomitą jakość zdjęć. Hansen nigdy nie skarżył się na

swoje zadania, dzięki czemu cieszył się ogromną popularnością wśród dziennikarzy gazety.

Lacey podała mu przez walkie-talkie.

— Daj znać, jeżeli usłyszysz, że się zbliża. Muszę jeszcze coś sprawdzić. Todd zapewnił ją, że w porządku. Założył okulary słoneczne, posmarował się kremem od słońca, usiadł na małym składanym stołeczku, który sobie przyniósł, po czym wydobyl kubek kawy i „New York Timesa”.

Stażystka z „Eye” otrzymała paskudne i nudne zadanie obserwowania domu Marcii i miała zadzwonić natychmiast, gdy tylko główny świadek opuści budynek. *Przynajmniej zobaczy, jakimi to wspaniałym zawodem jest dziennikarstwo*, pomyślała Lacey. Było to pewnie najlepsze, co gazeta mogła zrobić dla stażysty — zniechęcać młodych ludzi do tego dziwnego trybu życia, jakim jest dziennikarstwo w Waszyngtonie. Po drugiej stronie ulicy Lacey, nie odczuwając najmniejszego poczucia winy, przechadzała się po salach Narodowej Galerii Sztuki. Dzieła Renoira były szczególnie piękne, buzie dzieci miały kolorki delikatniejsze niż u bachorów wrzeszczących za nią. Jeden pulchny chłopiec w wieku koło czterech lat protestował do swojej mamy:

— Nogi mnie okropnie boją! Dlaczego musimy chodzić?

Kiedy zbliżało się południe i nie było żadnego alarmu w sprawie Marcii, uznała, że pewnie się nie pojawi przed pierwszą. Załatwiła kilka telefonów i sprawdziła pocztę głosową. Uprawiała telefonicznego berka z niezwykle zajęta kobietą o imieniu Ruby, która zarządzała sprzątnięciem miejsca zbrodni w Stylettos. Zostawiła jej kolejną wiadomość i postanowiła coś zjeść.

Zamówiła sałatkę w ogródkowej kawiarni i usiadła obok fontanny. Ale wszystko, co dobre, musi się kiedyś skończyć. O pierwszej dwadzieścia radio zapiszczało. Marcia była w drodze.

W toalecie Lacey wygładziła spódnice, upudrowała nos, poprawiła szminkę i uczesała włosy. Jeżeli przypadkowo znajdzie się w czyimś kadrze, przynajmniej będzie w nim dobrze wyglądać. Wróciła na chodnik przed budowlą sądu.

Tłum dziennikarzy ożywił się gwałtownie, gdy zajechała czarna limuzyna. Marcia wyłoniła się z niej — na oko wypoczęta i z łagodnym uśmiechem, który wydawał się przyklejony do jej twarzy. *Może to od Valium*, pomyślała Lacey. *Albo prozacu*. Marcia była ubrana surowo niczym zakonnica, w czarną jedwabną sukienkę do kolan, ze sztywnym białym kołnierzykiem i mankietami. Stroju dopełniały proste czarne pantofelki i perłowy naszyjnik. *Niezły wybór. Dziesięć punktów. Brakuje tylko szkarłatnej litery. Może „P” jak pornografka ?* Włosy miała ściągnięte w lśniący kok na karku. Makijaż dyskretny. Lacey słyszała szum aparatów, reporterzy rzucili się stadem w stronę nieszczęsnej. Marcia została dobrze wytresowana, jednak nie spojrzała na dziennikarzy, ani nie pomachała. Rozsądne, ale Lacey będzie musiała w niedzielnym artykule odjąć punkty w kategorii sympatyczności. O ile zdoła sobie przypomnieć, co u czorta obiecała Macowi napisać. Oczywiście, jako jedyny sędzia, zawsze mogła zmienić zasady. Teraz zależało jej tylko na dostaniu się na tyle blisko, by mogła zadać pytanie. Miała wieloletnie doświadczenia w dziennikarskim rozpychaniu się łokciami, a do tego była drobna i zwinna. Przemknęła się przez malutką przerwę prosto do głównego świadka. Marcie otaczały kamery i mikrofony, ludzie wykrzykiwali pytania, a ona udawała, że ich nie słyszy. *To musi być mniej więcej tak, jak rola głównego dania na ucztach kanibali.* Lacey musiała mówić głośno, by dać się usłyszeć, chociaż była blisko. Jednak nie wyszczeżała tego jak reszta stada.

— Marcio, kiedy ostami raz widziała pani Angie i dlaczego odwołała pani ostatnią wizytę u niej? Angie. Pamięta pani. — Lacey miała nadzieję, że samo „Angie” wystarczy, by uruchomić pamięć Marcii. Nie zamierzała rzucać temu stadu wilków pełnego nazwiska. Niech sobie popracują. Marcia była wyraźnie zaskoczona i popatrzyła prosto na Lacey. Sto mikrofonów czuwało. Kamery szumiały. Jej opanowanie trochę osłabło. — Angie? Ja... ja... przykro mi. Nie pomyślałam... nie wiedziałam, że się zabije! Nie chciałam...

— Bez komentarza! Proszę nas przepuścić. Panna Robinson nie ma żadnych komentarzy. — Adwokat Marcii, spocony mężczyzna z nadwagą i fryzurą na siwiejącą, typową dla stolicy pożyczkę, chwycił ją za ramię, rzucił Lacey mordercze spojrzenie i pociągnął swoją klientkę do środka budynku, nie zaszczycając wrzeszczącego tłumu ani jednym dalszym spojrzeniem.

Reakcja Marcii zelektryzowała prasę. Gdy tylko imię „Angie” dało się raz słyszeć, reporterki telewizyjne rzuciły się na nie jak psy na surowe mięso.

Lacey słyszała, jak jedna z nich zaczyna:

— Telewizja ABC dowiedziała się właśnie, że Marcia Robinson będzie zeznawać na temat tajemniczej kobiety znanej tylko pod imieniem „Angie”, która może się okazać kolejną bohaterką rozrastającego się skandalu pornografii w Kongresie.

Ktoś inny spytał:

— Boże, czy ona powiedziała, „że się zabije?”. CBS donosiło:

— Prawdopodobnie inna pracownica Kongresu, określana na potrzeby dzisiejszego przesłuchania jako „Angie”, jest następnym ogniwem tej historii o pornografii i korupcji szerzących się wśród najwyższych władz, od Kapitolu aż po Biały Dom...

Lacey odeszła spokojnym krokiem razem z Toddem Hansenem, uśmiechając się niczym Mona Lisa. Kilka bardziej przytomnych telewizyjnych reporterów pobiegło za nią truchtem.

— Proszę zaczekać! Kim jest Angie, i kim pani jest? Pomachała im swoją legitymacją prasową. A powiedziała tylko:

— „Eye Street Observer”. Pracy domowej za was odrabiać nie będę.

■ ■ ■

Mac czekał na nią, kiedy weszła przez drzwi sali redakcyjnej.

— Smithsonian.

Zgiętym palcem wskazującym przywołał ją do swojego gabinetu, by pokazać wideo z telewizyjnych wiadomości. Ceremonialnie wcisnął przycisk na pilocie i pokazał się trzydziestosekundowy fragment wiadomości. Widoczna w nim była Lacey zadająca swoje pytanie, reakcja zaskoczonych Marcii, a także dziennikarka

usiłująca dojść, o co chodzi. Dziennikarka obiecywała dalsze informacje, które pojawią się w pierwszej kolejności na ABC. Potem obejrzelili kilka kolejnych fragmentów z innych stacji, a we wszystkich pokazywano Lacey i Marcie pod odrobiną innymi kątami. W każdym obiecywano, że w tej konkretnej stacji najszybciej pojawią się kolejne fakty dotyczące tajemniczej „Angie”.

Lacey uznała, że wygląda całkiem nieźle. Nie zauważyła, by kamera dodawała pięć kilo, jak wszyscy twierdzili. Może ze dwa. Ale z drugiej strony, stała obok pulchnej Marcii. Czarno-szmaragdowa sukienka świetnie wyglądała na zdjęciach. Ciocia Mimi byłaby dumna.

Wszystkie trzy sieci z niechęcią poinformowały, że to dziennikarka z waszyngtońskiego „Eye Street Observer” sprowokowała Marcie do tych zaskakujących słów. Nie wiedzieli, co zostało ujawnione, jednak było to lepsze niż nic. A uznanie zasługi Smithsonian mogłoby skłonić „Eye” do podzielenia się faktami. Dwie stacje dzwoniły już do Maca, usiłując przekonać go do przysłania Lacey do niedzielnych programów przedpołudniowych, aby tam podzieliła się swoimi wiadomościami. Mac wspomniał, że jest ona autorką popularnej rubryki *Zbrodnie w modzie*, ukazującej się w jego gazecie w każdy piątek, na co oni powiedzieli, że oddzwonią.

— Ja bym nie czekała — powiedziała Lacey.

Peter Johnson, główny dziennikarz w „Eye” do spraw najnowszych kongresowych skandali, gwałtownie otworzył drzwi i wszedł do gabinetu Maca. Miał trzydzieści dziewięć lat, był nieżonaty, aseksualny i może nawet pozbawiony jakichkolwiek hormonów. Mina nieustannie obrażona, wargi zaciśnięte w wąską linię. Peter poprawił na nosie swoje okulary i popatrzył groźnie na Lacey. W biurze uważano go za niezłego eleganta — teraz miał na sobie spodnie khaki, błękitną koszulę i wściekle żółtą muszkę ze wzorkiem w oliwki. Gdzieś w okolicy biurka widać było jego pogniecioną granatową sportową marynarkę. Peter był najwyraźniej wściekły, ale stał tylko ze splecionymi chudymi rękami i bladymi dłońmi zaciśniętymi w pięści. Pozwolił Macowi przejąć prowadzenie. Mac zatrzeszczał kłykciami w stronę Lacey.

— No więc, kim jest ta tajemnicza Angie i dlaczego Lacey Smithsonian ją zna jako jedyną w całym Waszyngtonie? — Był zbyt spokojny, jak wąż, który wybiera swój moment, zanim zaatakuje, albo ropucha czekająca na owada. Jak redaktor wietrzący newsa.

— Nie ja jedyną ją znałam. — Lacey zaczynało się robić w gabinecie gorąco, więc zdjęła bolerko i starannie je powiesiła na oparciu krzesła. — Angela Woods była fryzjerką Marcii, to ona zrobiła jej przed miesiącem nową fryzurę, którą wszyscy wychwalali. Pamiętaj, pierwsi byliśmy my — to znaczy ja. W zeszłym tygodniu, zdaniem naszej niezrównanej policji, Angela Woods popełniła samobójstwo. Ale inni uważają, że została zamordowana, i że pomysł, jakoby się zabiła sama, jest niedorzeczny.

— Jacy inni?

— No, kierowniczką jej salonu. — Mac nie wyglądał na przekonanego.

— Marcia miała umówioną wizytę u Angie w dniu jej śmierci, ale odwołała ją. To wszystko, co wiem. — Uznała, że nie muszą wiedzieć o dziwacznej fryzurze i zaginionych włosach. W każdym razie na razie nie.

— A, i w sobotę zgłoszono włamanie do mieszkania Angie.

— A ty skąd to wiesz, Smithsonian? — spytał Johnson.

— Styl nigdy nie śpi, Peter. Z wyjątkiem twojego przypadku. — Pociągnęła go za obdrapaną kartę identyfikacyjną. — Mała rada: nie zakładaj karty identyfikacyjnej do łóżka. Pod prysznicem też jej nie zdejmujesz? Może powinnam rozważyć to pytanie w rubryce i zadedykować je tobie.

Peter zasapał i wcisnął kartę do kieszeni, tak że widać było tylko łańcuszek.

— Aaa, ukryta tożsamość. Dużo lepiej.

Mac odchrząknął. Lacey posłusznie wyjaśniła, że nikt nie słyszał o Angie, dopóki nie uczesała Marcii Robinson. Ze względu na Marcie i kaprysy popularności, młoda fryzjerka przeżyła przed śmiercią kilka minut w glorii chwały. Wydawało się, że dobrze będzie zacząć od pytań do Marcii Robinson, a poza tym miała przecież ten artykuł na niedzielę, można powiedzieć. Mac nadal nie rozumiał.

— To jest moda, skandal, samobójstwo, morderstwo czy co?

— Zdecydowanie moda. Pewnie skandal. Może morderstwo. Kiedy Angie dokonała tego cudu z Marcją, stała się sławna w swoim kręgu, co wywołało dużo zazdrości. Więc może doprowadziło to do morderstwa, a może miała jakieś problemy osobiste. Ale gdyby Marcia Robinson do niej nigdy nie poszła, o Angie Woods nikt nigdy by nie słyszał. Skandal Marcii zbiera swoje żniwo. — *Jak to mówiła Brooke?* — Sześciu pracowników Kongresu wyleciało z pracy. Polecą kolejni. Dwóch kongres-manów podało się do dymisji. Jeżeli śmierć Angie jest w jakikolwiek sposób z tym powiązana, to ona jest kolejną ofiarą skandalu. Jeżeli nie, wygląda to na dziwny przypadek. Tak czy inaczej, temat z życia. Nie lubisz takich?

— A dlaczego mi nie powiedziałaś? — Poglądził się po tysej głowie. *Bo dopiero to wymyśliłam.*

— Bo nie chciałeś, żeby ci zawracać głowę. Moda cię nie interesuje. Przecież wystarczy na ciebie spojrzeć...

— No, teraz mnie interesuje, zwłaszcza jeżeli Marcia Robinson, oskarżona o szerzenie pornografii i demoralizację młodzieży, ma cokolwiek wspólnego z morderstwem. — Macowi przypadł do gustu pomysł, że jego gazeta jako pierwsza opíše morderstwo, o ile rzeczywiście się zdarzyło. Wydawało mu się także zabawne, że pozostałe media z takim zapalem ścigały fantom o imieniu Angie. — *Smithsonian*, chciałbym, żebyśmy byli kumplami. Chcę, żebyśmy rozmawiali, zwierzali się sobie, nic szczególnego, tylko takie drobne sekreciki, jak na przykład to, nad czym, do cholery, pracujesz! — Kumplowanie się z redaktorem wydawało się Lacey nie do pomyślenia. — Wolno ci robić ze wszystkich innych stado małą, ale nie ze mnie. Jasne? — Spochmurniał. Pokiwała głową, a on kontynuował. — A jeżeli ten temat doprowadzi do czegoś w jakikolwiek sposób połączonego ze śledztwem prokuratora specjalnego, mówisz o tym Peterowi. — Mac wskazał ruchem głowy Petera. Peter pokiwał mu głową i wyszedł, przekonany, że Lacey pokazano jej miejsce. — Mówiłem, żebyś nie nastąpiła mu na odcisk — spuentował Mac.

Wzruszyła ramionami.

— W ogóle nie byłam w pobliżu jego odcisków. Nie ruszyły się spod biurka.

— I masz powiedzieć Tony'emu Trujillo to, co powiedziałaś mnie. Peter Johnson był tylko głupkowatą primadonną, ale Trujillo miał jaja. Albo będzie próbował zabrać jej temat, albo go zdyskredytować. Był sercem i duszą reporterem policyjnym. Jeżeli w grę wchodziło morderstwo i „Eye” mogło dokopać miejscowym glinom, Trujillo na pewno będzie chciał zebrać chwałę sam. Na to nie mogła pozwolić.

— Mowy nie ma! To mój temat i nie oddam Tony'emu ani kawałka. To mój tekst, Mac. Tylko mój. Ja wszystko znalazłam. To moja działka i moje źródła.

Uniósł ręce w geście poddania.

— Wyluzuj. Dobra, w porządku, Smithsonian. Jest twój. — Mac uśmiechnął się z wyższością. Uznał, że w rubryce mody najwyraźniej rozkwitła. — Czyli niedzielny artykuł jest, tak? Ta punktacja?

Musiała wyciągnąć od Todda arkusze próbne, żeby sprawdzić, jak dokładnie Marcia wyglądała i ile jej przyznać punktów.

— Jasne. A tak nawiasem mówiąc, Mac, *Zbrodnie w modzie* będą w tym tygodniu o Angeli Woods.

Tym razem Mac się uśmiechnął.

— W porządku. Może raz będziesz miała prawdziwą zbrodnię. Ale to musi być dzisiaj.

— Mój termin jest jutro!

— To dziennik, Smithsonian. Nie kawiarnia. Dzisiaj o tobie gada całe miasto. Ciesz się z tego. Twój *news* o Angeli Woods i Marcii Robinson idzie na internet za czterdzieści minut. A jutro będzie w ramce na pierwszej stronie. Potem możesz w swojej rubryce pociągnąć elementy modowe. Jazda.

Trujillo przyszedł węszyć przy jej biurku, kiedy wtłukiwała w klawiaturę tekst o „tajemniczej Angeli Woods”. Użył całego swojego wdzięku, uhonorował ją stuwatowym uśmiechem, dokładnie jak zrobiłby grzechotnik, gdyby węże umiały się uśmie-

chać. Zaczęło jej chodzić po głowie coś o ogrodach, drzewach i jabłkach. — Mam termin nad głową, Tony. Więc zabieraj się razem ze swoimi butami.

Zaproponował, by skoczyli po pracy na piwo. Jej kontrpropozycja brzmiała, by się zastanowił raz jeszcze. Zaproponował, żeby pogadali o tym, co miała. Ona zaproponowała, by sobie wreszcie poszedł, bo musi skończyć tekst na czas. On z kolei zasugerował, że mógłby jej pomóc z ewentualnymi elementami kryminalnymi. Ona zasugerowała mu miejsce, gdzie może umieścić swoje elementy i zaoferowała pomoc. W końcu pojął aluzję. Obdarzył ją kolejnym zabójczym uśmiechem, odchodząc, ale było to już tylko sześćdziesiąt watów. Uśmiechnęła się do siebie. *On jeszcze wróci.*

Rozdział 13

Kiedy dotarła do domu, miała kilka wiadomości na sekretarce. Stella była zachwycona, widząc Lacey w telewizji.

„Wiedziałam, że mnie nie zawiedziesz. I wyglądałaś super. Co dalej w naszym śledztwie?”.

Kolejna była Brooke.

„Myślałam, że miałaś się w to nie mieszać. Proszę o telefon z dokładnym sprawozdaniem. Jeżeli masz dostęp do telefonu, to masz adwokata. A, i uważaj na facetów ze słuchawkami w uszach”.

Trzecia wiadomość była od jedynej i niepowtarzalnej Marcii Robinson.

„Lacey Smithsonian? Proszę do mnie zadzwonić. Chciałabym porozmawiać o... wie pani o kim, i na litość boską, proszę nikomu nie dawać tego numeru”.

Lacey zaczęła wybierać go, zanim zdążyła zdjąć żakiet. Była zaskoczona, kiedy odebrała sama Marcia.

— Omal nie dostałam dzisiaj przez panią zawału — zatraj-kotała Marcia. Oczywiście, czuła się okropnie z powodu Angie i chciała wiedzieć, czy Lacey ma jeszcze jakieś informacje oprócz tego, co było w gazetach. Marcia pamiętała artykuły Lacey o swoim zmienionym wizerunku. Ku uldze Lacey uważała je za zabawne. — Pozostałe gazety były po prostu wredne.

Oficjalnie Marcia powiedziała, że Angie była „genialną fryzjerką” i że „jest jej bardzo smutno z powodu jej śmierci”. Nieoficjalnie

dodała, że wszystko opowie później. Była w nastroju do rozmowy, ale sugerowała, że powinny gdzieś się spotkać osobiście.

— Adwokat trzyma mnie w areszcie domowym i jak się gdzieś nie wymknę, to nie wytrzymam. Przysięgam, że założył mi podsłuch na telefon.

— To byłoby złamanie federalnych przepisów o podsłuchiowaniu rozmów telefonicznych.

— Nie zna pani mojego adwokata. Uważa, że osobiście zapisał luki w prawach federalnych. Na szczęście mam komórkę, o której nic nie wie. — Lacey nie spodziewała się, że Marcia będzie taka beztrojska. Zaskoczyło ją, iż pani Robinson nie bierze całej tej awantury aż tak poważnie, ale jej żal w związku z Angie wydawał się prawdziwy.

Marcia zaproponowała, by spotkały się nazajutrz przy waszyngtońskiej katedrze. Była zaprzysięgłą agnostyczką, która do kościoła w zasadzie nie chadzała.

— W Boga nie wierzę, ale przeszłam przez piekło — wyjaśniła.

Waszyngtońskie intrygi niemal zawsze wymagały potajemnych spotkań w miejscach takich choćby, jak podziemny parking.

Majestatyczny gotycki kościół w Northwest, nawet z gargulcami, był równie odpowiedni, a chociaż był episkopalny nie katolicki, kojarzył się Lacey z atmosferą sanktuarium i azylu.

Nie wiedziała, jak dalej rozwinie się sprawa z Marcją, ani czy młoda skandalistka w ogóle się pokaże. Dlatego nie było potrzeby zawracać głowy nowemu kumplowi Macowi nadmiarem informacji. Przeczytała wszystko, co ukazało się w „Eye” na temat skandalu, szukając pomysłów. Pojawił się tylko jeden ciekawy drobiazg. Sherri Gold, ostatnia klientka Angie, była wśród wyrzuconych pracowników. Nierozsądnie pojawiła się w stroju Ewy na nieistniejącej już stronie internetowej, po czym zrzuciła winę na Marcję. *Sherri Gold na golasa? Kolejna przeraźliwa myśl.*

Żylasta i zero seksapilu.

■ ■

Artykuł na pierwszej stronie środowego wydania „Eye”, *Zmarła fryzjerka powiązana z Robinson*, wywołał krótkotrwałą sensację, chociaż inne media pozadzierały nosy, gdy odkryły, że tajemnicza

Angie była zwykłą fryzjerką. W jednej określono to jako „burzę w kongresowej szklance wody”. Ale Mac był zadowolony. Niewiele informacji o tym skandalu mógł opublikować jako pierwszy. Podobał mu się także potencjalny aspekt przestępczy w związku z Angie. Uwielbiał denerwować Departament Policji D.C. w związku z ich nieszczerze wspaniałymi statystykami wykrywalności sprawców. Mac często podkreślał, że w D.C. jest o wiele łatwiej uniknąć odpowiedzialności za morderstwo niż za parkowanie w niedozwolonym miejscu. Twierdził, że D.C. powinno przekazać wydział zabójstw w ręce swoich niezwykle skutecznych służb parkingowych.

Permanently obrażony Peter ignorował Lacey w sposób wyjątkowo ostentacyjny, co było do przewidzenia. Trujillo przyszedł z czymś, co wyglądało na komplement.

— Nieźle, Smithsonian.

— Co?

— Nie widziałaś? Dostałaś się na stronę DeadFed. — Rzuciła mu spojrzenie „o czym ty, u diabła, mówisz”. Uznał to za zaproszenie do przemeblowania jej biurka, po czym usiadł na nim i zabawił się w profesora. — Nie wierzę, że ich nie znasz. Zajrzyj. Cośtam kropka cośtam ukośnik WashingtonDeadFed kropka com.

— Do rzeczy, Trujillo.

— To magazyn wszystkich zmarłych, umierających, pobitych, obrabowanych albo zaginionych ludzi, którzy są albo kiedykolwiek byli powiązani z jakimś waszyngtońskim skandalem. Historycznie sięga admirała Jamesa Forrestala, który albo wyskoczył, albo został wyrzucony przez okno w czasach administracji Trumana. Vince Foster, doradca Clintona, ze swoim strzałem w usta pozostaje, oczywiście, największą gwiazdą. Co tam, nawet zdechły pies Clintona, Buddy, jest na liście. A ty się tam znalazłaś dzięki swojej historii z Angie Woods.

Lacey otworzyła w komputerze nowe okno i Trujillo wpisał adres. Była przerażona i zafascynowana, widząc link do swojego artykułu z tekstem *Ostatnia ofiara igraszek w Kongresie?*.

— Raczej niewiele, powiedziałabym — uznała Lacey.

— Jak na razie. Zaczekaj.

Zadzwoił telefon. Odebrała, zadowolona, że ma pretekst do pozbycia się Tony'ego.

— Teraz to ci się dopiero udało! — To była Brooke.

— Co? Naprawdę nie mam teraz czasu.

— DeadFed. WashingtonDeadFed kropka com. Nie mów mi, że tego nie widziałaś.

— Widziałam. Wchodzisz w tryb królowej konspiracji? Bo mnie goni termin — rzuciła Lacey.

— No dobra — Brooke wydawała się obrażona. — Tylko dzwonię powiedzieć, żebyś była ostrożna. Bardzo ostrożna.

— Dzięki. Nic mi nie jest.

— Przy okazji rzuć okiem na tego linka do Martwych Dziennikarzy. I Matt Drudge, wiesz, ten od Moniki Levinsky też to już ma.

— Rany! Pogadamy później.

— Uwważaj na facetów w długich płaszczach, z wybrzuszeniami pod marynarką.

— Super, Brooke. Może mogłybyśmy pogadać na temat rubryki o modzie.

— Tylko pamiętaj, że cię ostrzegałam. — Brooke odłożyła słuchawkę. *Primadonna*. Niestety, Lacey nadal musiała napisać swój artykuł przed tajnym spotkaniem z Marcją Robinson. I tym razem nie będzie zabawny. Oficjalnie Boyd Radford powiedział, że Angie była „miłą dziewczyną, ciężko pracującą, szkoda, że umarła tak młodo”. Radford zaprzeczył, jakoby straszył swoich fryzjerów, i zapewnił, że „oczywiście, mogą śmiało mówić o Angeli”. Nieoficjalnie powiedział Lacey, że pisanie artykułu o „całym tym bałaganie” było w złym guście i że powinna dać spokój. Lacey zapytała, czy spotykał się z Angelą Woods lub usiłował nakłonić ją do seksu, gdyż takie plotki krążyły. Wtedy Radford odłożył słuchawkę. Nawet nie zdążyła zapytać o pośpieszny remont salonu. Oficjalnie Leonardo, „tylko Leonardo”, powiedział: „Angela nie osiągnęła jeszcze szczytu swoich możliwości jako fryzjerka w Stylettos, ale pod moją opieką wyrosłaby na gwiazdę”. Nieoficjalnie oświadczył, że była „pretensjonalną gówniarą”, która mogła

tylko marzyć o przejęciu jego klienteli. Było mu, oczywiście, przykro, ale „życie idzie dalej, skarbie”. Zdaniem Leonarda, był to najczystszy przypadek, że właśnie Angie czesała Marcie, bo on akurat musiał wyjechać z miasta w pilnych sprawach rodzinnych. Przyznał, że zgłosił chorobę, bo to było prostsze niż wyjaśnienia. Lacey spytała, czyjego rodzina mieszka przy plaży, i czy mogłaby potwierdzić, że u nich był. Rzucił słuchawkę.

Oficjalnie Stella powiedziała, że Angela „bardzo się starała i była słodka, i nigdy by się nie zabiła”. Obwiniła siebie, że jej tam nie było tego wieczoru. Oznajmiła, że nie ma pojęcia, kto chciałby skrzywdzić Angelę. Stella nie uznawała wypowiedzi nieoficjalnych.

— Może ostatnio była jakaś zdenerwowana. Ale myślałam, że trzeba jej było faceta. Wiesz, o co mi chodzi? Tak jak ty jesteś ciągle spięta.

— Nie jestem.

— Trzeba ci faceta, Lacey.

Matka Angeli szlochała i wykrztusiła, jak słodka była jej świętej pamięci córka. Powiedziała, że Angie „kochała miasto, ale była zbyt ufna”.

Dodała, że „piekło zamarznie”, zanim jej pozostałe córki zamieszkają w tak pełnym grzechu miejscu, jak Waszyngton, D.C.

Sherri Gold, ostatnia klientka Angie w jej ostatnim dniu, oficjalnie nie mogła sobie przypomnieć niczego oprócz faktu, że Angie była „uroczą dziewczyną i geniuszem nożyczek” klasy Nowego Jorku. „Taka szkoda, że nie żyje”. Nieoficjalnie poinformowała, że Angie śpieszyła się i była rozkojarzona, i że może to nie było najlepsze strzyżenie w jej życiu.

Powiedziała, że ktoś inny mógł być w salonie, ale nie zwróciła na to uwagi. A tymczasem zapisała się do Leonarda na pasemka, jako że wszyscy go polecali. Kiedy Lacey wspomniała o Marcii Robinson, Sherri była mniej chętna do rozmowy.

— A co to ma wspólnego z moimi włosami? Nie będę odpowiadać na żadne pytania o tę wiedźmę. Szkoda, że to jej nikt nie podciął nadgarstków i nie patrzył, jak się wykrwawia na śmierć, zamiast Angeli. Lacey dostała gęsiej skórki.

— Widziała pani coś, Sherri? — *Albo może zrobiła coś, a potem patrzyła?* — Myśli pani, że to było morderstwo, a nie samobójstwo, jak twierdzi policja? — Sherri rzuciła słuchawkę.

A tak dobrze szło, pomyślała Lacey.

Kilka razy dzwoniła do Vica z prośbą o wpuszczenie do magazynu Stylettos. Nagrał jej wiadomość: „Sorry, Lacey, ale nie ma mowy. Radford dostał szału, ostrzegął, że mam z tobą nie rozmawiać. Że jesteś rąbnięta. Dziwnie to wszystko znajome”.

Od śmierci Angie minęło jedenaście dni. Od tego czasu dziesięć innych osób zostało zamordowanych lub „popęłniło samobójstwo” w Dystrykcie Kolumbii. Oficjalnie policja D.C. stała na stanowisku, że sprawa Angeli Woods to „oczywiste samobójstwo”. Nie ma tu żadnej tajemnicy. Oficer Stanley, rzecznik Departamentu, powiedział jej, stuprocentowo poufnie, że mowy nie ma, aby zakończona sprawa eleganckiego samobójstwa została wznowiona na kaprys jakiejś dziennikarki. Powtórzył to, co powiedział jej Trujillo: to patolog decyduje, a policja nie podważa decyzji patologa.

Czy z miejsca zbrodni zebrano jakieś ślady, spytała Lacey. Na przykład pęk włosów albo brzytwę? Nie, została poinformowana. Policja nie miała w swoim posiadaniu żadnych śladów i nie było żadnego miejsca uznanego za miejsce zbrodni. Gdyby pojawiły się nowe dowody, to byłoby co innego i może wznowiono by śledztwo. Ale musiałyby to być prawdziwe dowody, powiedział Stanley.

— Jeżeli ma pani prawdziwe dowody, proszę je przynieść. Nie jesteśmy nierozsądni.

Lacey nie miała powodów, by wątpić w jego słowa. I nie miała powodów, by wątpić, że policja D.C. byłaby w stanie pomylić morderstwo z samobójstwem i zapodziać narzędzie zbrodni. Nie musiała szukać argumentów nigdzie dalej, niż niedawna sprawa, w której naczelny patolog i Departament Policji Dystryktu uznali, że cztery kobiety, których ciała znaleziono pod bankiem w południowo-wschodnim Waszyngtonie, zmarły z przyczyn naturalnych. Jak najbardziej rozsądne. Jeżeli wierzyć policji, kobiety, wszystkie w wieku około dwudziestu pięciu lat, najwyraźniej wlażyły tam, żeby umrzeć, jak słonie poszukujące swojego cmentarzyska. Oburzeni mieszkańcy dzielnicy zrobili ogromną awanturę,

gdyż nie wierzyli, by mogło to być cokolwiek innego niż morderstwa. Śledztwo wznowiono w końcu rok później. A ciągnąca się rok sprawa w Dystrykcie była prawdopodobnie nie do rozwiązania.

Ruby z firmy „Ani śladu”, wyspecjalizowanej w sprzątaniu miejsc przestępstwa w końcu skontaktowała się z Lacey. Przez telefon jej głos brzmiał głęboko i przyjemnie, miał też cień akcentu ze wschodnich wybrzeży Marylandu. Powiedziała, że istnieją polaroidy całej sceny. Przekazano je Boydowi Radfordowi, prawdopodobnie dla firmy ubezpieczeniowej. Zapytywanie Radforda, czy mogłaby je zobaczyć, było prawdopodobnie bez sensu. I tak okazywał nadwrażliwość na ten temat.

Zdaniem Ruby, stanowisko fryzjerki zostało wyczyszczone całkiem nieźle, chociaż Radford kazał jej nie tracić czasu, bo i tak wszystko pojedzie do magazynu. A krzesło odstawiono na bok, żeby potem wyrzucić, bo nikt nie chciałby go więcej używać. Lacey zerknęła na „krzesło śmierci” swojej świętej pamięci poprzedniczki. Gościło niczego nieświadomą stażystkę.

Ale Lacey była bardziej zainteresowana tym, czy Ruby widziała jakieś długie blond włosy. Mogłyby być porzucane wszędzie niczym złocista pajęczyna albo splecione w jeden gruby warkocz, wciąż przepleciony niebieską wstążką. Lacey była przekonana, że powinny być w salonie. Na niedorzeczność zakrawało myślenie, że mogłyby zostać obcięte gdziekolwiek indziej niż w salonie.

— Żadnych długich włosów — zapewniła Ruby. — Jakieś krótkie resztki, których ktoś nie zamiótł porządnie. Nic dużego. Żadnych niebieskich wstążek.

— Na pewno?

— Skarbie, pięć lat robię w tym fachu, posprzątałam więcej krwi i flaków niż pani kiedykolwiek zobaczy, miejmy nadzieję. Krew się czasami dziwnie rozbryzguje. Może polecieć wszędzie. Wszystko wyczyścimy. Wyszukujemy nawet maleńkie krople krwi na liściach roślin i w środku szuflad, żeby mieć pewność, że nic nigdzie nie zostało. Gdyby gdzieś leżała wielka kupa jasnych włosów ze wstążką, przysięgam, że bym pamiętała. Niezbyt często robimy w salonach fryzjerskich.

— Było tam bardzo źle?

— Widywałam gorsze.

— A co z brzytwą, może zakrwawioną?

— Niczego takiego nie widziałam. Ze wszystkim ostrym i zakrwawionym obchodzimy się bardzo ostrożnie. Pewnie gliniarze by coś takiego zabrali jako dowód.

— Czy wyglądało, jakby odbyła się tam jakaś bójka? — Lacey nie ustępowała. — Jakby była tam więcej niż jedna osoba?

— Boże, proszę pani, ja tam tylko sprzątam. Nie siedzę tam i nie wymyślam upiornych historyjek. Zostawiam to policji. Kiedy ja tam dotrę, dowodów już nie ma.

— Okej. Żadnych włosów, na pewno?

— Żadnych włosów.

Lacey podziękowała i przerwała połączenie. Czyli włosy Rosz-punki zniknęły, a to oznaczało morderstwo. Niby cały czas wiedziała, że tak musiało być, ale teraz zostało to jakoś potwierdzone na głębszym, bardziej osobistym poziomie. *O Boże. A policja ma narzędzie zbrodni i nie wie o tym. Albo może je wyrzucili, kiedy patolog orzekł samobójstwo. Co ich to obchodzi? Nie ma zbrodni, nie potrzeba dowodów.*

Po kilku chwilach głębokich oddechów, szybkim spacerze w celu oczyszczenia głowy oraz przerwie na cappuccino, wróciła do klawiatury.

Lacey Smithsonian ZBRODNI W MODZIE Kto zabił Roszpunkę?

Zaledwie dwa tygodnie temu Angela Woods była na najlepszej drodze, by stać się fryzjerską gwiazdą i fryzjerką gwiazd. W tym tygodniu jest w drodze do domu, do Atlanty, do rodzinnego grobowca na cmentarzu, gdzie zostanie pochowana obok swoich dziadków, ojca i zmarłej w niemowlęctwie siostrzyczki.

Angela Woods dokonała arcydzieła fryzjerskiej magii, zmieniając wygląd waszyngtońskiej skandalistki Marcii Robinson. Z powodu tych

czarów została opisana w miejscowych gazetach i pismach, także w „Eye Street Observer”. Wierzyła, że gdzieś dotrze. Wszyscy tak mówili. Miała plany na swoje życie. Chciała mieć kiedyś swój własny salon.

A jednak policja Dystryktu Kolumbii twierdzi, że Angela Woods wzięła do ręki brzytwę, taką, jaką znaleźć można w każdym salonie fryzjerskim, zapaliła sobie włosy, poderżnęła nadgarstki, po czym umarła w salonie Stylettos w Dupont Circle. Sprawa zamknięta. Koniec.

Ci, którzy ją znali, twierdzą, że to niemożliwe. Dlaczego?

Bo samobójstwo nie było w jej stylu.

Kiedy ludzie mówią Angeli Woods, mówią jej włosach. To nie jest niezwykle wśród fryzjerów. Zawsze przede wszystkim zauważają włosy. Angela ozdabiała swoje sięgające talii loki wstążkami, grzebykami i perłowymi ozdobami. Była słusznie dumna z tych długich, jasnych włosów. Ale dziesięć dni temu piękna młoda kobieta z włosami jak z obrazów prerafaelitów została znaleziona brutalnie ogolona. Było to najbrutalniejsze strzyżenie w historii...

Dalej podała cytaty z różnych ludzi, którzy znali Angie. Lacey zakończyła, godząc się ze Stellą, że ktoś zabił Roszpunkę. I dodała jeszcze jedno pytanie:

Kto zabrał włosy i dlaczego?

Lacey oddała swoją rubrykę do piątkowej gazety wcześniej, co dało jej akurat dość czasu, by dotrzeć do katedry i spotkać się z Marcją.

Zaczekała, aż Mac zacznie rozmawiać przez telefon, po czym pomachała mu, wychodząc. Przykrył mikrofon dłonią.

— Hej, jak tam artykuł?

— Zabójczy — odpowiedziała.

Rozdział 14

Lacey złapała tuż pod biurem żółtą taksówkę, która zawiozła ją do kwitnącej północno-zachodniej dzielnicy D.C., gdzie stała katedra. Przeżyła jazdę w klasycznym, szarpanym stylu waszyngtońskich taksówkarzy, z jedną nogą na gazie, drugą na hamulcu i ich rytmicznymi zmianami w tempie takim, by pasażerowi na tylnym siedzeniu zapewnić maksymalne mdłości. Do tego tłumione przekleństwa pod adresem każdego czerwonego światła, znaku stopu, autobusu, pieszego oraz bezczelnego kuriera rowerowego. Jej kierowca, Ishmael według jego widocznej tabliczki licencyjnej, przeskakiwał wesoło od jednej dziury w drodze do drugiej. Waszyngtońskie ulice niewątpliwie przypominały mu kozie ścieżki z domu, gdziekolwiek ten dom się znajdował.

Lacey wolała starszych taksówkarzy, urodzonych w D.C., którzy naprawdę znali miasto i jeździli po jego ulicach przez ostatnie trzydzieści czy czterdzieści lat. Nawigacja w Dystrykcie nie sprawiała im problemu i mogli snuć wspomnienia o dniach, kiedy Ella Fitzgerald i Duke Ellington przyjmowali audiencje na pływającej scenie pośrodku lustra wody Tidal Basin. Potrafili opisać tłumy zbierające się na schodach, by słuchać darmowych jazzowych koncertów w Waszyngtonie, D.C., który w tych opowieściach był cudownym miastem.

Ishmael zatrzymał wóz. Jego taksówce przydałyby się nowe resory, ale Lacey była stosunkowo nieuszkodzona, nie licząc

mdłości, które u dziennikarza są ryzykiem zawodowym. Zapłaciła, a on odjechał.

Katedra świętych Piotra i Pawła należała do jej ulubionych miejsc. Kiedy po raz pierwszy przyjechała do D.C., Mimi zabierała ją tu na koncerty klasycznej muzyki chóralnej. Katedra nigdy nie straciła dla niej swojego majestatu, ani umiejętności wprawienia ją w dużo bardziej kontemplacyjny nastrój, ale i tak była bardzo zaskoczona, gdy Marcia zaproponowała spotkanie właśnie tutaj. Jednak, jak słusznie zauważyła Marcia, było to ostatnie miejsce, gdzie ktokolwiek by jej szukał.

— Spotkajmy się jutro przy grobowcu Woodrowa Wilsona. — Po chwili dodała: — Boże, mam nadzieję, że to nie omen.

Wczesnym popołudniem między grubymi kamiennymi murami panował przyjemny chłód. Lacey stanęła w wyznaczonej wnęce obok sarkofagu Wilsona. Promienie słońca wpadające przez witrażowe okna tańczyły po kamiennych kolumnach i marmurowych podłogach.

Uroczym wyglądającym siwowłosi przewodnicy w identycznych fioletowych czapkach oprowadzali wycieczki. Byli zarówno zorganizowani, jak i pełni wiedzy. Lacey przepuściła klub ogrodniczek z Północnej Wirginii, składający się głównie z pogodnych starszych pań, niemogących się doczekać ujrzenia tajemnic biskupich ogrodów i zobaczenia kwitnących czerwonych różanych drzewek. Po wycieczce miały w planie kulturalną herbatkę na szczycie wieży, z podziwianiem jednego z najpiękniejszych widoków w mieście.

Lacey prawie się nie zastanawiała nad swoim strojem, ale był w porządku: zwykła czarna spódnica i rajstopy, a do tego ciemnofioletowy dopasowany sweterek i odpowiedni żakiet. Wygodnie i kolorowo. Lubiała, żeby podmiot spotkania mógł ją łatwo zauważyć.

Usłyszała zbliżający się stukot obcasów. Nie było jeszcze dość ciepło na strój Marcii Robinson: żółtą letnią sukienkę z wzorem w latające pszczołki, słomiany kapelusz i okulary słoneczne. Czar wiosny podziałął na Marcję, marzącą o wydostaniu się z celi medialnego więzienia, które sama sobie stworzyła. To nie była

nowa Marcia przyodziana w stateczny szary kostium. To była kobieta, która — jak się mówiło — reprezentowała moralną czarną dziurę całego pokolenia. Ale jeżeli dzisiejszy strój miał być wskazówką, to gdzieś wewnątrz tej młodej kobiety kryła się Ania z Zielonego Wzgórza. Może Marcia chciała być kimkolwiek, byle nie tą dziewczyną z pierwszych stron gazet, tematem żartów satyryków, *enfant terrible*, które zdeprawowało innych pracowników Kongresu, jak również paru stażystów z Białego Domu i kilku niepełnoletnich gości. Kongres był aż nadto gotowy do użycia jej jako symbolu wszystkiego, co się zepsuło w kościecu moralnym Ameryki, zgnilizny w samej jej duszy. Marcia była wykwitem pokolenia Y i nikt nie był pewien, po co to pokolenie zostało w ogóle spłodzone.

— Jestem niby u dentysty. — Uśmiechnęła się znanym już, pełnym zębów uśmiechem. — Lacey Smithsonian. To prawdziwe nazwisko? — Lacey pokiwała głową. — Rany, ja myślałam, że to wymyślone, żeby pasowało do tych całych *Zbrodni w modzie*.

— Nie. Takie już moje szczęście — odpowiedziała Lacey. Wyciągnęła rękę, a Marcia ją uścisnęła.

Marcia była zachwycona, że mogła uciec od swojej prawniczej obstawy i reszty medialnego cyrku.

— To pani napisała: „Nigdy nie zakładaj różu na zeznania u prokuratora specjalnego”.

— Przyznaję się. — *Tak wygląda młodziej, bez tych wszystkich eleganckich strojów.* — Ten dupek... mój adwokat... kazał mi nauczyć się tego na pamięć. Wciąż na mnie wrzeszczał: „Bądź dorosła! Żadnego różu, żadnej Pollyanny!”.

— Niemożliwe.

— Słowo honoru. Podał mi to, z kawałkami podkreślonymi markerem i komentarzami na marginesach. Powiedział: „Jeżeli nie możesz wyglądać niewinnie, to spróbuj się zdobyć na trochę godności”. Może pani w to uwierzyć?

Ważny waszyngtoński adwokat, którego stawka godzinowa szła w setki dolarów, wierzył Lacey Smithsonian na słowo w kwestii tego, jak jego klienci powinni ubierać się do sądu.

— Pani adwokat mnie cytuje? Ja bym poszukała nowego!

Marcia zachichotała, chichot przeszedł w prychnięcie. Lacey zaraziła się nastrojem i sama zaczęła się śmiać.

Jedna z przewodniczek rzuciła im groźne spojrzenie. Skarcone, przeszły na dziedziniec, w okolice dawnego baptysterium Herb Cottage i spacerowały pod wiecznie zielonymi drzewami. W ogrodach pod kamiennym murem tulipany wybuchały już jaskrawą czerwienią, żółcią i pomarańczem. Przy postumencie pomnika Syna Marnotrawnego widać było gdzieś niegdzie wyczekiwane hiacynty. Pachniało wiosną. Ale tematem rozmowy była śmierć.

Na ławce siedział mężczyzna w beżowym garniturze, okularach słonecznych i odrażającym cytrynowozielonym krawacie. Może było to wspomnienie ostrzeżenia Brooke, ale Lacey zaczęła się zastanawiać, czy on ich aby nie obserwuje, udając przy tym, że czyta „Washington Post”. Powiedziała sobie zaraz, że ma nie wpadać w paranoję, ale mimo to wyciągnęła Marcie poza zasięg jego słuchu.

Marcia wyznała, że ostatnio w ogóle nie czyta gazet bez koktajlu w ręku, a obiecała mamie nie pić przed piątą. Co znaczyło, że nie widziała jeszcze ostatniego wydania „Eye Street Observer” z artykułem o Angeli Woods, jej oficjalnym samobójstwie, podejrzeniach o przestępstwo i o tym, jak to wszystko łączy się z nią.

— Mój adwokat dostaje szału. Ostrzegał mnie, że mam w ogóle niczego nie czytać i trzymać buzię na kłódkę.

— To dlaczego rozmawia pani ze mną?

— Chcę mieć nowego adwokata — oznajmiła Marcia. — Młodsze i przystojniejszego. Poza tym ten za bardzo lubi sławę. Mnie mówić nie wolno, a on może gadać, ile dusza zapragnie.

Lacey nie chciała psuć kilku minut spokoju, ale sama też była produktem mediów.

— Mówiła pani, że jej przykro z powodu Angie.

— Nie mogę uwierzyć, że naprawdę się zabiła. Bardzo mi przykro. — Marcia szybko spadła z chmurki, na której się unosiła. Pulchna buzia nie tryskała już życiem. Starannie zarysowane wargi wykrzywiły się w podkówkę jak u małej dziewczynki. — Wie pani, mój adwokat, ten dupek, twierdzi, że mogę iść do więzienia za mówienie nieprawdy o tym, co robiłam, za samo

mówienie, nawet za oddychanie. To nie fair. W końcu nikomu nie zrobiłam krzywdy. Prawie. — Marcia wyciągnęła z torby butelkę wody Evian i pociągnęła łyk.

— Z tego, co słyszałam, jest pani najprawdziwszą deprawator-ką, która sprowadziła innych na złą drogę, począwszy od własnych współpracowników.

— Akurat. Po pierwsze, może i faktycznie zachęcałam parę osób do zdjęcia majtek. I co z tego? Biznes to biznes, nie?

Komisja do spraw drobnej przedsiębiorczości powinna być dumna.

— Ale to nie jest tak, że zaczęłam z jakimś planem zniszczenia demokracji, czy coś takiego — oświadczyła. — Ten cały porno-biznes... i to było bardzo łagodne, bardziej coś jak artystyczne zdjęcia... na początku wydawał się ekscytujący i zabawny, jak robienie czegoś zabronionego, kiedy rodzice nie widzą. Wszystko, co mieliśmy w internecie, było lekkie, seksowne i przyjemne — nic ciężkiego albo dziwnego. No, to sprzedawaliśmy jakieś wideo i DVD. Wielki mi problem. To było najprostsze. Nie wydawało się takie złe. Znaczący, wszyscy jesteśmy liberalni, nie? Osoby dorosłe z własnej i nieprzymuszonej woli, Pierwsza Poprawka, a w porównaniu z innymi rzeczami w internecie to było naprawdę jak bajeczki dla dzieci.

— To jest ta druga sprawa. Najwyraźniej niektórzy z nich to naprawdę dzieci. Niepełnoletni gońcy.

— Tak, ale dzieci są w dzisiejszych czasach bardzo dojrzałe, Lacey. Wszystkie mają dostęp do sieci. Zaczynałam jako stażystka w Białym Domu, kiedy byłam naprawdę młoda, i te historie, które mogłabym opowiedzieć... zaczynałam zarabiać niezłe pieniądze, wszyscy zaczęliśmy. A teraz mój adwokat mówi, że mogę mieć podsłuch w telefonie i pluskwy w mieszkaniu. FBI siedzi pod łóżkiem i tak dalej. Lacey wiedziała już, dlaczego adwokat Marcii się niepokoił. Ona naprawdę lubiła mówić.

— Nie ma pani pojęcia, jak dziwnie i okropnie jest widzieć, kiedy przyjaciele dostają wezwania do sądu, jak ich ściągają z całego kraju, żeby o mnie opowiadali ławie przysięgłych. Naprawdę! Cały czas się spodziewam, że moje zdjęcie z prawa

jazdy pokażą w programie America's Most Wanted. Ja! Wróg publiczny numer jeden. I do tego stare historie z liceum, wie pani, z kim spałam, co robiłam. I prasa! To jakby z człowieka zdierali skórę po kawałeczkach i rzucali piraniom. *Poczekaj, aż z tobą skończy prokurator specjalny.*

— A co z Sherri Gold? Marcia przewróciła oczami.

— Z tym Straszny Szkieletem? Tak ją nazywaliśmy. Skoro już mowa o piraniach... Twierdzi, że zrujnowałam jej życie. Jasne, wyleciała z pracy, ale to nie z niej robią sobie jaja w programach komediowych w TV. Tylko ze mnie.

— Naprawdę jest straszna?

— O, tak. Twierdzi, że jakoś mnie dopadnie. Widziałam, jak kiedyś walnęła stażystkę w twarz za to, że otworzyła szufladę w jej biurku. Mówiła, że szukała ołówka, ale Straszny Szkielet podniosła wrzask, że grzebała w jej osobistych papierach. To było mocne. Znaczy, Sherri po prostu odbiło. Musiałam to przerwać.

— Jak pani myśli, do czego jest zdolna?

— Nie wiem. Okropna z niej kłamczucha, ale nie wiem. Wolałabym o tym nie myśleć.

— Proszę mi opowiedzieć o Angie.

Z Angie było łatwo rozmawiać, za łatwo, jak powiedziała Marcia. Zorientowała się, że między myciem a suszeniem opowiada jej różne tajemnice, jak grzesznik na spowiedzi. Opowiedziała jej o swojej stronie internetowej, o pieniądzach, o ważnych facetach. Żadnych prawdziwych nazwisk, jak twierdziła, same przezwiska i eufemizmy, które jasno dawały do zrozumienia, o kogo chodzi. Ale kiedy Lacey poprosiła o więcej szczegółów, Marcia zamknęła buzię.

— A dlaczego w ogóle poszła pani zmienić wygląd?

— Ktoś znalazł moje zdjęcie z prawa jazdy i powiększył dla tabloidów.

— Wypiła jeszcze trochę wody. — Widziała pani? W życiu chyba nigdy nie wyglądałam aż tak źle. Znaczy, wszyscy mają okropne zdjęcia w prawkach, nie? Ale kiedy je powiększyli i dali na pierwsze strony z tytułami, jak *Pulchna królowa porno za*

erotycznym skandalem internetowym i Kto by kupił porno zdjęcia od takiej czarownicy?... To było paskudne. — Łza spłynęła jej po policzku. Otarła ją. — Mama powiedziała: „Marcia, musisz coś zrobić”. I wie pani, co jeszcze powiedziała? „Marcia, nie mogą cię tak wysłać do więzienia. Nie do twarzy ci w pomarańczowym”. Boże, nikomu nie jest do twarzy w pomarańczowym.

— A dlaczego poszła pani do Stylettos? To nie jest najbardziej znany salon.

— Nie, ale Josephine ma co do niego wielkie plany.

— Josephine Radford?

— Tak, to przyjaciółka mamy. Chce, żeby jej salony były naprawdę najlepsze.

— Jak to jej salony?

— No, mają z Boydem, swoim byłym, cały czas proces o podział majątku. Kiedy dostanie swoją część salonów, przerobi je na bardzo ekskluzywne. Tak czy inaczej, poleciła mi tego Leonarda. Podobno jest super. Jej osobisty, najlepszy fryzjer. Ale poszłam tam, a on się nie pokazał. Jeden z tych artystów, co to mają kaprysy i muszą mieć właściwy humor na strzyżenie włosów. No i w końcu kierowniczką — taka punkowa, z włosami na jeża i w skórze — zaproponowała Angie. Angie okazała się naprawdę słodka. Wcale nie straszna. A kiedy już mnie obcięła, poradziła mi nowy makijaż i kształt brwi. Noo! To było radykalne. Wyglądałam zupełnie inaczej. Angie wcale mnie nie osądzała, chyba naprawdę chciała mi pomóc, żebym dobrze wyglądała. Była jak prawdziwa przyjaciółka. Słuchała. Chyba im bardziej jestem zdenerwowana, tym więcej gadam, i tym więcej ludzi każe mi się zamknąć.

Marcia przerwała, żeby wziąć oddech.

— Angie nigdy nie kazała mi się zamknąć. I była taka ładna. Żartowałam z nią, że mogłaby mieć na stronie własną galerię zdjęć. — *Rany boskie.*

— I jak zareagowała?

— Powiedziała, że mogłaby być tylko Lady Godivą, z włosami i wszystkim. Ale to nie było na poważnie, właściwie to chyba była raczej nieśmiała.

— A dlaczego odwołała pani wizytę tego dnia? Kiedy umarła.

— Bałam się. Za dużo jej powiedziałam: nazwiska ludzi, miejsca, gdzie działy się różne rzeczy. Zadzwoiłam do niej tego dnia, chciałam powiedzieć, że może dostać wezwanie do stawienia się w sądzie.

Odwołałam wizytę, bo wszędzie za mną chodzili. Wie pani, faceci w szarych garniturach, ze słuchawkami w uszach i okularami słonecznymi. Lacey rozejrzała się za facetem w tanim beżowym garniturze. Zniknął.

— „Tylko dlatego, że ktoś ma paranoję, nie znaczy, że za nim nie chodzą”

— zacytowała. — Powiedziała pani Sherri Gold, że odwołała wizytę tego dnia?

— Nie. Dlaczego miałabym to robić?

— Bo ona zajęła pani miejsce, kiedy pani odwołała wizytę. Marcia otworzyła szeroko oczy.

— Brr, to brzmi groźnie.

— Co to znaczy?

— Nic. Ona jest taka raczej groźna. — Lacey nie była przekonana, że to wszystko. — Kiedy zadzwoniłam, żeby odwołać, Angie wydawała się zdenerwowana — powiedziała Marcia. — Pokłóciła się o coś z Josephine.

— O co?

— Nie wiem. — Marcia odwróciła wzrok. — Josephine zdaje się była wściekła, że nie poszłam do Leonarda. Może chodziło o to. — Warga Marcii zadrżała. — A co, jeśli to była moja wina? Znaczy, to szalone, ale co jeżeli się zabiła, bo nie mogła znieść myśli o tym wszystkim — FBI, kamerach, prokuratorze specjalnym? Co, jeżeli miała, no, jakąś okropną tajemnicę czy coś?

— A jeżeli zabił ją ktoś inny? Marcii opadła szczeka.

— Zabił ją? Boże! Ale dlaczego? Ona nie było w to wplątana. Właściwie nie.

— Marcio, jak pani myśli, kto mógłby chcieć ją zabić?

— Boże, nie wiem. Znaczy, dużo ludzi chciałoby zabić mnie. Począwszy od mojej własnej matki. Ale nie Angie.

— Ktoś obciął jej wszystkie włosy, podciął jej nadgarstki i zostawił, żeby się wykrwawiła na śmierć.

— Włosy? Obcięli jej włosy?

Marcia sięgnęła do własnych jedwabistych pasm i teraz łzy popłynęły naprawdę, akurat kiedy do ogrodu wmaszerowała wycieczka. Lacey poprowadziła ją do samotnej kamiennej altanki z widokiem na ogrody biskupów. Zielone pączki zapowiadały nadejście nowej pory roku, kamienne mury pamiętały stulecia. W końcu Lacey i ogród wspólnie zdołali wysuszyć łzy Marcii.

Przegadały całe środowe popołudnie. Lacey poprosiła Marcję o zgodę na opublikowanie części rozmowy jako wywiadu, znowu wiedząc, że będzie to temat za gorący na *Style życia* i wyląduje na pierwszej stronie. Kolejna okazja do wkurzenia nadętego Petera Johnsona i zrobienia wrażenia na twardzielu Trujillo. I do zadziwienia Maca.

— W sumie nieważne. I tak mam przerażane, nie? — Tusz do rzęs Marcii spływał jej po policzkach.

Lacey podała jej świeżą chusteczkę.

— Ze mną czy beze mnie, i tak rzucili panią wilkom na pożarcie. Tak przynajmniej mogę opublikować pani wersję całej historii, co pani o tym wszystkim myśli. — Marcia odkryła, że kiwa głową. — Oczywiście, pani adwokat może się sprzeciwiać — dodała Lacey.

— Niech go szlag. — Marcia wytarła nos. Lacey usiłowała o tym nie myśleć.

— A nawiasem mówiąc, Marcio, piszę na niedzielę artykuł o ciuchach...

— Jestem ofiarą, nie? — Marcia nie wyglądała na zaskoczoną.

— Tego bym nie powiedziała — odparła Lacey.

— Ale musi mi pani przyznać, że nie ubrałam się na różowo, nie?

— O, tak, Marcio, za to ma pani ekstra punkty.

Rozdział 15

Lacey spędziła cały czwartek na porządkowaniu notatek i spisywaniu swojego tajnego wywiadu z Marcją Robinson. Pracowała pilnie bez zwracania na siebie uwagi. Miała tylko nadzieję, że zdoła wcisnąć artykuł do gazety bez konieczności tłumaczenia, jak udało jej się zrobić wywiad, czego nie zdołał dokonać nikt inny, albo dlaczego zapomniała powiedzieć o tym Macowi lub Peterowi Johnsonowi.

Niepisana reguła nakazywała dziennikarzom czekać w pobliżu, kiedy redaktor czytał ich tekst, na wypadek gdyby były jakieś pytania, albo trzeba było coś uściślić. Czasami jednak dziennikarzowi zdarzało się wyslizgnąć przed ostatecznym czytaniem, zwłaszcza jeżeli tekst nie był szczególnie ważny. Lacey miała nadzieję na szybką ucieczkę.

Dokończyła artykuł późnym popołudniem, tuż przed ostatecznym terminem: „Robinson bała się, że zmarła fryzjerka zostanie wezwana na świadka. Za dużo jej mówiłam — twierdzi Marcia”.

Lacey niemal zdołała dotrzeć do drzwi, zanim Mac ryknął:

— Smithsonian!

Odwróciła się powoli i zobaczyła, jak machaniem przywołuje ją do gabinetu. Mac umiał czytać szybko.

— Lacey, musimy zmienić charakter naszego związku. Co ty do cholery wyrabiasz? Masz jedyny wywiad z Marcją Robinson! Dobry Boże! —

Kilka osób odwróciło się w ich stronę. Gestem

kazał jej wejść do gabinetu i zatrzasnął za nią drzwi. — Mówiłem ci, że masz mnie o wszystkim informować!

— A ty napuściłbyś na mnie Johnsona.

— To jego działka.

— Marcia w życiu by z nim nie rozmawiała. Sama do mnie zadzwoniła.

— Ona zadzwoniła do ciebie?! Lacey poczuła się urażona jego tonem.

— Tak, do domu, po tym, jak ją zahaczyłam pod sądem. Angela Woods to mój temat.

— Twoja działka to moda.

— Moja działka to moja szansa, sam tak mówiłeś, Mac. Mogę pisać, o czym chcę, byle wiązało się z modą. To cytat. Zmarła fryzjerka wiąże się z modą.

— Smithsonian... — zabrzmiało groźnie.

— Marcia powiedziała, że spotka się tylko ze mną. Jak kobieta z kobietą. Jej adwokat trzyma ją pod kluczem, jakby była radioaktywna. Czuje się stłamszona. Prędzej by pogadała z duchem Eleanor Roosevelt niż z Peterem Johnsonem.

— Wiesz, ilu dziennikarzy usiłowało zrobić z nią wywiad? Rany boskie.

— Mac słabł. — Ale musisz mnie informować, Lacey. Musisz mi ufać.

— Ciekawa koncepcja. Obrzucił ją groźnym spojrzeniem.

— To się nie powtórzy. Jestem gotów stanąć za tobą, poprzec cię. Ale nie mogę, jeżeli nie wiem, co się do cholery dzieje. Rozumiemy się? —

Pokiwała głową. — Dobrze, no to teraz spadaj stąd. A nawiasem mówiąc, Lacey, to dobry artykuł. Pierwsza strona.

■ ■ ■

Artykuł Lacey na pierwszej stronie piątkowego wydania wzbudził w „Eye” wyjątkowe zainteresowanie. Krążyły plotki, że nowej wydawczynie, Claudii Darnell, artykuł się podobał. Mac jaśniał uśmiechem.

Ciekawość kazała Lacey wrócić na stronę DeadFed, którą dodała do Ulubionych. Był tam migający link do jej tekstu. To, co

napisała o Angie, pojawiło się też na stronie „Podejrzane samobójstwa”. Lacey przewinęła rosnącą listę nazwisk ułożoną przez specjalistów od spiskowych teorii z całego kraju. Ciała porzucane były po różnych skandalach z czasów różnych rządów, ale wszystkie niewątpliwie martwe. Jakby była to jedna wielka superkonspiracja. *Idiotyzm*.

Były podzielone według metody, kilka zwróciło uwagę Lacey, w tym samobójstwo za pomocą dwóch strzałów w tył głowy. Najwyraźniej było to jedno z kilku. Dokładnie, jak mówił Vic. Sporo ofiar odczuło potrzebę rzucenia się z okna albo zginięcia w samotnych wypadkach samochodowych na pustych bocznych drogach bladym świtem, szczęśliwie bez świadków.

Zauważyła, że wielu samobójców najwyraźniej przecina sobie nadgarstki, wśród nich także kobieta, która spakowała walizki jakby na nagły wyjazd, a jednak została znaleziona w pełnej krwi wannie. Dziennikarz-wolny strzelec także został znaleziony z podciętymi nadgarstkami, a przedtem mówił znajomym, że wpadł na temat tak gorący, że coś mu może grozić. Jego notatek do tego gorącego tematu nie znaleziono do dziś, ale oficjalny werdykt brzmiał „samobójstwo”. Dała spokój tej stronie. Była zbyt krwawa i wywoływała u niej ból głowy. Peter Johnson pojawił się w sali redakcyjnej, z ustami zaciśniętymi w wąską linię. Temperatura otoczenia natychmiast wyraźnie spadła. Dopadł ją w małej kuchence, gdzie gotowała się substancja uważana przez niektórych za kawę.

Lacey uderzyła pierwsza.

— Zadzwoiła do mnie, Peter. Nie do ciebie. Daj już spokój.

— Robisz z tego tematu parodię.

— Peter, mówisz poważnie? Jak ktokolwiek mógłby zrobić parodię ze skandalu z pornografią na necie autorstwa pracownicy Kongresu, z uczestnictwem spikera Izby Reprezentantów, stażystów, gońców, może i Białego Domu, i prokuratora generalnego uprawiającego nagie zapasy w błocie z aligatorem? Jak?

— Trzymaj się. Z daleka. Od mojej. Działki. Modnisiu — wycodził Johnson przez zaciśnięte zęby. Był zlany potem, ale to mogło być od wilgoci w powietrzu.

— Jestem zraniona, Peter. Głęboko.

Wróciła do biurka z filiżanką gorzkiej czarnej kawy i rzuciła okiem na swój drugi artykuł, w *Stylach życia*. Zadowolenie Lacey z artykułu o Angie rozwiało się, kiedy zobaczyła nagłówek. Mac miał tylko klepnąć tytuł do druku i trzymać się z dala. Ale nie był zadowolony, dopóki czegoś nie zepsuł.

— Mac, jak mogłeś? — Lacey pomachała na niego gazetą. Jej artykuł *Kto zabił Roszpunkę?* miał teraz nowy nagłówek: *Gdzie te włosy? Fryzjerka ofiarą zbrodni w modzie!*

Nie okazał skruchy.

— To było potrzebne, Lacey.

— To bezguście. — Miała nadzieję, że Stella nie weźmie jej tego za złe.

— Jestem zdruzgotany. — Wyraźnie nie był. Mac jeszcze jej nie darował.

— Każdy w Waszyngtonie chce się dostać do Marcii Robinson. Tobie się udało ją złapać i gadacie tylko o ciuchach.

— O ciuchach i innych skandalicznych sprawach.

— Twoje szczęście.

— Bo co? Zdegradujesz mnie do nekrologów?

Mac zamruczał jak pantera cierpiąca na niestrawność.

— Skończyłaś ten tekst na niedzielę, tak? Tekst na niedzielę.

— Pracuję nad nim. — *Może powinnam zacząć.*

— Termin masz do czwartej. Będzie śmieszny?

Zawsze musiał pytać. Do szału ją doprowadzało to, że nie mógł po prostu czegoś przeczytać i poznać, czy coś jest śmieszne, sarkastyczne czy po prostu niegrzeczne. I to słyszała od faceta ubranego w koszulę z krótkimi rękawami w pomarańczowo-zieloną kratkę do jaskrawoniebieskich spodni, a do tego krawat w czerwono-biało-niebieskie paski. I wcale nie uważał, by było w tym coś zabawnego.

— Prześmieszny. — Lacey uznała, że artykuł będzie całkiem niezły, jak już go w końcu napisze. Przynajmniej miała tytuł: *Skruszona, sztywna, surowa: upadła kobieta urzekła tłum w sądzie.*

Obejrzała z Toddem Hansenem arkusze próbne. Wybrała pięć zdjęć: każde będzie na szpalte, ustawione obok siebie na górze

strony. Pod zdjęciami znajdują się ramki z punktacją: garderoba: 8.5, włosy i makijaż: 8.0, sympatia: 6.0, opanowanie: 7.5, widoczna skrucha: 8.0. Łączna ocena wyniosła 7.6, całkiem niezły wynik. Właściwie jak na mieszkanke Waszyngtonu wręcz znakomity. A do tego Lacey dorzuciła dodatkowe punkty za brak różowego, co dało ostateczny wynik 8.6 przy skali do 9.9. *Tylko Rosalind Russell mogłaby dostać 10.0*, pomyślała Lacey. Pogratulowała sobie wykorzystania zdjęć, jako że dzięki temu miała mniej tekstu do napisania. Kilka błyskotliwych akapitów, zawierających także parę starannie dobranych słów o spoconym medialnym tłumie, i będzie z głowy.

Kiedy oddała tekst i wcisnęła Macowi zdjęcia, była tylko pół godziny po terminie.

— Super. Spadaj stąd. — Machnął ręką na salę redakcyjną, na pół pustą w piątkowe popołudnie, kiedy wiadomo było, że nic wielkiego już się nie stanie. Nie musiał jej powtarzać dwa razy.

— Dzięki, i tak już mi zabrakło słownika.

Felicity Pickles wyłoniła się jak spod ziemi, aż Lacey skreślił się żołądek. Nie mogła znieść, że wciąż siedzi obok Felicity, redaktorki działu kulinarnego w „Eye Street”, miejscowej producentki ciasteczek i redaktorki na pół etatu z piekła rodem. Felicity nie była nieatrakcyjna. Może i byłaby ładna, pod dwudziestoma dodatkowymi kilogramami upakowanymi na jej drobnej postaci. Miała długie, gęste, kasztanowe włosy i chłodne fiołkowe oczy. Z niewytłumaczalnych powodów uchodziła za bardzo miłą.

Od samego początku ona i Lacey nie pasowały do siebie. Felicity potajemnie chciała przejąć działkę mody, ale nigdy nie odważyła się wspomnieć o tym Macowi. Zamiast tego musiała patrzeć, jak jej wymarzona posada dostaje się Smithsonian, która jej wcale nie chciała. Nigdy nie przepuściła okazji dokuczenia Lacey.

Felicity rozładowywała swoją frustrację pieczeniem ciast i innych smakołyków, które przynosiła do biura z nadzieją utuczenia wszystkich. Kiedy nie usiłowała wciskać w Lacey ciast czekoladowych, oferowała jej rady, jak pracować.

— Gdybyś tylko pozwoliła sobie pomóc, Lacey, może kiedyś nauczyłaś się pisać dobre artykuły — powiedziała kiedyś. *Szkoda, że nie rozlega się ta muzyka ze „Szczęk”, ilekroć ona przepływa obok.* Lacey rzuciła spojrzenie na redaktorkę działu kulinarnego i wróciły jej myśli o biednej Angie Woods w trumnie. *Takie rzeczy nigdy się nie zdarzają ludziom takim, jak Felicity.*

To była okropna myśl. Spróbowała zamiast tego wyobrazić sobie Felicity jako muchę, którą trzeba odpędzić. Mucha miała na sobie sukienkę w wielkie kwiaty. Z nieba zjechała ogromna packa na muchy i plask! Nie pomogło.

— O, Lacey, zazwyczaj w piątki o tej porze cię nie ma. Nie mów mi, że pracowałaś — powiedziała na tyle głośno, żeby usłyszał Mac. Popatrzył na nie znad brzegu swojej gazety, a potem odwrócił się, wznosząc oczy do nieba.

— Właśnie wychodzę. — Obdarzyły się nawzajem sztucznym uśmiechami. Lacey demonstracyjnie zamknęła biurko. Podejrzewała, że Felicity grzebie w jej rzeczach, jak tylko wyjdzie.

Kiedy wstała, by wyjść, zadzwonił telefon.

— Pani Smithsonian, mówi agent specjalny Jim Thorn z FBI. Chciałbym porozmawiać o pani artykule na temat Marcii Robinson w dzisiejszym wydaniu „Eye Street Observer”.

— Co takiego? — jej głos zabrzmiał dość piskliwie. — Ze mną? Dlaczego?

— Czy mogę podjechać teraz? — spytał. Ścisnęło ją w żołądku.

— Nie. Cokolwiek ma mi pan do powiedzenia, może pan to powiedzieć mojemu naczelnemu. — Wyrecytowała mu numer.

— Za mocno pani reaguje.

— Nie sędzę. Proszę do niego zadzwonić. Douglas MacArthur Jones. Do widzenia. — Lacey uciekła, gdy usłyszała dzwonek telefonu w gabinecie Maka.

■ ■ ■

W taki dzień naprawdę miała ochotę dosiąść konia o imieniu Desperado, wjechać do najbliższego saloonu, pochłonąć kilka

szklanek whiskey i dla czystej zabawy podziurawić sufit kulami na wylot. Nie było to właściwie w jej stylu, ale lubiła myśleć, że jest.

Tu był D.C. Nie było żadnych saloonów, sześćostrzałowce były zabronione, przestępcy mieli broń automatyczną, a poza tym strzelaniny w barach były antyspołeczne. *I do tego chce ze mną rozmawiać FBI.* Manicure i pedicure nie były rozwiązaniem nowego problemu, ale zaszkodzić nie mogły. Lacey wmaszerowała przez drzwi Stylettos, akurat kiedy Jamie o wielobarwnych włosach studiowała dzisiejszą rubrykę *Zbrodnie w modzie* o Angie. Reszta „Eye Street Observera” dawno wylądowała w koszu. Jamie powiedziała, że to było totalnie super i nie wspomniała o nagłówku. Stella odciągnęła ją na bok.

— Tekst był idealny. A nagłówek naprawdę mówi wszystko. — Na twarzy Stelli nie było widać ani śladu sarkazmu. *No proszę*, pomyślała Lacey. — Ale jak ty namówiłaś Marcię do takich zwierzeń! Rany, Lacey, to było niesamowite.

Gdybyś tylko wiedziała.

— Jak ty to robisz? No, że się otwierają?

— Zazwyczaj ludzie raczej nie chcą się zamknąć. Stella wzięła świeżą gazetę z rubryką i podała Lacey.

— Dasz mi autograf?

— Właściwie to przyszedłam na manicure i pedicure.

— Jasne. Ale najpierw autograf. — Stella podała jej długopis. Lacey było głupio, ale nie znosiła, kiedy jej fryzjerka robiła się marudna. Westchnęła.

— Dzięki, Lacey. Naprawdę to napisałaś. Powiedziałaś światu, że Angie się nie zabiła, że policja wszystko pokręciła i że ktoś ją zamordował.

— Tylko co z mordercą?

— Nawet prawdziwi detektywi nie zawsze znajdują morderców. W zasadzie muszą się o nich potknąć, jak uciekają z miejsca zbrodni. Tak mówi Vie.

— Ach tak?

— Myślisz, że może to zrobili federalni? Jak mówiła Marcia? To by było dla ciebie naprawdę niebezpieczne. Federalni mogą wszystko upozorować na samobójstwo.

— Nie czytałaś aby strony DeadFed? Stella poważnie pokiwała głową.

— Bobby ma laptopa. W sieci jest genialny. Ten licznik ofiar spisków mnie przeraża. Ale Angie teraz też tam jest, więc cały świat może o niej przeczytać. Jestem ci naprawdę wdzięczna, Lacey.

— Chwileczkę. To mi nie przypomina tej Stelli Lake, którą znam. Tamta Stella wysłałaby mnie na misję w środku nocy. Samobójczą misję. Głos Stelli zniżył się gwałtownie, wyciągnęła Lacey z drzwi, w których stały.

— Szczurek dostaje szału. Był tu, zanim otworzyłam. Już to czytał. Nigdy go nie widziałam w takim stanie. Straszyl, że mnie wyrzuci i niemal złamał mi rękę. — Pokazała Lacey sińce na ramieniu.

— Boże, Stella, on jest naprawdę okropny.

— Taki był wściekły. Bez przerwy gadał o Angie i o tym, jak to niszczy Stylettos. Gdyby nie Beau, nie wiem, co by się stało.

— Beau? — Lacey usiłowała przypomnieć sobie, o kogo chodzi.

— Usiłuje namówić Szczurka, żeby pozwolił mu rzucić studia i pracować w salonie. Szczurek nigdy nie był na studiach. Dlatego zabije Beau, jeśli je rzuci.

— Myślisz, że to Boyd, tak? Myślisz, że on zabił Angie — odpowiedziała Lacey.

W salonie rozległ się ostry stukot kosztownych czarnych szpilek z lakierowanej skóry. Josephine Radford niosła duży bukiet żółtych i czerwonych tulipanów oraz fioletowych bzów, który wcisnęła w ramiona Stelli.

— To ode mnie w formie przeprosin za zachowanie mojego *tres fou* byłego męża. Beauregard powiedział mi wszystko o tej awanturze Boyda i mówił, że było mu pani żal. Jak skończyłam z Boydem, to było mu żal samego siebie, daję słowo. — Josephine

miała na sobie obcisłe czarne spodnie rybaczki i cytrynowy sweter z paskami lakierowanej skóry strategicznie rozmieszczonymi z przodu, na rękawach i dookoła dekoltu. — Nie mogę sobie pozwolić, by przez niego stracić najlepszych stylistów.

Francuzka spojrzała na Lacey z niepokojem, ale szybko się opanowała. — Lacey Smithsonian! *Bonjour*. Tak miło znowu panią widzieć. Boyd dostaje hysterii przez pani artykuł. Ten człowiek nie ma za grosz rozsądku. To przecież tylko gazeta.

— Czytała to pani? — spytała Lacey. Josephine lekceważąco machnęła ręką.

— Rzuciłam okiem. *Fryzjerka ofiarą zbrodni w modzie*. Jakaś metafora, tak?

Stella zajęła się tulipanami i ustawiła je w wazonie na biurku recepcjonistki.

— Piękne kwiaty.

Josephine poprzestawiała butelki szamponów i odżywek wystawione przy kasie. Otarła z palców wyimaginowany kurz.

— *Mon Dieu*, daję słowo, że ten człowiek bierze wszystko tak osobiście. Jakby się zabiła przez niego. — Josephine mruknęła coś wybuchowego po francusku i zamachała rękami. — Kto wie? To mężczyzna.

Lacey zastanawiała się nad przerażającą reputacją samej Josephine. Może zasługiwali z Boydem na siebie.

— Wie pani, gdzie Boyd był tego wieczora, kiedy to się stało z Angie?

— Był ze mną na przyjęciu charytatywnym. Lubie mieć na niego oko, kiedy wydaje moje pieniądze.

— Jakim przyjęciu?

— Nie pamiętam. Gdzieś to jest zapisane. Chwileczkę. Prowadzi pani śledztwo, jak mówiła Stella? To Boyda naprawdę doprowadzi do szału.

— Josephine parsknęła śmiechem. — To zabawny człowiek, Lacey. Ma szczególne uczucia wobec tego salonu. Chyba dlatego to, co zrobiła Angie — pani wie — tak go poruszyło. Przejęliśmy ten salon od jego wuja Maksa, kiedy

Beauregard był malutki. Przynosiłam go tu i cały dzień bawił się w kącie, w kojcu oczywiście.

Wyjaśniła, że wtedy oboje jeszcze pracowali w salonie, a mały Beau bardzo lubił siedzieć i patrzeć na nich.

— Lubił się bawić we fryzjera. Coś słodkiego.

— Słyszałam, że pokłóciła się pani z Angie przed jej śmiercią. O co chodziło?

— *Dieu!* Przecież nie mogę pamiętać każdego małego nieporozumienia z pracownikami. Porobiłyby mi się od tego zmarszczki. Dobra rada, prawda? — Josephine uznała, że dość już rozwinęła wysiłków w celu ograniczenia szkód, i wymaszerowała przez drzwi. — *Au Renoir.*

Stella z ulgą przestała wstrzymywać oddech i zaprowadziła Lacey na pedicure. Lacey weszła na ogromny fotel, który wibrował, podczas gdy jej stopy moczyły się w kąpieli z bąbelkami. Stopy zostały wyszorowane i wymasowane olejkami. Lacey patrzyła na wyłożoną lustrami ścianę, odbijającą cały salon. Jamie pracowała nad mężczyzną z lokami do ramion, nakładała odżywkę. Obok niej Michelle goliła głowę niezwykle urodziwej czarnoskórej kobiecie. *Włosy*, pomyślała Lacey. *Me da się z nimi wytrzymać, ani bez nich żyć.*

O wiele za wcześnie musiała wstać z masującego fotela do pedicure.

Paznokcie u nóg były lśniące i jaskrawo czerwone. Została skierowana do niewielkiego stolika, gdzie Kim miała pomalować jej paznokcie u rąk.

Lacey właśnie moczyła palce z miseczce z mydlaną wodą, kiedy Polly Parsons, gigantyczna królowa promocji w Stylettos, wpadła do salonu i ruszyła prosto do niej. Nie odbierała telefonów od Polly przez cały tydzień. *Rany boskie. Skąd się dowiedziała, że tu jestem?* Rzuciła groźne spojrzenie Stelli, która natychmiast odwróciła wzrok. Wszystko jasne.

Lacey nie mogła się ruszyć tak długo, jak długo jej paznokcie były piłowane, polerowane i lakierowane. Czekanie, aż wyschną, dało Polly kolejne pół godziny na zasypywanie jej pijarem i próbami przekonania, że koniecznie musi napisać artykuł o fachowcach ze Stylettos, którzy będą się zajmować celebrytami na

pokazie mody Rozpalmy Miasto. Polly otrzymała od Boy da Radforda rozkaz, by wywołać pozytywny rozgłos. Zanim Lacey wyschły paznokcie, miała ochotę krzyknąć.

Oczywiście, była tam oczekiwana. Będzie pełno polityków i ich żon, wystrojonych od stóp do głów i podlizujących się sobie nawzajem. Nie tylko z zapalem całowali dostępne małe dzieci, ale też z entuzjazmem dawali się fotografować we wszystkim — od kowbojskich kapeluszy po indiańskie pióropusze oraz hełmy ochronne, czapeczki baseballowe, cylindry i peruki kłownów. Nie mają żadnego wstydu. Ubiorą się niemal w cokolwiek. Dlaczego nie zrujnować także pokazu mody?

Akcja charytatywna przyciągnęłaby także lokalnych reporterów telewizyjnych, znanych z tego, że robią cokolwiek i wszystko. Jazdy balonem? Śmiało fruwać. Słonie cyrkowe? Od razu na nie wsiadają. Charytatywne mecze baseballowe? Przychodzą z własnymi czapeczkami i rękawicami. Medialne psy gończe z waszyngtońskiej telewizji są gotowe na cokolwiek, w każdej chwili, w dowolnym miejscu, o ile tylko są przy tym włączone kamery.

Polly parła naprzód, ale Lacey nie słuchała. Jeżeli o nią chodziło, Stylettos miało już rozgłosu więcej niż dość. Odwróciła się do Polly i powiedziała to samo, co zwykle.

— Przyślij mi pakiet prasowy.

Polly w końcu sobie poszła, ale nie bez rzucenia straszliwej propozycji: „Umówmy się na lunch”. Na szczęście, kiedy tak mówią ludzie w D.C., znaczy to zazwyczaj „Żegnaj na zawsze”.

Lacey zajęła się Stellą.

— Jak mogłaś mi to zrobić? Od tej baby dostaję wysypki. *Polly Parsons, FBI. Kto jeszcze? Belzebub?*

— Rozkaz Boyda. Przepraszam, Lacey. Wcale nie chciałam cię wydać na pastwę tej wiedźmy, ale ona z nim sypia, a ja mam raty za samochód!

* * *

Piątkowy wieczór. *Cała wymalowana i nie mam dokąd pójść, najwyżej gdzieś się schować.* Na jej telefonie migało światełko. Pierwsza wiadomość była od Maca, który nigdy nie dzwonił do niej do domu.

Jego głos miał moc wystarczającą, żeby narobić jej sińców, nawet z kasy.

— Proszę, proszę, Smithsonian. Tutaj twój naczelny, tak, na pewno pamiętasz, ten, któremu nigdy nie mówisz o swoim sekretnym drugim życiu dziennikarki. Tym razem to ja ci zdradzę małą tajemnicę. I chcę, żebyś się martwiła całą noc.

Poczuła bolesne ściskanie w brzuchu. A niech to. Wiedział, że ma tendencję do zamartwiania się.

— Mamy specjalne przedstawienie jutro na górze o dziesiątej rano. To w sobotę, Smithsonian. — Na górze „Eye” trzymało swojego wydawcę i różne szychy. — Ty, ja, nasza wydawczyni, prawnik gazety i, a jakże, Federalne Biuro Śledcze. Praca z tobą, Smithsonian, to coś wyjątkowego. Drugi telefon był od Stelli, która znowu przepraszała za Polly Parsons. Kolejny był, a jakże, od Brooke.

— Marcia Robinson! Taka sensacja, a ty mi nic nie powiedziałaś? Będę u ciebie o ósmej. Chyba że masz inne plany. Ale, o ile czegoś nie wiem, zagłuszacze feromonów nadal działają.

Oddzwoniła do Brooke. Nie mogła się doczekać, aż usłyszy, co Brooke będzie miała do powiedzenia o wizycie FBI. Przynajmniej zdobędzie jakąś teorię.

Blond adwokatka przybyła ze wsparciem w formie pizzy i torebki ciasteczek. Była w formie, z głową pełną teorii o spiskach. Lacey wszystko jej opowiedziała.

— Aha! FBI nie pracuje w soboty. Normalne z nich szczury biurowe. Marcia musi być zamieszana w coś naprawdę dużego.

— A co ze mną, Brooke? Muszę rozmawiać z FBI. Usiłuję zachować spokój, ale dostaję szału. I co ja mam, do jasnej ciasnej, założyć?

Brooke brykała po mieszkaniu, rozkładając ciepłą pizzę, talerze, szklanki i serwetki. Przyniosła z lodówki parę piw Vica, po czym usiadły do jedzenia. Porady prawne wręcz, się z niej sypały.

— Przede wszystkim jesteś dziennikarką i muszą z tobą postępować bardzo ostrożnie, zwłaszcza że nie złamałaś żadnego prawa. Nie złamałaś, zgadza się? Dobrze. Czwarta władza wciąż jeszcze przeraża federalnych w tym mieście. No dobra, może

niekoniecznie akurat „Eye”, ale udawajmy, że tak. Po drugie, w tej sprawie rozmawiali już z setkami ludzi, więc to nie jest aż tak poważne. Czysta rutyna. A poza tym ich interesuje Marcia, nie ty.

— Jak dotąd.

— Właśnie. Po trzecie, przejdź do ataku. Jesteś dziennikarką, odwróć wszystko do góry nogami. Sama zadawaj pytania. I odpowiadaj na te, na które chcesz. Nie jesteś pod przysięgą. Nie jesteś w sądzie. A po czwarte, to ty jesteś specjalistką od ubierania się, nie? Nie na różowo. A poza tym po filmie możemy się pobawić w przebieranki.

Lacey poczuła ogromną ulgę. Dzięki Bogu za Brooke. Każe Macowi — i FBI — zapłacić za to wystraszenie jej.

— No, to zobaczymy, jak to robi Barbara Stanwyck — oznajmiła.

— Co robi?

— Podbija świat.

Pożyczyła parę filmów Prestona Sturgesa. Idealne antidotum na współczesne amerykańskie życie: nie tylko kobiety okazywały się bystrzejsze i szykowniejsze od mężczyzn, to jeszcze dialogi były smakowite, a kostiumy projektowała legendarna Edith Head.

Razem obejrzały, jak Barbara Stanwyck w niecałe dwie godziny odurza i chwyta w pułapkę Henry'ego Fondę w *Lady Eve*, chichocząc przy tym jak uczennice. Niestety, życiowy sukces nie zależy od dowcipu i eleganckich strojów. *Gdyby tylko*. Zbyt wielu źle ubranych i chamowatych ludzi sukcesu dowodziło swym istnieniem, że nie, jak na przykład Szczurek. *Ale bycie osobą dowcipną i dobrze ubraną jest nagrodą samą w sobie. W tej dziedzinie biję FBI na głowę.*

Rozdział 16

Rano, dzięki rzeczowym radom Brooke, Lacey była w stanie stłumić panikę do tego stopnia, że jej objawy przypominały raczej lekką niestrawność. Trudno, aby była zachwycona, że w sobotę musi iść do biura na spotkanie z FBI. Jednak niemal zdołała przekonać samą siebie, że to znakomita okazja na zasięgnięcie języka o FBI, Marcii, a może nawet o śmierci Angie.

Była także bardzo ciekawa wydawczyni „Eye”, Claudii Darnell. Lacey słyszała różne opowieści o tej osławionej kobiecie, która kupiła „Eye” niecałe trzy miesiące wcześniej, ale w sali redakcyjnej niewiele osób mogło się pochwalić, że widziało ją choćby z daleka. Była nowa w branży wydawniczej, miała jednak swoje długi do wyrównania z Waszyngtonem, gdzie trzy dekady wcześniej została napiętnowana jako kobieta upadła w skandalu na Kapitolu.

Lacey spotkała Maca w holu obok wind. Czekał tam na nią w granatowym garniturze, białej koszuli i stonowanym krawacie w paski, co dowodziło, że traktuje sytuację wyjątkowo poważnie.

— Planujesz na dzisiaj jakieś niespodzianki, Lacey? Chciałbym mieć jakie takie pojęcie, na wypadek czegoś naprawdę dobrego. A może uważasz, że nie informowanie mnie o niczym dobrze mi robi na ciśnienie?

— Mac, miałam ci powiedzieć o FBI, ale byłeś zajęty. Odesłałam ich do ciebie.

— Tak to zrozumiałem. — Z zadowoleniem zobaczyła, że jest zmieszany.

— To nie o to mi chodzi, kiedy mówię, żebyś mnie o wszystkim informowała, Smithsonian. Chociaż może to mieć i swoje dobre strony. Może mogłabyś odsiedzieć trochę czasu w celi, żeby udowodnić swoją miłość do Pierwszej Poprawki.

— Hej! W D.C. dziennikarze mają prawo do ochrony źródeł.

— Co nie znaczy, że nie mogą obrzydzić ci życia. Mogłabyś napisać w rubryce o tych pomarańczowych kombinezonach, które zakładają więźniom.

— Czytasz moją rubrykę. Jak miło. Mac, jesteś zadowolony?

— Tak, najwyraźniej tak. — Nucił coś pod nosem.

Lacey założyła sukienkę z ciemnoniebieskiej krepy, mniej więcej z roku 1942, w której zawsze wyglądała dobrze, i czuła się panią sytuacji. Miała dekolt w szpic i rękawy trzy czwarte. Ekstraszyku dodawały jej kolorowe kwiaty wyhaftowane na lewym ramieniu i prawym biodrze. Miała nadzieję, że dzisiaj to podziąła.

Wjechali na górne piętro, gdzie panowała dużo bardziej wytworna atmosfera niż w proletariackiej sali redakcyjnej, w której kiwające się meble podpierały podręczniki bhp i kopie Dziennika ustaw. Mac i Lacey zostali wprowadzeni do sali konferencyjnej wyłożonej kremowymi chińskimi dywanami z imponującym georgiańskim wiśniowym stołem konferencyjnym i krzesłami. Na delikatnie brzoskwiniowych ścianach widniały oprawione w ramki pierwsze strony „Eye”. Prawniczka gazety, Sophia Wong, przyodziana w beżowy lniany kostium, wyglądała elegancko, mówiła niewiele i była całkowicie pozbawiona poczucia humoru. Wong siedziała z dwoma agentami FBI, z których jeden miał znajomy okropny krawat.

Facet z biskupich ogrodów. Lacey przerwała ciszę.

— Domyślam się, że agent Thorn. Jak widzę, pana krawat tak samo nie pasuje do niebieskiego garnituru, jak do beżowego. — Wąsy Maca nastroszyły się gwałtownie. To było ostrzeżenie.

Agent Thorn odkasznął. Wyglądał jak pomagier bohatera w komedii. Rzadkie jasne włosy, ścięte bardzo krótko, jasnoniebieskie oczy i trochę za długi nos. Robił wrażenie okropnie gorliwego i miał nieco krzywy uśmiech. Przedstawił swojego

partnera. Agent Josiah Watkins był ciemnoskóry, przysadzisty i nie mniej gorliwy. Wszyscy podali sobie ręce, a potem siedzieli w niezręcznym milczeniu, póki drzwi nie otworzyły się dramatycznie, by wpuścić Claudię Darnell.

Wyglądała, jakby przyleciała specjalnie na tę okazję prosto z Palm Beach. Może i tak było: tam spędzała zimy. Wszystkie oczy zwróciły się na nią. Claudia wyglądała oszalamiająco jak na kobietę po pięćdziesiątce. Gładka opalenizna, lśniące akwamary-nowe oczy i proste, platynowe włosy ścięte na pazia. Jej kostium z mięciutkiej irchy kleił się do dobrze utrzymanych krągłości. Była niesamowita — jak lwica — i Lacey odczuła wzrost poziomu testosteronu wśród obecnych oswojonych kocurów.

Po prezentacji Claudii agent Thorn odchrząknął.

— Muszę powiedzieć, że moim zdaniem, wszyscy państwo za mocno reagujecie. Chcieliśmy tylko nieoficjalnie porozmawiać z panią Smithsonian w sprawie jej artykułów o Marcii Robinson. Oczywiście, jeżeli woli pani dyskusję grupową w obecności adwokata, nie ma problemu.

Claudia parsknęła śmiechem.

— Wiem, że kiedy ludzie domagają się prawnika, FBI natychmiast zakłada, że mają coś na sumieniu. Ale gdyby pan mnie znał, wiedziałby pan, że ja wszystkie rozmowy odbywam w obecności adwokata.

Lacey robiła w myślach notatki. Wong wyraźnie poprawiła się w krześle, a agenci FBI wymienili spojrzenie. Mac bawił się długopisem. Lacey zdecydowała, że lubi Claudię — no, chyba żeby miała zaraz wylecieć z pracy. Słynna Claudia Darnell była kiedyś sekretarką w biurze na Kapitolu. Miała burzliwy i publiczny romans z żonatym kongresmanem i zasłynęła z tego, że nie pisała na maszynie. Wybuchł nieuchronny skandal. Ale ona była mądra. Wyjechała, zdobyła wykształcenie i zrobiła majątek bez konieczności pozowania nago dla kogokolwiek. Lśniący biały uśmiech Claudii oznaczał kłopoty, pomyślała Lacey, dla każdego, kto stanąłby jej na drodze.

— Przesunęłam lot do Palm Beach, żeby tu przyjść, panowie.

Zaczynamy więc, dobrze?

Thorn skierował swoje pytania do Lacey.

— Jak skontaktowała się pani z Marcją Robinson? Dlaczego uważała pani, że Marcia może wiedzieć coś o samobójstwie fryzjerki?

— To chyba oczywiste, prawda? Ona zadzwoniła do mnie. A czy pan ma świadomość, że Angie Woods prawdopodobnie została zamordowana?

— odparowała Lacey.

— Ja zadaję pytania, pani Smithsonian — powiedział. — A teraz...

— Powie mi pan przynajmniej, czy FBI prowadzi śledztwo w sprawie śmierci Angie?

— Ta śmierć to zwykle samobójstwo, według...

— Czy mógłby pan zdefiniować zwykle samobójstwo? — spytała Lacey.

— Nic nie wskazywało na uczestnictwo innych osób.

— Widział pan raport policyjny? — Thorn milczał. — Czyli to było podobne do tych zwykłych samobójstw, w których potrzebna była tylko mała pomoc?

— Pani Smithsonian...

Mac postukał długopisem w stół, kolejne ostrzeżenie.

— Myślałam, że to tylko nieformalna rozmowa — powiedziała Lacey. Wszyscy popatrzyli na nią groźnie, oprócz Claudii, która wyglądała na rozbawioną. Thorn zaczął od początku.

— Interesuje nas Marcia Robinson, nie Angela Woods.

— Nawet jeżeli zabiła się z powodu czegoś, co jej powiedziała Marcia?

— A co to było?

— Marcia mówi, że nie wie. Ale bardzo wyraźnie gnębiło ją poczucie winy.

Thorn cisnął dalej. Powiedziała mu wszystko, co chciał wiedzieć — to znaczy wszystko, co już napisała w swoich artykułach. Poszukiwał dalszych informacji o pornograficznej stronie internetowej Marcii — ku własnej uldze nic o tym nie wiedziała. Nie miała także pojęcia, jak mogła wiązać się z tym śmierć Angie, samobójcza czy nie.

— Ja piszę o modzie. Zadaję tylko pytania związane z modą.

— Bez przesady, pani Smithsonian, z modą?

— Okej, z tym, co uchodzi za modę w D.C. Mieście zapomnianym przez modę.

Thorn wpatrzył się w nią.

— Chcę wiedzieć, czy dobrze rozumiem. Spędza pani całe dni na pisemnym nabijaniu się z ludzi?

— W zasadzie tak. Wtrąciła się Claudia.

— Agencje Thorn, *Zbrodnie w modzie* sprzedają mi nakład i wprowadzają trochę humoru do miasta, które podchodzi do samego siebie zdecydowanie zbyt ponuro.

— Ale te artykuły nie mają nic wspólnego z humorem.

— W takim razie, drodzy panowie agenci, dziennikarka „Eye Street” nagłaśnia podejrzaną śmierć, która w przeciwnym razie zostałaby zamieciona pod dywan.

Mac odchrząknął.

— Kazałem jej napisać artykuł i pociągnąć temat. Mieliśmy unikalne informacje.

Lacey odwróciła się, by na niego popatrzeć. *Ach tak, twardzielu ?*

— Czy rozmawiała pani z Marcją Robinson o czymś, czego pani nie zawarła w artykule? — spytał Thorn.

— Tylko o jej prywatnej filozofii dotyczącej ubierania się w więzieniu w pomarańczowe stroje. Ja osobiście wolałabym właściwie te czarno-białe paski, tylko nie poziome. Czy prokuratora specjalnego to interesuje?

— Powinniście widzieć, co ma w planie na przyszły tydzień — wtrącił Mac.

— Tak, pani Smithsonian?

Lacey spojrzała na Maca. Skinął głową, jakby już się dogadali co do tematu.

— Myślę, że zainspirował mnie pan swoim unikalnym doбором krawatów, coś jak *Zbyt brzydki, by umrzeć: mój krawat zwalcza przestępców dla FBI*. W końcu pogromca mafii Elliott Ness podobno ubierał się całkiem nieźle, a wszyscy wiemy, jak wasz szef J. Edgar Hoover kochał suknie balowe i spódniczki do baletu. To byłby prawdziwy wzór do naśladowania dla FBI.

Agent Watkins odkasznął w zaciśniętą pięść, a uszy agenta Thorna poczerwieniały. Westchnął głęboko i zamknął notes.

— To chyba już wszystko. Możliwe, że w miarę rozwoju śledztwa będziemy musieli jeszcze się z państwem skontaktować.

— Jeszcze jedno, agencie Thorn — ostrzegła Claudia. — „Eye Street Observer” w pełni popiera swoich dziennikarzy. Znamy prawa o ochronie źródeł. Znamy konstytucję. Nie da się nas zastraszyć.

— Prowadzimy tylko rutynowe śledztwo, proszę pani. Nie interesuje nas, jak ludzie żyją. Nie jesteśmy obyczajówką.

Odpowiedziała mu olśniewającym uśmiechem i zamruczała:

— Oczywiście. Bardzo miło było panów poznać.

Kiedy kandydaci na pogromców zbrodni odeszli, Claudia wyszczerzyła zęby do swoich pracowników.

— Nie jestem szczególną fanką FBI. Jeżeli znowu zadzwonią, proszę mi natychmiast dać znać. Gdziekolwiek będę. — Kiedy wychodzili, Claudia odciągnęła Lacey na bok. — Proszę pamiętać, Lacey, nie jest przyjemnie wylądować w środku skandalu. Ma pani obowiązek szukać prawdy i publikować prawdę. Ale proszę się upewnić, że to jest prawda. I zawsze zachować ostrożność przy drażnieniu niedźwiedzia.

— Tak jest.

— A jeśli już naprawdę będzie pani musiała drażnić niedźwiedzia, proszę zadzwonić do mnie. Uwielbiam drażnienie niedźwiedzi. — Claudia pomaszerowała w swoją stronę, ciągnąc za sobą adwokatkę Wong. Lacey szturchnęła Maca.

— Okłamałeś FBI. Nie kazałeś mi pisać tego artykułu.

— Nie byłem pod przysięgą. No i czyż to nie wielki świat? A swoją drogą, Lacey, ogłaszam zakaz niespodzianek na resztę miesiąca. Niech to będzie miesiąc dobroci dla Maca.

■ ■ ■

Wieczorem w domu Lacey była zadowolona, że nie musi przechodzić tej sceny słowo po słowie z Brooke, której wypadła praca do nocy nad jakimiś dokumentami. Zabezpieczyła się

dotatkowo, zostawiając wiadomość i wyłączając telefon. Była zbyt zmęczona, by rozmawiać, nawet z Brooke.

Sięgnęła po dużą torebkę karmelowego popcornu i naląła sobie ostatnie piwo. Potem otworzyła kufer ze skarbami babci Mimi i porozkładała wokół siebie trochę wykrojów, oglądając na wideo *Podróże Sullivana* i poszukując inspiracji w pięknej garderobie Veroniki Lake z roku 1941. To znaczy, kiedy Veronica nie była przebrana za włóczęgę.

Karmelowy popcorn okazał się za słodki, mieszanie go z piwem też nie było zbyt dobrym pomysłem. Jednak Lacey poczuła się lepiej dzięki samemu oglądaniu inteligentnej komedii. A wykrój sukni wieczorowej babci Mimi byłby cudowny z kremowej krepy ze złotymi wstawkami przy talii i mankietach. Gdyby Lacey zdołała znaleźć właściwe materiały. Odwróciłoby to jej uwagę od Vica.

Myśli Lacey wciąż wracały do stu osiemdziesięciu centymetrów testosteronu i zielonych oczu. Zawsze pociągał ją Victor Donovan. *Dlaczego ja nigdy nie mogę trafić w dobry moment?* Na tym polegał problem. A jeśli kiedykolwiek czuła, że mogłaby zdobyć serce mężczyzny niczym himalaista górski szczyt, dawno jej to przeszło. W niedzielę, gdy tylko włączyła telefon, zaczął dzwonić. Odebrała.
— Cześć, Brooke.

— Boże, żyjesz. Chociaż właściwie nie miałam wątpliwości. Nie ma cię na DeadFed. Sprawdzalam.

— Na ciebie zawsze można liczyć, Brooke. I miałaś rację. Wszystko poszło dobrze i nadal mam pracę. I połowę nerwów.

— A nawiasem mówiąc, Lacey, niezły ten kawałek o Marcii Robinson. Dobrze, że tym razem ograniczyłaś się do opisywania ciuchów. Myślę, że powinnaś napisać poradnik, jak się ubrać i przygotować do sądu. Znam kogoś, kto zna kogoś, kto zna agenta Johna Grishama.

— Brooke, nie myślmy chwilę dla odmiany. Może raczej coś zrobimy. New York City. Kawałeczek Wielkiego Jabłka. Co ty na to?

— Mów dalej, Lacey.

— Inwazja. Ty i ja. Zgarniemy jakichś jaskiniowców, zawlecziemy do jaskini. Każemy im wynaleźć ogień i ugotować nam kolację.

— Nie da się. Zagłuszą feromonów ich dostaną.

— Chociaż byśmy popatrzyły? Możemy założyć okulary słoneczne.

— Powiedz, Lacey. Nie poczułaś ostatnio trochę testosteronu?

— Tylko na wideo.

Miała trochę nadziei, że Vic zadzwoni, ale nie odezwał się. Oddała filmy, przeszła się po sklepach z tekstyliami, ale niczego nie znalazła, po czym poszła na długi spacer pustą ścieżką wzdłuż rzeki. Minęła mężczyznę ze sztalugami, mieszającego nożykiem farby na palcu. Wydawał się całkiem niewinny, nie miał słuchawki w uchu, ale Lacey spojrzała jeszcze raz i nerwowo rozejrzała się dokoła.

Otrząsnęła się z niepokoju i powiedziała sobie, że jest śmieszna. Nikt nie odbierze jej prostych przyjemności.

■ ■ ■

W poniedziałek z samego rana adwokat Marcii Robinson wydał oświadczenie prasowe, że zrywa związek służbowy ze swoją osławioną klientką. Skarżył się na przecieki do mediów. W kuchence Mac poinformował Lacey, że nad tym tematem pracuje już Peter Johnson. Mac przez cały poranek wisiał nad biurkiem Lacey jak niź tropikalny. Zadzwonił telefon i odebrała — sygnał dla redaktora, żeby ją zostawił w spokoju. W słuchawce rozległ się ożywiony głos.

— Dzwonię tylko dlatego, że dzisiaj stało się coś dziwnego. Nie, żeby to miało cokolwiek wspólnego z Angie, ale kiedy pani napisała, że ktoś jej obciął wszystkie włosy, to się zaczęłam zastanawiać — oznajmiła kobieta. — Wiem, że Angie nigdy by sobie nie obcięła włosów tak, jak pani napisała. Uwielbiała swoje włosy, totalnie, wie pani. Znałam Angie. Była moją najlepszą przyjaciółką.

— A pani jest?... — spytała Lacey.

— A, Tammi, Tammi White. Jestem kierowniczką salonu Stylettos w Virginia Beach. Byłam na pogrzebie, ale pani nie poznałam. Stella mówiła, że mogę do pani zadzwonić. Zna pani Stellę?

Lacey stłumiła westchnienie.

— No, pomyślałam sobie, że bym może zadzwoniła, bo Angie kiedyś pracowała tu w Virginia Beach, zanim pojechała do Waszyngtonu. Stella mówiła, że pani wie wszystko o Angie, wie pani, jak umarła i w ogóle.

— Słucham, Tammi. — Lacey wzięła swoją kawę, upiła łyk i otworzyła kalendarz, żeby sprawdzić, czy ma w planach coś ważnego. *W modzie raczej spokojny dzień.* Spojrzała na swoją pocztę. *Za dużo wiadomości.*

— W każdym razie ten facet zadzwonił dzisiaj rano do salonu i powiedział, że chce, byśmy niektóre obcięły sobie włosy, jeśli są naprawdę długie, i że może nam za to zapłacić.

Przestała kartkować kalendarz i wzięła długopis.

— Naprawdę? Proszę mówić dalej.

— Nazywa się George jakiś tam. Nie pamiętam. Nieważne, powiedział, że pracuje nad zdjęciami fryzur do swojego portfolio, jako przykład kampanii marketingowej — powiedziała Tammi. — Dla szkoły czy czegoś. W zasadzie tego nie słuchałam.

Tammi White wydawało się bardzo ciekawe, że facet proponuje fryzjerkom dwieście pięćdziesiąt dolarów za ścięcie włosów „z bardzo długich na bardzo krótkie i bardzo dramatyczne”. George Jakiś tam gotów był zapłacić stówę więcej za możliwość nagrania strzyżenia na wideo. Tammi powiedziała, że kilka fryzjerek byłoby zainteresowanych, z nią samą włącznie, bo przydałyby się im pieniądze.

— Komu by się nie przydały, nie?

George powiedział jej, że ma do strzyżenia świetnego fryzjera, a film nakręci sam. Szukał tylko modelek z odpowiednimi włosami. Długimi. Bardzo długimi.

— Sama jestem dość zainteresowana. Mam długie, kręcone czarne włosy, niemal do pasa, ale już jakiś czas myślę, czy ich nie obciąć. Dużo roboty, wie pani.

Lacey spytała, czy Tammi pamięta coś jeszcze o tym facecie. Tammi nie miała pojęcia, jak wyglądał, ale przez telefon brzmiał „jak wszyscy”. Jednak coś jej się nie podobało.

— On chce mieć te włosy — oznajmiła Tammi.

Lacey pomasaowała kark. Poczowała dreszcz wzdłuż kręgosłupa.

— Słucham? Włosy? Nie rozumiem.

— Dawał pięćset dolarów za strzyżenie, film i włosy.

— Chce zatrzymać włosy?

— Tak, dziwne, nie? Nikt nie chce włosów.

Lacey zauważyła, że fryzjerzy często ćwiczą na modelowych głowach z prawdziwymi ludzkimi włosami.

— Tak, chyba tak, ale nigdy nie widziałam, żeby ktoś tu tyle płacił za włosy — odparła Tammi. — A potem przeczytałam pani artykuł *Gdzie te włosy*. Stella mi faksnęła.

Tammi też myślała, że w pomysłcie tajemniczego George'a ze zrobieniem filmu było coś dziwnego. Według niej, w Stylettos czasami filmowało się wybitnych stylistów, których zapraszano, by przeprowadzili pokaz najnowszych technik. Robiono to w centrali sieci, w tej samej sali szkoleniowej, w której odbywała się stypa po Angie. Sala wyposażona była w światła i kamery. Ale George mówił, że amatorskie wideo wystarczy i że zadzwoni do Tammi, by się umówić. Chciał się spotkać na drugi dzień wieczorem.

— Po co wydawać tyle kasy na nieprofesjonalny film? I powiedział, że lepiej byłoby spotkać się gdzieś indziej, nie w salonie, jakby to był jakiś super tajny projekt.

— Jeżeli ten facet naprawdę panią niepokoi, może lepiej by było zadzwonić na policję.

— Nie wiem. Co bym im powiedziała?

— Dobre pytanie. Czy ten cały George zostawił telefon?

— Nie. Powiedział, że sam zadzwoni.

— Jeżeli zadzwoni, proszę dać mi znać. To był pewnie jakiś głupi kawał.

— Tak, pewnie tak. Pięćset dolarów za włosy to za dobre, żeby było prawdziwe — westchnęła Tammi.

Lacey przerwała połączenie i skupiła się znowu na prostych zadaniach, takich jak poczta. Były w niej obowiązkowe informacje

prasowe, przesyłki nadal adresowane do Mariah, trochę listów od fanów, jadowne listy od krytykantów. Nic niezwykłego.

Z roztargnieniem otworzyła bąbelkową kopertę, na której drukowanymi literami wypisano Lacey Smithsonian. Zbrodnie w modzie. Gruby pukiel jasnoblonde włosów wypadł na biurko jak jakiś kudłaty zwierzak — w pierwszej chwili pomyślała, że to owad albo mysz. Ześlizgnął się na nią, zaskakując ją, aż wrzasnęła. Potem wstrzymała oddech, w nadziei, że nikt nie zauważył. Rozejrzała się. Wszyscy zauważyli.

Krzyki, śmiechy i przekleństwa nie były w sali redakcyjnej niczym niezwykłym. Mało kto się nimi przejmował, jednak głośne wrzaski zazwyczaj przyciągały uwagę. Była boleśnie świadoma tego, że zapadła cisza i wszyscy na nią patrzą. Tony Trujillo w swoich wysokich butach znalazł się przy niej w mgnieniu oka. Mac omal nie dostał przepukliny w biegu do biurka Lacey i dotarł zaraz za Tonym, z brwiami wykonującymi szaleńcze ruchy.

— Co się do cholery dzieje?

— Czy to włosy? — Trujillo przyglądał się przesyłce.

— To nic. List od fana. Idźcie sobie. — Sięgnęła po kopertę, żeby zobaczyć, czy jest tam także jakiś list, ale Trujillo zatrzymał jej rękę.

— Zaczekaj, Smithsonian. Masz pęsetkę?

Miała, w szwajcarskim scyzoryku, więc podała mu go z jękiem.

Uśmiechnął się do niej.

— Nie można nie kochać kobiety, która była w szwajcarskim wojsku. —

Trujillo starannie sięgnął do wnętrza koperty i wydobył anonimowo wyglądającą kartkę, najwyraźniej z drukarki laserowej. Przeczytała ją, z Makiem i Tonym przy każdym łokciu. CHCESZ WIEDZIEĆ, CO SIĘ STAŁO Z WŁOSAMI? TU MASZ PAMIĄTKĘ. Nie było podpisu.

Trujillo uniósł list do światła.

— Mamy uwierzyć, że to od jednego z wielbicieli, Smithsonian?

— To bym miała szczęście. — Zagapiła się na kartkę.

— Wiem. Ciężko jest być gwiazdą. Nie dotykaj tego listu. — Trujillo podszedł do swojego biurka i wrócił z pudełkiem zamykanych plastikowych torebek.

Nie było sensu mówić ludziom, którzy zebrali się tymczasem, żeby sobie poszli i zajęli się własnymi sprawami. W końcu byli dziennikarzami. Wszyscy w „Eye” zajmowali się zawodowo wsadzaniem nosów w cudze sprawy. A wrzask w kącie był lepszy niż stare informacje prasowe czy przydzielone nudne konferencje.

— Ktoś sobie wymyślił chory żart — próbowała racjonalizować Lacey.

— Wiecie. Po tym artykule w zeszłym tygodniu. O włosach.

Trujillo starannie zebrał pęsetką włosy ze stołu. Niewielki pukiel, delikatnie skrecony na obu końcach, był przewiązany gumką i czarną wstążką. Niektóre pasma wyglądały tak, jakby wyrwano je z cebulkami. Wrzucił go do plastikowej torebki, a list starannie włożył do drugiej.

Lacey wydało się to wprost paranoiczne.

— Tony, często to robisz?

— Nie. To ty jesteś magnesem na świrów. Ale jeżeli to dowód, lepiej go nie zanieczyścić. Powiedz, te włosy wyglądają ci znajomo?

Zatkało ją. Jasne, wyglądały jak włosy Angie, ale tysiące kobiet — i mężczyzn — mogło mieć takie włosy. A poza tym Lacey opisała włosy Angeli w swoim tekście. Każdy prymitywny dowcipniś byłby w stanie zrobić taki kawał.

— Za często oglądasz telewizję — powiedziała. Ale co, jeżeli to naprawdę były włosy Angeli i przysłał je morderca? Tony uniósł brew, najwyraźniej on tak uważał. — Nie! To by było zbyt idiotyczne, Tony! I do tego niebezpieczne.

— Najpiękniejsze w przestępcach, Lacey, jest to, że wcale nie są mądrzy — poinformował ją Trujillo. — Więzienia pełne są kretynów.

— Okej, świetnie, mądralo. Dlaczego się nie upewnić? Dajmy zbadać DNA — powiedziała.

— Super. — Trujillo był za. Mac marudził o kosztach, ale zgodził się.

Jeszcze tego ranka Lacey skontaktowała się z Adrienne Woods w Atlancie, by dowiedzieć się, że miała zachowany pukiel włosów Angie i była gotowa rozstać się z nim w celach porów-

nawczych. Lacey słusznie założyła, że pani Woods była typem matki, która przechowuje wszelkiego rodzaju pamiątki. Adrienne miała loczki z pierwszych włosków Angeli z jej pierwszego strzyżenia i z warkocza z podstawówki. Zapewniła Lacey, że prześle kosmyk.

— Jeżeli jesteś tego taki pewien, to co z policją? Nie powiemy im? — spytała Tony'ego.

— To zamknięta sprawa. Nie chcemy ujawniać czegokolwiek za wcześnie, a policja nie chciałaby, żeby coś im schrzaństwo ładną, zamkniętą sprawę samobójstwa. — Urwał na chwilę. — Dlaczego nie zadzwonić do twoich kumpli z FBI?

— Masz rację, nikt nie musi wiedzieć. Mac zgodził się.

— Jeżeli to nie są jej włosy, nikomu nie będzie głupio, że wyciągał pochopne wnioski. A jeżeli są, mamy gorący temat. Gorący, Smithsonian. Dlaczego chciałabyś zrezygnować z tej działki?

Brawura była jej jedynym wyjściem w sali redakcyjnej, ale nie powstrzymało to szalejących myśli. *Jeżeli włosy się zgadzają, skontaktował się ze mną prawdziwy morderca. A co z Tammi White? Z tajemniczym George'em? Marcją Robinson? FBI? DeadFed? Boże.*

Nagle wszystko w sprawie tajemniczego George'a Jakiegoś tam przestało pasować. Chciał wyciągnąć Tammi z salonu, zorganizować tajemniczego fryzjera, nakręcić amatorski film i zabrać włosy. Czy ten George kiedykolwiek spotkał się z Angie? Może pojechał za nią aż do Waszyngtonu. A teraz znalazł kolejną fryzjerkę z Virginia Beach z długimi włosami.

Za bardzo melodramatycznie, Lacey. To pewnie tylko jakiś świr, który wdepnął w dziwny przypadek. Ale gdyby przynajmniej mogła z nim porozmawiać, dowiedziałaby się, po co mu te włosy. Sięgnęła po słuchawkę i zadzwoniła do Stylettos w Virginia Beach.

— Tammi, proszę posłuchać. Nie wydaje mi się dobrym pomysłem, żeby pani szła się spotkać z tym całym George'em sama. Dzwonił już?

— Jeszcze nie. Dlaczego? Podjęła nagłą decyzję.

— Może podjadę jutro do Virginia Beach? Mogłybyśmy pogadać. Opowiedziałaby mi pani o Angie. A kiedy pani skończy pracę, razem spotkamy się z tym gościem.

Tammi nie miała nic przeciwko temu, zwłaszcza ujął ją kawałek o lunchu, który Lacey obiecała jej postawić. A jeszcze lepiej, gdyby można było o niej wspomnieć w rubryce *Zbrodnie w modzie*.

Przekonanie Maca do puszczenia jej na dwa dni okazało się łatwiejsze, niż się spodziewała. Nie wspominała o Tammi i George'u Jakimstam, nie było sensu narażać się na drwiny, jeżeli okaże się to burzą w szklance wody. Lacey powołała się na stres.

— Twój czy mój? — spytał Mac. — Nie ładuj się w kłopoty. Poczekaj, a co z twoją rubryką? Daj mi przynajmniej *Kawałek o modzie*.

— Napiszę coś i prześlę ci mailem. — Czas wyciągnąć jakiś pomysł z notesu, może ten o pakowaniu. A koncepcja wydostania się z Waszyngtonu w środku tygodnia brzmiała niebiańsko.

Nigdy nie była w Virginia Beach ani nigdzie w południowej części stanu. Pomyślała, że mogłaby się przejść, pozwiedzać trochę, przespacerować się pustą plażą bez tłumu smażących się wielbicieli słońca. Pewnie będzie miała całe popołudnie dla siebie

1 przenocuje tam. Jeszcze nie zaczął się sezon, więc w hotelach znajdzie się pewnie tani nocleg. W miejscu, gdzie nikt nie mógł jej zawracać głowy — Stella, Vic ani FBI.

Miała resztę dnia na zaplanowanie swojej garderoby. Mac przeszedł obok i znalazł ją zatopioną w myślach.

— Nad czym pracujesz, Lacey?

— Nad listą potencjalnych morderców.

— Kto jest na niej?

— Wszyscy. Ty teraz też.

— Lubię, jak moim dziennikarze są szczęśliwi.

Felicity zaproponowała soczysty placek z jabłkami. Dodała ją do swojej niepisanej listy podejrzanych, dla zasady. W końcu dotarło do niej, że nie może dodawać do listy wszystkich, których nie lubi. Felicity jednak na niej pozostała.

Tego wieczora musiała się spakować i posprzątać przed wyjazdem. Ostatnie, czego chciała, to powrót do zabałaganionego mieszkania. Była to lekcja, którą przeszła w dzieciństwie. Przed wyjazdem sprzątaj, aż padniesz. Boże broń, żeby włamywacze znaleźli w kuchni brudne naczynia.

Kiedy tylko weszła do domu, rozdzwonił się telefon. Brooke miała w tym tygodniu mnóstwo roboty, więc Lacey wiedziała, że to nie ona. *Lepiej, żeby to nie była Stella.* Ostrożnie wzięła słuchawkę.

— Cześć, Lacey. — Oczywiście Stella. — O co chodzi z tym Virginia Beach? Rozmawiałaś z Tammi?

— Najwyraźniej. Kazałaś jej do mnie zadzwonić. A ona najwyraźniej zadzwoniła do ciebie.

— Tak, ale myślałam, że odezwiesz się z aktualnymi wiadomościami. Masz kiepski przepływ informacji. Na szczęście Tammi dała znać. Hej, to kawał drogi. Może mogłabym się wybrać z tobą i pomóc ci w śledztwie. Michelle by mnie zastąpiła... Zaraz, czekaj. Nie ma Lea. Nie mogę.

— Stella, poradzę sobie. I nie rozpowiadaj o tym, że jadę, dobrze? Wolalabym, żeby Radio Stella tego akurat nie ogłaszało.

— Coś jeszcze, Wasza Wysokość?

— Nie wszyscy muszą wszystko wiedzieć.

— Kto na przykład?

— Mordercy, Stello. Mordercy nie muszą wiedzieć.

— Nie mów! Myślisz, że są tam federalni?

— Federalni są wszędzie.

— Ale ten facet z Virginia Beach chce kupić włosy.

— Tak, i ktoś chciał też mieć włosy Angeli. Tylko że zapłaciła ona.

— Naprawdę myślisz, że to niebezpieczne?

— Pewnie nie. Jeżeli zachowamy to dla siebie.

— A jeżeli wpadnie Victor Donovan?

Lacey nie podobał się pomruk Stelli, gdy wymówiła imię Vica.

— Nie wspominaj o mnie. Czego Vic nie wie, to mu nie zaszkodzi.

— On cię lubi.

— Taaa, jasne. Usiłuje tylko wyciągnąć ze mnie informacje. I z ciebie. Wierz mi, Stella. Poza tym Virginia Beach pewnie donikąd nie doprowadzi. Zadzwoń, jak wrócę.

Kiedy odłożyła słuchawkę, zauważyła, że miga światelko na sekretarce. Opadła na kanapę i wcisnęła odtwarzanie.

„Lacey, mówi Marie Largesse. — Usiłowała przypomnieć sobie, o kogo chodzi. — Pamiętasz, skarbie, miejscowa jasnowiedzka? Sklepek Horusa? Dostałam twój telefon od Stelli”.

Teraz Lacey miała jasność sytuacji. Zaczęła masować skronie — rozwijał się ból głowy. Marie ciągnęła dalej:

„Dzwonię tylko, żeby ci powiedzieć parę rzeczy, zanim wyruszysz do Virginia Beach”.

Tylko Stella pytałaby o moje sprawy jasnowiedza.

„Nie gniewaj się na Stellę — trwało nagranie. — Jest dość wścibska, ale to dobra przyjaciółka. Przede wszystkim muszę cię ostrzec, to będzie trochę frustrujące. Duchowe przeciążenie. Czuję to bardzo wyraźnie. Po prostu odpręż się i pozwól się nieść z prądem. Jeżeli nie będziesz się opierać i pozwolisz rzeczom przybrać naturalny obrót, wszystko pójdzie lepiej”.

Przynajmniej pogoda ma być ładna, pomyślała Lacey.

„Aha, weź coś ciepłego i nieprzemakalnego. Nic mnie nie obchodzi, co mówią w prognozach, będzie lato”.

Druga wiadomość była od Vica Donovana, z prośbą o telefon. Zawahała się przez chwilę, po czym wzięła słuchawkę do ręki. Odłożyła ją.

Mam własną poradnię jasnowiedzką i co - dostaję jakieś rady na temat faceta? Jakiegoś bruneta wieczorową porą? Nie, słyszę, że mam wziąć coś od deszczu.

Lacey Smithsonian

KAWAŁKI O MODZIE

Ucieczka: pakowanie w pośpiechu

Potrzebne ci są szybkie wakacje. Albo po prostu musisz uciec przed tymi dość dużych rozmiarów mężczyznami w ciemnych garniturach, którzy z jakichś przyczyn zawsze płaczą się w okolicy. Ucieknij więc. Po prostu wskocz do samochodu i jedź. Zaczekaj! Najpierw musisz się spakować. Ale jeśli po prostu powrzucaś parę rzeczy do brązowej papierowej torby, jak to robią w filmach, w następnej scenie nie będziesz ubrana odpowiednio do swojej kryjówki na Riwierze. Będziesz wyglądała jak uciekinierka przed rzeczywistością, albo jeszcze gorzej, jak turystka. Właśnie. Będziesz miała na sobie szorty w kratkę, pasiasty top, neonową koszulkę i jeszcze coś okropnego w kwiatki, czego na pewno nigdy nie kupowałaś. A jeżeli nie możesz wyglądać jak romantyczna uciekinierka przed sprawiedliwością, to po co w ogóle zawracać sobie głowę? Oto kilka rad, jak uniknąć stylu „wrzuciłam parę rzeczy do walizki, uciekając przed policją”.

- Zadbaj o wygodny bagaż. Pamiętaj, że z walizką na kółkach dużo łatwiej się biega.
- Weź coś wygodnego do nałożenia, kiedy ukrywasz się w hotelowym pokoju, może bawełnianą koszulkę i szorty albo legginsy. Jednak cokolwiek wybierzesz, powinno się także nadawać na te niefortunne chwile, kiedy wychodzisz po świeży lód, a po powrocie odkrywasz, że magnetyczna karta nie działa, jesteś niemal naga i musisz wezwać ochronę i czekać przed pokojem, jak najbardziej niekompetentny włamywacz świata. Zdarza się.
- Nic nie krzyczy „uciekinier” równie głośno, jak para wielkich butów do biegania z migającymi reflektorkami, które wrzeszczą „goń mnie”, przeskakując płoty w ciemnych alejkach w programach typu reality show o policjantach. Zamiast tego zabierz zwykowne skórzane pantofle na płaskim obcasie, w których elegancko wymykać się będziesz Interpolowi. Weź także skórzaną

torbę na tyle dużą, by pomieścić to, co najważniejsze: czysty niegniotaący się top i elegancki szal na natychmiastową zmianę wyglądu - albo klimatu.

Miej pod ręką niewielką kosmetyczkę. Ogranicza panikę w chwilach, gdy odkrywasz, że zapomniałaś pudełka na soczewki kontaktowe i płynu, a w przewodniku nie ma, jak jest pasta do zębów po francusku. Chociaż sporo lepszych hoteli zapewnia szampon, odżywkę i mleczko do ciała, niektóre motele - w jakich być może będziesz musiała się ukrywać, zanim skandal przycichnie - miewają tylko tanie kawałeczki mydła, od których wszystko będzie cię swędziało, jakbyś miała wstydliwą tajemnicę. Jeżeli podróżujesz klasą ekonomiczną, pamiętaj, że na ucieczkach suszarki do włosów i duże ręczniki kąpielowe trafiają się dość rzadko. A czy nie potrzebujesz mieć ze sobą tej specjalnej poduszeczki, ukochanego misia czy jakichś innych drobiazgów, bez których nie uśniesz? Zapakuj. I pamiętaj, żeby zabrać parę dobrze leżących czarnych spodni, albo spódnicę i ładną bluzkę czy sweterek, na tę nieoczekiwaną kolację w eleganckiej restauracji. Kto wie? Może zadzwoni twój adwokat, że zarzuty odwołano, wszystko zostało wybaczone, a ty jesteś odtąd celebrytką! Szampan na koszt firmy, a kiedy przyjadą paparazzi, będziesz wyglądała zabójczo.

Rozdział 17

Lacey nie wzięła dużo rzeczy, ale jej torba i tak ważyła tonę. Mogło być ciepło i miło, według najlepszych meteorologów D.C., albo mogło też lać, jak to przewidywała pewna pani jasnowidz. Zapakowała gruby sweter, ciepłą kurtkę z kapturem, solidne rękawiczki i parasolkę. Wrzuciła też szorty khaki, wycięte bawełniane bluzeczki, olejek do opalania i czapkę z daszkiem.

Zostawiła włączone światło i rozejrzała się jeszcze raz po mieszkaniu, zanim ruszyła do samochodu. Jej nowa kasetka Elli Fitzgerald z piosenkami Cole'a Portera czekała w gotowości. Był piękny wtorkowy poranek, a w powietrzu unosił się zapach ściętej trawy. Jej ulubiony szmaragdowy sweter i najwygodniejsze dżinsy były talizmanem przeciwko ostrzeżeniom Marie.

Włożyła kluczyk do drzwiczek samochodu. Usłyszała kogoś za sobą.

— Wycieczka, Lacey? Niezadowolona odwróciła się do niego.

— Jesteś jakimś wampirem, Vic? Nigdy nie śpisz?

Ale tym razem nie było widać, żeby nie spał całą noc. Wyglądał podejrzanie świeżo i prosto spod prysznic. Jego jeep ją blokował.

— Zostawiłem ci wczoraj wiadomość - powiedział.

— No i? Miło cię było zobaczyć, Vic, ale mam robotę. — Otworzyła drzwiczki, zastanawiając się, dlaczego aż tak działa jej na nerwy.

— Dlatego dzwoniłem. Pomyślałem, że moglibyśmy pojechać moim jeepem.

— Spokojnie, kowboju. My?

— Jedziesz do Virginia Beach. Tak się składa, że ja też.

— Tak się składa? Tak przypadkiem wybierasz się do Virginia Beach we wtorek? A ja jestem królową Elżbietą.

— Robota — odparł.

— I mam w to uwierzyć?

— Radford tam jest w swoim letnim domku na plaży. Chce się ze mną spotkać. Nie ma powodu, dlaczego nie mielibyśmy jechać razem.

Zatrzasnęła drzwiczki i odwróciła się.

— To była Stella, nie? Wie wszystko i wszystko powie.

— To twoja przyjaciółka.

— Tylko tak myślisz. Ja się jej po prostu nie mogę pozbyć! Żałuję tylko, że nie musiałeś tych informacji wydobywać z niej torturami. Ładna mi przyjaciółka, wypaple wszystkie moje sprawy byle komu.

Zachichotał.

— Jak dziennikarka?

— A co cię to w ogóle obchodzi?

Teraz parsknął śmiechem. Był zbyt wczesny ranek na śmiech — słońce dopiero wzeszło, ptaki plotkowały między sobą. Czekająca droga. Lacey wyjaśniła Vicowi, że ma pewne sprawy do załatwienia w Virginia Beach i do tego potrzebny jest jej własny samochód. W końcu on też musi mieć jakieś plany.

— Myślałem, że trzymałbym się ciebie, Lacey.

— Ty nie będziesz otwierał drzwi przede mną, ale ja mam otwierać przed tobą?

— Nie mogłem cię wpuścić do magazynu. Wiesz o tym.

— Szkoda. Muszę lecieć. Poza tym zostaję na noc.

— Jestem spakowany. Mogę się dopasować.

Bezczelna czarna wiewiórka zatrzymała się na chodniku i popatrzyła na nich.

— Posłuchaj, Vic, nie obchodzi mnie, co robisz. Zawsze jesteś spakowany. Jeżeli na siebie wpadniemy, może ci pozwolę, żebyś mi postawił kolację. Ale jadę własnym samochodem.

Wzruszył ramionami.

— Dobrze już, dobrze. Usiłuję być przyjacielski i widzisz, jak to się kończy. Do zobaczenia na miejscu. — Wiewiórka jak strzała wspięła się na dąb, żeby lepiej widzieć. Vic z rykiem silnika odjechał jeepem, piszcząc na zakręcie oponami.

Wrzuciła torbę na tylne siedzenie, wsiadła, zdjęła z kierownicy wajchę i przekręciła kluczyk w stacyjce. Jej ZX, podobno w znakomitej formie, odmówił współpracy. Wydał z siebie kilka bezskutecznych stuknięć, jasny znak, że rozrusznik nie działa. Westchnęła głęboko i oparła głowę na kierownicy.

— Cholera. Cholera. Cholera.

Mogła zadzwonić do AAA. Albo sprawdzić, czy Paul w Asian Engines ma na składzie rozrusznik. Lacey była dobrą klientką, mogła się uprzeć, że to bardzo pilne. Paul na pewno by się nad nią zlitował, ale potrwałoby to co najmniej godzinę. Może trzy. Ogarnęło ją rozczarowanie. Powinna była wiedzieć, że ZX działał za dobrze. *Ale dlaczego dzisiaj?* Jęknęła. *Kocham ten samochód - nie wydaje mi się, żeby 320 000 kilometrów było za dużo.* Przez pięć minut siedziała, pełna obrzydzenia. Nawet nie usłyszała podjeżdżającego jeepa.

Vic zapukał w okno. Otworzyła je.

— Myślałem, że jedziesz za mną, Lacey. Zmieniłaś zdanie?

— Masz pod ręką wolny rozrusznik?

— Jakoś nie. I żebyś wiedziała, nawet nie dotknąłem twojego samochodu.

Może ma depresję. — Nie odpowiedziała. — Propozycja stoi. Chodź.

Jeep jest rozgrzany — zachęcił.

Nienawidziła jeepa. Patrzyła ponuro na jego lśniący ogrom, nietypowo wymyty i nawoskowany. Jeep miał tylko dwa lata. Bez wątplenia każdy jego kawałek był w fantastycznym stanie. Na samą myśl warknęła głośno.

— To znaczy tak? — spytał Vic. — Naprawa potrwa pewnie cały dzień.

Założyła wajchę z powrotem na kierownicę i zamknęła ją, wzięła torbę, zatrzasnęła drzwi i pomaszerowała do jeepa.

— Dziękuję. Możesz mnie tam podrzucić do agencji wynajmu samochodów. Wrócę na lotnisko. Nie chcę cię obciążać. — Przyłapała go, że znowu się śmieje. — Nie waż się ze mnie śmiać.

— Ja się nie śmieję z ciebie, Lacey. Śmieję się z tobą. Uśmiechnęła się słodko.

— Kiedyś ja się będę śmiała z tobą. - W końcu ochłonęła, mniej więcej wtedy, kiedy skręcili z Beltway na 1-95 South. Nie przemówił ani słowa, podczas gdy ona wściekała się na los. Przypomniały jej się słowa Marie: „Frustrujący weekend. Pozwól się nieść”. Wrrrr.

Vic odezwał się, kiedy tylko wyczuł, że już nie będzie gryzła.

— Nie jest tak źle, nie? - Jeep był klimatyzowany i miał specjalny system dźwięku. - Jesteś naprawdę przywiązana do tego samochodzika, tak?

— Bardzo chciałam się przejechać. Miał być w porządnym stanie. W końcu. - Ogarnął ją kiepski nastrój.

— Potrzebny ci nowy samochód. Miałaś tego ZX-a już w Sagebrush. Zatrzymasz go na zawsze? Uratował małe dziecko ze studni czy coś? — W odpowiedzi znowu warknęła. — Jesteś jak niedźwiedź, póki nie napijesz się kawy, nie?

— Nie jestem niedźwiedziem. Ja drażnię niedźwiedzie.

— Okej, łowczyni niedźwiedzi. To może śniadanie?

Z dużej, białej papierowej torby unosił się kuszący aromat. Vic wskazał gestem, żeby ją otworzyła. Zajrzała do środka. Świeże bułeczki, kawa, sok pomarańczowy. *O wszystkim pomyślał. Jak zwykle.* Oczywiście, planowała kupić coś w Sutton Place, eleganckich delikatesach, wyjeżdżając z miasta.

— Zaplanowałaś to — oskarżyła go.

— Trzeba być gotowym, to wszystko. To długa jazda.

— Cholerny skaucik.

■ ■ ■

Wszyscy mówią, że jazda do Virginia Beach z Waszyngtonu, D.C., trwa trzy i pół godziny. Wszyscy kłamią, chyba że jeżdżą sto pięćdziesiąt kilometrów na godzinę pustymi drogami bez policji. Raczej jest to cztery i pół do pięciu godzin, ale Vic wyrobił się w niewiele ponad cztery. To za długo, by jechać, nie odzywając się.

— No więc, dlaczego akurat Virginia Beach i dzisiaj? — spytał w końcu Vic.

— Stella ci nie powiedziała? Nie wywiązuje się z obowiązków, plotkara jedna.

— Powiedziała, że byś ją zabiła.

— A dlaczego właściwie ty tam jedziesz?

Vic powiedział, że jedzie rzucić okiem na potencjalne lokalizacje dla salonu Stylettos pod względem bezpieczeństwa, dla Boyda Radforda.

— Znowu kradziony szampon? — spytała. Przyszło jej do głowy, że Boyd bardzo polega na Vicu i że Vic mógł pojechać do Virginia Beach kiedykolwiek.

— O ile wiem, nie. Jestem na tyle stuknięty, żeby myśleć, że może z czymś trafiłaś. Oprócz tego mam cię przycisnąć.

— Za pomocą czego, swojego uroku? Mojego pecha z samochodami?

— Jak będzie trzeba. Rozkazy Radforda.

— Szczurek to glista.

— Znowu ta brew idzie ci w górę, Lacey. To automatyczna reakcja na mnie, czy masz nad tym jakąś kontrolę?

— Victorze Donovanie, nie potrzebuję niańki.

— Tak uważasz?

— Uważam, że jeżeli Radford tak się przejmuje jedną głupią dziennikarką od mody, to ma coś do ukrycia. A ja może powinnam się dowiedzieć, co to jest.

— To jest ta Lacey Smithsonian, którą znam. Zawsze w samym środku spraw.

— Nieprawda.

— W takim razie się zmieniłaś. W Sagebrush zawsze byłaś w środku akcji.

— Kurczę, kowboju, to było małe miasteczko. A poza tym twoi kumple w departamencie szeryfa dawali mi znać. Tak samo, jak twoi gliniarze donosili na szefów.

Skrzywił się.

— Nieważne, jak się tam dostawałaś, zawsze tam jakoś byłaś.

— Vic, a ty jak myślisz, co się dzieje?

— Nie szukam dramatów, Lacey. Miałem ich już dość. Ja tylko usiłuję dojść, jak mam robić swoją robotę równie dobrze, jak tata.

Autostrada była monotonna, ale im bliżej do Virginia Beach, tym wszystko wyglądało lepiej. W południowej części stanu królowała wiosna. Drzewa wypełniały krajobraz, a zapach ich kwiatów przesycił powietrze. Lacey wystawiła nos przez okno i mocno wciągnęła powietrze.

Vic zjechał z autostrady i ruszył Atlantic Avenue blisko plaży.

Zaparkował na miejskim parkingu. Kiedy wysiedli, powitało ich ciepłe morskie powietrze. Lacey rozprostowała nogi i wzięła swój plecak.

— Okej. Zadzwoń z salonu po taksówkę. — Sięgnęła po torbę, ale Vic zapewnił ją, że potem jej podrzuci. Podała się, nie miała ochoty taszczyć bagażu na lunch z Tammi.

Salon był niedaleko. Kiedy skręcili za róg, dostrzegła jaskrawo-różową markizę z logiem Stylettos: stylizowanymi nożyczkami maszerującymi w butach na szpilkach.

Ale coś było nie tak. Na chodniku zebrał się tłum. Ulicę blokowały wozy policyjne i karetka. Dwóch mundurowych policjantów odganiało ludzi od drzwi salonu.

Rzuciła się naprzód, z dziwnym skurczem w żołądku. Vic położył dłoń na jej ramieniu.

— Boże, Vic. Co się... — Jego ręka zacisnęła się mocniej. Dotarli akurat w chwili, kiedy otworzyły się frontowe drzwi

i wyjechał przez nie wózek. Na nim leżała przypięta i zamknięta na suwak torba na ciało. Za technikami z pogotowia szły do karetki dwie kobiety, obejmując się nawzajem, z twarzami mokrymi od łez. Obie ubrane w charakterystyczne czarne bawełniane kitle Stylettos z dużymi naszytymi kieszeniami i chińskimi kołnierzykami. Blondynka w krótkiej spódniczce miała fryzurę na barana, z przedziałką pośrodku i długimi rogami zawiniętymi zza uszu do podbródka. Tył ścięty na krótko. Lacey widziała, jak Stella tak kogoś strzygła. Brunetka była ścięta na całkiem krótko, a pod kitem miała sukienkę.

Dosłyszała, jak jedna z kobiet szepcze:

— Popęłniła samobójstwo. Lacey zamarła.

— Samobójstwo? Boże. Kto?

Policjant w mundurze przecisnął się koło niej i powiedział stanowczo:

— Przepraszam panią. — Wszedł do salonu, niosąc taśmę do odgradzania miejsca zbrodni.

— Nie wiemy, co to jest, ale samobójstwo i morderstwo traktuje się tak samo, dopóki nie zostanie określone jasno — przypomniał Lacey Vic. — Nie możemy wchodzić im w drogę.

Lacey przyszło do głowy, że nie po raz pierwszy stoją z Vikiem koło policyjnej taśmy na miejscu morderstwa — nie, żeby w Sagebrush zdarzało się wiele morderstw. Różnica polegała na tym, że tam stali po różnych stronach taśmy. Było zwłaszcza jedno konkretne morderstwo, jak pamiętała — ciało kobiety zrzucone z autostrady. Została uduszona, żadnych świadków, żadnych podejrzanych, żadnych poważnych śladów. Zawstydziała się, przypomniawszy sobie, jak wtedy dokuczała Vicowi, że nie rozwiązał sprawy. Wiedziała, że włożył w to wiele wysiłku.

Vic nie miał wątpliwości, że Lacey rwie się do rozmowy z policją.

Odciągnął ją daleko od policyjnej taśmy.

— Nie ma sensu plątać im się pod nogami i denerwować ich. Mam tam u nich znajomego. — Jasne. Vic należał do facetów, którzy najwyraźniej mieli znajomych wszędzie, gdzie by się nie ruszyli. — Zadzwoń i zobaczę, czy będziemy mogli potem pogadać z detektywem.

Lacey podeszła do szlochających fryzjerek. Obie miały po dwadzieścia kilka lat, bliżej trzydziestki. Wytłumaczyła, kim jest, i że przyjechała porozmawiać z Tammi White — wbrew rozsądkowi miała nadzieję, że kierowniczką wciąż jest w salonie z policją, a ciało to tylko ofiara kiepskiej trwałej i zawału. Ale nie zauważyła w tłumie nikogo z długimi, kręconymi czarnymi włosami.

— Pani jest od *Zbrodni w modzie*? — Blondynka z fryzurą na barana miała na imię Heidi. — Rany. Tammi tak się cieszyła, że panią zobaczy, ale teraz nie może już z nią pani rozmawiać. Jest tam... — Wskazała na karetkę.

— Nie żyje! — wykrztusiła brunetka, Nan, z oczami mokrymi pod strzępiastą grzywką. — Boże, nigdy dotąd nie widziałam nikogo martwego — jej głos się załamał.

Dwie fryzjerki objęły się, płacząc, a Lacey stała obok bezradnie. Poczucie winy omal nie zważyło jej z nóg. Ledwo mogła oddychać. Czy coś, co napisała, uruchomiło łańcuch wydarzeń zakończony śmiercią tej kobiety? Z oczu Heidi popłynęły kolejne łzy, gdy wyjaśniła, że Tammi, jej szefowa, zamykała salon poprzedniego wieczora, a dzisiaj rano ona tam przyszła i znalazła ją martwą. Heidi zobaczyła wypisaną krwią wiadomość na lustrze: *To wszystko, Kochani*. Ilość krwi była szokująca. Według Lacey, wyglądało to dokładnie jak śmierć Angie — przecięte nadgarstki, brzytwa, wiadomość napisana krwią. Tchnęło z niej taką samą przerażającą beztroską, jak w rzekomym pożegnaniu Angie: „Żegnajcie”. — Widziałyście włosy? — spytała Lacey. — Tammi mówiła, że ma długie, czarne włosy.

— Włosy? O Boże! — wrzasnęła Nan. — Tak, były ucięte! W pierwszej chwili w ogóle jej nie poznałam.

Młoda kierowniczka leżała bezwładnie na swoim stanowisku, a jej włosy zostały obcięte, brutalnie, bardzo krótko.

— Jeszcze wczoraj miała warkocz z wplecioną czerwoną wstążką.

Pamiętam, bo ja zawsze pamiętam fryzury, a tej ją nauczyła Angie. Angie kochała wstążki do włosów.

Stella mówiła, że w dniu swojej śmierci Angie miała warkocz z niebieską wstążką.

— Gdzie były włosy? — spytała Lacey.

Teraz, kiedy Lacey o tym wspomniała, Heidi nie mogła sobie przypomnieć, żeby widziała gdzieś włosy. Na podłodze ich nie było.

— Nie wiem. Pomocnice zawsze zmiatają włosy, w ogóle się tym nie zajmujemy.

— Ona by się nie zabiła, to bez sensu. Znaczący, była strasznie napalona na pani przyjazd — dodała Nan. — Tammi słyszała wszystko o Marcii i Angie. Była tu nawet kiedyś na odżywce.

— Kto?

— Marcia. Jej mama ma dom na plaży, ukrywała się tu — wyjaśniła Nan.

— Marcia Robinson jest w Virginia Beach?

- To była wielka tajemnica — odpowiedziała Heidi - ale wszyscy i tak wiedzieli.

Obie fryzjerki zgodziły się, że Tammi bardzo się starała, by salon ładnie wyglądał na wizytę Lacey.

- Dlaczego miałyby się zabić? - pytała w konsternacji Nan.

- I dlaczego tak samo, jak Angie? Tyle z tym bałaganu, to niepodobne do Tammi. Lubiła mieć wszędzie czysto.

Srebrzystoszary jaguar z przyciemnianymi szybami zatrzymał się przy krawężniku. Wyłonił się z niego Boyd Radford, zatrzasnął drzwiczki i przepchnął się przez tłum do salonu. Miał na sobie džinsy, które wyglądały na nowe i sztywne na pulchnym brzuchu. Błękitna koszulka polo odsłaniała białe przedramiona i zegarek rolex. Na głowie miał czarną czapkę z logiem Stylettos. Zatrzymał się zdumiony na widok Lacey z Vikiem Donovanem, ale wziął się w garść. Gestem przywołał Vica do siebie. Lacey obdarzył wrogim spojrzeniem. Vic odciągnął go na bok.

- Na litość boską - warknął Boyd. - Co ona tu robi? -Odwrócił się i wmaszerował do salonu.

W jaguarze otworzyło się okno po stronie pasażera. Josephine, w designerskich okularach słonecznych i czarnym słomkowym kapeluszu, siedziała spokojnie i obserwowała tłum. Skinęła Lacey głową.

Nan rzuciła niedopałek na ziemię i przydeptała. Zmarszczyła nos. Lacey wyczuła znajomą nienawiść do Radforda, najwyraźniej wspólną dla wielu pracowników w Stylettos.

- Przystawiał się do pani, tak? - spytała młodą kobietę.

- A jakże. Rzecz jasna, chciałam być kierowniczką, a wielki szczur miał parę pomysłów, jak by mogło do tego dojść. Według Szczurka, pozycja kierownicza to pozycja na wznak.

- I co się stało?

- A czy ja wyglądam na kierowniczkę? - Wydobyła z pudełka kolejnego papierosa bez filtra i zapaliła go, ręką osłaniając zapałkę przed słabym wietrzykiem. — Co za świnią.

- Nie byłaś szczególnie subtelna - wtrąciła się Heidi. Spojrzała na Lacey. — Zawsze się skarży.

Twarz Nan rozświetlił piękny uśmiech.

- Powiedziałałam mu, gdzie może sobie wsadzić gorącą lokówkę, zanim ja się zgodzę na cokolwiek z takim obrzydliwym starym małpisonem.

Rany, on jest totalnie obleśny, i musi mieć chyba pięćdziesiątkę. Nie chce ci się rzygać na samą myśl? -Wydmuchnęła kółko z dymu.

- Tak, tylko uważaj, bo cię wykopie z roboty - poradziła Heidi.

- A co z Tammi? Było coś między nią a Radfordem? -spytała Lacey.

- Jest kierowniczką - oznajmiła Heidi. - Jakoś to zniosła. Ale raczej było jasne, że to już skończone. - Heidi podzieliła się kolejną plotką. -

Szczurek szuka miejsca na nowy salon. Teraz Stylettos ma w mieście dwa. I do tego domek na plaży przy Ocean Front Avenue, żeby mógł łączyć pracę z przyjemnością.

- Będą nowe stanowiska dla kierownika i zastępcy. Podobno jakiś facet z D.C. ma szanse na kierownika - powiedziała Nan. - Leonardo bez nazwiska. Ale pozerstwo, nie? Podobno to ulubieniec Joséphine.

- Leonardo miał tu przyjechać w zeszłym tygodniu, spotkać się z Tammi i niektórymi fryzjerami, zobaczyć ewentualne miejsca na salon, taka jakby rozmowa - powiedziała Heidi. Lacey trudno było nie gapić się na jej dziwaczną fryzurę na barana, ale z drugiej strony, głównym jej celem było właśnie przyciąganie uwagi.

Boyd wyłonił się z salonu i rozmawiał cicho z Vikiem. Zdecydował, że Stylettos będzie przez resztę dnia zamknięte, jak również przez następne dwa dni. Z jego twarzy nie dało się nic wyczytać. Lacey nie mogła dojść, czy wygląda na wściekłego, smutnego czy wstrząśniętego.

Robiło to wrażenie pewnej rutyny, jakiej domagała się śmierć fryzjerki.

Boyd opanował ją już śpiewająco. Na drzwiach przykleił ręcznie pisaną tabliczkę, proszącą klientów o udanie się do drugiego salonu Stylettos,

trzy kilometry wzdłuż plaży. Zamknięty salon będzie przyjmował

klientów w piątek. Zrobił błędy ortograficzne w „klientach” i „plaży”.

Heidi i Nan kazano iść do domu. Trzem innym polecono zgłosić się w drugim Stylettos, by sprawdzić, czy nie przydadzą

się tam do czegoś. W drodze do samochodu Radford obdarzył oszałamiającą fryzjerkę o tycjanowskich włosach ciepłym uściskiem. Poszeptał jej coś do ucha i uśmiechnął się obleśnie. Unikał spojrzenia Lacey. Rozejrzała się, ale nigdzie nie widziała Vica.

Kolejne pełne dezaprobaty spojrzenie Boyda skierowało się ku byłej małżonce. Wrócił do jaguara.

— Ani słowa, Josephine. Nie chcę od ciebie słyszeć ani słowa, do cholery. — Wsiadł i zatrzasnął drzwiczki. Josephine założyła z powrotem okulary i prychnęła coś po francusku. Szyba w jej okienku podjechała z powrotem do góry i jaguar ruszył.

Tłum zaczął się rozchodzić, kiedy Lacey zauważyła na jego obrzeżu kobietę, również szykującą się do odejścia. *Co tu robi Sherri Gold?* Ponieważ nie była pewna, czy koścista kobieta w ogromnych okularach słonecznych to Sherri, ruszyła za nią, ale po chwili zgubiła ją w tłumie. *Me, zaraz. Musiałam się chyba pomylić.*

Heidi i Nan nie wykazywały chęci odejścia, dopóki policja wciąż jeszcze była na miejscu. Lacey stała z nimi w milczeniu i czekała, aż Vic wyszedł z salonu.

Odciągnęła go na bok.

— Vic, o co chodzi?

— Niczego nie wiem, poza tym, że nie żyje i mówią, że to wygląda na samobójstwo. Na lustrze był napis krwią.

— Głupawy napis. Jak u Angie. I ktoś jej obciął włosy.

— Kto tak mówi?

— Fryzjerki. Wczoraj miała długie. Dzisiaj nie.

— Tego nie słyszałem. — Zrobił długi wydech. — Gliniarze pewnie nie zwracają za bardzo uwagi na włosy. Lacey, mogłabyś przez chwilę poczekać spokojnie i nie wpadać w żadne kłopoty?

Lacey uniosła brew i rzuciła mu to specjalne spojrzenie, jakie kobiety mają w rezerwie dla idiotów płci męskiej.

— Dobrze. Przepraszam, że to powiedziałem. — Nie wyglądał na skruszonego. — Muszę się spotkać z Radfordem. — Co powiedział?

Linie wokół oczu Vica zmarszczyły się w promieniach słońca.

— Kazał mi trzymać cię pod kontrolą. Jakie mam szanse?

— Chcę porozmawiać z policją.

— Później, Lacey. Zadzwoń do ciebie. Masz komórkę? Jęknęła.

— Nienawidzę komórek. Ja zadzwonię do ciebie.

Wrócili z powrotem do jeepa. Zabrała swoją torbę, zanim odjechał.

— Dzięki za podwózkę. Naprawdę. Teraz poradzę sobie sama. Do zobaczenia — powiedziała. — Albo i nie. Daj znać, czego się dowiedziałeś.

Pomachał jej.

— Tak jest, kapitanie.

Rozdział 18

Lacey zaprosiła Nan i Heidi na lunch. W Sandwash Cafe było sporo łez i wyrazów żalu. Żadna z nich nie wiedziała nic o George'u, tajemniczym mężczyźnie, który dzwonił do Tam-mi, proponując pieniądze za włosy. Lacey znowu zastanawiała się na głos, niby od niechcenia, gdzie się podziały włosy Tammi. Nan i Heidi popatrzyły tylko na siebie i wzruszyły ramionami.

— Nie myślałam o tym — powiedziała Heidi. — Nie rozglądałam się za bardzo, wie pani.

Nan zasugerowała, że pewno znaleźli je policjanci i zabrali jako dowód. Nie mogły uwierzyć, by Angie albo Tammi popełniły samobójstwo, ale żadnej z nich nie przyszła do głowy koncepcja morderstwa. Dopóki Lacey o nim nie wspomniała. *Za to też mi Boyd Radford podziękuje.*

— O Boże — jęknęła Heidi. — Myśli pani, że ktoś morduje fryzjerki? Przecież to nie ma sensu!

Nan zamówiła jeszcze jedną colę.

— Nie wiem, niektórzy ludzie potrafią się naprawdę wściec z powodu fryzury... — Wzruszyła ramionami.

— Czy w salonie wydarzyło się ostatnio coś niezwykłego? — chciała wiedzieć Lacey. Nan i Heidi wymieniły spojrzenia i Heidi pokręciła głową. Lacey poczuła dreszcz. — Co? Powiedzcie mi.

— Tak jakby zgodziłyśmy się, że nie będziemy o tym mówić, kiedy umarła Angie — wyznała Heidi. Spuściła wzrok na swój talerz. Nikt nie jadł zbyt wiele.

— Nie przesadzajcie. Dwie wasze przyjaciółki nie żyją, z powodu samobójstwa czy czegoś innego. Nie wiem, czego chcecie umknąć, ale lepiej jest wyłożyć kawę na ławę. Czy w salonach buszuje jakaś grupa złodziei?

Nan pokręciła głową.

— Nic o tym nie wiem. Wie pani, czasami jakiejś butelce szamponu wyrosną nóżki, ale żeby coś większego? Nie. Tak pani myśli?

Łza kapnęła z końca nosa Heidi.

— O Boże. Myślałyśmy, że to był kawał.

— Może to nieważne — zapewniła ją pośpiesznie Lacey. — Ale jeżeli mi powiecie, może coś wymyślimy. — *Ty nigdy nie masz dość, Lacey.*

— No, Heidi, równie dobrze możemy jej powiedzieć. A tak dla pamięci, jeżeli tu się dzieje coś dziwnego, ja nie mam najmniejszej ochoty się zabijać — oznajmiła Nan. — Chociaż nigdy nie czułam się gorzej.

Heidi zgodziła się i otarła oczy serwetką.

— To ta piekielna kasetka — powiedziała Nan. Sięgnęła po papierosa, ale przypomniała sobie, że siedzą w części dla niepalących. — Parę tygodni temu Tammi dostała pocztą paczkę od Angie. Kasetę, z kartką, na której było coś takiego: „Nie oglądaj tego świństwa i nikomu nie mów. Tylko to schowaj, proszę”.

— Tammi myślała, że Angie tak się wygłupia — wtrąciła Heidi — że to jakiś firmowy film szkoleniowy, a Angie w ten sposób chce powiedzieć, że jest do chrzanu.

— Wszystkie myślałyśmy — ciągnęła Nan — że to będą jaja, wie pani, jakieś kompletnie odjechane fryzury, więc Tammi zwołała wszystkich, żeby to obejrzeć, pół godziny przed otwarciem. Wrzuciłyśmy nawet popcorn do mikrofali i przygotowałyśmy sobie papierosy i picie. — Zachichotała na to wspomnienie. — No i, cholera, okazało się, że to jakiś domowej roboty pornos! Całkiem śmieszny, chociaż raczej obrzydliwy. Faceci z pożycz-

kami i kobiety z hełmami. Jakby takich ktoś chciał oglądać na golasa. Wie pani, tacy po czterdziestce. Palanci z bardzo młodymi dziewczynami, chyba nastolatkami. Obrzydliwe. Miałyśmy to właśnie wyłączyć, kiedy pokazał się Szczurek.

— W salonie? — przestraszyła się Lacey.

— Nie, na filmie — wyjaśniła Nan. — Widzimy, jak podaje kopertę jakiejś blondynce z tapirem. I zaraz, proszę, Szczurek spuszcza spodnie, tapirzyca ściąga wszystko oprócz naszyjnika, i już, biorą się do rzeczy!

— Teraz mówimy na niego „Króliczek” — dodała Heidi. — To było tak śmieszne, że pepsi mi poleciała nosem.

Nan wspomniała, że tę część oglądały co najmniej dziesięć razy.

— Teraz patrzymy na Króliczka, no, w zupełnie nowym świetle.

— Rozpoznałyście jeszcze kogoś?

— Tak, Marcię Robinson. Ona tylko chodziła po pokoju topless z talerzem przystawek, jak na przyjęciu — powiedziała Heidi. — Jest trochę za puszysta, żeby się rozbierać do rosołu. I niektórzy z tych gołych też wyglądali znajomo, jakbym ich widziała w telewizji czy coś, ale nie wiem, kto to.

Nan dodała jeszcze kilka pomocnych szczegółów.

— A niektórych nie było za dobrze widać, bo byli cyfrowo rozmazani, jak w telewizji. I chyba to się działo w paru różnych miejscach. Nie byłam pewna.

Marcia mówiła Lacey, że sprzedawała filmy na swojej stronie. Może to były wycięte kawałki, za gorące, żeby trzymać je w domu?

— Gdzie jest teraz ta taśma?

— Nie wiem. Następnego dnia Angie nie żyła. Taśma przestała wydawać się śmieszna i już o niej nie mówiłyśmy. — Heidi zerknęła na Nan.

— Nie patrz tak na mnie — powiedziała Nan. — Nie wiem, co się z nią stało. Jak pani myśli, Lacey?

Czy Radford zabiłby z tego powodu? I kto jeszcze był na tej taśmie?

— Myślę, że powinnyście powiedzieć policji.

— Co, że oglądałyśmy pornola z udziałem naszego szefa? Mnie to wygląda na bilet do urzędu dla bezrobotnych. — Nan

i Heidi jednocześnie splotły ramiona. — Nie będziemy rozmawiać z policją — oznajmiła Nan. — Wystarczy, że teraz mają kamery na promenadzie.

— A jeżeli to ma coś wspólnego ze śmiercią Angie i Tammi? Nie wyglądały na przekonane.

— Moim zdaniem — perswadowała Lacey — gdyby ten film się znalazł, powinien jakoś dotrzeć na policję. Anonimowo. — Nadal nie wyglądały na przekonane. — Zatrzymanie tej kasety może oznaczać śmiertelne niebezpieczeństwo.

— Śmiertelne? — powtórzyła Heidi.

— Właśnie mi powiedziałyście, że Angie przesłała kasetę Tammi. Teraz obie nie żyją. To niebezpieczna tajemnica. Ale jak napiszę o kasecie w swojej rubryce, przestanie być tajemnicą. Nie ma powodu nikogo zabijać. — *Oby.*

Nan chciała wiedzieć, czy Lacey będzie musiała zeznać o tym policji. Zapewniła je, że dla policji to tylko wiadomość z trzeciej ręki.

— Z ich punktu widzenia ja tej taśmy nie widziałam i musiałabym mieć więcej dowodów, że w ogóle istnieje. Ale będę musiała o niej napisać. I o Tammi.

— To by jej się podobało — uznała Heidi.

— No to w porzo, o ile pani nie będzie tam pisać o nas — dodała Nan. — I o Króliczku, proszę nie pisać, że on jest w tym filmie.

Do głowy przyszła jej cała seria pytań: *Kto wie o kasecie? Skąd ją Angie w ogóle wzięła? Nadal jest w salonie, czy Tammi ją za późno schowała? I kim byli ci znajomi ludzie w filmie?* Ale fryzjerki nic więcej nie wiedziały. Spytała, czy znają Sherri Gold. Powiedziały, że nie, a Heidi, która wpisywała wizyty do kalendarza dla całego salonu, twierdziła, że nikt taki ostatnio się nie zapisywał. Nie pamiętały też nikogo odpowiadającego opisowi.

— Mamy takich bardziej „plażowych” klientów. Wie pani — opaleni, blond, ładni — pochwaliła się Heidi.

Lacey chciała zobaczyć drugie Stylettos w Virginia Beach, więc Nan zaproponowała, że podrzuci ją do centrum handlowego, gdzie znajdował się salon. Heidi z baranem na głowie ruszyła do

domu po wymianie uścisków. Nan przedstawiła Lacey wielkiemu brązowemu fordowi — krążownikowi szos z lat sześćdziesiątych, którego nazywała Brązowym Bombowcem. Miał blizny z wielu bitew, ale nie bał się nikogo. Tłumik i klimatyzacja nie działały, ale stereo było w znakomitym stanie i wyśpiewywało jakiś retro rock.

— Uwielbiam tego potwora — rzekła Nan. — Nikt nie zajeżdża mi drogi. Brązowy behemot dostarczył je bezpiecznie, chociaż głośno, do drugiego salonu. W środku cały personel przeżywał śmierć Tammi. Najwyraźniej nikt nie słyszał o tajemniczym George'u. Z drugiej strony, wszystkie fryzjerki miały krótkie włosy, od szycowej fryzury w stylu Audrey Hepburn po sterczące punki. Nie to, co lubił George. Jednak wszystkie chciały mówić o śmierci Tammi i fakt, że nic nie wiedzą, nie mógł ich od tego powstrzymać.

Kiedy już Lacey wyczerpała wszystkie pytania o Tammi, Angie, Leonarda i George'a Jakiegoś tam i nie dowiedziała się nic, zwróciła się do Nan.

— Czy wie pani, gdzie jest domek Radforda?

— O, tak. Marzyłam kiedyś o obrzuceniu go papierem toaletowym. Gdybym była młodsza, pewnie bym to zrobiła. Chce go pani zobaczyć? Gdy jechały z powrotem, Nan przełączyła radio na WCMS, gdzie huczał Toby Keith. Pojechały wzdłuż Ocean Front Avenue, obok sporej ilości plażowych domów. Dom Radforda nie różnił się od sąsiednich, pomalowany na gołębią szarość z szaroniebieskim wykończeniem, z widokiem na ocean i licznymi tarasami.

Ciekawsza była stojąca przed nim kolekcja samochodów: jaguar, jeep Vica i czerwone camaro, które właśnie parkowało koło jaguara, podczas gdy Bombowiec uplasował się po drugiej stronie ulicy. Z camara wyłonił się Beauregard Radford, chwilę po tym, jak spojrzął na swoje odbicie we wstecznym lusterku, obwieszonym odświeżaczami powietrza. Wydawał się niemal za mały, by jeździć tak szpanerskim samochodem, ale usiłował stworzyć sobie bardziej śmiały wizerunek — cienkie, ciemne włosy miał związane w kucyk głośno krzyczący „artysta”. Cieniutki kucyk był lepszy niż poprzednia fryzura na księcia, uznała Lacey.

— Kto to? — spytała Nan.

— Beau Radford — odparła Lacey. — Nie zna go pani?

— Niemożliwe! To jest Szamponik? — Nan przyjrzała się uważniej. — Rany, nie widziałam go od lat. Odkąd po raz pierwszy pojechał na studia, ze sześć lat temu. Szczurek zatrudniał go latem do mycia głowy, kiedy nie było dość pomocników. Był tak leniwy, jak można by się spodziewać po następcy tronu. Ale w życiu bym go nie poznała!

Lacey przez chwilę zastanowiła się, czy Beau mógł podejrzewać własnego ojca o udział w tych morderstwach. Obok camara zatrzymała się z rykiem silnika przeraźliwie żółta corvette. Na tablicach z D.C. widniało LEO 1. Leo nie poświęcił żadnej uwagi kobietom patrzącym z drugiej strony ulicy z wielkiego brązowego auta.

Lacey nie wiedziała, co jeszcze może wywnioskować z tej scenki, więc Nan odwiozła ją do hotelu. Podała dziewczynie dwadzieścia dolarów za paliwo.

— Dzięki. Bombowiec zre paliwo, jak nie wiem. — Nan obiecała zadzwonić, gdyby znalazła kasetę albo gdyby pojawił się nieuchwytny George. Po czym pomknęła naprzód w swoim ukochanym potworze.

■ ■ ■

Było już po szóstej, kiedy Lacey dotarła do swojego pokoju w hotelu, wczłgała się do łóżka i zapadła w kamienny sen. Obudziła się, oszołomiona i zdezorientowana, na dźwięk walenia w drzwi.

— Tu Vic. Otwórz.

Wpuściła go i stała niepewnie, trąc oczy. Według zegara było wpół do ósmej. *Rano czy wieczorem*, zastanawiała się.

— Jeżeli uda ci się otworzyć oczy, śpiochu, zabiorę cię na kolację. Ziewnęła i wpadła na strategicznie ustawione krzesło.

— Nie powinienes wracać do miasta?

— O mnie się nie martw. Możesz uwierzyć, że mieli wolne? Też mam pokój. Dwa piętra wyżej. Szczęściarz ze mnie, co?

— Szczęściarz z ciebie. Czyli nadal się ode mnie nie odczepisz?

— Nie ma sensu teraz wracać. To był ciężki dzień. — Przesunął się za nią i pomasaował jej ramiona. To było bardzo miłe.

— Czego się dowiedziałeś o Tammi? — spytała, kiedy zaczęły jej się otwierać oczy. Przerwał masaż i ruszył w stronę drzwi.

— Nie zabieram cię na kolację, żeby to wałkować. Nie teraz.

— Dwie identyczne śmierci! Jeżeli to nie morderstwo, to co?

— Jeszcze nie wiadomo. Znalazłem kogoś, z kim możesz jutro pogadać, detektywa z Virginia Beach, nazywa się Harding. Ale na dzisiaj koniec z tym. — Splótł ręce na piersi i oparł się o drzwi. — Musisz nauczyć się wyłączać. Coś takiego może cię zeżreć.

— A co z Radfordem? Co on tu naprawdę robi?

— Koniec, Smithsonian. Chcę tylko iść na kolację. Potrzebuję porządnego, domowego jedzenia. Ty też.

Otworzyła usta, żeby zaprotestować, ale zmieniła zdanie. Jeżeli Vic nie zamierzał wykrztusić żadnych informacji, ani słuchać jej, nie zamierzała nikomu mówić o filmie — przynajmniej dopóki nie porozmawia z Marcją.

Spojrzała w lustro i zobaczyła na swojej twarzy odcisnięte linie od poszewki. *Istne cudo*. Przynajmniej makijaż się nie rozmazał. *Zaspiane oczy to jedno, a czerwone jak u wampira to całkiem co innego*. Zgodziła się spotkać z Vikiem w barze za pół godziny, co dawało jej czas na dobudzenie się.

Zakrwawione lustra i płaczące fryzjerki pojawiały się nieustannie w jej myślach, gdy się odświeżała. Żałowała, że nie może zastanawiać się nad wydarzeniami tego dnia, spędzając wieczór na grzebaniu w wykrojach babci Mimi. Chciała wybrać sobie coś nowego z garderoby lat czterdziestych, coś niesamowitego. Ale nie mogła przecież poprosić Vica o podrzucenie jej do centrum handlowego, żeby mogła sobie pooglądać tkaniny. Jedwabie w pięknych kolorach mogłyby posłużyć jako ucieczka od wydarzeń dnia, ale podejrzewała, że Vic by za grosz nie zrozumiał. Był przecież, jak by nie było, facetem.

Przebrała się w dopasowany szydełkowy fiołkowy sweter, który dostała w prezencie od Mimi. Miał wprawdzie ponad pięć lat, ale wyglądał wciąż jak nowy, a w tym kolorze było jej bardzo

do twarzy. Złapała czarny szal haftowany w kolorowe kwiaty i po raz ostatni zerknęła do lustra.

Denerwowało ją, że idzie na kolację z zabójczo przystojnym facetem, który w ogóle nie był nią zainteresowany inaczej niż jako źródłem informacji — lub kłopotów. Przynajmniej była głodna. A on, niewątpliwie, mógł wziąć fakturę.

Hotelowy bar był pełen jasnego drewna, niebieskiej skóry i żeglarskich akcesoriów. We wtorek niewielu było wielbicieli burzliwych weekendów na plaży. Klimatyzacja pracowała na pełną moc i Lacey zadygotała mimo swetra. Zamówiła wodę mineralną i zaczęła wyjadać orzeszki ziemne z wiklinowej miski na barze. zaproponowała restaurację z owocami morza przy plaży. Vic jednak uparł się, że potrzebują solidniejszej stawy, niż można znaleźć w turystycznej budce i zaproponował udanie się jeepem w poszukiwaniu „prawdziwego miejsca z prawdziwym jedzeniem”, niczym jaskiniowiec tropiący mamuta. Ruszyli więc dalej od plaży, a głód bynajmniej nie poprawiał jej nastroju.

W końcu znaleźli odpowiednie domowe jedzenie w zabawnej restauracji o trafnej nazwie Dzika Małpa, w starszej i bardziej eleganckiej części Norfolk. Przyjazna kelnerka zaprowadziła ich do niewielkiego stołu w zatłoczonej sali. Lacey odkryła, że gwar działa na nią dziwnie uspokajająco. Karta i lista win były wypisane na wielkiej tablicy biegnącej przez całą ścianę, a większość gości wyglądała na stałych klientów. To był dobry znak. Lacey zamówiła sałatkę z kurczakiem, a Vic zażyczył sobie klopsa.

— Klopsa? — wydała odpowiedni do tego dźwięk.

— Mmmniam, klopsa — odpowiedział.

— To nasza specjalność — wyjaśniła kelnerka. — Jest bardzo popularny. Lacey rozejrzała się po sali. Niemal każdy mężczyzna w Dzikiej Małpie zajadał wielką porcję klopsa. *Mniam. Na pewno jest z mamuta, jaskiniowcy.*

Kelnerka wróciła niedługo, obciążona ogromną górą klopsa z ziemniakami, elegancką porcją liści i drobiu dla Lacey oraz wspaniałym koszykiem ciepłego chleba i masła. Mrugnęła do Vica. Lacey nie mogła nie zauważyć, że robił wrażenie na kelner-

kach. *Czyli do serca Vica najprościej jest dotrzeć przez klopsa, pomyślała. Pewnie uważa gołąbki za wyrafinowaną potrawę.*

Vic najwyraźniej rozkoszował się jakimś wspomnieniem swojej mamy w fartuchu kuchennym. Zajadał z apetytem, popijając klopsa guinnessem. Jej pamięć przywołała wspomnienie pozbawionej smaku substancji, którą produkowała jej mama, a którą ledwo była w stanie przełknąć z pomocą mleka. Felicity w biurze zawsze proponowała przepis na „świątecznego klopsa”, co Lacey uważała za wewnętrzną sprzeczność. Nic takiego nie istniało.

W końcu jedzenie, gwar zebranych stałych klientów oraz kilka kieliszków cabernet sauvignon uspokoiły jej nerwy. Z zadowoleniem łączyła uchem rozmowy obcych. Usłyszała słowa „świąteczny klops”. Wino miało działanie rozgrzewające oraz skłaniające do rozmów, czego zawsze potem żałowała.

— Vic, jesteśmy przyjaciółmi, tak?

Popatrzył na nią, a jego oczy lśniły w tym świetle jak zielone szkło. Do tego ten niemożliwie zarozumiały uśmiešek.

— Jasne, że jesteśmy przyjaciółmi, Lacey. A co? Zastanawiała się, czy mogłaby go spytać, dlaczego nie jest nią już zainteresowany.

— W Sagebrush wszystko było inaczej.

— Inaczej? — Nie ułatwiał jej tego.

Wzięła głęboki oddech i upiła łyk wina. *Zamknij się, Lacey.*

— Zawsze myślałam, że jesteś mną zainteresowany. No, wiesz.

Przyciąganie. — Skinął głową. — Czy to tylko dlatego, że tam było tak mało kobiet? Albo taki efekt po rozwodzie? Albo tylko robiłeś sobie ze mnie jaja, bo ja byłam dziennikarką, a tym głównym gliniarzem?

Roześmiał się. *Drań, pomyślała.*

— Nieważne. — Napiała się jeszcze wina.

— Lacey, Lacey. Tu jest inny czas i miejsce. Ganiałem za tobą przez dwa lata, a ty zawsze mówiłaś „nie”. Mówiłaś dużo bardziej kwieciste rzeczy, niż tylko „nie”. Umiem złapać aluzję.

— Byłaś żonaty!

— Byłem w trakcie rozwodu, o czym wiesz teraz równie dobrze, jak wtedy. A ty byłaś sprytna.

Spryciula! Oj! Nie żyjesz, facet.

— Traciłaś czas z tym kowbojem — przypomniał Vic. — Jak mu tam.

— Nie mieszajmy tego, jak mu tam było. I nie był kowbojem. Akurat. Ranczerem — poprawiła.

— A jak tylko kowboj chciał to sformalizować, zwiłaś z miasta, aż się kurzyło.

Zakrztusiła się winem.

— Wiesz, że mi się oświadczył?

— Całe miasto wiedziało. I bardzo go żałowało. Ładny pierścionek ci kupił.

Teraz przypomniała sobie jeszcze jeden powód, dla którego stamtąd wyjechała: wszyscy wiedzieli wszystko o wszystkich.

— Nie możesz usiedzieć w miejscu, Lacey.

— Kto ci tak powiedział?

— Sam zauważyłem.

— Pocałowałeś mnie kiedyś. — *Boże, dlaczego ja to powiedziałam ?*

— Pamiętam. Może chciałbym to kiedyś powtórzyć. — Widział, że była speszona. — Nigdy nie wiadomo — ciągnął. — Może czekam na zaproszenie. Nie odrzuciłbym bezpośredniej oferty, to nie byłoby po dżentelmeńsku.

Ty arogancki... uhh...jakie to słowo? Facecie! Lacey wcale się to nie podobało. Faceci i tak za bardzo niewiele rzeczy brali odpowiedzialność. Teraz zaś on zrzucił całą odpowiedzialność za to, co mogłoby się między nimi wydarzyć, na nią. A ona chciała tylko wiedzieć, czy był nią zainteresowany.

— Czyli już nie jesteś zainteresowany — podsumowała. — Chciałam to tylko wyjaśnić.

— Gdybym był, nie chciałbym kolejne dziesięć tysięcy razy słuchać, jak mówisz „nie”.

— To nie było dziesięć tysięcy razy. — *I ja nie chciałam mówić nie.* Dał jej szansę na zamówienie porządnie kalorycznego deseru, ale nie miała nastroju. Chciała tylko wrócić do swojego pokoju. Sama.

Rozdział 19

W środę rano Lacey wyrzała z okna swojego pokoju. Zgodnie z przepowiednią Marie, lało jak z cebra. Nasiąknięte wodą chmury wisiały nad plażą niby wyrzut sumienia, mokry szary płaszcz, którego Lacey nie mogła zrzucić. Umówiła się z Vikiem na ósmą, żeby wymeldować się z hotelu i pójść dokądś na śniadanie. Potem mieli się spotkać z policjantem prowadzącym śledztwo w sprawie Tammi White. Donovan obiecał, a Lacey nie zamierzała dać mu się wykręcić.

Spakowała się, ubrała ciepło i wyruszyła na mokry poranny spacer po plaży. O siódmej rano plaża wzdłuż hoteli była opustoszała, nie licząc kilku wytrzymałych joggerów.

Teraz była wdzięczna Marie za telefon. *Nie ma jak porady jasnowidzki w kwestii ubrania.* Sweter z golfem i kurtka z kapturem były w sam raz. Często chodziła na długie spacer, kiedy nie wiedziała, co robić.. Teraz wyruszyła na północ, promenadą do mola, które jeszcze przez parę tygodni będzie zamknięte. Plaża wyglądała jak wszystkie plaże, które widywała na Wschodnim Wybrzeżu. Niekończące się promenady, stoiska z okularami słonecznymi. Wysokie hotele z cementu i gipsu, z niezliczonymi balkonami, przypominały ludzkie mrowiska. Przejście obok salonu niczego jej nie dało. Rozejrzała się za słynnymi kamerami bezpieczeństwa z Virginia Beach, które były próbą ze strony miasta powstrzymania przestępczości na promenadzie.

Zastanawiała się, czy może któraś jest skierowana na Stylettos. Żadnych nie zauważyła. Tabliczka Radforda ciągle wisiała w oknie, a pusty salon był ciemny. Czekał na ekipę sprzątającą, żeby usunęła ślady śmierci Tammi White.

Kiedy wróciła do hotelu, była przemoknięta do suchej nitki, ale w końcu miała jasno w głowie. Vic czekał przy recepcji.

— Wyglądasz jak zmokły szczur — oznajmił.

— Uwielbiam twoje komplementy, Donovan. Tylko tak dalej. —

Odwróciła się i ruszyła w stronę wind. — Zejdę za minutkę. — W pokoju wytarła się ręcznikiem i trochę umalowała. Trzema szpilkami upięła włosy we francuski kok. Morski błękit suchego swetra idealnie pasował do jej oczu. *Zapomnij, Vicu Donovanie. Szkoda mnie dla ciebie.*

W knajpce niedaleko Pacific Avenue zamówiła śniadanie godne wojowniczeki.

— Wiesz, co myślę? — spytał nieoczekiwanie Vic.

— Co znowu?

— Możesz mieć niską zawartość cukru we krwi.

Uniosła brew, ale zignorował to. Ugryzła kawałek muffinki i żuła jak czerwone mięso.

— Zawsze jesteś wściekła, zanim zjesz — ciągnął. Rzuciła w niego kawałkiem muffinki. — Widzisz. Jeszcze za mało zjadłaś. Weź trochę bekonu.

— Vic, jesteś niemożliwy. Po co to ciągniesz, skoro tylko cię denerwuję? Cała ta wycieczka jest do niczego i wolałabym się obyć bez regularnych obelg, okej? Jestem w końcu dziennikarką. W kółko mnie ktoś odsądza od czci i wiary. Obrywam więcej, niż mi się należy. Od czasu do czasu zasługuję na przerwę.

Uśmiechnął się do niej.

— Tylko staram się pomóc. Zjedz grejpfruta.

■ ■ ■

Detektyw Jason Harding miał pod oczami ogromne worki. Pies gończy, który wydawał się zmęczony polowaniem. Jego jasnoniebieskie oczy były przekrwione, a policzki opadały, ale wyglądał przyjaźnie. W sumie przypominał starego beagle'a.

Harding zgodził się spotkać z nimi w ramach przysługi, którą był winien kumpłowi kumpla Vica. Siedzieli nad kawą w niemal pustej kawiarence, z czekoladowobrązowych kubeczków unosiła się para. Harding wysłuchał uprzejmie, gdy Lacey opowiadała o telefonie od Tammi i tajemniczym mężczyźnie o imieniu George Jakiśtam, który chciał kupić włosy po dramatycznym strzyżeniu.

— Mówi pani, że chciał kupić włosy?

— I film, był gotów zapłacić pięćset dolarów za wszystko. Tammi mówiła, że to się nie zdarza. Planowałam spotkać się z nim razem z nią, ale spóźniłam się. Inne fryzjerki mówią, że nigdy o nim nie słyszały. Vic popatrzył na nią pytająco. Jak dotąd, ani razu nie słyszał o George'u Jakimśtam.

— Nie chciałeś o tym rozmawiać, pamiętasz?

Harding odchrząknął i sprowadził ją z powrotem na temat rozmowy. Lacey porównała to wydarzenie ze śmiercią Angeli Woods w D.C. Dziwaczne rzekome listy samobójcze wypisane krwią na lustrach, koszmarnie fryzury, brzytwy. Spytała Hardinga, czy w salonie znaleziono włosy Tammi White, ale nie chciał jej powiedzieć. Ledwo z niego wydobyła potwierdzenie, że włosy zostały obcięte. Spytała, czy Tammi została zaatakowana seksualnie. Powiedział, że nie było żadnych śladów takiej napaści. Trzeba mu przyznać, że nawet zapisał kilka rzeczy w małym notesie. Spytała, czy znaleziona brzytwa była marki Colonel Conk. Nie umiał odpowiedzieć. Spytała, czy z kamer uzyskano cokolwiek i czy połączenia telefoniczne salonu zostaną sprawdzone, żeby wyśledzić tajemniczego George'a. Nie miał do powiedzenia nic konkretnego.

— Czy to, że jestem dziennikarką, ma coś wspólnego z pana powściągliwością? — spytała.

Harding Pies Gończy po raz pierwszy się uśmiechnął.

— Tak jest. Ale doceniam, że przyszła pani do mnie z tymi informacjami. Naprawdę. — Wyglądał, jakby wołał być gdziekolwiek indziej. I miał dla niej złe wiadomości. Stylettos było o jedną przecznicę za daleko od słynnych kamer. A Tammi White miała podobno w życiorysie próby samobójcze.

— Nie wiem, co się stało w D.C., ale niektórzy kopiują morderców, a inni kopiują samobójców. Zwłaszcza młodym kobietom się to zdarza. Możliwe, że będzie pani musiała pogodzić się z myślą, że chciała odejść i zwrócić przy tym na siebie tyle uwagi, ile dostało się tamtej pani fryzjerce w Waszyngtonie.

Zanim Harding dopił kawę i poszedł sobie, Lacey wspomniała o odwiedzinach FBI. I o tym, że agenci wydawali się bardzo zainteresowani związkami z Marcją Robinson.

Wielkie psie oczy Hardinga popatrzyły na nią. Czują, jak dłoń Vica znacząco ściska jej ramię. Kolejny drobny szczegół, o którym mu nie wspomniała.

— Rany boskie, pani Smithsonian — jęknął Harding. — Czy to znaczy, że mam się spodziewać wizyty od FBI? Panie Boże dopomóż.

Wzruszyła ramionami.

— Myślałam tylko, że chciałby pan wiedzieć.

— Muszę przyznać, zainteresowanie ze strony FBI sprawia, że rzecz jest od razu bardziej podejrzana. — Harding zamknął oczy. — Coś jeszcze?

— Agent nazywa się Thorn [*ang.* cierń].

— W stopie, bez wątpienia. — Harding powiedział, że wstrzyma się z wnioskami, dopóki nie dostanie raportu patologa. To było jego jedyne ustępstwo na rzecz teorii Lacey o powiązanych morderstwach.

Zmęczeni rozmowami, zmęczeni fizycznie i poirytowani, w drodze z powrotem do Alexandrii nawet nie próbowali rozmawiać, rzucając tylko od czasu do czasu pojedyncze zdania. Burza nie zamierzała ustępować, pejzaż wyglądał jak impresjonistyczny obraz, gdy jeep brnął w górę autostrady 1-95. Kiedy ruch stał się końcu nie do zniesienia, gdzieś w okolicach Fredericksburga, Vic zjechał na Route 1.

— Vic, ona się nie zabiła — rzekła stanowczo Lacey. Mruknął coś. — Włosów Tammi, które podobno sama sobie ścięła, nigdzie nie było, nieważne, co Harding powiedział czy nie powiedział.

— Mogłaś mi coś napomknąć o tym całym George'u albo o FBI. Myślałem, że jesteście przyjaciółmi.

— Ty udajesz sfinksa, a ja mam się ze wszystkiego spowiadać? Musisz grać fair, Vic. Powiedz mi coś, czego nie wiem. Co myślisz

o Radfordzie?

— Czy moim zdaniem mógłby być mordercą? Kto wie? Szału dostał przez te zgony. Chce mieć kompletną blokadę informacji.

— No więc może sam to zrobił, albo wie kto — zasugerowała Lacey. Vic zmarszczył brwi. — A co myślisz o Beauregardzie Radfordzie?

— Maminsynek. Josephine nadal go czesze.

— A Josephine?

Na to imię jego mina złagodniała.

— Imponująca kobieta. Naprawdę imponująca.

Na tę odpowiedź zakłuło ją w sercu. Vica interesowała Josephine, a Lacey nie miała ochoty tego analizować.

Ale w jej głowie zaczynał formować się plan działań. Zamknęła oczy i odchyliła głowę. Może to nie była najbardziej błyskotliwa myśl tego ponurego dnia, ale zawsze był to jakiś plan i z każdym ruchem wycieraczek wydawał się coraz ciekawszy.

— Nie mogę uwierzyć, że mnie na to namówiłaś. — Vic nie wydawał się zadowolony, ale jak na razie nie wyrastały mu rogi

i nie ział ogniem, więc aż tak wściekły chyba nie był, uznała Lacey. Po ciemku trudno było poznać.

— Pewnie dzięki mojej sile przekonywania — odparła. Spędzili razem wiele godzin. Żadnej z nich Lacey nie nazwałaby romantyczną, ale też się nie pobili. A ona przez resztę podróży pracowała nad nim bezlitośnie.

— Nie. Pewnie mi raczej odbiło — stwierdził.

Była niemal północ w środową noc, księżyc chował się za gęstymi chmurami.

— Jeżeli Radford dowie się, że jednak wpuściłem cię do magazynu, dostanie szału.

— Tak, ale co, jeżeli się okaże mordercą?

— To my dostaniemy szalu.

Narzuciła na ramię swojego nikona i statyw. Mieliby mniej niż minutę na zrobienie zdjęć jakichkolwiek plam krwi wywołanych przez luminol. O ile jakieś będą.

Lacey pracowała nad Vikiem przez resztę dnia, aż w końcu ustąpił i zgodził się na jej plan obejrzenia miejsca zbrodni, czy tego, co z niego zostało — jeszcze tej nocy — i popryskania go luminolem. Jego pierwsza reakcja była taka, że naczytała się za dużo kryminałów. Uznał, że jej odbiło, ale pomysł, szalony czy nie, w końcu zaczął nabierać pewnego sensu. W końcu miał dostęp do luminolu. I do magazynu.

Zanim przyjechał po nią znowu o wpół do dwunastej tej nocy, zdążyła odesłać swego zdechłego ZX-a z powrotem do Asian Engines, sprawdzić sprzęt fotograficzny i zestawić coś, co uznała za możliwy strój dla włamywacza. Czarny z czarnym i z czarnymi akcentami. Zmobilizowała nawet tajną broń.

— Uwielbiam, kiedy plan wychodzi — drwiła sama z siebie. Już niemal wychodziła, kiedy zadzwonił telefon. Była to Stella.

— Lacey, zamartwiam się o ciebie. W kółko dzwoniłam, żeby się spytać, jak poszło w Virginia Beach i nic. W końcu dopadłam Heidi, a ona mi powiedziała, co się stało z Tammi. Musisz uważać. O Boże. Chodzi mu o fryzjerki z długimi włosami!

— Stella, uspokój się. Muszę wyjść.

— Nic ci nie jest? Może powinnaś na trochę dać spokój.

— Nic mi nie jest. Zadzwonię.

— Może mogłabym cię ostrzyc na krótko, tak dla bezpieczeństwa.

— Nie zamierzam się strzyc!

Kiedy zeszła, Vic już czekał, bez słowa ruszyli w stronę magazynu Stylettos na Four Mile Run Drive w Arlington. Stał między wyprzedają używanych opon i wypożyczalnią garniturów. Przysadzisty ceglany budynek i niewielki brukowany parking otaczał metalowy parkan, który najwyraźniej nie miał wpływu na masowe ucieczki produktów. Vic otworzył bramę i wyłączył system alarmowy, żeby mogli wejść. Patrzyła na jego muskularne przedramiona, gdy otwierał ciężkie drzwi.

Zastanawiała się, jak wygląda reszta jego mięśni — i nienawidziła się za to.

Nowy, lepszy system kamer bezpieczeństwa Vica nie został jeszcze zainstalowany, więc po ich wizycie nie pozostanie żaden zapis. Vic zwolnił strażnika, a następny zaczynał o drugiej. Bycie szefem firmowej ochrony miało swoje zalety. Nikt nie miał wątpliwości, po co odwiedzał magazyn w środku nocy: kontrolował strażników. Odkąd przeprojektował system bezpieczeństwa w salonach, ilość kradzieży mocno spadła i Radford był zadowolony, przynajmniej według Stelli. Ale nadal były problemy w magazynie. Vic nie chciał o tym rozmawiać. Teraz odwrócił się, słysząc z tyłu kroki. Lacey powiodła wzrokiem za jego spojrzeniem, aż do zbliżającej się kobiecej postaci w długiej sukni. — Po co niby ją zabieramy? — spytał ostro. Marie Largesse spędziła kilka chwil na medytacji w pasażerskim fotelu swojej niewielkiej granatowej toyoty, ale teraz dołączyła do reszty ekipy. Lacey zadawała sobie to samo pytanie. Przedtem pomysł wydawał się dobry — miejsce zbrodni, jasnowidzka. Jak w telewizji. — To moja tajna broń. Nie śmieć się. Łaskoczą ją ramiona, kiedy odbiera wibracje — wyjaśniła Lacey. Vic wzniosł wzrok do nieba. — Przynajmniej tak twierdzi. — Jeżeli ktokolwiek się o tym dowie... — A kto niby miałby powiedzieć? — Rozmawiam z dziennikarką — zauważył Vic. Wiedziała, że właśnie to dziennikarstwo częściowo go od niej odpychało. Ale Lacey nie podobała się świadomość, że Vic był bardziej skłonny dzielić się swoimi przemyśleniami z Radiem Wolna Stella, głosem Dupont Circle, która informowała o tym cały świat, niż z nią. Marie podeszła do drzwi, spowita w warstwy czerni i królewskiego fioletu, niczym pulchna królowa nocy. Miała na sobie powiewne spódnice, imponującą pelerynę oraz wielobarwny szal owinięty wokół kręconych włosów. I nie żałowała kredki do oczu. — Już lepiej, skarbie. Odnalazłam środek — oznajmiła. — Muszę dostroić swoją harmonijną częstotliwość, zanim będę mogła odbierać wibracje z poziomu astralnego.

Vic odwrócił się szybko, żeby Marie nie widziała, jak zaciska wargi, tłumiąc śmiech.

Zadaniem Marie było odbieranie wibracji. Powiedziała Lacey, że jej specjalnością jest wyczuwanie aur i duchowych wibracji. Jej przepowiednie co do wyjazdu do Virginia Beach sprawdziły się co do joty. Ale pogoda to jedno, a morderstwo całkiem co innego. Lacey niezupełnie wierzyła, że Marie mogłaby wskazać zabójcę. Miała jednak nadzieję na jakąkolwiek wskazówkę. Vic powiedział, że rozwiązanie sprawy śmierci Angie jest niemożliwe. Dlaczego więc nie spróbować niemożliwego?

Cała trójka weszła do magazynu. Był słabo oświetlony przez okna w dachu i pomarańczowe znaki wskazujące wyjście. Vic nie miał ochoty zapalać światła. Minęli pustą budkę strażnika i ruszyli na tyły, świecąc latarkami. Lacey wpadła na „Meduzę”, starodawną maszynę do trwałej, rzucającą na ścianę ogromny cień, z groźnie zwisającymi prętami. Stłumiła pisk.

Stanowisko Angie z chromu i luster, pełne lakowych półeczek i szufladek, ustawiono w kącie z tyłu, razem z innymi starymi sprzętami ze Stylettos, jak meble z Okresu Makowej Czerwieni, Okresu Turkusowego i najgorszego ze wszystkich Okresu Cieniowanego Beżu. Ale ostatnie stanowisko Angie lśniło w promieniach latarek gładkim chromem. *Żegnajcie* dawno zniknęło z lustra. Było nienagannie czyste — dzięki pracy Ruby i jej ekipy po scenie śmierci Angie nie zostało absolutnie nic. Jednak jakieś ślady mogły nadal tam być, a jeżeli luminol podziała, wyłonią się znowu, niczym plamy krwi w historyjkach opowiadanych przy obozowych ogniskach.

— Nie musisz chyba niczego dotykać? — powiedziała do Marie szeptem, jakby bała się obudzić zmarłych.

Marie odparła, że nie. Popatrzyła na stanowisko i zamknęła na chwilę oczy, podczas gdy ponury Vic opierał się o ścianę z rękoma splecionymi na piersi. Marie otworzyła szeroko oczy i popatrzyła na Lacey, która spodziewała się zaskakujących rewelacji.

— Tak, Marie? — spytała.

— Widzę... czuję... o Boże — zdążyła tylko wyszeptać wróżka, zanim padła na podłogę.

Chwilę trwało, nim Lacey i Vic zareagowali na fakt, że potężna kobieta leży u ich stóp.

— Nic jej nie jest? — dopytywała niecierpliwie Lacey, podczas gdy Vic szukał tętna. Puls miała mocny, zemdląca tylko. Odmówił jednak próby przeniesienia jasnowidzki. Lacey zwinęła pelerynę Marie i włożyła jej pod głowę. Zajęli się swoją misją.

W lateksowych rękawiczkach otworzyli szufladki, gdzie znaleźli trzy pary nożyczek fryzjerskich, waciki, butelki lakieru do włosów i lokówkę. W szczotkę było wplątanych kilka jedwabistych kosmyków, ale nigdzie ani śladu długich pasm włosów.

— Nic tu nie ma, Vic — powiedziała cicho. Skinął głową. Znowu wiedziała, że być może niszczy dowody, ale nie miała wyboru. Wiedziała także, że utleniacz może wpłynąć na wyniki, a salony były pełne utleniaczy. Pracowali szybko. Ustawiła aparat i statyw. Vic lekko spryskał wszystko luminolem. Przypominało jej to dziwaczny popis na imprezie, naukową sztuczkę. Wyłączyli latarki i w ciemności środek chemiczny wywołał ducha. Lacey usłyszała własny i Vica spazmatyczny wdech, kiedy z plam krwi popłynęło niebieskie światło, jakby ktoś podłączył do nich prąd. Powoli wypuściła powietrze. Krew była rozprysnięta i rozmazana wszędzie. Używając filmu o dużej czułości, zrobiła najwięcej zdjęć, jak się dało, pod każdym kątem, póki plamy świeciły. Niemal natychmiast zaczęły blednąć.

Ale czego to dowodziło? Tknięta nagłym przeczuciem, położyła się na podłodze i spryskała ladę luminolem od spodu. Tam bardziej dramatyczne plamy opowiedziały jej resztę historii. W myślach widziała scenę: Angela ściskająca ladę, podczas gdy krew tryska z jej nadgarstków. Przy brzegu od spodu widać było odcisk małej dłoni. Ale był tam także większy krwawy odcisk, z lewej strony, ściskający ladę dłuższymi, grubszymi palcami — dowód, że Angela Woods nie była sama, kiedy wykrwawiła się na śmierć. Ruby i jej ludzie rozmazali odciski, ale ich nie starli. Lacey nie potrzebowała jasnowidza, żeby wyczuć chore vibracje. Zużyła resztę filmu.

Vic sprawnie pozbył się rękawiczek i wszelkich śladów ich wizyty. Zażądał filmu z aparatu. Zaprotestowała. Co prawda

taka była umowa — film za wstęp do magazynu — ale i tak się opierała.

— Łańcuch dowodów, Smithsonian — powiedział.

— Nie. Mój film, mój aparat, moja własność.

— Jesteś na terenie prywatnym. Dzięki mojej uprzejmości.

— Vic, naprawdę będziemy się o to kłócić? Urwał i potarł oczy.

— Już to przerabialiśmy. Oddamy to do zakładu, który zajmuje się podobnymi rzeczami, a ja zadbam o nadzór.

Westchnęła.

— Będę musiała ci zaufać, Vic.

— A ja znam eksperta od rozbryzgu krwi. Nie chcę, żeby jeszcze ktoś umarł, Lacey.

— Chcę zobaczyć te zdjęcia, jak tylko będą gotowe, chcę zachować negatywy i chcę porozmawiać z twoim ekspertem. Okej? — Podała mu rolkę i złożony statyw.

Włożył film do kieszeni i pomógł jej zaprowadzić przytomną, ale otumanioną Marie do samochodu. Marie doszła do siebie, kiedy Vic i Lacey skończyli swoje zadanie — z myślami czystymi jak nowa taśma.

Całkiem wygodnie, pomyślała Lacey.

— Uważaj, detektywie. Twoje włosy podobają mi się takie, jakie są — powiedział jako ciepło Vic. Potargał jej włosy i pociągnął za jeden kosmyk. Jak starszy brat.

Marie usiadła w fotelu pasażera, a Lacey za kierownicą. Wróżka nie była jeszcze w stanie prowadzić. Najwyraźniej była jednak w stanie jeść.

Lacey zgodziła się, Marie miała ją potem podrzucić do domu. Vic zaczeka w magazynie na strażnika z kolejnej zmiany.

I oto Lacey niemal o drugiej nad ranem zamawiała wczesne śniadanie w knajpce U Boba i Edith na Columbia Pike, w dzień powszedni, z tak zwaną jasnowidzką, która niczego nie pamiętała. Marie siedziała przy stoliku z niebieskim plastikowym blatem i wydawała się całkiem wypoczęta po swojej nieplanowanej drzemce.

— Moje postrzeżenie nadzmysłowe po prostu się przeładowało. To było zbyt intensywne — wyjaśniła. — Nie radzę sobie dobrze z traumą.

— Teraz mi to mówisz. Niczego nie pamiętasz?

Marie odrzekła, że bardzo jej przykro, i zabrała się do swojego pysznie pachnącego gorącego śniadania.

— Pewnie mam to wszystko gdzieś w środku zapisane. Jestem jak wideo. Zawsze możemy spróbować hipnozy.

Lacey pozbyła się resztek nadziei na paranormalny przełom w śledztwie.
Idiotka ze mnie.

— Prześpijmy się z tym.

Do domu dotarła po trzeciej. Zanim padła do łóżka, nagrała się Macowi na pocztę, że nie czuje się dobrze i przyjdzie później. Sporo później.

Rozdział 20

Lacey myślała o tym, by zadzwonić do Maca z Virginia Beach, ale sytuacja wydawała się zbyt skomplikowana, żeby ją wyjaśnić, a on mógłby mieć własne pomysły, które utrudniłyby jej życie, więc dała temu spokój. Kiedy w czwartkowe południe dowlokła się do biura, był na spotkaniu. Miała nadzieję, że to jedno z tych długich i nudnych, w których specjalizuje się Waszyngton.

Jej pierwszy telefon był do Marcii Robinson, ale znowu nikt nie odbierał. Dzwoniła od siódmej. Może Marcia sprawdzała numer dzwoniącego. Albo może nowy adwokat zabrał jej komórkę. Lacey zostawiła jeszcze jedną wiadomość, że to pilne.

Rozmyślała, co może mieć wspólnego obsesja na punkcie włosów z głupawym wideo z bogaczami. Ale założenie, że taśma nie miała nic wspólnego ze sprawą, oznaczałoby zbyt horrendalny przypadek.

Przypomniała sobie rozbity odtwarzacz na podłodze Angie. Czy włamywacz rzucił nim z wściekłością, bo taśma zniknęła? Jeżeli Angie i Tammi zginęły z powodu zaginionego filmu, może włosy to była zmyłka. Sprawdziła stronę DeadFed, żeby sprawdzić, czy zarejestrowano jakieś podejrzane samobójstwa z fatalnymi fryzurami. Niestety, nic na to nie wskazywało. Niektórzy samobójcy rzeczywiście mieli na zdjęciach kiepskie fryzury, ale w zwykły waszyngtoński sposób.

Jej myśli wciąż powracały do fryzjerek, klasy pracownic fizycznych nie dostrzeganej w mieście urzędników. Kobiet, które w Waszyngtonie pozostają poniżej radaru, kobiet, które były nieważne, o ile nie obcięły włosów na odpowiedniej głowie. Znalezienie martwej fryzjerki w Waszyngtonie to jedno, ale wciąż jej się przypominała martwa fryzjerka w Virginia Beach. Virginia Beach to inny świat niż D.C.

A może to nie ten sam facet zabił fryzjerki? Może to w ogóle nie był facet? W końcu Roszpuncie włosy ścięła zła czarownica, żeby utrzymać księcia z daleka. Lacey zadzwoniła do Sherri Gold, jako że ta najbardziej ze wszystkich przypominała jej złą czarownicę. Nikt nie odebrał, więc zostawiła wiadomość.

Jęknęła. *Na litość boską, Lacey, za kogo ty się uważasz? Nie umiesz nawet zdobyć innej działki w gazecie. Ani utrzymać samochodu na chodzie przez dwa tygodnie.*

Mac przyszedł i popatrzył na nią.

— Właśnie miałaś dwa dni wolnego, a wyglądasz na padniętą. Czyli urlop był udany? — zasugerował.

— Niezupełnie. — Lacey streściła sprawę śmierci Tammi White w Virginia Beach oraz jej wysiłki w celu znalezienia jakichś odpowiedzi. Mac był tak oszołomiony, że usiadł na biurku Felicity, rozgniatając zawinięty w plastik kawałek cytrynowego ciasta. Na szczęście Felicity nie było przy biurku. Ten widok mógłby ją zabić.

— Znowu mi nie powiedziałaś — rzekł Mac oskarżycielsko. — Kolejna śmierć? O co kurna chodzi z tobą i martwymi fryzjerkami? Dlaczego mi do cholery nie powiedziałaś?

— Rany, Mac. Dopiero co wróciłam — zaprotestowała.

— Mogłaś zadzwonić — denerwował się. — To jest news. A tu jest gazeta. Mamy telefon.

— Nie załatwiam takich spraw przez telefon, Mac. Straciłabym kontrolę nad tematem.

— A dlaczego w ogóle pojechałaś do Virginia Beach?

— Popracować nad opalenizną.

— Pojechałaś za tematem i nikomu nic nie powiedziałaś!

— Nie byłam pewna, czy coś z tego będzie.

— A okazało się, że to kolejna martwa fryzjerka z koszmarną fryzurą?
Chryste. Jeszcze coś?

— Wszystko, co na razie mam.

— Czyli kolejna zbrodnia w świecie mody. Pisz.

— Ale Mac, dałam ci już *Kawałek o modzie*. Poza tym termin był na wczoraj.

— A teraz jest na dzisiaj. Ja mam władzę, a ty tekst do napisania. — Mac przez długą chwilę przyglądał jej się wyzywająco, jakby oczekując protestu. Potem złapał Trujilla i odciągnął go, by wdać się w ostrą dyskusję. Lacey postanowiła ich zignorować i zabrać się do małego cybernetycznego researchu, żeby sprawdzić, kto mógłby chcieć zdobyć włosy. Wkrótce zgubiła się w co bardziej perwersyjnych korytarzach cyberprzestrzeni, polując na fetyszystów od włosów.

Przeglądała fora dyskusyjne o łysych pięknościach i chat roomy poświęcone goleniu głów. Znalazła mnóstwo osobistych stron z łysymi albo prawie łysymi, nagimi i niemal nagimi kobietami wszelkiego rodzaju. Lacey odkryła tłumy mężczyzn poszukujących kobiet ogolonych tu, tam i od stóp do głów.

Odkryła istnienie „Kuby Obcinacza” i „Dana z brzytwą”. Obejrzała „Łysą Lenę”, która radośnie dawała sobie trzy razy ogolić głowę. Odkryła mężczyzn poszukujących kobiet, które będą mogli osobiście ogolić, w dowolnym miejscu i czasie. Znalazła nawet wyznania mężczyzny, który wyskakiwał z wąskich alejek i odcinał joggerkom kucyki i warkocze. *Ale czy zabiliby z tego powodu, zastanawiała się. Co wideo z Marcją Robinson i Boydem Radfordeiu ma zuspólnego ze strzyżeniem? Albo z kongresmanami?*

Niejasno wyczuła, że ktoś zagląda jej przez ramię. Na szczęście nie była to Felicity, która ignorowała ją demonstracyjnie, odkąd Mac zaczął się zachowywać jak jej osobisty redaktor. Dzisiaj redaktorka od jedzenia miała na sobie jakiś kraciasty flanelowy worek przypominający koszulę nocną i sięgający niemal do ziemi, najwyraźniej pochłonięta jakąś fantazją na temat *Małego domku na prerii*. Lacey patrzyła, jak niesie do swojego biurka kubek kawy i ogromne ciastko. Wiedziała, że Felicity pokruszy ciastko na

małe kawałki i pogryzać je będzie delikatnie, aż wszystkie znikną, bo wszyscy wiedzą, że małe kawałki mają mniej kalorii. *Zaczekaj, aż zobaczysz to cytrynowe ciasto*, pomyślała Lacey.

Uporczywe wrażenie, że ktoś ją obserwuje, kazało Lacey odwrócić się. Trujillo, imponujący w nowej parze butów marki Justin z aligatora, stał tuż za nią.

— Niezłe, co? No, i jak myślisz, Smithsonian? Jest jakieś powiązanie między dwiema martwymi fryzjerkami? Jakiś niezły szalenciec z obsesją na punkcie kręconych włosów? Twojego zabójcę podniecają loki?

— Tony, nienawidzę, jak mi ktoś zagląda przez ramię.

— W porządku. Posuń się. — Przyciągnął sobie krzesło, „krzesło śmierci” Mariah. Ktoś namalował na oparciu od tyłu czaszkę i piszczele korektorem. — Czyli myślisz, że mordercę kręci obcinanie...

— Tylko zbieram informacje.

— Bez sekretów, Lacey. — Jego głos był jedwabisty, uwodzicielski. *Me zagada mnie*, postanowiła Lacey. — Moglibyśmy drania wykurzyć.

Napisać „Największy” wspólnie — powiedział i zaśmiał się, pokazując ładne białe zęby. „Największy” to był sarkastyczny skrót w „Eye” określający artykuł, który wygra Pulitzera. Był to autoironiczny sarkazm, jako że nikt w „Eye Street Observer”, Gazecie Numer Trzy, nie miał najmniejszych szans na przyciągnięcie uwagi dostojnej komisji Pulitzera.

— To mój tekst, Tony.

— Możemy działać jako team.

— Tak, jasne. Weźmiesz wszystko, co napiszę, i przerobisz po trujillowsku, tu dwa słowa, tam jedno zdanie.

— Uraziłaś mnie. — Miał obrażony ton, ale wiedziała, że udaje. Za gruba skóra. — To coś więcej niż tekst o modzie, wiesz. Ma konotacje kulturowe, społeczne, i tak dalej. Może nawet seks.

— A ja nie jestem tylko redaktorką od mody. — Zamknęła ekran. — Idź sobie nadużywać służbowego internetu na własnym komputerze.

— Ochrona własnego terytorium jest w porządku, Smithsonian. Szanuję to. Tylko pamiętaj: bylibyśmy świetnym zespołem. Przemyśl to. —
Wstał.

Lacey uśmiechnęła się do niego.

— Ty pamiętaj: jeżeli zostaniemy kiedyś zespołem, Smithsonian pisze się przed Trujillo.

— Wiedziałem, że wykorzystasz alfabet przeciw mnie.

— Lepiej zrób użytek z tych butów, co?

Szturchnął ją w ramię i poszedł sobie. Zadzwoił jej telefon. Była to Marcia, z budki telefonicznej w Virginia Beach — powiedziała, że jest zbyt przerażona, by użyć komórki. Uważała, że federalni mogliby podsłuchiwać.

— Co panią łączy z Tammi White? — spytała Lacey.

— Właściwie to nic. Ledwo ją znałam. I ostrzegano mnie, żebym z panią więcej nie rozmawiała.

— Agent Thorn?

— Między innymi. Wieloma innymi.

— Żałuje pani rozmowy ze mną?

— No, teraz mam nowego przystojnego prawnika. Który też mi zakazał z panią rozmawiać. — Lacey liczyła na wrodzoną potrzebę Marcii, żeby mówić.

— Proszę mi powiedzieć o kasecie wideo.

— Skąd pani wie o kasecie? Ma ją pani? — głos Marcii wyraźnie poszedł w górę.

— Nie. Nie widziałam jej.

— Och. W takim razie, o jaką kasetę pani chodzi?

— Bez przesady, Marcio. O tę z Boydem Radfordem dokazującym na golasa z jakąś znaną blondynką w perłowym naszyjniku. Starsi faceci w garniturach i nastolatki bez niczego. Wystąpiła na niej pani gościnnie w stroju, którego w mojej rubryce wolałaby pani raczej nie oglądać. Proszę ze mną porozmawiać, Marcio.

— Nie mogę.

— Ile jeszcze kobiet ma zginać?

— Nie chcę, żeby ktokolwiek ginał!

— To proszę mi powiedzieć, dlaczego dała pani Angie tę kasetę. — Lacey strzeliła na ślepo. Miała nadzieję, że trafiła. Zapadła dłuższa cisza. Marcia westchnęła.

— Poprosiłam, żeby ją schowała. Chodzili za mną. Miałam kasetę, na której byłam i musiałam ją gdzieś upchnąć. Adwokat nie chciał jej wziąć. Twierdził, że mogą mu kazać zademonstrować to w sądzie. Myśleliśmy, że będzie nakaz przeszukania. Mama też jej nie chciała. Powiedziała, żeby to zostawić w jakimś bezpiecznym miejscu, a nikt by przecież nie podejrzewał mojej fryzjerki. Mówiła, że kasetka to moje jedyne zabezpieczenie w całym tym bałaganie, ale jest za gorąca, żeby ją trzymać w domu.

— Ma pani niezwykle związek z matką.

— Jesteśmy bardziej jak przyjaciółki. *Bardziej jak współpracownicy.*

Marcia przyznała, że kasetka zawierała materiał przeznaczony na jej nieistniejącą już stronę internetową, ale został uznany za zbyt niebezpieczny, dziwaczny lub zbyt niepokojący.

— Czyli to była taśma-wpadka?

— Gorzej.

Był to film złożony z różnych nagrań, nakręconych ukrytymi kamerami, przedstawiających bogatych i potężnych robiących różne niegrzeczne rzeczy w różnych miejscach i momentach. Niewykluczone, że byli na nim jacyś politycy. Marcia nie chciała powiedzieć, kto nakręcił taśmę, ani kto na niej jest, ale przyznała, że jednym z nieświadomych aktorów był Boyd Radford. Nie była pewna, czy wie o istnieniu kasety. Jednak mama Marcii powiedziała o niej swojej bliskiej przyjaciółce, Josephine Radford, bo Josephine niepokoiła się, gdzie znikają zyski Stylettos. Boyd Radford udzielał hojnego wsparcia politykom i kobietom. Zdaniem Josephine, zbyt hojnego.

— Marcio, kto pani pomógł z tym nagraniem? Kto je zrobił? — Żadnej odpowiedzi. — Są jakieś inne filmy? Albo kopie?

— Nie. Wszystko inne zostało skonfiskowane.

— Na pewno nie ma pani innego zabezpieczenia? Kogo zamierzała pani tym szantażować?

— Nikogo! To było tylko dla własnej ochrony, rozumie pani? A zresztą to nie jest szantaż, jeżeli nie żąda się pieniędzy. Wszyscy to wiedzą.

— Wymiana cudzych sekretów za przysługi albo ochronę to nie szantaż?

— Lacey była oburzona. — To co to u licha jest?

— Negocjacje! Ja ukrywam twój mały sekret, a ty mój. Ja wygadam jego mały sekret, a ty dasz mi spokój. To w końcu jest Waszyngton, nie?

Wszyscy to robią. Za mało pani rozmawia z ludźmi.

— Czyli co pani zrobiła po tym, jak matka poradziła pani utrudnianie pracy wymiarowi sprawiedliwości? — Marcia zignorowała szpilę.

— Kiedy wszystko się uspokoiło, chciałam odebrać ją z powrotem, ale Angie powiedziała, że wysłała ją w bezpieczne miejsce. Nie spodziewałam się, że ona to komuś wyśle! Byłam tak wściekła, że odwołałam wizytę.

— Wie pani, do kogo to wysłała?

— Chciałabym. Do kogoś w Virginia Beach. Mogłabym zabić, żeby dostać ten film z powrotem. Przepraszam, to nie było najlepiej sformułowane. Musiałam oszaleć, że dałam się mamie namówić na oddanie tego Angie.

— Może była pani tak wściekła, że poszła do salonu po zamknięciu, żeby jej o tym powiedzieć, i sytuacja wymknęła się spod kontroli.

— Co pani opowiada? Ja jej nie zabiłam!

— Dlaczego jest pani w Virginia Beach?

— Musiałam się wyrwać. Mama ma domek przy plaży. Ale w salonie nie byłam.

— Widziała się pani z Sherri Gold?

— Nie! Nie znoszę Sherri Gold. Boże, Lacey, myślałam, że pani mnie rozumie. — Marcia odłożyła słuchawkę.

Lacey uznała, że nie ma sensu dalej tego odkładać. Czas napisać o Zabójczych Włosach Numer Dwa. Była to winna Tammi White — napisać szczerzy i dokładny tekst. Jako że nie miała dość

faktów, by był rzeczywiście dokładny, będzie musiała poprzestać na sensacyjnym i podgrzewającym.

Lacey zerknęła na Maca. Rozpierał się wygodnie w swoim fotelu, z nogami na biurku, w pogniecionej kraciastej koszuli, rozluźnionym krawacie a la Jerry Garcia i pogniecionych spodniach khaki, na których widniały plamy po porannej kawie, rozlanej w trakcie kolegium redakcyjnego. Mac studiował „Wall Street Journal” i rozmyślał tęsknie o karierze, która go ominęła.

Późne popołudnie wniosło do sali redakcyjnej atmosferę cichej melancholii. Na zewnątrz grasowała wiosna, pełna kwiatów i dziwnej umiejętności doprowadzania do rozpaczki pismaków, którzy zignorowali już zbyt wiele pięknych popołudni. Azalie wybuchwały żywymi barwami, róże rozkwitały na pnączach. Ale dziennikarze „Eye” w swoich piekielnych klimatyzowanych przegródkach nie mogli nawet otworzyć okna, by pooddychać ciepłym powietrzem i wonią świeżej trawy.

Wkrótce klawiatury znowu zaczęły stukać. Terminy. Nawet na wiosnę, zawsze były terminy.

Lacey spróbowała jeszcze raz zadzwonić na numer Sherri Gold. Ku jej zaskoczeniu, odebrała.

— Nie mam pani nic do powiedzenia - oznajmiła bezzwłocznie Sherri. *Identyfikacja numeru dzwoniącego*, a jakże, pomyślała Lacey. _ i od razu mówię, że to rozmowa nieoficjalna. To nawet nie są informacje dodatkowe, albo zarysowanie tła. Właściwie to w ogóle nie rozmawiamy. *Jasne, bez tej gry się nie da. Waszyngton.*

— To może nazwę panią źródłem własnym i opuszczę jakiegokolwiek informacje mogące panią zidentyfikować, jeżeli wykorzystam cokolwiek, co mogłabym od pani uzyskać?

— Tak, cokolwiek.

— Co robiła pani w Virginia Beach?

— Nie wiem, o czym pani mówi.

— Wie pani. Widziałam panią. A pani mnie.

— Myli się pani - upierała się Sherri. Lacey miała wrażenie, że wali głową w mur.

— Przed salonem Stylettos, tego blisko deptaka.

— Kompletnie nic pani nie wie.

— Miała pani okulary słoneczne i dała nogę, jak tylko mnie spostrzegła. Naprawdę, Sherri, dwie kobiety nie żyją, a pani jest ostatnią osobą, która co najmniej jedną z nich widziała przy życiu.

— Co pani insynuuje? Może szukałam tam pracy. Może muszę chodzić gdzieś, gdzie mnie nie znają.

— Może pojechała pani na poważną rozmowę z Marcją Robinson o kasecie wideo. — Lacey usłyszała, jak Sherri zachłystuje się powietrzem.

— Myśli pani, że jest taka sprytna, co? No więc nie jest pani, Lacey. A poza tym to Marcia powinna zginąć.

— Nie dosyć ludzi już zginęło?

— Zniszczyła mi życie! Mówiła, że będę ważna, że zrobię pieniądze. A potem mnie wylali!

— Marcia sama jest w kiepskiej sytuacji.

— Żartuje pani? Jest sławna! Pani się do tego przyczyniła, i reszta tych pijawek z mediów. Zrobiliście z niej gwiazdę!

— Wszyscy sobie z niej żartują. A to jeszcze nie koniec.

— No to co? Wszyscy ją znają. I jeszcze zrobili ją na lalę. Wygląda lepiej niż kiedykolwiek. Ja poszłam do Angie i nie wyglądam od tego jak gwiazda Ameryki.

— Raczej jak amerykańska gwiazda porno. Tego pani chce, Sherri, zmiany wizerunku? — Lacey powiedziała żartobliwie, ale wiedziała, że to na nic. Ta kobieta była irracjonalna. Sherri zignorowała ją.

— Zaraz zaczną jej płacić za wywiady. Barbara Walters będzie jęczeć o jej pechu i wspaniałych włosach — wrzasnęła przenikliwie.

Lacey mogła sobie wyobrazić żyły występujące na szyi Sherri, podczas gdy twarz robiła się coraz bardziej purpurowa, a głos coraz wyższy.

— Marcia pewnie napisze książkę! Marcia będzie miała swój talk show! Będzie miała przyszłość. A ja jestem nikim! Ją powinien ktoś zadźgać i mówię to poważnie! — Sherri rzuciła słuchawkę.

Lacey popatrzyła na słuchawkę przed odłożeniem jej. Ta kobieta miała poważne problemy. Czy byłaby w stanie zabić fryzjerkę?

Trudno było mieć wątpliwości. Na myśl o Sherri Lacey dostawała gęsiej skórki.

Od jakiegoś czasu miała wrażenie, że nigdzie nie dociera, a termin ją goni. Pomyślała o innym podejściu. *Drażnienie mordercy — niebezpieczne albo głupie, a może jedno i drugie? jedno i drugie.* Może on, albo ona, dadzą jej coś więcej.

— Dobra, włosowy świrze, jedziemy.

Lacey Smithsonian

ZBRODNIE W MODZIE

Brutalnie radykalna zmiana wizerunku

Najgorszy fryzjer w okolicy właśnie podwoił swoją klientelę. O jedną osobę. Ten specjalista od operacji brzytwą może wyglądać jak ktokolwiek, ale ma swoją małą tajemnicę: jego klientki nie wychodzą z salonu żywe. Zazwyczaj werdykt to „samobójstwo.” Ale te samobójstwa odbywają się z pomocą. Brutalną.

Sądzi, że jego tajemnica jest bezpieczna. Myśli, że nikt nie wie. Ale ja wiem i inni też. Ten parszywy nożownik zabił dwie kobiety zatrudnione w kosmetycznym przemyśle. Upozorował ich śmierć na samobójstwa i uważa, że jest całkiem sprytny. Ale nie jest. Chce się tym chwalić. Ukradł ich wtosy. I przestał mi wiadomość na adres redakcji.

Ale teraz odkryłam, że zabójca może być tak naprawdę zainteresowany czymś innym, co miały ofiary. To taśma wideo, która może, choć nie musi, być powiązana z aktualnymi kongresowymi szaleństwami...

Lacey tym razem mocno przesadziła. Ale nic ją to nie obchodziło. Na końcu dopisała:

Prywatna wiadomość dla George'a. Chciałeś mieć wtosy. Dostałeś je. Czego jeszcze szukasz? Skontaktuj się ze *Zbrodniami w modzie*, redakcja „Eye Street Observer”.

Mac przeczytał to. Potarł oczy, podparł podbródek rękami jak zwykle, kiedy rozmyślał o reakcji wydawczyni, Claudii Darnell, i wbił wzrok w Lacey.

— Gorąca kasetą? Mam dla ciebie kilka przepowiedni, Smithsonian. Widzę w twojej przyszłości jeszcze jedno odwiedziny FBI. A my odbędziemy kolejną małą rozmowę na temat informowania o wszystkim twojego redaktora.

Wieczór okazał się długi. Potem przyszedł mail od Trujilla, który przeczytał tekst na polecenie Maca.

Daj znać, kiedy demoniczny golibroda z Dupont Circle wpadnie z wizytą
— to wszystko, co napisał.

Rozdział 21

Nie była zaskoczona widokiem agenta FBI Jima Thorn, siedzącego przy jej biurku w piątek rano, kiedy przyszła do pracy. Ale nie mogła się powstrzymać od głębokiego westchnienia. *Zadzwoń do Claudii, albo Maca, czy próbować sobie jakoś poradzić?*

— Przykro mi, że doprowadzam panią do takiej rozpacz. — Miał na kolanach kopię dzisiejszego artykułu. Wydawał się czyściutki i schludny, jakby ubierała go mama. - Czy możemy po prostu porozmawiać bez robienia z tego konferencji?

Sama sobie poradzę.

— Co mogę dla pana zrobić? - spytała Lacey.

— Ładnie tu macie. - Popijał z kubka kawę, niewątpliwie zaparzoną przez Felicity, wpatrującą się w niego maślanym wzrokiem.

Odbyli uprzejmą rozmowę, która nie potrwała długo. Thorn dowiedział się prawie wszystkiego, czego chciał, z jej artykułu: że faktycznie istniała skandaliczna kasetka wideo i była gdzieś w podróży.

— A pani źródła to?... — spytał Thorn.

— Moje źródła są anonimowe i takie pozostaną.

— Zawsze warto spróbować - uśmiechnął się Thorn. — Będę w kontakcie. - Odwrócił się w drodze do drzwi. - Zdaje się, że ma pani dar zachęcania ludzi do mówienia.

- Chyba po prostu mam szczęście.
- Może mogłaby mi pani udzielić jakichś rad. Roześmiała się.
- Dużo ludzi po prostu traci głos na mój widok — dodał.
- Ciekawe.
- Może by tak kolacyjka?
- Raczej nie. Dzięki.
- To może kiedy indziej. — Wyszedł. Przyznała mu dodatkowe punkty za to, że nie nalegał.

Sprawiła stronę DeadFed. Jasne, pojawił się migający nagłówek: „Seks, śmierć i kasetka wideo: dziennikarka od mody znajduje powiązania” i link do jej artykułu.

W poczcie znalazła nagranie od detektywa Hardinga z Virginia Beach. Poinformował, że śmierć Tammi White nie została jeszcze uznana za podejrzaną, ale artykuł Lacey pozwolił mu uzyskać nakaz przeszukania salonu.

„Jeden krok przed FBI — powiedział Harding. Wspomniał także, że wygłosił fryzjerkom ze Stylettos wykład na temat dodatkowych środków bezpieczeństwa. — Tak by pani wiedziała, że w Virginia Beach przejmujemy się przestępczością — westchnął Harding. — Wolałbym, żebyście sobie zatrzymali ten swój skandal na północy”.

Kolejna wiadomość była od Nan, zadziornej fryzjerki od Brązowego Bombowca.

„Dzisiaj dużo się dzieje. Pokazały się gliny z nakazem przeszukania i pozabierali nam wszystkie kasety. Mały ptaszek mówi, że nie znajdują, czego szukają. — *A więc Nan wie, że kasety nie ma w salonie.* Na pewno sama jej już szukała. Może Tammi White ją zniszczyła? A może wziął ją morderca? — Zobaczmy, czego mi się uda dowiedzieć” — obiecała Nan.

Stella także się odezwała z prośbą, by była ostrożna i przysięgła, że niczego nie wie o żadnych kasetach.

„Chyba wychodzę z sprawy. Normalnie wiedziałabym wszystko o czymś takim”.

Wiadomość od Brooke była pocieszająca.

„Lacey, co ty u diabła wyprawiasz? Zadzwoń do mnie, wiem, gdzie możesz dostać kevlarową kamizelkę". Kevlar: kuloodporny, ale czy stylowy?

Było wciąż wczesne popołudnie, gdy Lacey wyszła z pracy z najnowszymi *Zbrodniami w modzie* w dłoni. Przeszła przez alejkę, by dotrzeć do wielopoziomowego parkingu, gdzie czekał jej samochód, nareszcie wyposażony w nowy akumulator, rozrusznik i alternator. Nie zauważyła czekającego na nią srebrzys-toszarego jaguara. Silnika zawył i dostrzegła Boyda Radforda. Jęknęła. Miała go dość pod każdym względem. Jeżeli do końca życia nie napisze ani słowa o salonach fryzjerskich albo martwych fryzjerkach, wcale nie będzie tęsknić. Radford wysiadł z jaguara i machnął egzemplarzem gazety, jakby to była pałka.

— Mówiłem, że masz o tym nie pisać!

— Nie może mi pan mówić, o czym mam pisać.

— Nic o tym nie wiesz.

— O czym? O morderstwach czy o kasecie? Powinien pan być wdzięczny, że nie opisałam jego wielkiej filmowej roli.

— Nie możesz pisać takiego gówna! I nic nie wiem o żadnej kasecie! — wrzasnął.

Wyglądał źle. Jego oczy wyłaziły z oczodołów, nad prawym pulsowała żyła. Włosy miał mokre od potu i przyklejone do lśniącego czoła.

Wymachiwał gazetą — jej artykuł był zakreślony grubym czarnym flamastrem.

— One nie zabiły się same, wie pan o tym.

— Nie wiem, dlaczego nie żyją! Nie mam z tym nic wspólnego — wychrypiał.

— Co pan ukrywa, Boyd? Brutalnie chwycił ją za ramię.

— Trzymaj się od tego z daleka. Jak będziesz wsadzać nos w nie swoje sprawy, ktoś ci go może uciąć.

— Grozi mi pan, panie Radford? — Z tak bliska czuła alkohol w jego oddechu. Odsunęła się, ale nie ustąpiła.

— Obiecuję ci kłopoty. — Przecisnęła się koło niego. Rzucił w nią gazetą. — Wspomnij tylko jeszcze raz o moich salonach w tej szmacie, a zobaczysz. Rozumiesz mnie? Zobaczysz! — Wsiadł z powrotem do lśniącego jaguara i odjechał z piskiem opon.

Dygotała. Musiała przesiedzieć piętnaście minut w samochodzie, słuchając Mozarta i oddychając głęboko, zanim poczuła się na siłach prowadzić. Rozważała, czy nie powiedzieć o tym Vicowi. Może Vic mógłby jakoś zażartować, sprawić, że zapomniałaby o kłopotach. Albo dać w zęby Szczurkowi. W końcu od tego są przyjaciele, nie? Może Tony, on już jednak poszedł. Miała jeszcze innych przyjaciół, ale ci by tylko spanikowali i naopowiadali jej niepotrzebnych rzeczy, na przykład, żeby pamiętała o zamykaniu drzwi albo poskarżyła się jakiejś placówce ochrony konsumenta. Brooke zaproponowałaby sądowy zakaz zbliżania się. W „Eye” wszyscy powiedzieliby jej, żeby wreszcie dorosła. Nie jest się prawdziwym dziennikarzem, dopóki nie zacznie się ludzi porządnie denerwować, uznała.

Kiedy dotarła do domu, na sekretarce były cztery wiadomości — w trzech odłożono słuchawkę bez słowa, a czwarta była od Vica Donovana, który nie odezwał się od czasu ich amatorskiego eksperymentu naukowego z luminolem. Oczywiście, od tamtego wydarzenia minęło niewiele ponad jeden dzień. Tylko miała wrażenie, że upłynęło całe życie. „Lacey, co ty do jasnej cholery wypisujesz w tym artykule?” — Donovan wydawał się wściekły, jakby znowu był szefem policji.

Rany. Nie mogę uwierzyć, że faceci czytają moją rubrykę. Najpierw Radford, teraz Vic. Ale obciach.

„Robisz z siebie cel dla tego świra, a to jest cholerna głupota. Naprawdę zrobiłaś to specjalnie? Musimy pogadać. Teraz. To ja, Vic. Mówię poważnie, Lacey. Zadzwoń do mnie”.

Musiała wyjść z domu. Czuła się tu jak w klatce, nie mogła oddychać. Musiała znaleźć się gdzieś, gdzie nie było telefonów. Przebrała się, rzucając zdjęte ciuchy na łóżko. Naciągnęła na

siebie wygodne, jasnoniebieskie bawełniane spodnie i miękki biały sweterek z dekoltem w szpic, a do tego nowe białe tenisówki, ufając, że nie narobią jej bąbli.

Poszła ścieżką rowerową wzdłuż George Washington Memorial Parkway w stronę Mount Vernon, z walącym mocno sercem. Wszystkie jej chaotyczne myśli uspokajały się, gdy tak maszerowała równym tempem. Rytm kroków zwiększał uspokajający dystans między znajomym otoczeniem a światem Stylettos, pełnym potencjalnych morderców. Minęła park Belle Haven, przystań, po czym skręciła na główną ścieżkę prowadzącą do Dykę Marsh, bagiennego rezerwatu przyrody. Przez bagnisty teren płynęły małe strumyki, otwierały się widoki na Potomac, gdzie zgrabne żaglówki oczekiwały na kotwicy przybycia swoich właścicieli. Ścieżka była zielona i cicha. Panika wywołana przez wrzaski Szczurka mijała. Zapach wilgotnej ziemi łaskotał jej nozdrza, im dalej szła, tym czuła się lżejsza.

W dalszych partiach lasu wciąż jeszcze były widoczne oznaki niedawnej burzy. Natura jakby sama sobie wypowiedziała małą wojnę. Dwa wielkie dęby zostały wyrwane z korzeniami i leżały w poprzek ścieżki, ich nakrapiane słonecznymi plamkami korzenie sterczały w górę na dwa trzy metry, a pnie miały grubość ponad metra. Straż parkowa nie uprzątnęła jeszcze ścieżek przy użyciu pił łańcuchowych, przez co spacerowicze i biegacze musieli przełazić przez drzewa albo obchodzić je wokół. Lacey widziała nowo wydeptane ścieżki, ale sama wolała przeleźć przez pierwszy z kilku grubych konarów. Mimo spustoszeń, na niektórych krzewach wciąż trzymały się kwiaty, wypełniając powietrze wonią kapryf olium. Wdychała je głęboko, ignorując wszystko inne w swojej potrzebie zapomnienia o pełnych złości groźbach Radforda.

Kiedy przedostawała się przez uszkodzone drzewo, usłyszała za sobą pękającą gałązkę. Zaraz potem ukryta w skórzanej rękawiczce dłoń gwałtownie zacisnęła się na jej ustach, a druga, prawa, chwyciła ją w pasie. Szarpała się, ale mimo to była wleczone do tyłu w stronę gęściejszego lasu. Miała wrażenie, że to mężczyzna, ale niezbyt potężnie zbudowany. Na początku

wydało jej się, że to Boyd Radford, ale nie miałby chyba tyle odwagi. Może nasłał na nią jakiegoś goryla? Obcy odezwał się niskim, ochrypłym głosem, najwyraźniej usiłując zniekształcić własny.

— Ostrożnie. Mam brzytwę. Nie chciałybyś sobie zakrwawić tego białego sweterka, co? Nie chcielibyśmy nic drastycznego, prawda? — Nadal ścisnęła dłońmi jego ręce. Napastnik zdołał jednak unieść brzytwę na linię jej wzroku. Zamarła. Otworzył ją szybkim ruchem nadgarstka. Ostrze skupiło całą jej uwagę. Wcisnęła głowę w ramiona, by nie miał dostępu do gardła.

— Napisałaś o mnie.

Próbowała krzyknąć w zamykającą jej usta rękawiczkę.

— Pamiętasz? Wysłałem ci pamiątkę.

Lacey poczuła nagły przyływ adrenaliny i wgrzyza się mocno w nadgarstek nad rękawiczką. Wrzasnął i sięgnął do jej włosów, chwycił garść z przodu i szarpnął. Brzytwa błysnęła jej przed oczyma.

— Pamiątka dla mnie — sapnął. Lacey wrzasnęła. Prawą dłoń zacisnęła w pięść i wbiła łokieć w tył, w jego splot słoneczny. Stęknął i puścił. — Wiedźma!

Głośne szczekanie gdzieś niedaleko na ścieżce zaskoczyło ich oboje. Duży żółty pies biegł w ich stronę. Zatrzymał się i warknął. Napastnik popchnął ją do przodu, prosto w błotnistą kałużę. Odwróciła się i poślizgnęła w śliskim błocie, zdążyła jeszcze dostrzec postać w czerni, z czarną kominiarką, jak tyłem oddala się od warczącego psa. Chwyciła kamień i rzuciła w napastnika, trafiając go w ramię. Pies znowu zaszczekał, a Lacey wrzasnęła na całe gardło.

— Draań! — Postać w czerni przeskoczyła nad pnem drzewa i zniknęła w krzakach. - Grzeczny piesek - powiedziała, trzęsąc się cała, do kundla. Pies polizał jej twarz i usiadł, dysząc na nią, póki nie przywołał go gwizdem niewidoczny właściciel.

Nadal dygocząc, przejechała ręką po włosach. Drań w czerni odciął jej garść z samego przodu. Sterczący język, który został, nie mógł mieć więcej niż półtora centymetra. Powoli wstała, nie

poraniona, ale wstrząśnięta i rozdygotana. Pokrywało ją lepkie brązowe błoto. *Znakomity dzień, żeby ubrać się na biało, Lacey.* Dopiero potem do niej dotarło, że ktoś usiłował ją zabić.

Dziennikarzom czasami ktoś odgraża się śmiercią, zazwyczaj wtedy, gdy robią coś odważnego, jak na przykład reportaż z frontu, albo ujawniają jakiegoś szefa mafii. Ale nie dziennikarzom od stylów życia. Nie Lacey. — Rany boskie, ja piszę o modzie! — powiedziała na głos do kardynałów, którym jeszcze nie wyrosły czerwone piórka. Dała sobie spokój z próbami oczyszczenia się z błota i pomaszerowała wprost do budki telefonicznej na przystani, by zadzwonić na policję. — Napastnik był ubrany na czarno, a ja wyglądam jak potwór z bagien? — lamentowała.

Złożenie doniesienia policji parkowej było dość trudne dla Lacey, bo oficer kwestionował każde jej słowo. Był młody, wysoki, starannie ogolony i gorliwy, z piegami na nosie i policzkach oraz czystymi niebieskimi oczyma. Włosy miał ostrzyżone krótko, po wojskowemu. Była boleśnie świadoma tego, że jest cała wymazana brązowym błotem, a nad czołem ma krzywo obcięte sterczące włosy. Makijaż jej się rozmazał i mogła się domyślać, jak wygląda w oczach mającego metr osiemdziesiąt pięć, solidnie umięśnionego oficera, robiącego profesjonalną, chłodną i obojętną minę. Usiłowała wyjaśnić, że napisane przez nią artykuły najwyraźniej sprowokowały atak. Słowa zdawały się jej więznąć w gardle. — Prowadzę rubrykę o modzie w „Eye Street Observer”. *Zbrodnie w modzie.*

— W modzie, mówi pani? — Mierzył ją wzrokiem. Przestał pisać i założył ręce na piersi. Lacey chwyciła się za brutalnie okaleczoną grzywkę.

— Chyba pan nie myśli, że zrobiłam to sobie sama, co? Skupił się na swoim raporcie.

Policja parkowa rozejrzała się za napastnikiem, ale udało im się znaleźć tylko kilka połamanych gałęzi i rozmazanych śladów,

które kończyły się przy brukowanej ścieżce rowerowej. Lacey wezwała taksówkę, żeby zawiozła ją z przystani do domu, raptem półtora kilometra. Popołudnie straciło cały urok.

■ ■ ■

Kiedy ogarnęła ją całą gorąca woda i para prysznic, podczas gdy w tle głośno rozbrzmiewała muzyka Joan Armatrading, Lacey pozwoliła płynąć łzom. Szlochała, wrzeszczała, klęła. Szorowała skórę, aż zrobiła się czerwona jak rak. W końcu, wyczerpana, ale doczyszczona, wiedziała, że łzy się skończyły, chociaż ciągle mamrotała: „skurwysyn, obrzydliwy skurwysyn, obrzydliwa skurwysyńska świnią” i inne wariacje na ten sam temat. Oczy wciąż ją piekły, obrzmiały jak piłki do golfa, ale była w jednym kawałku. Zawinęła się w miękką turkusową sukienkę, długą i powiewną.

Zapaliła światło w łazience i znowu popatrzyła na sterczące kosmyki pozostawione przez brzytwę skurwysyna. Wyglądała jak uciekinierka z domu wariatów. Rozważała telefon do Brooke, ale w tej chwili nie potrzebowała przyjaciółki do podkreślenia niepokoju i paranoi.

Wmaszerowała do salonu, wzięła telefon i zadzwoniła do jedynej osoby, która mogła jej pomóc.

— Ktokolwiek tam jest, lepiej, żeby to było dobre — zachichotała Stella. Wydawała się zajęta zupełnie innymi sprawami, ale Lacey nie dała jej szansy na wyjaśnienie.

— Stello, tu Lacey. Bardzo mi przykro, że zawracam ci głowę w domu, ale to bardzo pilne.

Fryzjerka była już na niej w pełni skupiona, a w jej głosie słychać było niepokój i ciekawość.

— Lacey? Dziwnie mówisz. Nic ci nie jest? Co się stało?

— To bardzo osobisty nagły fryzjerski wypadek. Czy mogłabyś przyjechać zaraz i przywieźć nożyczki? Nie prosiłabym, gdyby to nie był kryzys.

Zapadła chwila ciszy.

— Okej, ale musisz powiedzieć mi wszystko!

W ciągu pół godziny Stella, jej miniaturowy samochód oraz Niegrzeczny Bobby dotarli do jej mieszkania. Stella spojrzała tylko na włosy Lacey i pisnęła.

— O Boże! Grzywka!

— Ja nie mogę nosić grzywki! A poza tym to nie grzywka, to brutalna napaść. Próba morderstwa!

— Moim zdaniem, wygląda tak jakoś spoko. Punk, chociaż nie do końca

— odezwał się Bobby. — Wiecie? — Obie wgapiły się w niego.

— Ale to nie jest w jej stylu, Bobby — wyjaśniła Stella. — Ona nie jest dziewczyną na grzywki.

Lacey powiedziała mu, że w lodówce jest świeże piwo i żeby się poczęstował, co też zrobił. Zaniósł sobie kilka na balkon i zamknął siatkowe drzwi.

— Hej, widać stąd rzekę. Fajnie. Masz może teleskop? Stella skierowała Lacey do łazienki.

— Ładnie tu masz. Coś jak pętla czasu. Podobne do ciebie.

— Nawet ja nie jestem do siebie podobna — lamentowała Lacey. — Nie grzywka. Wszystko, tylko nie grzywka.

— Wybacz, Lacey. Jeżeli nie chcesz się zrobić na jeża, jak ja, mogę zrobić albo grzywkę, albo to takie krótkie u góry, długie z tyłu. Niezbyt kobieco, jeżeli wiesz, o co mi chodzi.

— Rany boskie, tylko nie to! Mam wyglądać jak przeżytek lat osiemdziesiątych? Nigdy!

— Daj spokój. Prędzej czy później odrośnie, ale do tego czasu bez grzywki ani rusz. A jeżeli masz torebki herbaty, połóżysz sobie na oczach i opuchlizna zejdzie.

— Wyglądam koszmarnie, co? — spytała ponuro Lacey.

— Nie najgorzej. — Subtelność nigdy nie była mocną stroną Stelli, ale starała się. — Jakbyś miała ciężki dzień, bardzo ciężki. Przynajmniej nie skończyłaś z przeciętymi nadgarstkami. Chcesz o tym pogadać?

Lacey znowu zerknęła na swoją grzywkę na jeża zostawioną przez napastnika.

— Ten sukinsyn mi za to zapłaci! — Nie była pewna, jak i kiedy, ale wiedziała, że pewnego dnia go zdemaskuje i wtedy wszystko mu odda z nawiązką. Miała tylko nadzieję, że nie był łysy. — Jeżeli jest łysy, to go oskalpuję. Do kości.

— Mogę ci zrobić przyzwoitą grzywkę. Będzie postrzępiona i do brwi. Przykryje szkody, a kiedy te krótkie włosy odrosną,

zrobię coś, żeby nie była za gęsta. Obiecuję ci, że nie będziesz wyglądała jak pierwszego dnia w przedszkolu. — Stella znowu zacytowała nieoficjalne motto Stylettos: — Odrośnie. A teraz, o jakiego sukinsyna ci chodzi?

Opowiedziała całą historię, podczas gdy Stella obcinała jej nową grzywkę, zakrywającą brutalne cięcie brzytwy. Stella także „dodała jej kształtu”, co znaczyło, że Lacey straciła kolejne siedem centymetrów włosów.

— Daj mi te włosy. Chcę je zachować.

— Po co? — Nie wyglądała na przekonaną.

— Nie wiem. Badania DNA. Żebym mogła poznać swoją prawdziwą tożsamość. Daj je i już, dobra?

Stella wcisnęła ścięte kosmyki w dłoń Lacey.

— Gdybyś używała tej odżywki, co ci powiedziałam, nie byłyby na końcach takie suche — powiedziała z naganą.

— Używam jej!

Stella rzuciła znaczące spojrzenie znad jej głowy w lustro łazienki.

— Suche końce. Okej. Padasz na buzię w błoto, a co potem? Pomyślała, że jej fryzjerka trochę za bardzo się rozkoszuje całą tą historią.

— To był morderca. Musiał być.

— Masz szczęście, że nie leżysz martwa w jakimś rowie. I łyśa. Wtedy nawet grzywka by ci nie pomogła.

— Stella, pamiętaj, to nie jest wiadomość na sobotnią audycję.

— Będę milczeć jak grób.

— Mówię poważnie. — Lacey zauważyła, że zabójca może spokojnie pracować obok niej w salonie, albo być klientem. Albo i szefem.

— Na moje szczęście mam włosy za krótkie na tego zboka. — Stella nastroszyła swojego ostrzyżonego, sterczącego jeża i wyszczerzyła zęby.

— Przyciągam inny rodzaj zбочeńców.

Lacey patrzyła w lustro na grzywkę i krótszą, puszystą fryzurę. Teraz przypominała bardziej Betty Hutton niż Lauren Bacall.

— Wiem, to raczej zwariowana komedia niż film noir, jak lubisz — powiedziała Stella. — Ale jest ładnie. Naprawdę.

Wyglądam zbyt milutko, ale nie tak źle, pomyślała Lacey. Stella była niesamowita. Ta kobieta, która jakimś przypadkiem została jedną z jej najbliższych powiernic, ani razu nie wspomniała, że nagły kryzys z włosami nie musi być najważniejszą rzeczą na świecie. Rzuciła wszystko, spakowała fryzjerskie narzędzia i chłopaka i przybiegła na pomoc. Lacey poczuła przypływ pokory. A jedynym, czego Stella chciała w zamian, było piwo i każdy, kaździutki bolesny szczegół.

— A Piegus, dzielny strażnik parkowy, jaki był, przystojny? Zadzwoił telefon, Lacey pozwoliła odebrać maszynie. Była to zaniepokojona Brooke.

„Muszę na wieczór wyjść, ale śmiało dzwoń na automat. Chcę być pewna, czy cię nie porwali faceci w czerni czy coś takiego”.

— Jest trochę dziwna — powiedziała Stella. — Ale powinnaś do niej jak najszybciej zadzwonić, żeby się nie martwiła. Wiesz, inaczej może przyjść. Ja bym przyszła.

Postąpiła zgodnie z sugestią Stelli, zostawiła Brooke wiadomość, że porozmawiają jutro. Stella rozgościła się i rozdawała wzięte z lodówki zimne piwa. Otworzyły oliwki, pokroiły trochę sera i znalazły krakersy. Potem wyszły na balkon do Bobby'ego, który patrzył na rzekę przez lornetkę, którą miał w plecaku.

— Naprawdę powinnaś mieć teleskop, Lacey. Mogę ci pomóc kupić. Kiedyś studiowałem astronomię.

Zanim zdążyła spytać, na jaki wydział to zmienił, Stella ją zganiała.

— Przestań się bawić włosami, wyglądają w porządku. Dzwoniłaś już do Vica?

Po szorstkim nagraniu Vica na sekretarce nie miała ochoty z nim rozmawiać. Rozdrażniła tego świra i, tak jak ją ostrzegał, podziałało trochę za dobrze. Teraz straciła włosy i dumę.

— Akurat nie mam ochoty usłyszeć „a nie mówiłem”.

— Potęga prasy. Ale Vic i tak powinien wiedzieć.

Lacey ostrzegła Stellę, że ona też ma do niego nie dzwonić, nie wypaplać o jej przygodzie w Dyke Marsh, zauważając, że to sprawa policji. Stella zgodziła się z niechęcią. Lacey rozumiała, że duch jest chętny, ale usta słabe. Nie miała wątpliwości, że cała

historia się rozejdzie. To była tylko kwestia czasu. Vic się dowie. Zastanawiała się, czy ma powiedzieć Macowi, czy on też usłyszy od kogoś innego. On powie Tony'emu, dowie się cała sala redakcyjna, i do tego zabierze jej temat. Będzie wielki wstyd i wszyscy powiedzą tylko: „W głupiej działce mody dostaje się groźby śmierci! Kto by pomyślał?” Stellę aż skręcało, żeby powiedzieć Lacey własną tajemnicę.

— Vica i tak nie ma dzisiaj w domu.

— A co, prowadzisz jego towarzyski kalendarz? — Lacey nagle straciła apetyt.

— Nie, ale tak dla twojej informacji, była pani Radford wpadła dzisiaj do nas i wspomniała, że spotyka się wieczorem z panem Victorem Donovanem. Na pewno w interesach. Taki rodzaj interesów, który wymaga kosmetyczki, francuskiego warkocza i świeżego manicure w kolorze nieodparty róż. Lacey, jeżeli szybko się za niego nie weźmiesz, to koniec. Już ją widywałam w akcji.

— On i tak nie jest mną zainteresowany. Co z tego, jeżeli woli ją? — Przejechała palcami przez włosy.

Kiedy Stella z Bobbym poszli, wybrała nawet numer Vica, tak bardzo chciała mu o wszystkim powiedzieć, ale odezwała się tylko sekretarka. Odłożyła słuchawkę. *Idź do łóżka, Lacey. Odrosną*, powiedziała sobie. Nie sądziła, że zaśnie, ale nie wzięła pod uwagę piwa i czystego wyczerpania, które nią zawładnęło. W ciągu kilku minut była nieprzytomna.

Lacey Smithsonian

KAWAŁKI 0 MODZIE

To twoje włosy. Broń ich.

Dlaczego pozornie inteligentna kobieta może wejść do salonu fryzjerskiego, machnąć ręką i powiedzieć osiemnastoletniej fryzjerce z włosami w tęczowe paski i kilkunastoma kolczykami w różnych miejscach twarzy, żeby robiła, co chce? Nie mam pojęcia. Ale zdarza się to na tyle często, by warto było o tym wspomnieć. Może dlatego, że próżność uważa za grzech, za to publiczne upokorzenie dobrze robi duszy. Może nie ma kręgosłupa, albo może odczuwa nadmiar optymizmu na temat tego, co mogą osiągnąć zwykłe nożyczki i inne fryzjerskie narzędzia w rękach nastoletniej socjopatki. Wynik: katastrofa, z której śmiać mogłaby się tylko Meduza. Pamiętaj, kiedy już staniesz się ofiarą koszarnej fryzury, jest za późno. Możesz tylko czekać. Odrośnie.

Pierwsza i ostatnia zasada dostawania tego, co się chce, jest następująca. Powiedz jasno, bardzo jasno, czego chcesz, i tego się trzymaj. Opisz rezultat, jaki chcesz osiągnąć, a nie ten, z którym fryzjerka chciałaby poeksperymentować. Przynieś zdjęcia, jeżeli trzeba - mocno gestykuluj rękami i nie bój się powiedzieć STOP, kiedy fryzura zaczyna wyglądać niepokojąco. Jeżeli chcesz, żeby było po twojemu, strzeż się także:

- Nadmiaru komplementów, które muszą być fałszywe: „Skarbie, jest pani taka śliczna. Trzeba tylko zmiany. Uwolnijmy ukrytego wampa”.
- Obelg mających udowodnić wyższość: „Jakiego szamponu pani używa? Jakiejś więziennej marki?”.
- Chorób zawodowych: uszkodzeń mózgu od oparów lakieru do włosów, farb i płynów do trwałości, od zespołu cieśni nadgarstka nabytej od nakręcania włosów na wałki i trzymania wibrujących suszarek, a także, oczywiście, złudzenia wielkości artystycznej.

Postępuj zgodnie z tymi radami, a poprawisz swoje szanse dostania tego, co chciałaś. Ale nawet jeżeli dostaniesz to, czego chciałaś, może to wysłać sygnał, na którym ci nie zależało. Zastanawiałaś się kiedyś, co mówi twoja fryzura, nawet gdy twoja buzia milczy? To jest mała próbka:

- Tęczowa grzywa - Patrzcie, jestem pawiem, dziwnie dumnym i dumnie dziwnym!
- Stóg siana - Odżywka? Nie potrzebuję żadnej głupiej odżywki!
- Wystopniowana obgryziona przez szczury peruka - Mój fryzjer twierdził, że to będzie naprawdę, totalnie cool.
- Białe pasemka, ciemne włosy - Uwielbiam zebry. Ty nie?
- Codzienny kucyk - Moich włosów w całej ich chwale na ciebie szkoda.
- Idealna blond tygrysica - Z moimi wymaganiami cię na mnie nie stać.
- Waszyngtoński hetm - Kontrola. Chodzi przede wszystkim o kontrolę. Moją.

No więc, co twoje włosy mówią za twoimi plecami? Słuchasz ich?

Rozdział 22

Obudziło ją wytrwałe walenie w drzwi. Według zegarka przy łożku, była dziewiąta rano. Sobota rano. Zawinięta w swój biały satynowy szlafrok, wywlokła się do maleńkiego przedpokoju, pośpiesznie złapała okulary słoneczne, by przykryć opuchnięte, przekrwione oczy, po czym wyjrzała przez judasz. Przyszło jej do głowy, że to może Vic, któremu zdarzało się wpadać do niej dość wcześnie rano. Ale nigdy nie przyszło jej do głowy, że pokaże się u niej Tony Trujillo. Najwyraźniej zdołał oszukać niezwykle sprawny system zabezpieczeń, jak każdy gość, którego ostatnio miewała.

— Wiem, że tam jesteś, Smithsonian. Otwieraj. Przyszedłem w pokojowych zamiarach.

Zdjęła łańcuch, przekręciła klucz w zamku i powoli otworzyła drzwi, pytająco unosząc brwi nad ciemnymi szklami.

— To nie jest twoja okolica, Trujillo. Myślałam, że nigdy się nie ruszasz z Dystryktu.

— Przekroczyłem wodną barierę tylko po to, żeby cię zobaczyć.

— Pewnie osiodłałeś swojego mustanga? — Słyszała o jego nowym samochodzie, specjalnie zamówionym czarnym kabriolecie z białym dachem, ale nigdy go nie widziała.

— Otóż to. — Przyjrzał się jej strojowi. — Bardzo efektownie. Zawsze w domu udajesz gwiazdę kina?

— Zawsze. Nawet nie wszedłeś, a już mnie irytujesz. — Wygładziła włosy, usiłując je opanować. Trujillo miał na sobie obcisłe niebieskie dżinsy, czarne wysokie buty ze skóry węża, niebieską roboczą koszulę i czarną skórzaną kurtkę. Wyglądał świetnie i dobrze o tym wiedział.

— Zaproś mnie do środka. Umiem być jeszcze bardziej irytujący. — Wszedł do mieszkania, przeszedł przez kuchnię i salon. — Fascynujący raport policyjny pokazał się dzisiaj rano.

— Z jakiejś konkretnej jurysdykcji? — *O Boże, on wie.* Ale w końcu istniała policja parkowa, policja miejska, policja stanowa Wirginii i Marylandu, policja Dystryktu, policja federalna, metropolitalna policja drogowa i inne. *Me, on wie.*

— Policja parkowa, Dykę Marsh — oznajmił. Westchnęła. Ktoś do niego zadzwonił. Trujillo nie grzebałby w biuletynie policyjnym, gdyby nie wiedział, że warto. — Chyba naprawdę facetowi dopiekleś — rzekł domyślnie Tony. Zaproponował, by się ubrała i poszła z nim na kawę. — Nałóż coś na luzie, Smithsonian. Jest sobota. Nie ma powodu olśniewać zachwyconych wielbicieli.

Trzasnęły drzwi sypialni, a on został sam w salonie, gdy się ubierała. Ubłocone ubranie leżało w koszu na pranie, ohydna, obrzydliwa pamiątka. Czowała się niebezpieczna i zdenerwowana. Nikt z redakcji nie przychodził dotąd do niej do domu. Trujillo był intruzem na jej terytorium. Przynajmniej mu zależało — na czym? Na piekielnym temacie? Założyła parę czystych dżinsów i jasnoniebieski obcisły sweter. — Rozgoszczę się — krzyknął Trujillo, kiedy przebiegła z sypialni do łazienki na szybki prysznic.

— Ani się waż! — odkrzyknęła, zanim zamknęła za sobą drzwi. Zacisnęła zęby i ostrożnie weszła pod wodę, która nie była jeszcze gorąca.

Dopiero kiedy nałożyła makijaż, żeby zamaskować zmęczone oczy, i jako tako ułożyła włosy, nabrała siły do stawienia czoła sytuacji. Włosy wyszły trochę zmierzwiłone, a spojrzenie przymglone. Zadowolona, że wygląda równie niebezpiecznie, jak się czuła, wyszła ze swojego zaparowanego sanktuarium i znalazła go grzebiącego w kufrze babci Mimi.

— Hej, zabieraj się stamtąd!

— Tu są całkiem fajne rzeczy. Twoja własna maszyna czasu. Teraz wiem, skąd wzięłaś ten zwariowany smithsoniański styl.

— Wynoś się. I to już.

Wzruszył ramionami, uśmiechnął się do niej i mrugnął.

— Jestem wężycielem. Taką mam naturę. I pracę.

— Wystarczy, gwiazdo dziennikarstwa.

— Nie przejmuj się. Twój sekret jest bezpieczny. — Trujillo z niechęcią opuścił pokrywę. Popatrzył na nią i wydawało się, że w wyrazie jego twarzy dostrzegła coś w rodzaju troski. — Nowa fryzura, Lacey? Niezła. Nawet nie widać, gdzie i ile uciał.

— Co jest w tym raporcie?

— Wiesz, raporty policyjne to unikalna forma literacka. Taki minimalistyczny styl, strumień świadomości, ale sens załapałem: zamaskowany napastnik uciał garść włosów, został zaskoczony przez szczekającego psa i uciekł.

— Hej, ja drania ugryzłam i dałam mu łokciem w brzuch. Nie chodziło tylko o psa.

— Tego tam nie było. Całą zasługę przypisali psu.

Gdzie u licha Trujillo wynajduje informatorów, którzy dzwonią do niego do domu? Nagle dotarło do niej, że boli ją całe ciało. Jej ramiona obwisły. Oparła się o kanapę.

— Na pewno powinnaś coś zjeść. Ja stawiam. A swoją drogą, twoje włosy wyglądają całkiem niezłe. Sexy. — Trujillo był chyba jednym z bardzo nielicznych mężczyzn w Waszyngtonie, którzy nie bali się tak mocnych słów, jak „sexy.”

— Cięcie brzytwą — wyjaśniła. — Najnowsza moda. Lacey chciała pójść do Old Town na piechotę — byłoby to szybciej niż znalezienie parkingu — ale Tony uparł się jechać swoim mustangiem, żeby mogła się nim pozachwycać. Zdecydowali się na śniadanie w Bread & Chocolate, piekarni z kawiarnią przy King Street. Dużo pieczywa i słodczy pod szklanymi ladami z przodu, a z tyłu stoliki. W powietrzu unosił się aromat świeżej kawy. *Najwyraźniej jest we mnie coś, co wywołuje w mężczyznach potrzebę kupowania mi jedzenia.*

Zamówili cappuc-

cino, koszyki chleba i talerze sera. W sam raz na poprawienie nastroju w weekend.

— Lacey. — Tony używał jej imienia tylko wtedy, kiedy czegoś chciał albo okazywał skruchę. — Naprawdę mi przykro. Nie miałem pojęcia, że facet fizycznie cię zaatakuję.

Piła swoją kawę, trzymając kubek obiema rękami.

— To nie twoja wina. To był mój tekst. Mój pomysł. — Była dorosła, potrafiła przyznać się do odpowiedzialności. W myślach zapisała sobie, żeby kupić coś na obolałe mięśnie.

— Ale ja powiedziałem ci, że powinnaś to napisać.

— Wpadłam na to, zanim to powiedziałeś. Nie ma sensu zwałać winy. — Nie zamierzała pozwolić, by Tony przypisał sobie zasługę. Zabrała mu ostatni kawałek chleba z oliwkami, kiedy po niego sięgnął.

— Myślałem, że po prostu napisze ci kolejny liścik miłosny. Nie przyszło mi do głowy, że stanie się to. — Tony wyciągnął wizytówkę i napisał z tyłu swój domowy numer i adres, po czym posunął w jej kierunku po stole.

— Lacey Smithsonian! — powiedział ktoś głośno. — Boże, jesteś absolutnie wszędzie. Mieszkasz gdzie tutaj? — Leonardo podszedł do jej stołu, przyglądając się Tony'emu, który siedział oparty leniwie o ścianę.

— To był całkiem ostry artykuł. Wszyscy byli zachwyceni. Daj mi znać, jeśli znajdziesz tę kasetę. Chętnie bym ją obejrzał.

— Widziałeś mnie w Virginia Beach?

— Nie, miałem mieć rozmowę na kierownika, ale cały plan jest na razie zawieszony.

— Cóż, Tammi nie żyje.

— I to ogromna tragedia, moja droga Lacey. Wiem o tym, ale musimy jakoś radzić sobie dalej.

— Może powinieneś spróbować w innym salonie, Leo. Leonardo pochylił się nad nią konspiracyjnie.

— Tak naprawdę, i to jest tylko między nami dwojgiem, nie do *Zbrodni w modzie*, rozwijają się pewne plany. Jeżeli Boyd i Josephine kiedykolwiek skończą ten podział majątku, będę miał własny salon. Z własnym imieniem na drzwiach.

— W czym problem?

— Boyd. Opóźnia sprawę.

— Czyli to ona dałaby pieniądze.

— Kiedy to się stanie, dam ci wywiad na wyłączność.

— Cudownie. A ty tu gdzieś mieszkasz?

— Ja nie, ale Erie tak. To jest Erie. Erie, przywitaj się. — Erie przywitał się. Był drobniejszy od Leonarda i wyglądał delikatnie. Miał małe okulary w drucianej oprawie, krótkie, świeżo ścięte włosy i beżowy sweter dziany we wzorki. Leonardo był jak zwykle w czerni, by podkreślić dramatycznie kasztanowe włosy. Popatrzył pytająco na towarzysza Lacey. Zaspokoila jego ciekawość, do pewnego stopnia.

— Anthony Trujillo. Przyjaciół. Tony, to jest Leonardo. Tylko Leonardo.

— Tony kiwnął głową i łyknął cappuccino, podczas gdy Leonardo przyglądał się włosom Lacey, aż zaczęła się wiercić na krześle.

— Och, Boże. Grzywka? — Leonardo pogroził jej palcem. — Mówiłem, żebyś przyszła do mnie! Co ci u licha strzeliło do głowy? — Podszedł bliżej i przesunął palcami po jej grzywce, odsłaniając krótsze włosy pod spodem. Odepchnęła jego dłoń. Uniósł brew, ale nic nie powiedział. Zauważyła bandaż wyglądający spod jego lewego rękawa. Poczula zimny dreszcz, mimo gorącej kawy.

— Coś ci się stało, Leo? — *Ślady zębów? Moich?*

— Nic ciekawego, skarbie. Zespół cieśni nadgarstka. Choroba zawodowa od nakręcania trwałych. I za mało innego rodzaju kręcenia. — Znowu sięgnął do jej włosów. Powstrzymała jego rękę. — Mamy zakładać, że ten, co ci to zrobił, cię nie lubi? To chyba nie była Stella, co? Następnym razem, Lacey, przyjdź do mnie na porządne strzyżenie. W przyszłym tygodniu. Kogoś dla ciebie odwołam.

— Nie jest aż tak źle!

— Nie powiedziałem, że jest źle.

— Wygląda super — oznajmił Trujillo, unosząc się trochę z krzesła. Jego ton wystarczył, by Leonarda odrzuciło z powrotem do własnego stolika. Leo usiadł, wziął menu i ignorował ich,

choć Erie najwyraźniej nie był w stanie oderwać oczu od Tony'ego. Uśmiechnęła się do Trujilla.

— Dzięki.

— To jak, facet, który cię zaatakował, był wysoki? Na przykład dokładnie takiego wzrostu?

— Nie wiem. Zaskoczył mnie z tyłu. Byłam na ziemi i widziałam go tylko, kiedy uciekał. Ale podejrzewam wszystkich. Ciebie też. — Rzuciła Tony'emu wymowne spojrzenie. Wziął swoją wizytówkę ze stołu i włożył do kieszeni jej kurtki.

— Nie zgub tego, Lacey. Zadzwoń, gdyby ktoś ci robił problemy. Mogę tam dotrzeć w dwadzieścia minut.

— Super. Jeżeli ktokolwiek mi narobi problemów, będziesz akurat, żeby zrobić zdjęcia z miejsca zbrodni. „Trzecia ofiara maniaka od włosów”.

■ ■ ■

Po południu w końcu poczuła się na siłach, by stawić czoła Brooke, z nową fryzurą i w ogóle. Ale tym razem miała plan. Brooke z niedowierzaniem wpatrywała się we włosy Lacey.

— Grzywka, ha? Wygląda... no, dobrze. Tylko zupełnie inaczej. Tak jakoś puchato.

— Nie podoba ci się. — Lacey odgarnęła ją do tyłu.

— Nie. Po prostu cieszę się, że po wczorajszej przygodzie masz w ogóle jakieś włosy.

— Idziesz ze mną?

— Jasne. Natychmiast. Chcesz obserwować Boyda Radforda?

— Nie nazwałabym tego obserwacją, chcę tylko wiedzieć, gdzie mieszka, czy w środku się świeci, czy zasłony są zaciągnięte, jakie samochody stoją przed domem. Na razie tyle.

— Jasne. Groził ci. A potem ktoś cię napadł. Musimy pozbierać informacje o potencjalnych podejrzanych. A dlaczego musimy jechać moim autem?

— Masz szarą acurę z przydymionymi szybami. Wybacz, Brooke, ale to kompletnie anonimowy wóz. W tym mieście można patrzeć prosto na niego i zupełnie go nie widzieć.

— Właśnie dlatego go kupiłam.

Mimo całych pieniędzy Radforda, jego dom w Falls Church, stan Wirginia, wcale nie był aż taki efektowny, nie licząc ogromnych kolumn z przodu — niczym w jakimś dworze na Południu prosto z *Przeminęło z wiatrem*. Działka była nieduża, dom stał stosunkowo blisko ulicy, dzięki czemu łatwiej go było obserwować. Brooke zaparkowała między dwiema hondami i starszym volvo — wszystkie trzy szare. Było wciąż jasno, kiedy Brooke i Lacey, obie ubrane na czarno, podjechały pod domu, ale zapadał już zmierzch. O zmroku włączyły się programowane światła w Chez Radford. Dom był cichy, bez śladu życia. Brooke podała Lacey niewielką, ale mocną lornetkę.

— Świetna. Skąd ją masz? — spytała Lacey.

— Szpiegowskie Akcesoria na Connecticut.

— Żartujesz.

— Mam kartę stałego klienta.

— A to co? — Wskazała na dużą lornetkę, którą Brooke zatrzymała dla siebie.

— Noktowizor. Druga generacja. Znakomity i niezbędny. Ale co ja ci mam opowiadać? Nawet komórki nie nosisz.

— Owszem, nie chodzę wszędzie z torbą szpiegowskich gadżetów. — Ruch przed domem Radforda zwrócił ich uwagę. Lacey uniosła lornetkę i popatrzyła na kobietę przy drzwiach, ubraną na czarno. — To Josephine.

— Kto?

— Była Radforda. Próbuje otworzyć drzwi kluczem. O cie lichu.

— Co? — Brooke skierowała lornetkę z noktowizorem na drzwi frontowe.

— Jej klucz jakby nie pasuje. Może Radford zmienił zamki. O, chyba właśnie powiedziała coś brzydkiego po francusku, i zdaje się zrobiła jakieś francuskie gesty. Też brzydkie.

— Wygląda jak francuska gwiazda filmowa w roli włamy-waczki. A jeśli to jego była, to dlaczego w ogóle ma klucz?

— O ile wiem, to bardzo skomplikowane. — Nie mogąc wejść do środka, Josephine machnęła komuś ręką. Z cienia wyłonił się Leonardo i na jej znak otworzył wytrychem jak fachowiec. Drzwi

miały po obu stronach szklane panele, przez które Lacey widziała, jak Josephine wyłącza system alarmowy. — Kodu pewnie nie zmienił.

— Super. A ja myślałam, że to będzie kolejny stracony sobotni wieczór. Gdzie moja komórka?

— Po co?

— Żeby zadzwonić na policję.

— Nie możesz.

— Lacey, jestem prawniczką. Nie mogę patrzeć spokojnie, jak ktoś łamie prawo. — Brooke grzebała w poszukiwaniu swojej komórki.

— Zaczekaj. Jeszcze nie wiemy, czy Radford po prostu nie zapomniał dać jej klucza. A poza tym, jeżeli włączy się policja, wyprą się wszyscy razem.

— Masz rację. Zresztą jeszcze nie widziałyśmy wszystkiego. — Brooke odłożyła komórkę i wzięła lornetkę. Na górze zapaliło się światło. Kilka razy dostrzegły, jak Josephine gorączkowo grzebie w szufladach wielkiego, starego dębowego biurka, rozrzucając papiery na prawo i lewo. Leo pomagał, ale nie dorównywał jej ani trochę w bałaganieniu, ani w entuzjazmie. — Nie rozumiem ludzi, którzy nigdy nie zaciągają zasłon, zwłaszcza jeżeli przeszukują czyjś dom. Nie wiedzą, że ktokolwiek może być na zewnątrz z lornetką?

— Wstyd byłby zakrywać te okna. Rany, wygląda na wściekłą.

— Pewnie nie znalazła tego, czego szukała.

Światła zgasły, a parę minut później Josephine i jej ulubieniec wyszli. Żółta corvette Lea wyjechała z alejki za domem.

— No dobra, na ile się zorientowałam, chyba nas nie zauważyli - stwierdziła Brooke. - Chcesz tu jeszcze posiedzieć? Zobaczymy, kto się włamie teraz?

— Nie. — Lacey pomyślała, że najważniejsze już pewnie widziały, a jeżeli Josephine czuła się dość bezpiecznie, by przeszukiwać dom z zapalonymi światłami, pewnie wiedziała, że Boyd spędza wieczór gdzie indziej. — Chodźmy.

Postanowiły zajrzeć do domu Josephine, kosztownej nowej miejskiej willi w Evans Farm w McLean. Josephine dotarła tam

pierwsza, ale w końcu ją zawieziono do domu wściekle żółtą corvette. Brooke pojechała naokoło anonimową acurą, żeby mieć pewność, że nikt ich nie śledzi.

— Brooke, nie wiem, czy trochę nie przesadzasz z tymi szpiegowskimi historiami.

— Może to i prawda, Lacey, ale zauważ, że moje włosy są nietknięte.

— Nie podoba ci się moja fryzura.

— To nie tak. Jest... ładna. — Brooke zaparkowała w miejscu, skąd dobrze widziała drzwi domu. Światło było zapalone, a za cienkimi białymi zasłonami poruszała się jakaś postać.

Dwadzieścia minut później przejechał obok zielony jeep na tablicach z Kolorado, a Lacey rozpoznała kierowcę. Poczula znajome ściskanie koło serca. Zaraz potem Vic zapukał do drzwi Josephine.

— Rany, ale ciacho — powiedziała Brooke. — Masz pojęcie, kto to? Lacey ugryzła się w język. Wyjaśnianie byłoby zbyt skomplikowane.

— Nowy szef bezpieczeństwa Stylettos.

— Mnie może ochraniać, kiedy zechce.

Josephine, śliczna i świeżo przebrana w eleganckie fioletowe spodnie i ostro różowy sweter, otworzyła drzwi. Uśmiechnęła się i pocałowała Vica w oba policzki, po czym wciągnęła go do środka i zamknęła drzwi. Lacey przypomniały się ostrzeżenia Stelli o Josephine — pożeraczce męskich serc.

— Zabierajmy się stąd. Potrzebuję drinka.

— Okej, ale tylko na jednego.

Lacey nie wiedziała jeszcze, co im dała dzisiejsza obserwacja, ale jednego była pewna: Vicowi na pewno nie powie.

Rozdział 23

Jak skruszona zakonnica rozważająca rano swoje grzechy, Lacey postanowiła oddzwonić do Vica na jego piątkowy telefon. Miała nadzieję, że nie będzie go w domu i będzie mogła mu się tylko nagrać. Coś w rodzaju: „Cześć, Vic. Tu Lacey. Dostałam twoją wiadomość. Miałam też wiadomości od Radforda i jakiegoś faceta z brzytwą. Tak tylko myślałam, że powinieneś o tym wiedzieć. Pa". Ani słowa o szaleństwach Josephine u Radforda. Zero o jego nocnych odwiedzinach u Josephine.

Była dziesiąta w niedzielne rano, więc jeżeli spędził sobotnią noc z Josephine, jak zakładała, to jeszcze nie wrócił do domu. Na samą myśl o Vicu z była panią Radford zazgrzytała zębami. Było to jednak łatwiejsze od wyobrażenia sobie Vica Donovana w kościele, gdzie Lacey poszła tego ranka — na poranną mszę do niedalekiej parafii Matki Boskiej, by zapalić dziękczynną świeczkę za to, że przeżyła. I jeszcze jedną za to, że zachowała większość włosów. I trzecią, żeby była gotowa na jakiegokolwiek dalsze niespodzianki.

Wybrała numer i usłyszała, jak podnosi słuchawkę i warczy:

— Tak! — Miała właśnie odłożyć swoją, kiedy warknął znowu: — Mów do mnie, Lacey.

— Cholera. Masz identyfikację dzwoniącego. Jasne.

— Jasne, że mam. — Teraz wydawał się zniecierpliwiony. Nienawidziła identyfikacji numeru dzwoniącego. Większość jej

źródeł to miała. Nawet dostawcy pizzy je mieli, ale „Eye” było za skape, a w domu go nie chciała.

— Tylko oddzwaniam — powiedziała.

— Nie spieszyło ci się z tym.

— Mnie? To ty się nie odezwałeś po tych zdjęciach. Co ci się tak spieszy? To ty cały weekend spędziłeś na włączaniu się ze znakomicie zachowaną panią Radford.

— Nigdzie się nie włączyliśmy. To była praca.

— Jasne — mruknęła Lacey.

— I skąd masz te informacje?

— Stella nie dyskryminuje nikogo w plotkach — odparła. Vic wydał jakiś gardłowy dźwięk. — A poza tym zadzwoniłeś tylko po to, żeby na mnie nawrzeszczyć.

— I gdybym mógł, udusiłbym cię przez telefon. Dwie kobiety nie żyją, a ty zapraszasz jakiegoś rzeźnika, żeby wpadł? Życie jest za mało niebezpieczne?

— Owszem, jest! — Niemal ze łzami Lacey złapała powietrze.

Zamierzała odłożyć słuchawkę. *Cholera, nie będę przez ciebie płakać.* — A zdjęcia?

— Mam je.

— Jak wyglądają?

Vic dosłyszał nutkę desperacji.

— Lacey, czego mi nie mówisz? *Niech cię szlagi*

— Lacey?

— Miałam ci powiedzieć, że twój kumpel Boyd Radford ostrzegał mnie, że już mam nie pisać o Stylettos? Twierdził, że pożałuję. Groził mi w piątek po pracy — wyrzuciła to z siebie i zamilkła. Na pewno mu nie powie o wypadku w Dyke Marsh. Zapanowała martwa cisza.

— Musimy porozmawiać na żywo — postanowił Vic.

— Przynieś zdjęcia.

— Nie mogę. Zostawiłem je u specja od rozbryzgu krwi. Pospierali się trochę, aż w końcu kompromisowo przystali na obiad i wycieczkę na strzelnicę w celu odbycia lekcji samoobrony. To był pomysł Vica, czy raczej żądanie, w zamian za jego informacje.

Zakładała, że na strzelnicy będzie brudno. Zdecydowała się na spodnie khaki i kurtkę safari. Motyw dżungli przygotował ją psychicznie do walki, a miała już dosyć swojego czarnego stroju włamywaczki. Vic podjechał po nią jeepem w południe i obdarzył jednym długim, uważnym spojrzeniem, od którego dostała gęsiej skórki. Jego twarz pociemniała, ale głos pozostał cichy.

— Lacey, co się stało w twoimi włosami?

— Nie podoba ci się? — Spojrzał na nią groźnie. — Stella dodała im kształtu, to wszystko. W piątek wieczorem.

— Stella miała wolne w piątek wieczorem.

— Moja fryzjerka odbywa wizyty domowe. Twoja podobno też.

Vic wcisnął hamulec i zjechał do krawężnika. Wyłączył silnik i zaciągnął hamulec bezpieczeństwa.

— Cholera jasna, Lacey. Co się stało? — Nigdy dotąd nie widziała go naprawdę wściekłego. W każdym razie nie na nią. Jego oczy wypalały w niej dziurę na wylot. Mimo dziennikarskiej profesji nigdy nie umiała przekonująco kłamać, spojrzała więc przez okno.

— Ja... On... Była taka sprawa, w Dyke Marsh. Z tym świrem od włosów. Wziął sobie małą pamiątkę...

— Obciął ci włosy?

Pokiwała głową. Wyciągnął rękę i dotknął ich, aż zadrzała. Ta chwila szybko minęła.

Donovan chciał wiedzieć wszystko: czas, miejsce, nazwisko policjanta, rasę kundla, który przeszkodził w ataku. Kierunek wiatru, kolor błota.

Potem chciał wszystko usłyszeć jeszcze raz. Wygadała się także o kosmyku włosów i nieprzyjemnym liście.

— I nic mi nie powiedziałaś? Ani policji?

— Policja ma to gdzieś, a ty nie chciałaś wiedzieć. Pamiętasz? To było „samobójstwo”.

Wygłosił jej wykład o niebezpieczeństwach związanych ze skłanianiem wariatów do głupich działań.

— To nie ja tu jestem problemem, Vic — zauważyła. W ogóle nie chciała na niego spojrzeć, a potem zastanawiała się, dlaczego tam siedzi i zgadza się na wszystko, zamiast wysiąść z tego

głupiego jeepa, zatrzasnąć drzwiczki i na zawsze opuścić jego życie na piechotę. Pewnie dlatego, że z pewnością by ją dogonił, żeby dokończyć ten swój męski wykład.

— To była cholerna głupota, Lacey. - W końcu, po kolejnych uwagach na temat jej niemądrego zachowania, przekręcił kluczyk w stacyjce.

— A ja myślałam, że cię to nie obchodzi. — Na nic więcej się nie zdobyła.

Jechali w milczeniu. Podejrzewała, że nie mógł znaleźć słów w pełni oddających to, jak bardzo jest wściekły. Zaciskając usta w wąską linię, nastawił radio na stację grającą muzykę, więc ciszę wypełniły piosenki o wzgardzonej miłości, niewiernych kobietach i starych dobrych amerykańskich ciężarówkach.

Zabrał ją na obiad do meksykańskiej restauracji niedaleko strzelnicy w hrabstwie Fairfax. W końcu przysłała jego kolej na mówienie. Ale nic z tego nie było przeznaczone do publikacji.

— Te śmierci naprawdę wstrząsnęły Radfordem, a do tego wczoraj wieczorem ktoś mu się włamał do domu.

Lacey niemal udławiła się swoją enchiladą.

— Naprawdę?

— Nie wie, czego szukali.

— Podejrzewa kogoś? Wzruszył ramionami.

— Radford jest ostatnio dość znerwicowany. Powiedział, że nawet zmienił zamki. Powinien był mnie to zlecić. Ja bym też zmienił kod w alarmie. A zresztą najwyraźniej nic nie zginęło. Tyle że ten ktoś narobił straszego bałaganu.

— Muszę z nim porozmawiać i wyjaśnić to. Nie dam sobie grozić.

— Nie sądzę, żeby ci groził na poważnie.

— Nie byłś przy tym. Muszę z nim porozmawiać. Niedługo.

— Zaczekaj chwilę.

— Vic, mówię poważnie.

— W takim razie pójdę z tobą.

— Nie ufasz mu?

— Może nie ufam tobie.

— Bardzo śmieszne.

Vic nie przeciągał obiadu. Uparł się, żeby nauczyła się strzelać w samoobronie. Ona oponowała, że nie ma pistoletu, a nawet gdyby miała, nie mogłaby go wnieść na teren Dystryktu Kolumbii, gdzie był zakaz posiadania broni palnej, chociaż co drugi dzieciak na ulicy jakąś posiadał. Poza tym gdyby nawet postarała się o jakąś broń, nie mogłaby jej także nosić w torebce w Wirginii, bo nie miała pozwolenia na ukrytą broń. Dał jej wniosek o przyznanie pozwolenia. Wyjaśnił, że w Wirginii prawo do posiadania broni uważa się za jedno z najważniejszych praw, a pozwolenie na noszenie ukrytej broni było dostępne dla każdego obywatela, który przeszedł odpowiednie szkolenie. Gorąco je polecał. Vic nie musiał podkreślać, że została już raz zaatakowana. Ale podkreślił. Przynajmniej mogłaby się bronić we własnym domu. I chociaż było to jasne, przypomniał jej, że drań wiedział, jak ją znaleźć: śledził ją do Dyke Marsh.

Lacey spytała o paralizatory, ale Vic tylko się skrzywił. Czy naprawdę chciałyby dopuścić zabójcę tak blisko do siebie? Potem ona zasugerowała, że derringer byłby mały i wygodny, nie mówiąc już o tym, że uroczy.

— Tylko jeśli obiecasz nosić go w podwiązce, Annie Oakley — odpowiedział.

Strzelnica mieściła się w dużym, pozbawionym charakterystycznych znaków kompleksie magazynów na przedmieściach w hrabstwie Fairfax. Z przodu był sklep sprzedający broń, amunicję i różne akcesoria. Powietrze wypełniała woń prochu strzelniczego — pomyślała, że pachnie tu fajerwerkami. Podpisali zgody, zapłacili za czas i za dodatkowe pudełko naboju kaliber .38, po czym stanęli w drzwiach krytej strzelnicy.

Vic otworzył czarną skórzaną torbę i wyciągnął ochronniki uszu i okulary ochronne. Bez nich nie wolno było wejść na strzelnicę. Przyniósł dodatkową parę dla Lacey.

— Wszystkiego po dwa, co? Ile kobiet zabierasz na strzelnicę, co, Vic?

— Załóż je i już, dobra?

Mówił poważnie. Zastanawiała się przez chwilę, czy może mu na niej naprawdę zależeć. Pewnie raczej nie wierzył, że nie skoczy mordercy prosto pod nos z okrzykiem „Zabij mnie!”. Nałożyli ochronniki i podeszli do strzelnicy. Dźwięk był dla niej ogłuszający, nawet z ochronnikami na uszach, dodała więc do nich miękkie piankowe zatyczki, także od Vica. Vic wyjaśnił przy obiedzie podstawowe zasady etykiety pistoletowej, o czym już zdążyła zapomnieć. Przypomniał jej. Zaczęli od rewolweru marki Smith & Wesson .38, niewielkiego modelu 60. Lacey ulżyło: rewolwery bardziej jej przypominały prawdziwą broń. Mniej lubiła automaty. Pokazał, jak otworzyć cylinder, załadować naboje i zamknąć. Abstrakcyjny protokół broni palnej zaczął nabierać kształtów.

— Każdą broń traktuj jak naładowaną. Znaj swój cel. Wiedz, co jest za nim. Wiedz, w co trafisz, jeżeli nie trafisz, albo jeżeli kula przejdzie na wylot. Nie celuj w nic, czego nie jesteś gotowa zabić. Póki nie jesteś gotowa strzelać, nie kładź palca na cyngiel. — Vic kazał jej to powtarzać jak mantrę.

Najbardziej się bała, że się przed nim wygłupi. W końcu nie byłby to pierwszy raz. Przyczepił tarczę do tarczociągu i wysłał go na odległość jakichś siedmiu metrów, co określił jako „odległość towarzyską”.

Wycelowwała w sylwetkę mężczyzny z czerwoną kropką na środku głowy i na środku klatki piersiowej. Modliła się, by nie trafić w podłogę, sufit albo własną stopę. Albo Vica. *Cóż...*

Objął ją za ramiona, kładąc ręce na jej dłoniach, żeby zademonstrować właściwą pozycję trójkąta równoramiennego. Ich ochronniki słuchu zderzyły się ze sobą. Skupiła się, wycelowwała, skoncentrowała się na górnej czerwonej kropce, wstrzymała oddech, a w końcu przycisnęła spust. Odrzut ją zaskoczył, szarpiąc ręce i ramiona w tył. *W telewizji nikt nie ma problemów z odrzutem!*

— Jak mi poszło? — Musiała krzyczeć.

— Zrobiłaś mu dziurę w uchu.

— Nieźle! — Trafiła w cel i niemal trafiła pana Czerwoną Kropkę w głowę. Na końcu sesji z kalibrem .38 wystrzelała cały zapas naboji, a jej strzały zbierały się mniej więcej tam, gdzie

zamierzała. Porobiła dekoracyjne dziury w różnych wrażliwych częściach ciała pana Czerwonej Kropki.

Przeszli do strzelania jego zmodyfikowanym półautomatycznym coltem .45, który z początku niemal przewrócił ją na pupę. Odrzut był mocny, ale broń pewna i skuteczna. W końcu Vic wyciągnął swojego dziewięćmilimetrowego glocka. Nie podobał jej się jego ponury, czarny, plastikowy styl. Ale mogła nim strzelać.

— Cholera, Lacey. Chyba masz do tego dryg — orzekł Vic. — Łapiesz niezły rytm i nie szarpiesz. Jak myślisz?

— Myślę, że jeżeli się na mnie rzuci facet z czerwoną kropką na głowie, już po nim. Tylko co, jeżeli nie zrobi sobie czerwonej kropki?

Podał jej smitha & wessona .38 i patrzył, jak go czyści, ładuje i rozładowuje, żeby zademonstrować swoją nową wiedzę. Dał jej rewolwer i kaburę, mimo protestów. Była to pożyczka i mogła go używać, jak długo chciała.

Potem wpadli na chili do kafejki Ciężkie Czasy w Old Town. Oboje zamówili teksańskie ze wszystkimi dodatkami i piwo Lone Star. Marty Robbins śpiewał z szafy grającej o El Paso, a Vic czytał naklejkę na Lone Star.

— Vic, co ci chodzi po głowie?

— Myślę, że powinnaś się starać nie łądować w kłopoty.

— Ciągle się wściekasz o ten artykuł.

— To był tani wyskok i do tego niebezpieczny — odparował.

— Angie nie żyje. Tammi nie żyje. Radford ostrzega, żebym już o nich nie pisała, a potem ktoś na mnie napada. Mam nie mówić światu, że grasuje morderca?

— Przepraszam. Coś jeszcze? — Kelnerka rzuciła przyjazny uśmiech przystojnemu Donovanowi, który poprosił o rachunek. — Zaraz przyniosę. — Była najwyraźniej fachowcem i rozmowa o mordercach nad talerzami chili w ogóle jej nie wzruszyła.

— Poddaję się. Jak mamy popchnąć to śledztwo dalej? — spytała Lacey.

— Chcesz je popychać, aż sama zginiesz?

— Miałam nadzieję uniknąć tej możliwości.

— To nie Dodge City, Lacey. Ani nawet Sagebrush. Słuchaj, zgłosiłaś policji, co trzeba, jak dostanę raport o plamach krwi na zdjęciach, dam znać, komu trzeba.

— Ho-ho, komu trzeba! To na pewno ograniczy przestępczość. To kiedy zamierzasz uruchomić oddział specjalny?

— Jak cię odwiozę do domu. Ale ty się do tego nie będziesz mieszać. Jasne?

— O nie, ja jadę do Radforda. Jego adres jest w książce telefonicznej.

— Nadal się upierasz przy tych głupotach? — Nie ustąpiła. — Okej. Zadzwoń.

— Myślisz, że jest niebezpieczny?

— Nie. Boję się, że urwiesz mu głowę.

— Pochlebiasz mi.

■ ■ ■

Vic zorganizował Lacey spotkanie z Radfordem wieczorem tego samego dnia, o ósmej w głównej siedzibie Stylettos. Zajeżdżając na firmowy parking, ostrzegł ją:

— Bądź grzeczna. I nie chcę widzieć nic z tego w gazecie.

— Ha! To lepiej czytaj „Posta”. — Nie chciała mu mówić, jak bardzo ma dość pisania o Stylettos. Powoli wysiadła z jeepa. Był to długi, męczący dzień, do tego nie mogła wyrzucić z głowy wizji Josephine witającej się z Vikiem. Nie mówiąc już o produkowanych przez jej wyobraźnię scenach rozgrywających się po tym, jak była pani Radford zamknięta za nimi drzwi. Powstrzymanie się od pytania go o to zaczynało być trudniejsze niż zapytanie.

Vic otworzył frontowe drzwi biurowca. Akurat ruszyli w górę schodów, kiedy usłyszeli kobiecy krzyk. Vic ruszył w górę, przeskakując po dwa stopnie. Lacey deptała mu po piętach. Skręcili za róg z elegancko urządzonej recepcji gabinetu Boyda, gdzie wrzeszczała histerycznie Josephine. Boyd Radford leżał na wznak na stoliku do kawy, z dłonią zaciśniętą na brązowej rzeźbie przedstawiającej suszarkę do włosów. Miał poderżnięte gardło. Krew spływała na podłogę. Lacey zauważyła, że włosy ma gładko

szesane do tyłu, żaden kosmyk nie zmieniłby położenia. Oczy miał otwarte, a Lacey stłumiła własny krzyk i siłą woli uspokoiła burzący się żołądek. Nie będzie wymiotować, zwłaszcza gdy Josephine wyła jak zarzynane prosię.

Chociaż wydawało się to bez sensu, Vic sprawdził puls Rad-forda. Spojrzał na Lacey i pokręcił głową. Sięgnął do kieszeni po komórkę.

— Możesz coś z nią zrobić? — wskazał na Josephine.

— Myślałam, że to twoja działka.

Jednak Lacey chwyciła Josephine za ramiona i potrząsnęła nią. Kobieta nie mogła się wziąć w garść. Lacey zaskoczyło, że widzi władczą Francuzkę w takim stanie, z rozmazanym makijażem, kosmykami wiszącymi z francuskiego koka.

— Zabierz ją stąd. I niczego nie dotykaj — warknął Vic.

— Myślisz, że nie oglądam telewizji?

Josephine dopiero teraz zauważyła Vica i chwyciła porzuconą na podłodze torebkę, zanim Lacey zdołała bezpiecznie wyprowadzić ją do recepcji.

— *Mon Dieu*, co za bałagan. Jak ja wyglądam — wymamrotała Josephine.

— *Merde, merde, merde*. — Wyciągnęła lusterko i aż jęknęła na widok swojego odbicia. Potem usiadła na skórzanej sofie i zabrała się za naprawianie szkód. Lacey obserwowała, jak Francuzka za pomocą delikatnej chusteczki ociera łzy. Wyjęła mały słoiczek kremu i delikatnie wklepała go w twarz, następnie leciutko nanosząc korektor. Odświeżyła szminkę i róż, po czym fachowo rozczesała i upięła włosy. Jej oczy wciąż lśniły od łez. Cały czas paplała.

— Przyszłam tylko rzucić okiem na Boyda. Ostatnio nie był sobą. Trudno go było złapać. Chciałam obgadać z nim rodzinne sprawy. Nasz podział majątku. Nie było go w domu, więc przyszłam tutaj, weszłam tamtymi drzwiami i tak go znalazłam. Straszne.

— Dotykała go pani?

— Dotykała? — Josephine zadrżała. — Kiedy tak wygląda? Lacey musiała się zgodzić, że nie było to pociągająca koncepcja.

— Żeby sprawdzić, czy żyje?

— Nie. Nie wydawało mi się, że mógłby być żywy. Jego gardło... — Josephine umilkła i po raz pierwszy spojrzała na Lacey. — Co pani tu robi?

— Byłam umówiona z Boydem.

— I przyjechała pani z Victorem? — Pieściła jego imię, ale jej oczy zmrużyły się niemiło.

— Owszem. — Lacey nie była przekonana, czy Josephine mówi prawdę, ale w jej myśli nagle wtargnęły syreny policyjne. Najpierw pojawili się mundurowi, potem karetka i detektywi. Zabrali Josephine do salki konferencyjnej i zamknęli drzwi. Tego wieczora Lacey jej więcej nie zobaczyła.

Udział samej Lacey w policyjnym śledztwie ograniczył się do krótkiego oświadczenia i długiego czekania na Vica, w trakcie którego zadzwoniła z budki na zewnątrz do Tony'ego „Będę za dwadzieścia minut” Trujilla, który nie odbierał komórki. Nie nagrała się, ale zamiast tego zadzwoniła z cynkiem na nocny dyżur w „Eye”. Wiedziała, że jej nie dadzą napisać głównego artykułu o śmierci Radforda. Swoje uwagi zachowa dla własnej rubryki.

Kilka godzin później Vic odwiózł ją do domu. Nie mieli sobie nic do powiedzenia, oprócz kilku uprzejmych życzeń dobrej nocy. Lacey w żadnej mierze nie obwiniała siebie za to, że ostatnio ilekroć są z razem, ktoś musi zginąć. Ale miała wrażenie, że on tego tak nie widzi.

Rozdział 24

Kiedy trzy znajome osoby w stosunkowo krótkim czasie żegnają się z tym światem, inni w końcu to zauważą. Nawet dziennikarze.

Ktoś sporządził wielki znak ostrzegawczy i powiesił nad biurkiem Lacey. Jaskrawo pomarańczowe litery, obrysowane na czarno, ogłaszały:

Uwaga: Moda może być niebezpieczna dla zdrowia. Na „krześle śmierci” siedziała czaszka w berecie ze spinką ozdobioną kryształkami i napisem: Ta działka mnie zabiła! Możesz być następna! — Mariah.

Zajrzała Felicity w za dużym fartuszku w czerwoną kratę, białej bluzce z kołnierzykiem, podkolanówkach i mokasynach. Był to bardzo ładny strój, ale dla drugiej klasy podstawówki. Zachichotała:

— Gdzie nie pójdziesz, Lacey, padają trupy. *Gdyby wzrok mógł zabijać...*

— Podejź bliżej. Kto następny?

— Jesteś taka zabawna, Lacey. Uważaliśmy wszyscy, że ten atak, włosy i w ogóle to koszmar, ale masz teraz śliczną fryzurę — zachwycała się. — Dużo bardziej mi się podoba.

Trujillo musiał wypaplać. Nawet o włosach im powiedział. Wiedziała, że w biurze będzie ciężko, ale nie miała wyjścia i musiała się z tym uporać. Aby dodać sobie odwagi, założyła szafirowy kostium, kiedyś ulubiony przez Mimi. Żakiet miał bufiaste ramiona, wciętą talię i perłowe guziczki. Wąska spód-

niczka kończyła się tuż pod kolanami i miała po bokach zaszyte fałdy. Włosy odgarnęła do tyłu i upięła szylkretowymi grzebykami. Ogólne wrażenie było w stylu komiksowej Brendy Starr z lat czterdziestych — kobiety, która nie daje sobą pomiatać. Przynajmniej taką miała nadzieję. — Może jesteś chodzącym ryzykiem zawodowym — zauważyła Felicity. — Coś roznosisz, wiesz? Jak wirusa. — Och, Felicity, ale ty masz jęzor. — Lacey wolałaby czuć się trochę bardziej niebezpieczna, to by jej dodało odwagi. Jej towarzysze w sali redakcyjnej jak jeden mąż chcieli poznać odpowiedzi na pięć podstawowych pytań dziennikarstwa: kto, co, gdzie, kiedy i dlaczego. I chcieli tego teraz, zaraz. Nie mogła mieć im za złe ciekawości. Ale miała. Przez salę rzuciła złowrogie spojrzenie Tony'emu. Zrobił skruszoną minę. — Z tym wystrojem nie miałem nic wspólnego, Lacey, przysięgam. — Napisał już jednak tekst o zabójstwie Radforda, jak również o napadzie na nią w Dyke Marsh. Na szczęście historia fryzury została upchnięta w środku działu informacji, na dole strony koło reklamy opon. — Co to jest? — spytała, unosząc artykuł o Radfordzie. — Wziąłem trochę tła z twoich tekstów i te historie z Dupont Circle i Virginia Beach, żeby pokazać powiązanie z Radfordem. Dwie martwe kobiety. Ich szef zostaje zamordowany. Przypadek? W trzecim akapicie powołuję się na ciebie wprost. — Dzięki, Tony. — Wiedziała, że nie pozwoliliby jej pisać o śmierci Radforda. To była działka Trujilla, ale i tak ją to drażniło. Wyruszyła na poszukiwanie naczelnego. — Mac, musisz mi odpuścić tę działkę mody. Przynosi pecha. Widziałeś moje biurko? Nawet dziennikarze uważają mnie za publiczne zagrożenie. — Próbuje dalej, Smithsonian — odparł Mac. Zauważyła, że dzisiaj nawet nie był ubrany w nic zabawnego. Wyglądał całkiem nieźle. Ciemnoniebieskie spodnie, biała koszula, stonowany krawat. *Żona musiała go ubrać*. Mac zaprosił Lacey i Trujilla do gabinetu. Powstrzymał się od komentowania jej grzywki. Trujillo

wyglądał niezwykle poważnie, miał na sobie czarny T-shirt, czarną skórzaną kurtkę, czarne dżinsy, czarne wysokie buty.

Mac zamknął drzwi. *Co znowu zrobiłam, zastanawiała się Lacey. Wyleje mnie?*

— Usiądź, Lacey. — Był to rozkaz, ale została na stojąco. — Po pierwsze, chciałbym, żebyś wiedziała, że „Eye Street Observer” wymaga od swoich dziennikarzy wiele, ale nie żeby ryzykowali własnym życiem dla tekstu.

Chyba że to coś naprawdę gorącego, pomyślała Lacey.

— Jeżeli spodziewałaś się kłopotów, powinnaś była komuś powiedzieć, mnie albo Tony'emu — mówił Mac. Wystukiwał ołówkiem rytm na blacie biurka.

Lacey wzruszyła ramionami.

— Jak miałam przewidzieć pułapkę na ścieżce rowerowej? Groźby przyszły tylko tu, do gazety.

— Groźby? Więcej niż jedna?

— Włosy i list, przecież wiesz. — Nie powiedziała mu o groźbach Radforda, które miały miejsce po pracy w piątek. Teraz nie wydawało się, żeby warto było o nich wspominać. Minę miał podejrzliwą, ale dał spokój.

— Kiedy ten facet cię zaatakował, dlaczego od razu do mnie nie zadzwoniłaś?

— Trujillo miał tekst pod kontrolą. Wiedział o wszystkim niemal przede mną.

— Ja nie mówię o tekście, do jasnej anielki! Nie przyszło ci nigdy do głowy, że może mnie obchodzi, czy moi dziennikarze żyją, czy nie? Nie przyszło jej to do głowy. Ona była dziennikarką, on naczelnym, nie mieli wspólnego gruntu.

— Nie — powiedziała. Potarł kark i popatrzył na nią ponuro.

Zastanawiała się, o co mu tu chodzi. — Pewnie byłoby dość głupio stracić kolejną dziennikarkę od mody po Mariah. Ale zawsze mógłbyś wziąć wędkę i złapać jakąś na ulicy.

Mac warknął i trzasnął pięścią w biurko.

— To nie jest śmieszne, Smithsonian. Bardzo się niepokoję! O ciebie! Dwie kobiety nie żyją. Na ciebie ktoś napadł. A potem

ten cały Radford dał się zabić we własnym biurze. Gdzieś w tym wszystkim jest jeszcze zaginiony film i federalny świadek. Policja twierdzi, że może zaskoczył włamywacza, ale wszyscy wiemy, że jak na jeden głupi salon fryzjerski to okropnie dużo przypadków.

— Ale nie jak na Waszyngton — odparła Lacey. — I jakie znowu włamanie? — Widziała tylko nagłówek. Vic nic nie wspominał o włamaniu. Ale, oczywiście, była tam Josephine, więc kto wie? Mac pokazał jej egzemplarz najnowszego wydania.

— Powinnaś wiedzieć jeszcze o czymś — dodał. — Mamy wyniki badań DNA. Tony twierdzi, że laboratorium złamało dla niego własny rekord szybkości. Zgadza się. — Mac przesunął palcem po kawałku papieru.

Popchnął go w stronę Lacey.

Gwizdnęła.

— Czyli to naprawdę były włosy Angeli Woods. — *Oczywiście, że były Angie. Jakże by inaczej.* Wydawało się, jakby od piątku nie miała chwili odpoczynku. Weekend był wypełniony wydarzeniami: atak, nowa fryzura, śmierć Radforda, wykład i lekcja na strzelnicy. *Kilka lekcji,* poprawiła się Lacey. Ale to byłaby niesamowita historia na pierwszej stronie, z nazwiskiem Lacey Smithsonian.

— Tak powiedzieli. Lacey opadła na krzesło.

— To takie głupie. Wysłać te włosy. Facet nie ogląda telewizji?

— Gliny powiedzą, że samo w sobie to niczego nie dowodzi — włączył się Tony. — I to prawda. Mogą być sprzed lat. Nie wiadomo, jak znaleźć drania, który je wysłał.

— Oczywiście poinformujemy policję metropolitalną o tym, co mamy. Tak przez grzeczność — dodał Mac. — Podziękują nam i więcej o tym nie pomyślą. Odpowiedź policji, lub jej brak, powinna być w tekście odpowiednio podkreślona. Damy w ramce na pierwszej stronie.

— A co z FBI? — spytała Lacey. Mac prychnął.

— Niech sami do nas zadzwonią.

Zaczęło do niej docierać, jaki to będzie wielki temat. Zapanowała chwila ciszy.

Lacey wstała.

— No, dzięki za informacje, panowie. Mam robotę. — Jej myśli pędziły jak szalone. Na początek musiała zadzwonić. -Jaki mam termin?

Mac odchrząknął.

— Nie ty. To będzie dla Tony'ego. Ty masz modę, Lacey, nie policjantów i złodziei. Nie morderstwa. — Tony odwrócił wzrok, gdy na niego zerknęła. Dokładnie tego się bała. Zamierzali wyciągnąć jej dywan spod stóp. *Ale dranie*, pomyślała. *Ja już zapłaciłam za wstęp*. — I, Lacey, jeżeli pojawi się cokolwiek nowego

o tym mordercy od włosów, albo o Boydzie Radfordzie, idzie do Tony'ego. W końcu od lat zajmuje się policją.

— Mac, posłuchaj, to jest kompletnie nie fair. To mnie grozili śmiercią! Ja powinnam dostać tekst — zaprotestowała Lacey. — To ja dostałam włosy.

— Tak, to tobie grozili śmiercią! — Mac wyglądał, jakby był gotów przeskoczyć biurko w jej kierunku. — I właśnie dlatego zabieram ci temat. Nie mam ochoty wystawiać cię na linię ognia.

— Nie wygłupiaj się. Jestem dziennikarką.

— Bez narzekań, Smithsonian. Życie jest niesprawiedliwe. Mówię poważnie. Trzymaj się mody i z daleka od kłopotów.

— Jutro jest pożegnanie Boyda Radforda. Muszę tam być. — Stella już do niej dzwoniła przy śniadaniu z pełnym raportem.

Mac był nieugięty.

— Weź na wstrzymanie. To działka Tony'ego.

— Ale ja znam wszystkich graczy. Fryzjerzy mają do mnie zaufanie. Mogę poskładać wszystko do kupy. - *Z odrobiną pomocy, dużą dawką szczęścia i może Boską interwencją*.

— To powiesz o tym Tony'emu — zdecydował Mac. Rzuciła każdemu z nich zatrute spojrzenie. — Spokojnie, Lacey. Pewnie jesteś w szoku albo coś. Napisz do swojej rubryki, coś śmiesznego i lekkiego.

Coś lekkiego. Jakby mogła przyrządzić humor niczym suflet, leciutki, puszysty, piankowy. *Tak o mnie ciągle myślicie?* Patrzyła na niego groźnie.

— Będzie o wielkogłowym Tedzie, starszym senatorze z Massachusetts — powiedziała Lacey, skupiając się na jednym ze swoich ulubionych kozłów ofiarnych. — Może o tym nie wiecie, ale krawiec Kennedy'ego musi być najmądrzejszym człowiekiem w Waszyngtonie i zasłużył sobie na jakieś uznanie. Sprawienie, że z tą wielką głową Ted wygląda niemal po ludzku, to istny cud. — Wyżywanie się na czcigodnym senatorze było najlepszym sposobem na wkurzenie Maca, a ona była w bojowym nastroju. — Gdyby Ted kupował swoje garnitury w normalnym sklepie, wyglądałby jak te laleczki z główką na sprężynie. Z siwymi włosami. Mac kochał Kennedy'ów tak samo, jak kochał swoje stare sztruksowe marynarki. Niezależnie, jak postrzępione miały brzegi, ile brudu skrywało się głęboko w kieszeniach, wierzył, że są zawsze w porządku. Nie uważał, aby w jednych albo drugich było cokolwiek śmiesznego. Często pozwalał Lacey się wygadać, ale kategorycznie nie zgadzał się na drwienie sobie z Kennedy'ów.

— Rany boskie, Lacey, czy biedni Kennedy'owie nie nacierpieli się dość? — Nie jestem sprawiedliwa. Krawiec Teda Kennedy'ego zasługuje na Nobla. Człowiek, który jest w stanie rozwiązać problem jego miniaturowego torsu, powinien się wziąć do sprawy długu państwowego. — Zostaw biednego Teddy'ego w spokoju. Mówię o tej charytatywnej imprezie Rozpalmy Miasto w środę. Miałem już parę telefonów. Akurat coś dla ciebie. — Mac nie wspomniał o drobiazgu, że telefony były daremnymi prośbami o to, by „Eye Street Observer” przysłał kogokolwiek, byle nie „tę całą Smithsonian”, która pisała *Zbrodnie w modzie*. Mac miał to gdzieś. — Jesteś wkurzona. To dobrze. Wyżyj się na nich. Dokop im.

Pomaszerowała z powrotem do swojego biurka, z miną jak gradowa chmura. Co gorsza, na poczcie głosowej znalazła nagranie od Vica z informacją, że ma zakaz wstępu na ceremonię pożegnalną Radforda. Ale mylił się. To była jedyna ceremonia, na którą zamierzała się dostać, tak albo inaczej. Zakaz wstępu na uroczystość sprawił, że poczuła się jak prawdziwa waszyngtońska dziennikarka. A jeszcze lepiej, jeśli ją wyrzuca.

Ostatnie, na co miała ochotę, to myślenie o głupim pokazie mody. Obawiała się tego od tygodni, odkąd Polly Parsons zaczęła zawracać jej głowę, żeby napisała o udziale Stylettos w tym całym cyrku. Od połowy kwietnia, czyli niemal od trzech tygodni, pisała niemal wyłącznie o Stylettos. *A teraz straciłam temat, w który się wgryzłam - i mam nadzieję, że drań będzie musiał się zaszczepić na tęzec.*

Charytatywny pokaz mody reklamowano jako „Rozpalmy Miasto — niech w stolicy zaiskrzy”. Stylettos nadal zajmowało się fryzurami, ale Polly Parsons jakoś przestała odzywać się do Lacey i najwyraźniej usunęła *Zbrodnie w modzie* z listy wysyłkowej.

Telefony z błaganiami były od rozmaitych podwładnych Beth Ann Woodward, która szefowała pokazowi. Była zdecydowana, że nic nie zepsuje jej charytatywnej imprezy, jej chwili sławy, a już na pewno nie negatywna prasa o jakichś całkowicie nieważnych fryzjerkach ze skłonnościami samobójczymi, a teraz także o zgonie obleśnego właściciela Stylettos. Sprawę jeszcze pogarszał fakt, że pani Woodward przyjaźniła się z Josephine Radford, która najwyraźniej miała przyjaciół wszędzie.

Lacey знаła Beth Ann Woodward. Była to jedna z tych waszyngtońskich blondynek, które ludzie z uporem określają jako piękne. Wiele z nich dobrze wychodzi za mąż, za senatorów lub nawet sekretarzy stanu. Bez fryzury jak hełm w kolorze blond, kostiumów od Chanel i dzianin od St. Johna, Beth Ann przypominałaby do złudzenia któregoś z Mupetów.

Ale Beth Ann Woodward nie była głupia. Tylko tego ranka wzięła swój biało-złoty telefon we francuskim stylu i osobiście zadzwoniła do redaktora naczelnego Lacey. Jej podwładni nie wykonali zadania. Była czarująca, zatroskana i szczerą. Miała specjalną prośbę, żeby „Observer” wysłał jakiegoś innego dziennikarza, jakiegokolwiek innego dziennikarza, na pokaz mody. Kogoś bardziej wyrozumiałego. To rozśmieszyło Maca. Wyobraził sobie, że wysła Trujilla, albo kogoś z działu sportowego, czy którąś z primadonn od polityki, do wyprodukowania artykułu

o ubraniach szytych na miarę. Może Felicity Pickles mogłaby zrecenzować przystawki.

— To jest charytatywna impreza, panie Jones, panie Macu — prosiła przewodnicząca. — Pan też mógłby okazać trochę dobroczynności. Mac parsknął śmiechem. Bogaci nie mogą liczyć na miłosierdzie — wszyscy o tym wiedzą. A już zwłaszcza nie ze strony Czwartej Władzy, która mianowała się rzecznikiem zwykłego człowieka.

Mac poinformował Beth Ann, że jeżeli taka jej wola, może zakazać pani Smithsonian wstępu na pokaz. W takim przypadku Lacey mogłaby śmiało napisać o tym, jak waszyngtońscy jaskiniowcy nie wpuścili jej na pokaz, a potem pewnie i tak nie zostawiłaby na nim suchej nitki. Beth Ann wycofała się z wdziękiem.

— Nigdy nie zadzieraj z ludźmi, którzy kupują papier na tony i atrament na beczki — mruknął do siebie. Było to jego ulubione powiedzenie. Miał je na ścianie, oprawione w ramkę.

■ ■ ■

— Ale Lacey, to jest kategoriyczny rozkaz Josephine. Dotyczy ciebie i ceremonii pożegnalnej. Obdarłaby mnie ze skóry!

— Muszę tam być, Stello. — Lacey mocniej przycisnęła słuchawkę.

— Lacey, lód jest naprawdę cienki.

— Morderca idzie naprzód. Dopadł Angie. Dopadł Tammi. Dopadł Szczurka. Prawie dopadł mnie. Mogłabyś być następna.

— To nie fair. Ja mam krótkie włosy!

— Szczurek miał łysinę. To go nie uratowało. — Lacey zrobiła efektowną pauzę. — Słuchaj. Nikt się nie dowie, że tam jestem. Z twoją pomocą, oczywiście. Jesteś cudotwórczynią, Stello.

— Co proponujesz? — Stella przestała żuć gumę.

— Masz szansę naprawdę mnie przerobić. — Lacey z zadowoleniem odłożyła słuchawkę. Niebo, podobnie jak mina Maca, wyglądało groźnie. Mac był istnym okiem cyklonu. Wrzeszczał akurat za coś tam na Petera Johnsona. Lacey złapała

swój ciemnozielony płaszcz od deszczu i parasolkę w ciemną szkocką kratę i czekała na właściwy moment.

W ramach misji pokojowej Felicity poczęstowała Maca i Petera ciasteczkami z czekoladą z wielkiego talerza, który przyniosła z domu. Mac wziął trzy, spróbował jedno i dołożył sobie. Felicity była tak zadowolona, że sama pokusiła się o jeszcze jedno. Mac odwrócił głowę, gdy Lacey szybko przemaszerowała przez salę. Ale zniknęła, zanim zdążył przełknąć ciasteczko.

Ominęła palaczy zaśmiecających wejście do budynku, próbując wstrzymywać oddech przy przechodzeniu przez tę strefę raka. Po toksycznym korytarzu maszerowała właśnie grupka dzieci z sąsiedniego żłobka. Dwanaście maluchów trzymało się obiema rączkami dwóch lin, drepcząc gęsiego pod opieką trzech dorosłych kobiet. Jeden chłopczyk z kręconymi włoskami wrzeszczał z oburzeniem. Nie dziwiła mu się. Godzinę później Lacey spojrzała w lustro na kobietę w krótkiej kasztanowej peruce, przypominającej bardzo Claudette Colbert w filmie *Ich noce*. Nowa, ciemnoczerwona szminka i mocny makijaż oczu nadawały jej zdecydowanie cudzoziemski charakter. Namówiła też Stellę na ubranie jej w czarny kitel Stylettos. Dodała beret i okulary przeciwsłoneczne. *Nieźle*, pomyślała.

— Własna matka by mnie nie poznała. I tak jej się to zdarza.

— Sama bym cię nie poznała. Mogłybyśmy ci tak obciąć włosy. Podoba mi się. Jak milionerka, co uciekła z domu, wiesz?

W poniedziałki ruch był niewielki, salon świecił pustkami, Stella i Michelle, która pomagała w transformacji, były same do pierwszej.

— Żadnego strzyżenia! W tej chwili sama koncepcja strzyżenia nie działa na mnie najlepiej.

— Ale pójdziecie tak na pogrzeb może być ryzykowne. A jeżeli Josephine cię pozna?

— Stella, tam będzie co najmniej setka fryzjerek z całej firmy — zauważyła Michelle. — A Josephine nie traci czasu na patrzeć na kobiety. Woli mężczyzn.

— Tak, jak na przykład Vica Donovana. Lacey nie złapała przynęty.

— Nie z takich miejsc mnie wyrzucali. Ryzyko zawodowe.

— No, tylko się tam nie odzywaj. Głosu ci nie zmienię. I obiecuję, że wszystko mi powiesz, Lacey, wszystkie wskazówki, kiedy już je znajdziesz. Naprawdę myślisz, że ten świr tam będzie, tak?

W głosie Stelli było tyle nadziei, że Lacey nie miała serca wypowiedzieć swoich głębokich, dołujących wątpliwości.

— Stella, sama mi mówiłaś, że zabójcy zawsze przychodzą na pogrzeby. Może będziemy mieć szczęście.

— Byle nas nie zamordował.

Rozdział 25

Podczas ceremonii pożegnalnej Boyda Radforda w powietrzu wisiała atmosfera oczekiwania. W słoneczne wtorkowe południe, o jedenastej, małych czarnych było pod dostatkiem, co tworzyło surrealistyczny klimat przyjęcia koktajlowego. Lacey nie wiedziała, czy zdaniem fryzjerek, był to odpowiedni strój na pogrzeb, czy po prostu świętowały zejście Radforda, ale podobała jej się owa nie do końca waszyngtońska atmosfera.

W tym domu pogrzebowym czuła się już jak u siebie, tutaj po raz ostatni widziała Angelę Woods, kilka krótkich tygodni przedtem. W odróżnieniu od Angeli, Boyd Radford nie został wystawiony na widok publiczny. Jego ciało, wydane przez patologa sądowego, skremowano jak najszybciej, na prośbę spadkobierców. Mniej więcej trzy i pół kilo jego cielesnych resztek przebywało w plastikowej torbie w pustym kartonie po szamponach, póki Josephine nie wybierze gustownej srebrnej urny. Na razie tkwił w bagażniku swojego dawnego jaguara, obok swoich dawnych kijów golfowych.

Wielu fryzjerów było rozczarowanych takim obrotem spraw. Chcieli go zobaczyć martwego, albo przynajmniej widzieć uspokajającą obecność trumny. Zamiast tego żałobnikom rozdano broszurę zatytułowaną *In memońam*, zawierającą ostatnie profesjonalne zdjęcie Radforda, niestety, podkreślające jego podobieństwo do gryzonia, spis osiągnięć, słowa od bliskich, a także listę

dwudziestu pięciu salonów, razem z numerami telefonów, prawdopodobnie w celu przyczepienia do lodówki, na wszelki wypadek. Była zdziwiona, że nie dołączono firmowego magnesu na lodówkę Stylettos w kształcie logo z nożyczkami w butach na obcasach.

Lacey stała w tyle kaplicy, ze Stellą z jednej strony i Michelle z drugiej. Peruka była jak czepek kąpielowy z włosami i było pod nią gorąco. W stroju złożonym z czarnego beretu, kitla Stylettos, czarnej spódnicy, rajstop i okularów słonecznych była nie do odróżnienia od kilkunastu innych fryzjerek. Stella i Michelle pilnowały jej, niczym pasterze zaginionej owieczki. Oficjalna historyjka brzmiała, że nowa fryzjerka Stelli, „Claudette”, ma problemy z gardłem i doktor kategorycznie zabronił jej się odzywać. Ile razy to mówiły, Claudette przewracała oczami do nieba, oczywiście za ciemnymi szklami okularów.

Nikt nie pytał, dlaczego ma okulary słoneczne na oczach. Stella też je miała i zachęciła inne dziewczyny do ich nałożenia, co miało oznaczać szczególny szacunek dla Szczurka.

— Pomyślą, że płakałyśmy — wyjaśniła.

— Z radości — dodała Michelle zza swoich raybanów. Wdowa Radford była tak bardzo pogrążona w żałobie, że musiała zatrudnić Vica Donovaną jako ochroniarza. Przynajmniej do chwili złapania zabójcy Boyda. Tak powiedziała Donovanowi i to Donovan powtórzył Lacey, kiedy zadzwonił w poniedziałek, by jeszcze raz podkreślić, że nie jest na uroczystości pożądana, zaproszona na nią ani tam oczekiwana. *Kiedy on się wreszcie nauczy, że mnie nie można rozkazywać?*

Gdy Vie prowadził Josephine alejką, obdarzył Lacey długim twardym spojrzeniem, aż się zdenerwowała. Wydawał się lekko zaskoczony i była rada, że ma te okulary. Vie wzruszył ramionami, a dłoń Josephine objęła jego ramię, ściskając je lekko i z miną posiadaczki. Usiedli w pierwszym rzędzie.

Kruczowłosa pani Stylettos miała na sobie gładką czarną jedwabną sukienkę z kwadratowym dekoltem z purpurowymi wypustkami.

Dopasowany płaszczyk-princeska miał purpurowe pasy u zakończenia szerokich, dzwonołatych rękawów. Josephine

wybrała także dopasowany kapelusik zsunięty na tył głowy, nad gładkim czarnym kokiem. Duże brylantowe kolczyki i prosta obrączka ślubna, wygrzebana na tę okazję z dna skrzynki z biżuterią, były jej jedynymi ozdobami. Uzupełniła strój czarnymi pantofelkami z lakierowanej skóry. Na jej twarzy nie można było dostrzec żadnych wyraźnych śladów łez czy żalu, tylko dostojną powagę. Odgrywała rolę nieutulonej w żalu wdowy tak dobrze, że wspomnienie o rozwodzie byłoby wielkim nietaktem. Całe jej zachowanie sugerowało królową w pełni panującą nad swoim dworem.

— Ona naprawdę wie, jak się ubrać na pogrzeb - przyznała niechętnie Lacey.

— Planowała ten strój od chwili rozvodu - odparła Stella. -Może nawet od ślubu.

Przy prawym ramieniu Joséphine miała Donovana, dodatek idealny. Żal po stracie byłego męża najwyraźniej wymagał obecności wysokiego, przystojnego Vica w charakterze pociechy. Lacey poczuła ukłucie bólu, widząc ich razem. *Lis i pies gończy.*

Wyglądali razem oszłamiająco, Vie miał nawet na sobie świetnie skrojony granatowy garnitur, jasnoniebieską koszulę i stonowany krawat w paski. Nigdy go nie widziała w czymś takim.

Tak czy inaczej, musiała docenić talent Joséphine do trzymania Vica pod kontrolą. Innym kobietom mogło brakować argumentu finansowego/ale ona najwyraźniej nie wstydziła się stosować takiej strategii. *Nie pozwinno potrwać zbyt długo*, uznała Lacey i zrobiło jej się bardziej smutno, niż oczekiwała. Joséphine była starsza od Vica, ale nadal pozostawała uderzająco piękną kobietą. A mimo wszystkich jego policyjnych umiejętności, Vie był raczej naiwny wobec płci przeciwnej. O Lacey w końcu nie wiedział nic.

Zauważyła także Tony'ego Trujilla, który tu reprezentował „Eye Street Observera”. Rozpoznał Lacey bez chwili wahania, uśmiechnął się i pokazał jej uniesione kciuki. Odwróciła wzrok.

Tłum kłębił się bez celu przez jakieś pół godziny. Potem organista zaczął grać, co przywołało zgromadzonych do porządku. Wszyscy usiedli i zaczął się program. Główny księgowy Stylettos, drobny, pomarszczony mężczyzna w wielkich okularach

i z plamami na łysej głowie, rozpoczął od opisu mało znanej działalności charytatywnej Radforda.

— Ulgi podatkowe — mruknęła Stella.

Josephine była najwyraźniej zbyt zdruzgotana, by przemówić do zebranego pospólstwa, które dbało, by jej kasa pozostawała pełna. Ale Beau Radford miał zabrać głos. Stał po lewej stronie Josephine i też się wystroił na tę okazję, w za duży czarny garnitur, który musiał należeć do Boyda. Biała koszula też była za duża — francuskie mankiety, spięte krzykliwymi złotymi spinkami, sięgały mu do kostek palców. Jego jedynym kaprysem był jaskrawy niebieski krawat, na którym widniał znak Supermana. Włosy miał ciągle w kucyk.

— Jego włosy wyglądają ciemniej i gęściej — szepnęła Lacey.

— Tak, musi je farbować. To zwiększa grubość włosa — odszepnęła Stella.

— Wygląda, jakby je podkrecił.

— Może Josephine zrobiła mu trwałą — dodała Michelle.

Josephine poprawiła garnitur Beau, zanim ten wstał, by przemówić.

Nieprzyjaźnie spojrzała na jego krawat. Szepnęła coś po francusku, ale on się najwyraźniej nie przejął.

Łagodny Beau poinformował zebranych, że przejmie kierowanie firmą wspólnie z matką, zgodnie z zapisem testamentu. Zapewnił, że ojciec byłby z niego dumny. Cicho zszedł z podium akurat w chwili, gdy do sali wpadł Leonardo, który wyglądał jak dzikus. Jego twarz była obrzmiała, oczy czerwone, strój w nieładzie, włosy splątane i przepocone. Narzucił brudny czarny trencz na czarny T-shirt i pogniecione czarne dżinsy. Stella rzuciła mu groźne spojrzenie, gdy padł na krzesło koło nich.

— Leo, spóźniłeś się i wyglądasz koszmarnie! Co się z tobą dzieje? — szepnęła. Leo obojętnie zerknął na Lacey.

— Co się dzieje? Właśnie siedziałem cztery godziny na przesłuchaniu u pieprzonych glin! — Jego głos był donośny, kilka rzędów żalobników obejrzało się na niego. — Myślę, że to byłem ja. Myślę, że zabiłem Boyda! — Głos Leonarda był coraz wyższy i głośniejszy. Jego akcent wrócił do korzeni. Nie był to już spokojny, profesjonalny Leonardo, fryzjer-gwiazdor, ale

zdesperowany Leonard Karpiński z Queens w stanie Nowy Jork. Teraz wszyscy zwrócili na niego uwagę, ludzie zaczęli wstawać i wyciągać szyje, żeby lepiej widzieć.

— Ale dlaczego tak myślą? - spytała Claudette, zapominając o gardle.

— A skąd mam do cholery wiedzieć? Bo gliny to kretyni! Donovan przebił się przez salę niczym lokomotywa. Chwycił Lea za ramię i postawił na nogi.

— Miałeś się nie pokazywać. - Tuż za nim stało dwóch gliniarzy z Arlington w cywilu, a dwóch pracowników Vica ustawiło się tak, by zasłonić Joséphine.

— Nie możecie mnie nie wpuścić! Tu jest moje miejsce.

— Chcesz, żeby wszyscy usłyszeli, jak cię wczoraj wylali? — Głos Vica był niski i niebezpieczny. Przez tłum przetoczyła się fala podniecenia.

— Wylali? — wyrwało się Stelli. — Leo, dlaczego?

— Leo wie, dlaczego - warknął Vie.

— Mogę wytłumaczyć to gównu z magazynem szamponu. Joséphine! Muszę porozmawiać z Joséphine. Wie, co się tam działo. Joséphine, musisz mi oddać moją pracę! — Leo próbował wyrwać się Vicowi, ale ten siłą wyciągnął go z sali.

— To szaleństwo. Zaskarżę was! Pożałujesz. Joséphine, musisz im powiedzieć! - Gliny z Arlington zamknęły za sobą drzwi kaplicy, ale Leonardowi udało się zepsuć cały program. Vie wrócił sam i organy znowu zaczęły grać. Za późno. Tłum był na nogach. Nic już ich nie posadzi z powrotem na krzesłach.

— Czyli to Leo był szamponowym bandytą? — szepnęła Lacey do Stelli, zagłuszana przez podekscytowany szum. — Vie musiał go przyłapać i Radford go wylał. Ale co ma z tym wspólnego Joséphine?

— A z czym nie ma czegoś wspólnego? Myślisz, że Leo zabił dla niej Boyda? - odparła Stella. - Rany, nigdy nie uważałam Lea za głównego podejrzanego.

Tajemniczy George nie pojawił się, w każdym razie nie pod tym imieniem. Stella sprawdziła podpisy w księdze kondolencyjnej przy drzwiach. *Czy Leonardo mógł być George'em*, zastanawiała

się Lacey. *Ale dlaczego Leonardo miałby chcieć kupować długie włosy? I co z kasetą?*

Jako że ceremonia zakończyła się przedwcześnie, Lacey miała oko na Vica i Joséphine, która z kolei nie odrywała błagalnego spojrzenia od Donovana. Lacey mogła tylko zgadywać, co do niego mówi tym melodyjnym głosem z francuskim akcentem. Coś w rodzaju: Nie możesz zostawić mnie samej, ty wielki, przystojny Amerykaninie, tak się boję. Kochaj się ze mną.

We francuskich filmach seks jest sposobem na wszystko, rozpaczała Lacey. Straciła ich z oczu, kiedy ze Stellą dały się wynieść tłumowi z kaplicy do holu, z którego drzwi prowadziły do różnych salek. Zapach kwiatów mieszał się z woskową śmiercią, a duże wiatraki dbały o to, by powietrze nie przestawało krążyć.

— Idziesz na przyjęcie, Claudette? — spytała Stella. — Masz na to siłę?
— Jak na razie wszystko w porządku. Wezmę swój samochód i spotkamy się...

— Mógłbym zobaczyć pani zaproszenie, Claudette? — Vie z tyłu zacisnął dłoń na ramieniu Lacey i twardo poprowadził ją z dala od pozostałych.

— O kurczę! — pisnęła Stella. — No to koniec! Zaciągnął ją do jednego z mniejszych pomieszczeń dla rodziny.

Było puste, nie licząc jednego lokatora, starszego pana w trumnie. Strząsnęła rękę Vica i potarła ramię.

— Auu. Ty brutalu. Zachowaj to sobie dla Lea.

— Nie mogę uwierzyć, że zrobiłaś taki numer! Powiedziałem ci wyraźnie, że masz nie przychodzić, na specjalną prośbę rodziny.

— Byłej rodziny. Jestem pewna, że ma dla ciebie mnóstwo specjalnych próśb, Vie. Ilu nieproszonych gości będziesz wyrzucał?

— Ilu będzie trzeba, Lacey.

— Claudette.

— Jakkolwiek masz na imię, nie jesteś tu mile widziana.

— Vie, czy to prawda? Leo zabił Radforda? A co z Tammi i Angie? Co ze skandalem? Boyd był na tej zaginionej taśmie.

— Lacey, przestań się bawić w detektywa. Proszę.

— Ja się w nic nie bawię, Vicu Donovanie — warknęła. — Jestem dziennikarką i grożono mi śmiercią.

Zmrużył oczy. Wyglądał niebezpiecznie.

— Jeżeli nie chcesz kolejnych gróźb, lepiej nie pokazuj się na przyjęciu. To prywatna impreza.

— Jasne.

— Jeżeli będę chociaż podejrzewał, że gdzieś tam jesteś, znajdę cię, zakuję w kajdanki i wrzucę do jeepa aż do Święta Pracy.

Obiecanki cacanki. Cofnęła się i omal nie wpadła do otwartej trumny. W ostatniej chwili zorientowała się, unikając lodowatego uścisku martwego osiemdziesięciolatka. Popatrzyła wrogo na Vica. Zauważyła w jego oczach ledwo dostrzegalny cień rozbawienia.

— Nie pochlebiaj sobie. Idę. Mam nadzieję, że jesteś zadowolony. Obdarzył ją długim spojrzeniem, uniósł brew, odwrócił się na pięcie i wyszedł.

— Nadal chcę mieć te zdjęcia, Donovan!

Nie zatrzymał się. Poprawiła beret i wróciła do holu akurat na czas, żeby zobaczyć, jak Vie surowo gani buntowniczo wyglądającą Stellę i nadąsaną Michelle. Tłum przeredzał się. Lacey dostrzegła Beau stojącego w niszy z matką. Joséphine sięgnęła, by poprawić niesforny kosmyk włosów syna. Beau odtrącił jej dłoń i zaśmiał się. Joséphine westchnęła i odwróciła wzrok.

Miała dość Vica, Joséphine, Beau i Claudette. Chciała znowu poczuć się bezpiecznie w swoim starym ZX-ie. Ale najpierw musiała przejść przed rzędem fotografów czekających u wejścia do domu pogrzebowego.

Media najwyraźniej uchwyciły powiązanie między martwymi fryzjerkami a Boydem Radfordem. Zauważyła Todda Hansena, przysłanego przez Maca. Energicznie przemaszerowała koło nich w swoich okularach słonecznych. Oby tylko udało jej się wydostać, zanim ktoś inny ją rozpozna, albo zerwie jej perukę, albo upokorzy jeszcze bardziej.

Za późno. Trujillo dogonił ją tuż za drzwiami.

— Nieźle show, nie sądzisz? Jak ci się podoba twój kumpel Leonardo w roli podejrzanego? A nawiasem mówiąc, Mac wspomniał, że podobno jesteś chora. Nikogo nie nabrałaś.

Przemaszerowała koło srebrnego jaguara Radforda i zastanawiała się, czy Vic wozi w nim teraz Josephine. Nie chciała czekać, żeby to zobaczyć. Koło jaguara stało czerwone camaro Beau, przyozdobione odświeżaczami powietrza zamiast kostek. Patrzyła, jak czterech mężczyzn wsiada po drugiej strony ulicy do półciężarówki, czarnej z przydymionymi szybami w oknach. Byli na ceremonii, wszyscy ubrani w czarne garnitury z okularami słonecznymi. *Czyżby agent Thorn?* Marcia się nie pokazała, ale podobno prokurator specjalny jeszcze z nią nie skończył.

Trujillo deptał jej po piętach.

— To co myślisz?

Odwróciła się do niego gwałtownie.

— Prowadzę badania na temat tego, w czym kradnący tematy padalec chodzi na pogrzeby szczurów. — Przyjrzała się jego strojowi. —

Najwyraźniej padalec chadza w grafitowym garniturze z jedwabnej mieszanki, z czarną lnianą koszulą i czarno--turkusowym jedwabnym krawatem. — Musiała przyznać, że Trujillo wyglądał całkiem nieźle. — I do tego buty z węża, w sam raz dla gada.

— Cieszę się, że ci się podobają — Nie obraził się. — A swoją drogą, świetne przebranie. Bardzo egzotyczne.

— Jeżeli jest takie świetne, to jak mnie u licha rozpoznałeś?

— Już widziałem te okulary jak u gwiazdy filmowej. Jestem twoim największym fanem. Mogę dostać autograf?

Rozdział 26

W swoim ZX-ie ściągnęła beret, perukę i czarny kitel, zostając w czarnym golfie — uznała, że teraz wygląda jak studentka sztuk pięknych. No dobrze, podstarzała studentka. Przyszło jej do głowy, że prawdziwy detektyw poszedłby na to przyjęcie tak czy inaczej i zaczął się na parkingu, ale na samą myśl o tym poczuła się jak ktoś z obsesją. Nie miała nastroju na powrót do domu, chciała się znaleźć w tłumie, w którym nie było żadnych Donovanów, Radfordów, Trujillów ani morderców. Pomnik Jeffersona nad Potomakiem niemal lśnił. Powietrze było łagodne, niebo niebieskie. Skreśliła z Piętnastej Ulicy i objechała wkoło gładką tafłę Tidal Basin. Czuła się niespokojna.

Może obejrzeć tę nową wystawę, o której czytała: „Poszukiwanie piękna w Ameryce”? Jamie, fryzjerka, wspomniała, że była tam wystawiona słynna maszyna do trwałej, „całkiem jak Meduza”. Może wpadłby jej do głowy jakiś pomysł do rubryki, skoro oficjalnie nie wolno jej było pisać o trupach. Ruszyła z powrotem w stronę Mail. *Czyli Trujillo dostał temat. Super. Mam nadzieję, że zanudzi go na śmierć. Albo zatłuką go fryzjerki. Albo zamęczy Polly Parsons.*

W Narodowym Muzeum Historii Ameryki nie musiała się przebierać, by zapewnić sobie anonimowość. Najpierw wpadła na swoją ulubioną wystawę — suknie pierwszych dam.

Gabloty oświetlone były przytłumionym światłem, by chronić stare stroje przed uszkodzeniem. Małe manekiny reprezentowały drobne wielkie damy z przeszłości stolicy. Większość starszych sukni zbladła z wiekiem i zachowała tylko ledwo rozróżnialne pastelowe barwy.

Lacey podziwiała bohaterską Dolley Madison, pierwszą damę w latach od 1809 do 1817 i jej prostą empirową suknię, ręcznie i delikatnie haftowaną w kwiaty, motyle i ważki. Zatrzymała się na chwilę, by popatrzeć krótko na wspaniałe kreacje noszone przez Frances Folsom Cleveland, która rządziła w Białym Domu od roku 1885 do 1889. Sądząc po jej naszywanych koronkami i paciorkami strojach pochodzących z różnych miejsc, od Paryża do Baltimore, Frances lubiła się stroić.

Biedna Mamie Eisenhower została skazana na daleką przeszłość. Jej słynna suknia w odcieniu „róż Mamie” zniknęła, zastąpiona przez strój z jedwabnego adamaszku w kolorze czerwonego wina, w klasycznym stylu lat pięćdziesiątych, ze ściśniętą talią i szeroką spódnicą.

Ostatnia szklana gablota zawierała suknie niedawnych pierwszych dam, począwszy od Jackie Kennedy. Był to jej ulubiony fragment wystawy, bo zwiedzający komentowali go śmiało, jakby chodziło o bliskich przyjaciół.

— O, tu jest Barbara, w ciemnoniebieskim aksamicie z taftą. Uwielbiam ją — usłyszała słowa jakiejś pani. — Wiesz, to projekt Scaasi. — Kobiety, które nie mogły nawet marzyć o własnej designerskiej sukni, wykazywały zaskakującą znajomość artystów, którzy ubierali mieszkanki Białego Domu. I to wszystko bez korzystania z pomocy objaśnień przygotowanych przez muzeum.

— James Galanos zaprojektował to dla Nancy Reagan — powiedziała kobieta w okularach w stylu kociego oka i jaskrawo-żółtym stroju do joggingu. — Politycznie jej nie lubiałam, ale ta biała sukienka z paciorkami jest boska. — Jej towarzyszka pokiwała głową. — Ale wyobrazasz sobie mnie w sukni z jednym ramiączkiem?

Niektóre elementy mody nie dawały się przełożyć na współczesny język. Biała suknia z balu inauguracyjnego Jackie Kennedy

z nałożoną na nią przezroczystą bluzką wyraźnie zaskoczyła jedną nastolatkę w luźnych niebieskich džinsach i skórzanej kurtce z frędzlami. — O co tu chodzi? — Jej przyjaciółka z kółkiem w nosie skrzywiła się. — Nic nie jarzę.

Kobieta koło pięćdziesiątki przyglądała się turkusowej sukni z narzutką do ziemi Rosalynn Carter.

— Wiesz, ona była bardzo oszczędna — powiedziała do nikogo konkretnego. — Wszędzie chodziła w tej sukience.

Lśniąca czerwona suknia Laury Bush była wystawiona na piętrze, w innej wystawie „Amerykańscy Prezydenci”. Lacey uznała, że może tam zajść kiedy indziej.

Dwie solidne matrony ze Środkowego Zachodu, jedna w jasnoróżowym dresie, druga w jasnobłękitnym, analizowały ciemnofioletową, nazywaną paciorkami suknię Hillary Clinton.

— Nie wierzę, że jest naprawdę tak cienka w talii — oznajmiła Różowa.

— Wiem. Ma grubawe nogi i wypróbowała już chyba każdą możliwą fryzurę — odparła Niebieska. — A widziałaś ją ostatnio? Rany boskie.

— Nie wiem, czy w ogóle jest możliwe zrobienie dobrej fryzury w Waszyngtonie — rzekła z powątpiewaniem Różowa.

— Żebyś tylko wiedziała — mruknęła Lacey pod nosem. Czy to z powodu atmosfery muzeum, czy własnej niemożności połączenia jedną linią wszystkich kropek w sprawie morderstw w Stylettos, czy też awantur na ceremonii pożegnalnej, czuła się, jakby jakaś kotwica ciągnęła ją w dół. Poszła do muzealnej kawiarni. Pochyliła się nad kubkiem kawy, wdychając aromatyczną parę.

Zawiodłaś siebie. Zawiodłaś Stellę. Stella tak wierzyła we wskazówki dotyczące mody, niuanse stylu i „genialną” Lacey Smithsonian. Lacey uznała, że wiara ta była źle ulokowana. Nie znajdowała się wcale bliżej schwytania mordercy teraz, niż w chwili gdy po raz pierwszy zobaczyła okropną fryzurę Angeli.

Ale czy morderców było dwóch? Jeżeli Boyd zabił fryzjerki, kim był mściciel, który go powstrzymał? A może on wiedział,

kim jest morderca, i dlatego zginął? W takim razie, kto zabił Radforda?
No, chętnych raczej nie brakowało...

Lacey wyrzuciła pusty kubek do śmieci i ruszyła na „Poszukiwanie piękna w Ameryce w XX wieku i później”. Wystawa miała zademonstrować, że począwszy od ideału urody kobiecej z przełomu XIX i XX wieku, spopularyzowanego przez rysownika Charlesa Gibsona, poprzez podlotki z lat dwudziestych po hipiski, punki, pokolenie MTV oraz pokolenia X, Y i Z - amerykańskie kobiety znajdowały miliardy sposobów na to, jak być atrakcyjne i pewne siebie.

Przy wejściu witał gości czarno-biały film. Sufrażystki maszerowały, domagając się prawa głosu dla kobiet. Ostrzyżone chłopczyce tańczyły charlestona. A Różia Nitownica robiła sobie przerwę w fabryce samolotów, żeby poprawić szminkę. Wcisnęła ręczne lusterko i szminkę do kieszeni kombinezonu, nałożyła z powrotem ochronne gogle i z uśmiechem na twarzy wróciła do nitowania skrzydeł B-29. Na końcu wystawy odbicie w lustrzanej ścianie pokazywało poszukiwanie piękna przez zwiedzających w XXI wieku. Wystawa łączyła humor z patosem, podkreślając najważniejsze momenty oraz to, jak daleko kobiety były gotowe zająć, by zbliżyć się do wiecznie ewoluującego ideału piękna. Według pierwszych gablot, w początkach XX wieku amerykańskie piękności polegały tylko na wodzie różanej, glicerynie i najłżejszym muśnięciu różu. Następnie obejrzyć można było replikę salonu piękności, w którym kokietka z lat dwudziestych buntowniczo kazała ściąć sobie włosy. Manekin z zadowoleniem oglądał nową fryzurę w ręcznym lusterku. Obok stała słynna maszyna do trwałej, siostra Meduzy. Lacey zasłoniła widok młoda matka z pulchnym, jasnowłosym dwulatkiem, ciągnącym mamę za włosy.

— Zostaw włosy mamy w spokoju — usłyszała słowa zdesperowanej matki. Kobieta poprawiła koński ogon i westchnęła. - Zetnę wszystkie i już. - Zganiła chłopca, a on się roześmiał. Wygładziła jego włoski, a on, chichocząc, odepchnął jej dłonie.

Kiedy się odsunęli, spojrzenie Lacey padło na długi warkocz należący do świeżo ostrzyżonej modnisi. Leżał na ladzie w replice

salonu, obok grzebienia, szczotki i nożyczek. Warkocz był ciemnokasztanowy, miał prawie pół metra i był związany wstążką z różowego brokatu.

Zachowywanie włosów na pamiątkę nie było niczym nowym, pomyślała, w czasach wiktoriańskich zdarzało się nawet dość często. Robiono z nich biżuterię. Kobiety używały cudzych włosów, aby ich własne wydały się gęściejsze, w formie sztucznych warkoczy czy koków. Nagle pojawiło się wspomnienie: Josephine wyciągająca rękę, by wygładzić włosy Beau, kucyk, który nagle zaczął wyglądać znacznie gęściej i ciemniej. I dłużej. I pięknie się zwijał w pierścionki. Przypomniało jej się coś jeszcze. Odświeżacze powietrza w samochodzie Beau też były przewiązane wstążkami, jeden czerwoną/ a inny niebieską. *O Boże. Miał doczepione włosy!* I wiedziała, skąd te włosy wziął.

Matka i jej mały potworek poszli dalej, nadal zajęci sobą. Ale Lacey stała równie nieruchomo jak manekiny. Wiedziała już, kto zabił Boyda Radforda i Angie, i Tammi. Było to tak wyraźnie widoczne, jak wystawa w muzeum.

Weź zaniedbanego dwulatka, wychowaj go w salonie fryzjerskim, świątyni włosów, patrz, jak wyrasta na emocjonalnie niedojrzałego, niezręcznego nastolatka, zmusz go do pracy przy myciu włosów, pozwól, by nie udało mu się nic innego, jak na przykład studia, i w końcu wychodzi z tego świr skoncentrowany na punkcie włosów, morderca, który uważa, że kobiece włosy to wszystko, co jest na tym świecie seksowne i pełne siły. I jeżeli je im odbierze, sam stanie się seksowny i potężny.

Gliniarze, którzy twierdzili, że Angie i Tammi nie zostały seksualnie zaatakowane, mylili się. Zostały, ale inaczej. Dla tego mordercy seksualna napaść znaczyła ucięcie kobiecie wszystkich włosów i zatrzymanie ich dla siebie.

Jednak zostawiał ślady. Do *diabła, wysyłał je pocztą*. Bez wątplenia zatrzymał także wstążki i grzebienie z włamania u Angie, kolejne trofea, które mógł nosić i podziwiać. Zaatakował ją w Dykę Marsh i wziął sobie pamiątkę. Mówił: „Złap mnie, jeśli potrafisz”. Był tajemniczym George'em Jakimśtam.

To Beauregard Radford: Edyp z brzytwą fryzjerską.

Nie była pewna, jak do tego pasowała kasetka Marcii, ale jakoś musiała. Może na niej był, albo może chciał przycisnąć Szczurka? Być może Boyd odkrył zabójcze rozrywki swojego syna — na pewno chciałby to ukryć, zająć się tym tak samo, jak zajmował się wszystkimi jego problemami. Wystarczyło wysłać go na kolejny uniwersytet. Dlatego tak gorączkowo pragnął powstrzymać ją przed pisaniem o „samobójstwach”. Czy Josephine wiedziała? Kto wie, czy Beau w ogóle miał alibi? Ale z drugiej strony, nikt nie uważał go za podejrzanego.

Dotknęła swojej grzywki i krótszych włosów pod spodem. Musiał to być Beau, ale kto by jej uwierzył? Po dzisiejszym poranku Vic się do niej pewnie już nigdy nie odezwie. Cała policja najwyraźniej nie dostrzegła problemu oskalpowanych fryzjerek. Już widziała spojrzenia, jakie rzucaliby policjanci, wysłuchawszy jej mętnej opowieści o doczepianych włosach i niebieskich wstążkach. „Czy te leki przepisują pani na nazwisko Smithsonian?”.

Nie mogła się z nikim podzielić swoją szaloną teorią. Nikt by jej nie uwierzył. Poza Stellą. Ale powiedzenie o wszystkim Stelli było zbyt ryzykowne, może nawet fatalne. Może będzie musiała powiedzieć Macowi, ale dopiero wtedy, kiedy zdobędzie coś więcej, będzie miała dowód. Będzie musiała znaleźć jakiś sposób, aby złapać Beau w pułapkę i udowodnić, że to był on.

Tak, jasne, pomyślała. Tylko na jakim świecie?

Ale najpierw był pokaz mody

Rozdział 27

Niczym starożytny celtycki lub indiański wojownik, Lacey udekorowała twarz do bitwy. Wojna oznacza barwy wojenne, a barwy wojenne oznaczają wojnę. Im lepiej wygląda, tym mniej ktokolwiek będzie podejrzewał, jak bezbronna się czuje. Przyznanie makijażowi magicznych właściwości barw wojennych uzasadniało jej rytuały kosmetyczne. W wiecznej wojnie płci trzeba było mieć jakąś broń, nawet jeżeli chodziło tylko o psychiczne wsparcie w formie podkładu, róży, cieni, kredki i najważniejszego ze wszystkiego — tuszu do rzęs.

„Muszę nałożyć barwy wojenne”. Było to jedno z powiedzeń babci Mimi, które Lacey zawsze kochała. Kojarzyło jej się z wojną z całym światem. Babcia mówiła to w sposób, który wywoływał wrażenie, że bycie kobietą jest odważne i ekscytujące. Bycie wielką damą, jak Mimi, oznaczało, że patrzyło się życiu w twarz i w razie konieczności waliło je w nos. Dlatego potrzebne były szerokie ramiona, proste plecy i trochę barw wojennych. Do tego uśmiech (ze świeżą szminką) — i kobieta nie pozwalała sobą pomiatać. Toczyła życiowe bitwy i kilka z nich wygrywała.

Nawet jako siwowłosa starsza pani, Mimi nigdy nie zrezygnowała ze swojej koralowej szminki i pudru. Na jej pogrzebie Lacey wsunęła nowiutką szminkę „Gorący zachód Słońca” i puderniczkę pełną przezroczystego jedwabistego pudru do kieszeni

Mimi na ostatnią podróż, na wypadek gdyby ukochana babcia musiała zrobić dobre wrażenie na aniołach. Mama ją na tym przyłapała.

- Wkładasz do trumny kosmetyki? Rany boskie! Czasami mi się wydaje, że jesteś równie stuknięta jak ona, Lacey.

- Mam nadzieję, mamo. - Potem pochyliła się i szepnęła do Mimi: — Żegnaj, kochana, idę nałożyć barwy wojenne.

Przyjrzała się swojej twarzy w lustrze. Mimi byłaby dumna.

Wspomniawszy na prorocze rady Marie, założyła swój nowy kostium w kolorze wina. Właściwie to Marie zostawiła jej jedną z tych swoich niejasnych wiadomości. Mówiła konkretnie o czerwonym. „Myślę, że dzisiaj najlepiej będziesz się czuła w czerwonym. Nie pytaj dlaczego. Tak to do mnie przyszło. Czerwony. Do zobaczenia". *Co tam, do Ucha. Na pewno nie zaszkodzi.* Kostium, niedawno odebrany od Almy Lopez, leżał znakomicie - wcięty w talii, z luzem w ramionach. Najbardziej jej się podobały granatowe akcenty i dużo kieszeni. W jednej z nich umieściła granatową chusteczkę i przypięła ozdobną broszkę w formie czerwonego kardynała ze skrzydłami z kryształków rubinowej barwy. Kiedyś dawno temu dostała tę broszkę od Mimi. Według niej, kardynał przynosił szczęście.

Na łóżku rozłożyła swoje dodatki na wieczór: granatową skórzaną torebkę, niewielki notes i pióro, dyktafon uruchamiany głosem, operową lornetkę babci Mimi do podziwiania szczegółów strojów na wybiegu. Oraz pistolet od Vica, który wydawał się większy i większy za każdym razem, gdy brała go do ręki. Był za duży na jej kieszenie. Nie miała kabury pod ramieniem, a zresztą coś takiego zniszczyłoby linie żakietu, wetknięcie go za pasek też nie wchodziło w grę. Broń tworzyła w torebce nieeleganckie wybrzuszenie obok dyktafonu i wypadła, gdy otworzyła ją na próbę. *Mówiłam Vicowi, że najlepszy byłby derringer, ale nie...* A zresztą pistolet był także nielegalny w Dystrykcie Kolumbii, co jednak nie zapobiegało morderstwom z użyciem broni palnej popełnianym niemal codziennie. A w związku z udziałem tylu celebrytów na pewno będzie dużo ochrony i wszechobecne wykrywacze metalu.

Uznała, że z setkami widzów na pewno będzie bezpieczna, i zrezygnowała z broni. Brooke męczyła ją o kupienie sobie komórki, ale nie mogła znieść myśli, że na przykład Mac mógłby dzwonić do niej zawsze i wszędzie. Poza tym ułożyła już sobie plan bitwy nie wymagający udziału broni ani telefonów. Nie była pewna, czy zadziała, ani czy jest mądry, ale był to jej plan i zamierzała się go trzymać. Beau Radford będzie niemal na pewno siedział przy stole Stylettos, razem z matką, Vikiem, jakimiś firmowymi ważniakami i Polly Parsons. Polly najwyraźniej bez chwili wahania przerzuciła swoją romantyczną lojalność ze Szczurka na Szamponika, o czym Stella poinformowała Lacey poprzedniego wieczoru. Zadzwoiła z dokładnym sprawozdaniem z przyjęcia.

— Lacey, szkoda, że tego nie widziałaś. Na przyjęciu nie mogli się od siebie oderwać, a Szczurek nawet nie wystygł.

— Nie wystygł? Stella, była kremacja. Jest na popiół. Przygotowała dla Beau specjalny liścik, imitujący anonimowy liścik do niej. Dotykała go tylko w rękawiczkach, żeby dodać element typowo waszyngtońskiej paranoi. *O co ty się martwisz? Twoich odcisków nigdzie nie mają. Jeszcze nie.* Do czystej białej kartki papieru przykleiła kosmyk swoich włosów — tych, które zebrała i zachowała po ratunkowym strzyżeniu przez Stellę — obwiązanych wstążką. Liścik mówił: „Wsadź to sobie w ten swój kucyk, Szamponiku”. Liścik włożyła do koperty, którą zakleiła i schowała w torebce.

Ostatnie spojrzenie w duże lustro powiedziało jej, że jest gotowa.

■ ■ ■

Hotel Lee Wood Park w północno-zachodnim Waszyngtonie gościł imprezę Rozpalmy Miasto. Zlokalizowany niedaleko zoo, stanowił przeżytek czasów dużo bardziej sprzyjających podróżom. Jego wysokie wieże wznosiły się nad miastem, a starannie pielęgnowane ogrody były pełne róż i irysów wszelkich kolorów. Spędziła kilka chwil na podziwianiu przepychu kwiatów w promieniach zachodzącego słońca. Delikatnie pachnące irysy two-

rzyły pasy różnych kolorów, od najjaśniejszych żółci po nasycone złoto. Biel i nieśmiały róż przechodziły w żywe fiolety. Aż było wstyd wejść do środka.

Zyski z pokazu miały iść na wspieranie kultury w miejscowych szkołach. Najwyraźniej było to mądrą decyzją, sądząc po ilości obecnych. „Kultura w klasach” nie miała złych stron. Było to hasło energiczne i pozytywne, nie kojarzyło się z żadną brzydotą, śmiercią czy wyniszczającymi chorobami.

Lacey przeszła przez wszechobecne wykrywacze metalu i uwagę ze strony dwóch ochroniarzy przy wejściu do sali balowej. Jedyne problem pojawił się, gdy strażnik z papierami nie mógł znaleźć jej nazwiska na liście akredytowanych dziennikarzy. Musiała czekać przez dziesięć minut, kiedy poszukiwali kogoś z komitetu organizacyjnego, kto by potwierdził, że może wejść. *Niewątpliwie mały żarcik ze strony Beth Ann Woodward*, uznała.

W tej akurat chwili Beth Ann modliła się, żeby żadna ważna sprawa w Kongresie nie zatrzymała którejs z jej bezcennych modelek. Był to najgorszy koszmar waszyngtońskiej gospodyni — niespodziewanie dowiedzieć się, że honorowy gość właśnie wygłasza w Senacie mowę potępiającą jakieś państwo, o którym nikt nigdy nie słyszał, albo głośuje w sprawie fikcyjnych ulg podatkowych, zamiast przyozdabiać jej ekskluzywne przyjęcie.

Za bramką waszyngtońscy celebryci i ludzie ze środowiska mody mogli przebywać w bezpiecznym środowisku bez ochroniarzy. Salę balową przyozdobiono wielkimi freskami przedstawiającymi wdzięczne kwiaty i waszyngtońskie pejzaże. Setki różowych azalii w złożonych doniczkach uzupełniały kwiatowy motyw. Stoliki, przy których miejsca osiągały zawrotne ceny, ustawione były po obu stronach wybiegu dla modelek. Salę balową otaczał labirynt pomieszczeń, w których mieściło się przedpokazowe pandemonium. Lacey umieściła swój prasowy identyfikator tak, żeby był wyraźnie widoczny, po czym ruszyła korytarzem, by zorientować się w terenie i przywitać ze Stellą. Modelki najpierw przechodziły przez ręce fryzjerów i wizażystów, a dopiero potem zaganiano je do połączonych pomieszczeń

przerobionych na tymczasowe garderoby dla mężczyzn i kobiet oraz mnóstwa designerskich strojów.

Lacey zajrzała do domu wariatów za kulisami, gdzie kilkunastu fryzjerów ze Stylettos gorączkowo zwijało i upinało włosy, wcierało piankę i tapirowało, i ogólnie dusiło wszystkich lakierem do włosów. Dostrzegła Stellę zaplatającą francuski warkocz z gładkich ciemnych włosów Marcii Robinson. Stella pomachała jej. Marcia zobaczyła Lacey w lustrze i też zamachała palcami. Najwyraźniej nie była pamiętliwa.

— Oczywiście — zagadnęła Lacey — to pani jest tym gościem-niespodzianką.

— Proszę zgadnąć, jak mnie chcą ubrać?

— Na różowo? — Lacey jakoś się domyśliła. Marcia pokiwała głową.

— Jaskrawy róż. Niezłe, nie? Uważają, że to komentarz redakcyjny.

— Na pewno. — Uśmiechnęła się tylko. *Już nigdy więcej nie będę pisać o różowym.*

Najwyraźniej było za późno, żeby wyrzucić Leonarda z pokazu mody, albo jednak udało mu się pomówić z Josephine, bo był tam i akurat namawiał blond prezenterkę telewizyjną na odgarnięcie włosów z czoła. Jamie, teraz z zielonymi warkoczami upiętymi baterią klamerek, czesała włosy pulchnej pani z rady miejskiej, która wyglądała na zaniepokojoną. Zastępczyni kierowniczką, Michelle, robiła ostatnie oględziny modelek-celebrytek, kiedy wyprowadzano je do szatni, gdzie czekali asystenci od garderoby. Projektanci, krawcy, styliści, modelki, obsługa i osoby towarzyszące kręcili się wszędzie.

Tego było za dużo. Wyślizgnęła się i wróciła do sali balowej.

Uśmiechnęła się i pomachała Beth Ann Woodward, która w odpowiedzi wygięła jedną wargę w próbie uśmiechu, przechodzącego w końcu w grymas.

Lacey znalazła stół Stylettos i nonszalancko rzuciła liścik na krzesło zarezerwowane dla Beau. Znalazła swoje miejsce na drugim końcu sali — z tego punktu mogła wygodnie obserwować młodego dziedzica, jak otwiera kopertę. Jeżeli kompletnie pomy-

liła się co do Beau, uzna on po prostu, że jakiś wariat obraża jego nową fryzurę. Ale jeżeli był mordercą, jakoś subtelnie się zdradzi, co Lacey dostrzeże dzięki swojemu niezwykłemu darowi wykrywania niuansów, po czym napisze dramatyczny artykuł demaskujący go. *Przynajmniej taka jest teoria.* Westchnęła.

Usiadła, czekała i obserwowała z lornetką w pogotowiu. Beau pojawił się niedługo potem. Nadal miał swój od niedawna gęsty kucyk. Miał także na sobie wczorajszy garnitur, dzisiaj z czarnym T-shirtem. *Jakże nowocześnie.* Wziął liścik, otworzył go i przeczytał. Lacey ścisnął się żołądek. Rozejrzał się po sali i dostrzegł ją. Roześmiał się i powąchał kosmyk włosów. Potem go polizał.

Obrzydliwość! Wcale nie subtelne zdemaskowanie się, jakiego oczekiwała. Zrobiło jej się niedobrze. To było o wiele za proste, pomyślała. Kręciło jej się w głowie. *A jaka była reszta mojego genialnego planu ?*

Patrzyła, jak Polly Parsons zamienia kartki na stołach, żeby usiąść koło niego. Złożył liścik i włożył do kieszeni na piersi. Wyglądał na zadowolonego z siebie, pocałował Polly w usta. Chociaż Lacey nie słyszała, co mówi Polly, rozpoznała znane gesty rąk, pociąganie się za włosy, usiłowanie przyciągnięcia jego uwagi. *Cokolwiek zrobisz, Polly, nie pytaj go o radę, co zrobić z włosami.* Światła pociemniały, muzyka zasygnalizowała początek pokazu. Vic i Josephine wślizgnęli się do środka tuż przed tym, jak rozpoczęło się słowo wstępne. Vic wyglądał na zmęczonego i niezadowolonego. *Ha. Cierp. Robota to robota. I błagam, miej oko na Beau. Może powinnam ci była jednak powiedzieć o mojej teorii.*

Próbowała oglądać pokaz. Chociaż reklamowano go jako Rozpalmy Miasto, co sugerowało skojarzenia z latem, siłą rzeczy ukazywał ubrania jesienne. Kolekcje udrapowane na prawdziwych, chuderławych modelkach pokazywały się z mniej szkieletowatymi miejscowymi sławami, ubranymi w stroje od Donny Karan i Ralpa Laurena.

Pokaz rozpoczął się od Neila Isaacs, popularnego młodego projektanta, którego obecność była wielkim sukcesem Beth Ann. Jego kolekcję opisano w programie jako zawierającą „płynne tkaniny”, które miały się kleić do krągłości. Ale nie było żadnych

kraślności, do których mogłyby się kleić. Ubrania wisiały jak worki na szeregu męczennic mody z zapadniętymi oczyma, ponurymi twarzami i wargami pomalowanymi na fioletowo. Kości biodrowe wystawały z „płynnych” tkanin jak kurze kości z zupy. Huczała elektroniczna muzyka. Lacey robiła notatki do swojej rubryki.

Wszystko było w „nowych barwach neutralnych”, które wyglądały dokładnie tak samo, jak stara ponura paleta waszyngtońskiego chodnika, jakby projektant uprał tęczę kolorów w jakimś smętnym bagnie. Róż zmienił się w trupioblady fiolet, błękit w ciemnoszary, zielony w brudne khaki. A „czysta szarość” to po prostu wewnętrzna sprzeczność. Całą kolekcję można było zatytułować „Śmierć lata”. To mógłby być nawet dobry tytuł.

Druga fala na wybiegu rozpoczęła się od pierwszej celebrytki, którą powitało westchnienie widowni i fala śmiechu. Marcia Robinson wpłynęła w światło reflektorów w swoim różowym kostiumie, z pasterskim kijem, prowadząc trzech przystojnych mężczyzn w skąpych kostiumach owieczek. Rozległy się okrzyki aplauzu i śmiechy. Marcia w podskokach przemierzała wybieg, mrugając do tłumu widzów. Lacey obserwowała zachwycone reakcje widowni, po czym jej spojrzenie zatrzymało się na stoliku Stylettos. Krzesło Beau było puste, Polly też. Poczula przypływ najczystszej paniki. Nigdy nie lubiła Polly, ale musiała ją jakoś ostrzec, że nowa fryzura w obecności Beau może być zabójcza w nie tym znaczeniu, co trzeba.

Aby uciec z sali balowej w miarę niezauważalnie, przecisnęła się przez tłumy za sceną. Reporter telewizyjny z Channel Nine zaczesywał włosy na miejsce, w którym rzedły, i poprawiał potworny szary krawat w geometryczne wzorki. Wielki tłum dziennikarzy brał udział w pokazie, za to niewielu się nim zajmowało. Całe wydarzenie zyska może jeden czy dwa akapity z „wiarygodnego źródła” w dziale lifestyle'owym w „Washington Post” i pół strony w plotkarskiej rubryce „Timesa”. Ładna dziennikarka z Foksa zatrzymała przechodzącą Lacey.

— Świetny kostium! Naprawdę znakomity. Co to za projektant?

Występuje pani w następnej części?

Lacey brnęła dalej. Kiedy przemknęła się z powrotem do strefy charakteryzacji, nie było tam nikogo. Żadnych strażników. Żadnych fryzjerów. Żadnych modelek. Próbowwała przekonać samą siebie, że Beau i Polly wyszli gdzieś na szybką romantyczną randkę. Kamień, który czuła w żołądku, twierdził inaczej.

Improwizowane stanowiska charakteryzatorskie sporządzono ze stołów konferencyjnych i stojących luster wzdłuż dwóch ścian pokoju.

Wyściełane bordowym brokatem krzesła hotelowe stały wszędzie pod dziwnymi kątami, pozostawione bez uwagi, gdy wyprowadzono ostatnie modelki. Butelki żelów, puszki lakieru, grzebienie, szczotki, lokówki i nożyczki zaśmiecały stoły. Wszędzie wały się porzucone ręczniki. A styliści pewnie rzucili wszystko i wymknęli się popatrzeć na pokaz.

Wszyscy chcieli zobaczyć Marcję, najślynniejszą klientkę Stylettos. Do przerwy raczej nie wrócą.

Wydało jej się, że usłyszała jakiś hałas w garderobie, i ruszyła w tamtą stronę. Nikogo nie zobaczyła, szła więc dalej. Niemal wszędzie wzdłuż ścian stały wieszaki pełne ubrań, blokując wyjścia. Codzienne ubrania zostały niedbale przerzucone przez wieszaki i krzesła, razem z przyniesionymi alternatywnymi strojami do wyboru, teraz też porzuconymi. Nawet obsługa z domów handlowych opuściła swoje posterunki, by popatrzeć chociaż z daleka na skandalistkę Marcję w różowym kostiumie i z zaginionymi owieczkami.

Światła były przytłumione i wydawało się, że jest za cicho, o wiele za cicho. Poczula, jak włoski na karku stają jej dęba, jakby powiew chłodnego wiatru musnął kręgosłup. Sprawdziła dyktafon w torebce, żałując, że to nie pistolet od Vica.

To jest ta chwila, Lacey, kiedy głupia bohaterka schodzi do piwnicy, chociaż wie, że tam jest potwór. Filmowa muzyka gra coraz głośniejszy -rany, nie wygłupiaj się!

Wzruszyła ramionami, odpędzając strach, popędzana czystą dziennikarską głupotą, ciekawością, potrzebą znalezienia Polly. Na palcach podeszła na tył pomieszczenia. Nikogo tam nie było.

Musieli wyjść z sali balowej, jak tylko zgasły światła. Przedtem byłoby tu pełno modelek, stylistów, obsługi garderoby i wszelkich pomocników. Nagle w jej nozdrza uderzył zapach krwi, aż łzy napłynęły do oczu. Skulona pod ścianą między dwoma wieszakami na ubrania, na pół siedząc, na pół opierając się na jednym kolanie, tkwiła Polly Parsons. Niedawno zmarła. Wciąż ciepła. Jej oczy były szeroko otwarte z zaskoczenia, usta też. Na szyi widać było cienkie cięcie i naszyjnik ze spływającej krwi. Lacey stłumiła krzyk i odruch wymiotny. Włosy Polly zostały niemal zdarte z głowy. Lacey nie dotknęła jej. Aż zbyt wyraźnie było za późno. *To tyle, jeżeli chodzi o plan pójścia bez broni i bez telefonu. Telefon. Muszę znaleźć telefon. Albo strażnika. Albo Vica.*

Rozdział 28

Beau wciąż mógł gdzieś tu być. Gdziekolwiek. Pochyliła się, żeby zobaczyć, czy nie chowa się za wiszącymi strojami, jak mały chłopiec bawiący się w szafie. Nikogo nie zobaczyła. Ostrożnie wróciła do salonu, ze wszystkimi zmysłami w gotowości.

Improwizowany salon też wydawał się pusty. Jeśli przez niego przejdzie, na korytarzu są telefony i tłum ludzi, nawet strażników. Ale wtedy usłyszała szcęknięcie. Ktoś rzucił grzebieniem w najbliższe lustro.

Odwróciła się, by w nie spojrzeć. Stał tuż za nią.

Głupi manewr, Lacey. Teraz jesteś w piwnicy. I jest tu potwór.

Beauregard Radford czekał na nią z szerokim uśmiechem na twarzy. Trzymał zakrwawioną brzytwę, swoją ulubioną broń, i garść włosów, ciemnobrązowych ze srebrzystoblond pasemkami.

Czekał, aż się odwróci. Bawił się nią i to ją rozwścieczyło.

— Cholera.

W jego śmiechu brzmiał nieprzyjemny, wysoki ton. Rozejrzała się za najbliższym wyjściem. Znajdowało się za Beau Radfordem.

— Cholera, cholera, cholera. Znowu się zaśmiał.

— Dostałem twój list. Był słodki.

— Zboczeniec z ciebie, Szamponiku!

— Nie mów tak na mnie — powiedział całkiem miło.

— Jak? Zboczeniec czy Szamponik? — Blokował jej drogę do drzwi, które zresztą przezornie zamknął. W drugim pomieszczeniu

leżała martwa Polly, a drzwi blokowały stroje. Nie chciała znowu oglądać pustych oczu — ani wejść w pułapkę. Beau wyglądał na rozbawionego.

— To może Chłopiec z Brzytwą? — spytała. — Bardziej ci się podoba?

— Masz takie piękne włosy, Lacey.

— To, co z nich zostało, świrze jeden! Popatrz na tę grzywkę. Ja nie mogę nosić grzywki! — oznajmiła. *Właśnie. Drażnij niedźwiedzia. Pomyśl dla odmiany.*

Rzucił się na nią. Uskoczyła za krzesło i cofnęła się aż do stołu.

— Mnie się twoje włosy podobają. Są ładniejsze niż Polly — powiedział.

Rzucił w nią zakrwawionymi kosmykami. Uderzyły ją w pierś i spadły na podłogę. Przyszło jej do głowy, że na jaśniejszym kostiumie ciemne plamy byłyby bardziej widoczne. Marie powiedziała jej, żeby ubrała się na czerwono.

— Ty sukinsynu. To coś nowego.

— To było takie śmieszne, kiedy wylądowałaś w błocie.

— Gdzie są wszyscy fryzjerzy? — spytała. Była przerażona, ale czysta adrenalina dodawała jej energii. Twarz miała rozpaloną.

— Oglądają pokaz. A teraz my sobie zrobimy własny mały pokaz mody.

— Wydawał się bardzo spokojny, niemal jakby wziął coś na uspokojenie. Salon fryzjerski jest pełen zabójczych narzędzi, powiedziała jej Jamie na pogrzebie Angie, opisując tę ich grę, Salon śmierci. Po prawej stronie najbliższego stołu leżała zapalniczka jakiegoś buntowniczego fryzjera, po lewej gorąca lokówka, wciąż włączona do prądu, lusterko ręczne, pianki, żele, lakiery. Odwróciła się, chwyciła puszkę lakieru i sięgnęła po zapalniczkę. Beau zbliżał się do niej. Odwróciła się w jego stronę.

— Ani kroku, Szamponik.

— Nie lubię, kiedy tak do mnie mówisz, Lacey.

— A ja nie lubię mojej fryzury. — Prawą ręką zapaliła zapalniczkę, a lewą wycelowała puszkę lakieru.

— Co to ma niby być?

— Miotacz płomieni, studencie. Roześmiał się.

— Chodź tutaj. Dzisiaj ja będę twoim fryzjerem. Może trochę skrócić od góry?

— Chwileczkę, Beau. Nie chcesz ze mną porozmawiać, powiedzieć mi, dlaczego to robisz?

— Jak w jakimś głupim kryminale w telewizji? Rany. Skarbie, to by trwało godziny. Nie, żebym nie mógł ci opowiedzieć szczegółów. Może gdybym cię najpierw związał. — Stał bez ruchu, wyobrażając sobie tę scenę. — Może w jednym z salonów, o północy. Moich salonów.

— Twoich salonów? Dlatego zabiłeś ojca?

— To była jego wina. Powiedział, żebym znalazł dla siebie pomoc. Pomoc. Do diabła z tym. Sam sobie pomagam. No więc Lacey, mam ci powiedzieć, że kocham włosy, czy sama już do tego doszłaś? — Zrobił jeden krok w jej stronę. Znowu pstryknęła zapalniczką. Zatrzymał się.

— Dlaczego Angie? Dlaczego Tammi? I twój ojciec?

— Pozwól sobie obciąć włosy. Powiem ci wszystko — mruzczał. *Lacey, niech mówi jak najdłużej.*

— Czyli chodzi o włosy i o to wideo? Co z tym wideo? Westchnął.

— Ta głupia taśma. To dla mamy. Usiłowałem ją dla niej znaleźć. Angie jej nie miała. Tammi jej nie miała. A ja chciałem jeszcze coś innego. Coś, co one miały. Ich włosy były takie piękne.

— A po co była Josephine taśma? — *Me mówcie mi, że one umarły, bo Josephine poprosiła tego idiotę, żeby zdobył dla niej taśmę!*

— Kto wie, kogo to obchodzi? Jakiś plan, jak załatwić tatę. Ale Angie i Tammi nie dały mi dotknąć swoich włosów. Wciąż mi odmawiały, a mnie nikt nie odmawia. Chciałem tylko kosmyk włosów. Nie dały mi uciąć sobie głupiego kosmyka.

— A Polly?

— Polly to co innego. Polly chciała, żebym coś zrobił z jej włosami.

— Gdzie jest teraz ten film?

— Nie mam żadnego cholernego filmu! Jak go chce, niech sama sobie znajdzie. Ja chcę tylko twoich włosów. Trochę już mam. — Lacey przypomniał się od razu atak w Dykę Marsh. —

I chcę więcej. Chcę wszystkie zgolić brzytwą i zabrać do domu. Ale tym razem żadnego gryzienia. Nigdy nie gryź swojego fryzjera.

— Bolało?

— To zaboli bardziej. — Machnął w jej stronę brzytwą. Zrobiła krok do tyłu. Beau nie lubił mówić tak wiele, jak miała nadzieję.

— Wystraszyłem cię, co? Ale zabawa. Szkoda, że nie mamy całej nocy.

— Ja też się świetnie bawię, Beau.

Modliła się, by jej palec znajdował się po właściwej stronie wylotu puszki lakieru. Pstryknęła zapalniczką i skierowała strumień w płomyk, tworząc wielką kulę ognia. Osmalony Beau odskoczył, ale Lacey także, a przy tym upuściła zapalniczkę.

Beau kopniakiem usunął ją z zasięgu. Lacey nadal trzymała lakier. Ruszył w jej stronę, a ona znowu wcisnęła spust. Tym razem trafiła go prosto w oczy. Wrzasnął. Chwyciła lusterko, by w niego rzucić. Odbiło się od jego czoła i z trzaskiem upadło na podłogę. Znowu ruszył w jej stronę, mrugając.

Wyrwała gorącą lokówkę z gniazdka. Kiedy próbował ją złapać, sparzyła mu lewą dłoń. Wrzasnął z bólu. *Rozpalmy Miasto*, pomyślała. Ale w prawej ręce nadal trzymał brzytwę.

— Wiedźma! Teraz naprawdę będzie bolało. — Spojrzał przez nabrzmiałe czerwone powieki, a po twarzy płynęły mu łzy.

— Rzuć tę brzytwę, płakso! — Cofała się, trzymając lokówkę niczym miecz, po czym znowu prysnęła mu w oczy lakierem. Zawył. Rzuciła mu lokówką w twarz i odwróciła się, by złapać coś, cokolwiek. O proszę: para długich krawieckich nożyc. W lustrze zobaczyła, jak rzuca się w jej stronę i obróciła się akurat tak, by uskoczyć przed ostrzem brzytwy.

Wymachiwał dziko prawą ręką, poparzoną lewą drapiąc oczy.

— Zapłacisz mi za to, ty suko! Jesteś moja! Wypcham sobie twoimi włosami poduszkę, żebym w nocy czuł twój zapach, ciebie i twoich słodkich martwych włosów! Moich na zawsze!

Znowu prysnęła mu w oczy. Puszka opróżniła się z sykiem — cisnęła mu ją w twarz. Rozwścieczony Beau na ślepo zamachnął się na nią brzytwą. Uskoczyła. Usłyszała, jak metal odbija się od

lustra. Rzucił się w jej stronę z wyciągniętymi przed siebie rękami, rycząc. Skuliła się, trzymając nożyce prosto przed sobą, usztywniwszy obie ręce, jakby celowała z pistoletu Vica. Wstrzymała oddech. Gdy złapał ją za włosy i szarpnął, poczuła, jak ostrza nożyc wbijają mu się w ciało tuż nad paskiem od spodni. Nie było to łatwe. Szarpnął mocniej. Z nową siłą pchnęła nożyce. Puścił jej włosy. Cofnął się.

Beau wrzeszczał teraz jak spadający kamikadze. Machał rękami w jej stronę, potem złapał się za brzuch. Spojrzał na ostrza wbite w ciało i na mokrą plamę, która zaczęła się tworzyć na przodzie jego czarnej koszulki. Przewrócił krzesło, gdy zgiął się i upadł na wznak, z długimi nożycami wystającymi z brzucha, oddychając ciężko.

Miała nogi jak z gumy, ale jakoś wstała, chociaż była cała rozdygotana i kręciło jej się w głowie. Patrzyła w dół na leżącego Beau.

Absurdalnie, Lacey przypomniała sobie zajęcia z pierwszej pomocy w liceum, kiedy ostrzegano ją, by nigdy nie wyciągać ostrego narzędzia z rany klutej, niezależnie od tego, czy jest to strzała, kijek czy też nożyce — oczywiście ostrzegano ją także, że z tymi ostatnimi nie powinna biegać. Wyciąganie najlepiej zostawić fachowcom. Nie miała nic przeciwko zaczekaniu, chociaż na broni były jej odciski palców.

Pierwsza pomoc, a niech to, pomyślała. Wyciągnęła z kieszeni marynarki Beau swój list i włosy. Popatrzyła na niego, gdy tak leżał skrzyżowany na podłodze niczym łach do prania. *To jest sukinsyn, który zabił Angie i oberżnął ci włosy. Żył.* Nożyce unosiły się i opadały w rytm jego oddechu.

Wszędzie leżały charakterystyczne śmieci. Jej odbicie w kilkunastu lustrach było pod każdym kątem rozczochrane, a purpurowy kostium znaczyły ciemne plamy. Wzrok Lacey padł na pudełko chusteczek i lśniąca parę małych fryzjerskich nożyczek. Trzymając je w ręku, pochyliła się nad umilkłym teraz Szamponikiem, chwyciła garść włosów i szybko odcięła je pod dziwnym kątem. Uczucie było straszne, ale satysfakcjonujące. Nie miała pojęcia, jak długo trwał ten epizod. Zdawało się, że całe godziny.

Uświadomiła sobie hałasy na korytarzu. Słysząc było kroki i krzyki. Owinęła garść czarnych włosów w chusteczkę i otarła nożyczki z odcisków palców i włosów. Odłożyła je na półkę, a włosy w chusteczce wepchnęła do kieszeni. Jej serce wciąż waliło jak szalone, oddech miała szybki.

Witajcie w Salonie śmierci.

Drzwi otworzyły się gwałtownie i do środka wpadli ludzie.

Pierwszym z nich był Vic Donovan, a za nim dwóch facetów, najwyraźniej pod jego rozkazami. Za nimi wbiegła szykowna Josephine Radford, która wrzasnęła, i ludzie Vica musieli ją siłą powstrzymać od wyciągnięcia zakrwawionych nożyc z brzucha syna. Lacey zauważyła, że Josephine wygląda na wstrząśniętą, ale wciąż nieskazitelną w swoim ciemnoliliowym kostiumie Chanel.

Vicowi starczyło jedno spojrzenie. Podbiegł do Lacey, która cała dygotała, i usunął ją na bezpieczną odległość od rozhisteryzowanej matki Beau.

— Ani na chwilę nie można zostawić cię samej, co? Spojrzała na niego. Czowała się, jakby była owinięta w watę. Jej głos brzmiał dziwnie.

— Gdzie ty do cholery byłeś? Nigdy cię nie ma, kiedy mi jesteś potrzebny, Vicu Donovanie, więc jaki z ciebie u wszystkich diabłów pożytek?

— Rany, Lacey, uspokój się. Teraz tu jestem.

— Łatwo ci mówić. Ja musiałam się bić z tym chłopcem z brzytwą, tutaj, całkiem sama. A tak w ogóle to on jest mordercą. Na wypadek, gdybyś się zastanawiał. — Jej głos brzmiał coraz wyżej. — Morderca. Trzy razy. Nie, cztery. Prawie pięć.

— Wszystko pod kontrolą, Lacey.

Ludzie Vica mówili teraz jeden przez drugiego do swoich komórek.

— Teraz tak! To nie twoja zasługa! Mówiłam ci, że to nie były samobójstwa. Ale czy ty cokolwiek zrobiłeś? Nie! Musiałam sobie radzić z tym cholernym mordercą całkiem sama.

— Lacey, trochę histeryzujesz.

— Co to ma znaczyć, trochę? Mam prawo sobie histeryzować! Dużo. — Roześmiała się. — Musiałam się bronić lakierem do włosów i lokówką! Cholera! Cholera! Cholera! — Ku jej kompletnemu przerażeniu, łzy wypełniły jej oczy. Odwróciła się, żeby ich nie widział. Vic położył ręce na jej ramionach.

Odchrząknęła.

— Chciałam znaleźć telefon, wezwać policję, ale blokował drogę do drzwi. Polly Parsons nie żyje. Beau ją zabił. Jest w drugim pokoju. Biedna Polly. Nie powinna go pytać, co ma zrobić z włosami. — Usłyszała, jak ktoś wbiega do pokoju obok i wrzeszczy. Mogła to być Josephine. — Chyba teraz usiądę.

Ktoś podsunął jej krzesło. Nie zauważyła, kto. Vic bał się, że ona rozszoła się naprawdę.

— Pojedynek na nożyce, Lacey. Jak prawdziwi komandosi. Nie przerabialiśmy tego na strzelnicy.

— To kobieca dyscyplina.

Ochroniarze wpadli do środka i zablokowali drzwi. Potem pojawiło się mnóstwo ludzi z pogotowia. Podłączyli wciąż nieprzytomnemu Beau kroplówkę i zapakowali go na nosze. Nożyce zostawili, gdzie były. *Pewnie chodzili na te same lekcje, co ja.* Strażnicy blokowali wejście do pokoju, w którym leżała Polly Parsons.

— Przykro mi, że mnie tu nie było. — Vic uklęknął przy niej. — No dobra, pogromczynie smoków. Już po wszystkim.

Wiedziała, że to nieprawda. Był wkoło wielki bałagan. Stella pojawiła się nie wiadomo skąd i gorączkowo uściskała Lacey. Cała historia rozeszła się po budynku, jakby nadawały ją tam-tamy. Vic zostawił je same i ruszył pomagać w zabezpieczeniu miejsca.

— Udało ci się, Lacey! — pisnęła Stella. — Jesteś wielka! Ale rany boskie, skarbie, skąd wiedziałaś, że to był Beau?

Lacey złapała się na tym, że paple jak szalona.

— Włosy. Włosy. Jego włosy. Doczepiane włosy.

— Doczepiane włosy? Jakie doczepiane włosy? — Stella najpierw nic nie rozumiała, dopiero po chwili do niej dotarło. — Boże drogi! To zrobił z włosami? Doczepił sobie? Obrzydliwość!

Przybyli kolejni fryzjerzy ze Stylettos i utworzyli wokół Lacey ochronny mur. Kiedy w końcu pojawiła się policja, Stella i jej fryzjerzy chórem głosili ogłuszającą obronę kobiety, która wygrała ostateczną rundę Salonu śmierci przeciw mordercy.

■ ■ ■

W końcu rozpętała się prawdziwa medialna burza — skoro aż tyle znanych osobistości znalazło się od razu wystrojonych na miejscu najprawdziwszej zbrodni. Zadzwonili po swoich kamerzystów i wciskali się w zaplanowane programy, nadając niezliczone aktualizacje i demonstrując swoje modne nowe wizerunki, zyskane dzięki akcji Rozpalmy Miasto i Stylettos. *Polly byłaby dumna.*

Lacey Smithsonian z „Eye Street Observer” została zawieszona na przesłuchanie, a cała historia posłużyła za pierwszy news dziennika na czterech kanałach i w CNN. Zachwycona Claudia dzwoniła z Paryża. Gazeta nie cieszyła się może respektem w prasowych kręgach, ale raz na jakiś czas mogła zabłysnąć, opisując aferę najwyższej klasy. Mac chodził krokiem godnym swojego imiennika, generała MacArthura.

Niestety, kiedy Lacey po raz ostatni dostrzegła Vica, wisiała na nim Josephine, a on podpierał ją i pomagał zebrać siły. Gliniarze zabrali Lacey w bezpieczne i nieujawnione miejsce. Natychmiast zatroszczyła się o pomoc prawną i czekała, aż pojawi się Brooke Barton, Esquire, z kancelarii Barton, Barton & Barton, by przeprowadzić ją przez cały proces i pomóc w zastraszaniu policji.

Do północy Lacey zdążyła ochrypnąć od niekończących się wyjaśnień udzielanych policji D.C. oraz agentowi Thornowi z FBI. Jednak ton pytań zmienił się z wrogiego w przyjazny, gdy przypomniała sobie o uruchamianym głosem dyktafonie, który miała w torebce, a który znakomicie uchwycił wyznania Beau oraz jego plany zachowania jej włosów po jej śmierci. Brooke niemal promieniała z dumy. Uwielbiała tajne nagrania. Lacey powiedziała im także o fryzjerskim stanowisku Angie pokrytym rozbryzgami krwi oraz o zdjęciach zrobionych po spryskaniu luminolem, które Vic im następnie przekazał.

Najtrudniej było jej odpowiedzieć na pytanie: „Pani Smithsonian, skoro miała pani podejrzenia, dlaczego nie powiadomiła pani policji?”. W końcu musiała im przypomnieć, że powiedziała całemu światu, a przynajmniej swoim czytelnikom, że dwa samobójstwa były w rzeczywistości morderstwami. A policja i tak jej nie uwierzyła.

O pierwszej w nocy Brooke miała dość i zażądała, żeby sformułowali zarzuty albo dali spokój. Kiedy w końcu wypuścili Lacey, Brooke odwiozła ją do domu w Alexandrii, gdzie zrobiły sobie lody z ciepłym toffi i do trzeciej piły whiskey.

Mac powiedział, żeby wzięła sobie wolne na resztę tygodnia, co natychmiast odrzuciła. Wiedziała, że nigdy nie odzyska z trudem wywalzonego szacunku sali redakcyjnej, jeżeli teraz okaże się mięczakiem. Będzie musiała nałożyć swoje barwy wojenne i jutro rano wmaszerować do sali. Elegancko spóźniona, ale wrócić musi. Do przekłętego biurka Mariah. Do koszmarnych krawatów i kraciastych koszul Maca. Do cytrynowych babeczek Felicity. Do rubryki o modzie.

Lacey Smithsonian

ZBRODNIE W MODZIE

Nie pytaj, komu bije skandal — zmień wizerunek od razu!

Właśnie teraz, gdzieś w Waszyngtonie, D.C., dojrzeva skandal. Jeszcze się nie wydarzył, ale nadejdzie. Jutro, pojutrze albo w przyszłym tygodniu. I gdzieś bezbronna ofiara stoi na krawędzi katastrofy. Niczego niepodejrzewająca kobieta odkryje, że wszystkie jej brudne sekreciki zostały wystawione na brutalne światło dnia, gorące światła telewizyjnych reflektorów i bezlitosne dowcipy wszystkich satyryków w okolicy.

Kiedy nadejdzie skandal - a nadejdzie - ta kobieta stanie się obiektem ataku na wielką skalę, ataku skierowanego na jej zachowanie, strój i wygląd, nie licząc szczegółów jej konkretnych kłopotów. Przypomnij sobie Lindę, Paulę, Monikę i Marcję. A teraz przyszła kolej na ciebie. Słowo dziennikarza. Kimkolwiek jesteś, my — media — nie zostawimy na tobie suchej nitki. Starzy przyjaciele wszystko wypapłają. A będzie jeszcze gorzej, jeżeli nie będziesz miała twarzy gotowej na wszystko. Mówimy tutaj o wyglądzie. Bo to, jak cię potraktuje prasa, w dużej mierze zależy będzie od tego, jak wyglądasz. To nie jest fair, ale takie jest życie. A kobiety mają jeszcze gorzej. Generalnie media nie zadają sobie trudu z upokarzaniem mężczyzn za ich obwisłe brzuchy i policzki, ani za włosy na pożyczkę. Fotografowie nie marnują filmu na usiłowanie złapania pod najlepszym kątem ich podwójnych podbródków i dalekiego od doskonałości uzębienia. Nie, to dzisiejsza Jezebel zawsze zostaje obrzucona owym biotem.

Wiesz, kim jesteś - a może nie wiesz, ale dowiesz się tak samo, jak my wszyscy, kiedy otworzysz poranną gazetę. Ale jeżeli będziesz czekać z tą zmianą wizerunku, aż skandal wybuchnie, będzie za późno - twój wizerunek będzie już mocno ustalony, czarno-biało i w kolorze. Z dawnych skandali należy się wynieść naukę, że zawsze trzeba wyglądać jak najlepiej. Dla zachowania sprawiedliwości dam ci kilka rad.

Klaso, uwaga: szkoła skandalu Smithsonian.

Waszyngtońskie zasady stylu dla skandalistów

Przede wszystkim miej jasną wizję, o jaki wizerunek ci chodzi, kiedy szykujesz się do zeznań przed prokuratorem specjalnym albo na rozmowę z twoimi przyjaciółmi w Federalnym Biurze Śledczym. Chcesz wyglądać atrakcyjnie, skromnie, niewinnie i szczupło. Nie chcesz wyglądać jak ktoś winny, jak femme fatale, albo, nie daj Panie Boże, grubo.

Zacznijmy zatem od góry, dobrze? Jak tam z twoimi włosami? Krótkie, gładkie i lśniące włosy to popularny wybór dla stojących przed sądem.

Całkiem do przyjęcia są także długie włosy zgarnięte do tyłu i spięte czymś subtelnym. Wypróbuj kok albo wyrafinowany kok francuski a la bohaterki Hitchcocka. Wtosa mogą być niemal dowolnego koloru, ale błagam, unikaj zniszczonych chemikaliami i trwałą blond straków. Styl na wate cukrową też nie jest mile widziany w stolicy naszego państwa. I, na miłość boską, używaj grzebienia! Kołtuny się przeżyły. Pamiętaj, że w przeraźliwie wilgotnym Waszyngtonie kobietom trzeba żelu, lakieru albo pianki do utrzymania włosów pod kontrolą. Jeżeli naprawdę musisz mieć romantyczne masy loków, albo nosić do nich ogromne ozdoby, jak kokardy czy ekstrawaganckie zapięcia, zdaj się na łaskę sądu.

Po atakach płaczu pojawiają się plamy na skórze, a to wygląda źle, przez co, jak wszyscy wiemy, automatycznie stajesz się uznana za winną.

Zaprzyjajnij się z makijażem, a zwłaszcza z dobrze dobranym podkładem. Ciemne kręgi pod oczami po nieprzespanych nocach zamaluj rozjaśniaczem, a same oczy podkreśl tuszem i subtelnym cieniem. Nie zapomnij o różu i szmince. Paznokcie powinny być schludnie wymanikiowane. Nie trzeba chyba nawet mówić, że zielony, niebieski, fioletowy i czarny lakier do paznokci przekażą wymiarowi sprawiedliwości zupełnie niewłaściwe sygnały.

Co założyć na te przerażające wystąpienia publiczne? Rozważ na przykład:

- Perłowe kolczyki i naszyjnik, które mówią, że mimo swojego skandalicznego zachowania jesteś naprawdę bardzo kulturalna. Odpowiednia będzie także mała, gustowna szpilka w klapie.

- Skromne i dobrze skrojone kostiumy, w twarzowych, chociaż nobliwych barwach, kiedy składasz zeznania. Granatowy, brązowy i czarny może i są nudne, ale nudny jest dobry, bo to odwrotność skandalicznego. Znakomicie skrojona sukienka-trencz może być również znakomita i nie wymaga zachodu. Jaskrawe kolory i pastele zrobią wrażenie słabości. W Waszyngtonie czerwień jest wyjątkiem od zasady unikania jaskrawych kolorów. To kolor władzy. Ale uważaj: władza uderza do głowy. I pamiętaj, rękawy nie mogą sięgać końców palców.
 - Torebki, które są schludne, kształtne i w dobrym stanie. Elegancka torebka na ramię będzie w porządku. Coś podobnego rozmiarami do torby na zakupy - bezwzględnie za duże. Torebki jednak powinny być praktyczne, na tyle duże, by pomieścić grzebień, szminkę i małą puderniczkę na szybkie retusze w damskiej toalecie. I chociaż pewnie najchętniej nosiłabyś także paralizator na tych wrednych dziennikarzy, zdecydowanie to odradzam.
 - Czarne pantofelki, jeżeli trzeba granatowe, na średnim obcasie, i żadnego narzekania. Oczywiście rajstopy. Wszystko powinno być przemyślane i schludne.
- Czego należy unikać, jak wizyty Misji specjalnej:
- Agresywnych wzorów, grochów albo kratek. Przyciągają niewłaściwy rodzaj uwagi.
 - Sukienek z bufiastymi rękawkami i wiązaniem z tyłu. Nie masz już pięciu lat.
 - Dziwacznych strojów, jak ogrodniczki, chyba że pracujesz na farmie albo masz jakieś dobre wytłumaczenie, typu na przykład budowania domów dla najbiedniejszych.
 - Rozciągniętych swetrów, które wyglądają naprawdę rozpaczliwie.
- Desperacja równa się wina.
- Obcasów wysokości wieży Eiffla, chyba że uprawiasz najstarszy zawód świata, a zresztą wtedy też nie. W Waszyngtonie, jeżeli twoje buty przywodzą myśl o grzechu, koniec z tobą.

A wreszcie, zaplanuj sobie z góry, co założysz do sądu, do Kongresu czy na konferencję prasową. Upewnij się, że wszystko dobrze leży, jest wyprasowane i czyste, guziki dobrze się trzymają, obrąbek też. Jeżeli masz się znaleźć w reflektorach mediów, możesz przynajmniej wyglądać jak gwiazda, a nie uciekiniarka z więzienia dla zbrodniarzy przeciw gustowi. Kiedy twój skandalik wreszcie zniknie w mrokach zapomnienia - a zniknie - zostaną ci wycinki jako wspomnienie starych dobrych czasów, kiedy rozpoznawali cię na waszyngtońskich ulicach.

Rozdział 29

W czwartek Beauregard Radford został postawiony przez Dystrykt Kolumbii w stan oskarżenia za zamordowanie Polly Parsons i próbę zabójstwa Lacey Smithsonian. Szamponik znajdował się na oddziale intensywnej opieki medycznej, ale spodziewano się pełnego powrotu do zdrowia. W północnej Wirginii czekało go oskarżenie o morderstwo Boyda Radforda. Zamierzano wznowić śledztwa w sprawie śmierci Angie Woods i Tammi White i spodziewano się również aktów oskarżenia o morderstwo. Leo opowiadał wszystkim, od policji w Arlington począwszy, a na Tonym Trujillo skończywszy, że został wrobiony. Josephine Radford nie kontaktowała się z mediami. Beth Ann Woodward wyjechała do swojego domu letniego w Maine, w tym roku trochę wcześniej.

Mac oznajmił, że przy nagłówku rubryki *Zbrodnie w modzie* będzie zamieszczał zdjęcie Lacey. Była przerażona i kilka tygodni później nadal się o to kłócili. Strona DeadFed kropka com poświęciła cały artykuł „Smithsonian Nożycoręką” i wyraziła opinię, że mogła być celem kongresowego spisku. Trujillo napisał główny artykuł czwartkowego wydania — *Dziennikarka „Et/e” broni się przed szaleńcem z brzytwą* — na temat szokujących wydarzeń, które dziennik ochrzcił jako „wrzenie w mieście”.

Kaseta wideo Marcii, jej „polisa ubezpieczeniowa”, nadal się nie pojawiła, chociaż FBI było nią teraz bardzo zainteresowane. Matka Angie zadzwoniła, żeby podziękować, ale Lacey odparła, że właściwie to powinna dziękować Stelli, która zachęcała ją na każdym kroku. *A konkretnie mówiąc, zachęcała, poszturchiwała i maltretowała.*

Trujillo urządził jej spontaniczne przyjęcie w sali redakcyjnej w piątkowe popołudnie. Claudia przyleciała z Paryża. Brooke sprowadziła całą swoją kancelarię prawną, razem z ojcem i wujkiem — obaj byli emerytowanymi prokuratorami federalnymi — i tańczyła z każdym obecnym mężczyzną. Była zachwycona odkryciem, że feromony Tony'ego Trujilla nie zostały najwyraźniej zagłuszone. Stella pojawiła się w towarzystwie Michelle, Jamie, Bobby'ego oraz jasnowidzącej Marie, która wszystkim za darmo powróżyła z kart i oznajmiła Macowi, że jego aura jest „kraciasta”. Mac dostarczył jedzenie i alkohol na koszt firmy. A najlepsze było to, że Felicity musiała wyjść wcześniej i całą imprezę przegapiła.

Vic nie był obecny na przyjęciu. Stella zaproponowała, że go zaprosi, na co Lacey odpowiedziała propozycją znalezienia sobie nowej fryzjerki.

Nie chciała go tam. Zapytana dlaczego, odpowiadała z ironią.

— Zawsze tak jest. Kiedy ja zostaję sama z szaleńcem, gdzie się podziewa dzielny książę? Karmi swojego konia, poleruje pistolety w gospodzie z jakąś kelnerką na kolanach.

— No, niezupełnie kelnerką, Lacey. To nieutulona w żalu wdowa.

— Stello, kochana moja, chodzi o to, że nie trzeba nam rycerzy w lśniących zbrojach, dopóki mamy własną broń. Nieważne, czy to są gorące lokówki, puszka lakieru czy nożyce.

Gdzieś po północy na Farragut Square, naprzeciwko siedziby „Eye”, Lacey, Brooke i Tony wzniesli toast za pomnik admirała Davida „Do diabła z torpedami: cała naprzód!” Farraguta szampanem zapłaconym przez dziennik. Zgodzili się, że „cała naprzód” to jedyna metoda prowadzenia gazety.

Poszła do domu, wyłączyła telefon z gniazdka, spała do późna, drzemała w ciągu dnia, a potem spędziła cały weekend na grzebaniu w starych wykrojach babci Mimi i szukaniu po sklepach materiałów.

■ ■ ■

Do następnego piątku temat morderstw w Stiletto był równie martwy, jak reforma służby zdrowia. Miały się jeszcze pojawić nowe wiadomości, a Lacey mogła się jeszcze pokusić o napisanie porad, co zakładać na zeznania, ale na razie jej sława zwiędła niczym kwiaty wiśni, ograniczona do starego linka na stronie DeadFed. W jej skrzynce gromadziły się listy. Reszta dziennikarzy jednak nie okazywała już zainteresowania jej pocztą od wielbicieli. Przekopywała się przez własne stosy informacji prasowych.

Po obiedzie Lacey zaatakowała swoją skrzynkę i rozerwała beżową bąbelkową kopertę. Znajdowała się w niej kasetka wideo. Bez naklejki. Bez listu. Zerknęła na pieczętkę poczty: Virginia Beach. Rozejrzała się wokół. Johnson był w Kongresie. Trujillo zbierał gdzieś materiały. Mac miał spotkanie. Felicity zajmowała się konkursem cukierników. Lacey mogła równie dobrze być niewidzialna, udała się więc do biblioteki, gdzie w osobnym pomieszczeniu stał telewizor z odtwarzaczem, dla użytku czysto dziennikarskiego. Powołując się na bliski termin, wyrzuciła stamtąd paru fanów seriali i zamknęła drzwi. Jak się spodziewała, jakość filmu była kiepska — na finał festiwalu w Sundance nie miał raczej szans. Ale w głównych rolach wystąpili: Marcia Robinson, Boyd Radford, a także zestaw polityków, lobbystów, pracowników i nastoletnich gości. Oraz kilka niespodzianek: Josephine Radford z kilkoma przystojnymi żigolakami, prokurator generalna tańcząca topless w różowej baletowej spódniczce do walca z *Koppeli*. Bez wątplenia wiele osób chciałoby to zobaczyć. Tylko kto będzie pierwszy?

Mac zawsze mówi „Ufaj swojemu naczelnemu”. Lacey uśmiechnęła się. Spacerowym krokiem przeszła koło biurka Maca i położyła na nim kasetę z kartką: *Pomyślałam, że będziesz wiedział, co z tym*

zrobić. Koniecznie obejrzyj kawalek z różową spódniczką. Biorę sobie wolne popołudnie. Lacey.

Odwołała wizytę u Stelli i poszła do domu. Byłby to idealny dzień na spacer, gdyby jej ostatnia przechadzka w piątkowe popołudnie nie skończyła się groźbą śmierci, kłapnięciem w błoto i niechcianą zmianą fryzury, pomyślała. Przejechała rękami po włosach, w myślach namawiając krótką szczecinkę z samego przodu do rośnięcia szybciej. Rozkoszowała się niebieskim niebem, lekką wilgotnością powietrza po nocnym wiosennym deszczu i delikatną wonią drzewnego dymu. Nogi miała jak z gumy, ale siłą woli zmuszała je do jednego kroku za drugim, ścieżką prowadzącą do szlaku do Dykę Marsh.

Me wyglupiaj się. Jego już zamknęli. Minęły dwa tygodnie, odkąd tu na ciebie napadł, powiedziała do siebie. A prosta zasada prawdopodobieństwa wykluczała drugi podobny atak na długie lata, może i na zawsze. Ilu ludzi rozwścieczyła na siebie tak bardzo, że chcieliby ją zabić? Znowu? Nawet pisaniem *Zbrodni w modzie*? W końcu to tylko moda. Idąc, skupiała się na rzeczach, które sprawiały jej przyjemność: czapła modra połykająca rybę, czaple śnieżne stojące jak arystokracja między pospółstwem, stado skromnych kaczek i mew. Zwolniła kroku, pozwalając innym się wyprzedzić.

Jej nogi protestowały, ale to było coś, co musiała doprowadzić do końca, inaczej Beau udałoby się ukraść znacznie więcej niż trochę włosów, aktualnie znajdujących się w poszewce na poduszkę pełnej różnego rodzaju kosmyków włosów, zamkniętej gdzieś w magazynie dowodów w Dystrykcie Kolumbii.

Nie mogła znieść myśli o byciu ofiarą. Kiedy skończy ten spacer przez George Washington Memorial Parkway do bagien, następnym razem będzie łatwiej. Pewnego dnia odzyska spokój, który zawsze tu znajdowała.

Tablica ogłoszeń przy wejściu do Dykę Marsh nadal informowała o organizowanych wczesnym rankiem spacerach dla obserwacji ptaków w rezerwacie. Niewiele się zmieniło. Panowała cisza, nie licząc ćwierkanych skarg niektórych ptaków. Jak zwykle, jednakowość działała uspokajająco. Promienie słońca

prześlizgiwały się między drzewami, tworząc idealne połączenie zielonego światła i złocistej poświaty. Miała nadzieję, że zobaczy kardynała, który według babci Mimi przynosi szczęście.

Wiedziała, dlaczego ważniejsze jest dojście do porządku po incydencie w Dyke Marsh niż po krwawym bałaganie w kuluarach pokazu mody. W Salonie śmierci ona była zwycięzcą. Ale pójść tym szlakiem znaczyło wrócić na scenę potyczki, którą przegrała, przegrała na własnym gruncie, a łatwo mogło się skończyć jeszcze gorzej.

Ruszyła powoli, podczas gdy serce zaczęło jej mocno walić, a w gardle zaschło. Poczula dreszcz i zrozumiała, że drży. To ją rozzłościło, wściekła się na nikczemnego Szamponika, na siebie za bycie takim mięczakiem. Przyspieszyła.

Poruszała się coraz szybciej i szybciej, zdecydowanie. Machała rękami, pięści miała zaciśnięte. Z głównej ścieżki sprzątnięto już przewrócone drzewa, grube pnie rozpiłowano i rzucono na bok, więc Lacey przeszła tuż obok miejsca, gdzie napadł na nią Beau Radford, zatrzymując się tylko na chwilę, by spojrzeć za siebie i głęboko odetchnąć. Jest ważne, żeby sobie z tym poradzić, pomyślała. Dotrzeć do końca szlaku.

Skreśliła w lewo w stronę małego mostku i dotarło do niej, że nie jest sama. Siedział na słupku, grzejąc twarz w słońcu. Niebieska robocza koszula i kowbojski kapelusz. Niebieskie dżinsy leżące na nim jak pokusa. Wyglądało na to, że oczy ma zamknięte. Postanowiła przejść obok. Zostawił jej kilka wiadomości, ale nie oddzwoniła. *Pewnie chce z powrotem broń.*

— Miły dzień na spacer, Lacey. Zatrzymała się.

— Spacer? Vic, ty przecież nigdy nie chodzisz na spacer! Gdzie schowałeś tego piekielnego jeepa?

— Pomyślałem, że cię tu spotkam. Wiesz, nie każdy by tu wrócił po tej bójce w lesie.

— Musiałam. I zrobię to znowu i znowu, aż przestanę się bać.

— Tak myślałem. Nigdy nie byłaś tchórzem. Stuknięta tak, ale nie tchórz.

— Dzięki. Ty też. — Vic uśmiechnął się do niej. Zrobiło jej się nagle gorąco. — Skąd wiedziałeś, że tu przyjdę?

— Mały ptaszek o tym wspomniał. Powiedział, że odwołałaś wizytę i wzięłaś wolne popołudnie.

— Ptaszek z gatunku Stella?

— Szamponikowi zrobiłaś niezłą dziurę w brzuchu.

— Powinnam była celować niżej. Mówiliby na niego Sopranik.

— I wyglądało na to, że ktoś mu uciał trochę włosów. Jakby na pamiątkę. Brzytwą czy czymś. Beau przysięga, że niczego takiego nie pamięta. Nie wiesz czegoś na ten temat, co?

Ignorując jego pytanie, oparła się o jeden ze słupków przy mostku.

— Co tu robisz, Vic? Twój klient Szczurek nie żyje. Szamponika zamknęli i wyjdzie najwyżej na rozprawę albo do wariatkowa. — Młody Radford, który groził samobójstwem, kiedy policja zabrała mu dopinane włosy jako dowód w sprawie, został zamknięty na trzydziestodniowej obserwacji psychiatrycznej. — A nieutulona w żalu eks-wdowa... No, co z wdową? Nie wymaga już twoich osobistych usług?

Josephine nigdzie się nie pokazywała. Wszystko wskazywało na to, że wdowa jest rozdarta. Kochała syna i nienawidziła byłego męża, ale z całym tym koszmarem nie mogła się pogodzić. Wszystko przez to, że poprosiła Beau o odebranie Angie kasety Marcii. A kiedy Beau się to nie udało, wysłała po to samo Lea. Josephine dała mu wolną rękę w poszukiwaniu filmu. Powiedziała, że może zrobić, co będzie trzeba, z włamaniem włącznie. Teraz Lacey wiedziała dlaczego.

— Chciała, żebym dołączył do zespołu obrońców Beau jako główny detektyw. Odmówiłem. Poza tym jestem po twojej stronie. Jesteśmy przyjaciółmi. Nie jesteśmy przyjaciółmi, Lacey?

Patrzyła na niego, nie ufając sobie dość, by się odezwać, chociaż oczywiście prędzej czy później będzie musiała. Pewnie palnie przy tej okazji jakąś straszną głupotę.

— Prawda jest taka, Vic, że nie chcę się z tobą przyjaźnić. To za trudne. Nie mam siły na bycie twoją przyjaciółką i patrzeć, jak się snujesz wszędzie z tą barakudą Josephine.

— Nigdzie się z nią nie snuję.

— Na pewno? Nawet na krótki spacerek?

— Przysięgam. Ani razu.

— Tylko tyle masz do powiedzenia? Super. Mam dosyć robienia z siebie idiotki. — Zrobiła krok do tyłu. — Ostatnio miałam upokorzeń więcej niż dość, łącznie z wywnętrzaniem się przed tobą. Dzięki za wszystko, Vic, ale niańki mi nie trzeba. Sama sobie skończę ten spacer, okej? —

Wyprostowała się, wzięła głęboki oddech i odwróciła się w stronę krańca bagien. — Idź sobie.

Zsunął się ze swojego słupka i stanął przed nią.

— Czekałem, aż to powiesz, Lacey. To wszystko.

— Co powiem?

— Że chcesz się posnuć ze mną...

— Ja chcę się snuć z tobą?

— No, ja chyba tak.

Objął ją i pocałował, długo i mocno. Ten facet wiedział, co robi. Miał w sam raz odpowiedni wzrost i jego objęcia były naprawdę cudowne.

Zrobiło jej się gorąco, chociaż nie zamierzała tego okazać.

— Doprowadzisz mnie do szaleństwa, Victorze Donovane.

— Nie przejmuj się, skarbie. To nie tak daleko.